

Prószynski i S-ka

JACK  
McDEVITT

# Droga do wieczności



# Jack McDevitt



# **Droga do nieskończoności**

*(Eternity Road)*

Przekład Ewa Wojtczak

# **Spis treści**

STRONA TYTUŁOWA

PODZIĘKOWANIA

PROLOG

ROZDZIAŁ 1

ROZDZIAŁ 2

ROZDZIAŁ 3

ROZDZIAŁ 4

ROZDZIAŁ 5

ROZDZIAŁ 6

ROZDZIAŁ 7

ROZDZIAŁ 8

ROZDZIAŁ 9

ROZDZIAŁ 10

ROZDZIAŁ 11

ROZDZIAŁ 12

ROZDZIAŁ 13

ROZDZIAŁ 14

ROZDZIAŁ 15

ROZDZIAŁ 16

ROZDZIAŁ 17

ROZDZIAŁ 18

ROZDZIAŁ 19

ROZDZIAŁ 20

ROZDZIAŁ 21

ROZDZIAŁ 22

ROZDZIAŁ 23

ROZDZIAŁ 24

ROZDZIAŁ 25

ROZDZIAŁ 26

ROZDZIAŁ 27

ROZDZIAŁ 28

ROZDZIAŁ 29

ROZDZIAŁ 30

EPILOG

## PODZIĘKOWANIA

Gdy piszę, zawsze mogę liczyć na twoją pomoc i wsparcie. Dzięki, Maureen.

Chciałbym także podziękować Ralphowi Vicinazy, Caitlin Blasdel i Johnowi Silbersackowi z wydawnictwa HarperPrism. Dolores Dwyer jestem wdzięczny za poprawki redakcyjne, Charlesowi Sheffieldowi za uwagi na temat mojego rękopisu, a specjalistce od koni Elizabeth Moon za pomoc w przygotowaniu drugiego wydania.

*Spytałem go, jak daleko jesteśmy od Hartford.  
Odparł, że nigdy nie słyszał tej nazwy.*

Mark Twain  
„Jankes na dworze króla Artura”



*Był Październik, czas schyłku ludzkości,  
O zmierzchu ruszyli z odwagą w nieznane,  
By pamięć ocalić o ziemskiej przeszłości.*

– „Podróże Abrahama Polka”

Kiedy Silas dotarł do domu, zastał w ogrodzie posłańca.

– Wrócił – szepnął chłopak i podał mu kopertę.

Był jednym z dwóch młodzieńców zatrudnionych podczas nieobecności Karika do opieki nad jego willą. Słowa te zaskoczyły Silasa, spodziewał się bowiem, że powrotowi starego będzie towarzyszyć dęcie w rogi i walenie w bębny albo też że Karik Endine w ogóle nie wróci.

Koperta był zabezpieczona woskiem.

– Jak się miewa?

– Zdaje mi się, że nie najlepiej.

Silas próbował sobie przypomnieć imię posłańca. Kam? Kim? Jakoś tak. Wzruszył ramionami, otworzył kopertę i wyjął z niej jedną złożoną kartkę.

SILASIE, MUSZĘ SIĘ Z TOBĄ PILNIE ZOBACZYĆ.

NIE MÓW NIKOMU.

PROSZĘ, PRZYJDŹ NATYCHMIAST.

KARIK Ekspedycja wyruszyła prawie dziewięć miesięcy temu. Silas popatrzył na notkę, wyjął monetę i podał ją chłopcu.

– Powtórz Karikowi, że przyjdę.

Słońce przesunęło się już ku linii horyzontu, a ostatnie kilka nocy było chłodnych. Silas pospiesznie wszedł do domu, umył się, nałożył świeżą koszulę i wyjął z szafy lekką kurtkę. Potem wybiegł z domu, poruszając się tak szybko, jak tylko pozwalała mu na to godność i pięćdziesiąt lat na karku. Prędko dotarł do Imperium, wyprowadził ze stajni Oxfoota, wyjechał przez miejską bramę i pokłusował Drogą Rzeczną. Niebo było bezchmurne i czerwone; powoli zapadał zmierzch. Para czapli leciała leniwie nad wodą. Missisipi kotłowała się przy powalonym moście Drogowców, wirowała wśród hałd bezkształtnego betonu, przepływała spokojnie ponad zatopionymi przęsłami, załamywała się na zwałach gruzu. Nikt tak naprawdę nie wiedział, jak stary jest most. Potrzaskane filary tworzyły lokalne kipiele, a wystające nad wodę omszałe wieżyczki posępnie tonęły w mroku.

Brukowany szlak łagodnym łukiem oddalał się od rzeki, przecinał gaik wiązowy po prawej stronie i docierał na cypel. Wzdłuż północnego pobocza ciągnęła się długa, szara ściana, stanowiąca część zagrzebanej na wzniesieniu budowli. Podczas jazdy Silas przyglądał się wielkim szarym kamieniom i zastanawiał się, jak wyglądał świat w czasach, gdy zbudowano drogę. Nagle ściana się skończyła. Silas objechał wzniesienie i dostrzegł willę Karika. Znał ją doskonale. Natychmiast napłynęły wspomnienia dawnych dni spędzanych tu na rozmowach z przyjaciółmi przy winie. Zażęknął za tymi czasami. Chłopiec, który przyniósł wiadomość, czerpał teraz wodę ze studni. Silas dał mu znak ręką.

– Czeka na pana. Proszę, niech pan wejdzie.

Willa stała frontem do rzeki. Była luksusową rezydencją, dwukondygnacyjną, zbudowaną w tradycji Masandik, z podzielonymi skrzydłami na parterze, balustradami i balkonami na piętrze. Duże okna, wiele szkła. Silas oddał cugle chłopcu, zastukał do drzwi, po czym wszedł.

Nic się tu nie zmieniło. Ściany obwieszono gobelinami w jesiennych kolorach, salon oświetlały snopy przyćmionego światła. Meble były nowe, lecz w stylu, który Silas pamiętał: ozdobnie

rzeźbione drewno obite skórą. Typ charakterystyczny dla monarszych pałaców władców z epoki cesarskiej.

Karik siedział przy biurku, pogrążony w lekturze. Silas ledwie rozpoznał przyjaciela. Włosy i broda niemal całkowicie mu posiwiały. Skórę miał obwisłą i ziemistą, oczy zapadnięte w ciemnych oczodołach. Dawna intensywność wzroku osłabła, przemieniając się w bladą czerwoną łunę. Uśmiechnął się, podniósł oczy znad stron rękopisu, wstał i – oświetlony różowawym światłem zachodzącego słońca – podszedł, wyciągając ręce.

– Silasie – odezwał się. – Dobrze cię widzieć. – Objął przyjaciela i przez długą chwilę przyciskał do piersi. Taka poufałość zupełnie do niego nie pasowała, Karik Endine był bowiem człowiekiem o chłodnym usposobieniu. – Nie spodziewałeś się, że wrócę, co?

Zwątpienie Silasa faktycznie rosło wraz z każdym upływającym miesiącem.

– Nie byłem pewny – bąknął.

Chłopiec wszedł z wodą i zaczął ją przelewać do stojących w kuchni pojemników.

Karik wskazał Silasowi fotel. Mężczyźni przez chwilę rozmawiali o niczym. Gdy wreszcie zostali sami, Silas pochylił się ku przyjacielowi.

– Co się stało? – spytał ściszym głosem. – Znalazłeś ją? Okna były otwarte. Do pokoju wpadł podmuch zimnego wiatru. Firanki poruszyły się.

– Nie.

Silas poczuł nieoczekiwany przyływ satysfakcji.

– Przykro mi.

– Sądzę, że nie istnieje.

– Chcesz powiedzieć, że miałeś błędne informacje i po prostu nie wiesz, gdzie jej szukać.

– Nie, po prostu sądzą, że nie istnieje. – Karik wyjął z szafki butelkę ciemnoczerwonego wina i dwa kieliszki. Nappełnił oba, jeden podał przyjacielowi.

– Za Przyszań – powiedział Silas. – I za starych przyjaciół.

Karik potrząsnął głową.

– Nie. Wypijmy twoje zdrowie, Silasie. I za dom. Za Illyrię.

Gdy spełniali toast, chłopiec przyniósł wilgotny ręcznik. Silas starł podróżny kurz z twarzy i położył sobie chłodny materiał na karku.

– Przyjemnie.

Karik był roztargniony i patrzył w dal.

– Stęskniłem się za tobą, przyjacielu – rzucił.

– Co się tam wydarzyło? – spytał Silas. – Czy wszyscy wrócili cali i zdrowi?

Starzec zachował na twarzy kamienny spokój.

– Kogo straciliście? – drażył Silas.

Za oknami płynęła Missisipi. Karik wstał, zapatrzył się w rzekę, po czym dopił wino.

– Wszystkich – odparł.

Jego głos drżał.

Silas odstawił kieliszek, nawet na chwilę nie odwrócił oczu od towarzysza.

– Jak to się stało?

Karik głośnie westchnął.

– Dwóch utonęło w rzece. Inni umarli z powodu napromieniowania. Od chorób. A niektórzy po prostu mieli pecha. – Zamknął oczy. – Wszystko nadaremnie. Miałeś rację.

W polu widzenia pojawiła się płaskodenna łódź. Spokojnie wpływała w sztuczny kanał powstały za zachodnim skrajem zrujnowanego mostu. Pokład łodzi zawalony był stosami drewnianych

kontenerów.

Silas starał się nie pokazać po sobie rozczarowania. Tak, to prawda, sam przecież uporczywie powtarzał, że Przystań jest mitem, a ekspedycja goni za mrzonką, miał wszakże nadzieję, iż się myli. Szczerze mówiąc, spędził wiele nocy na rozmyślaniu o skarbach Abrahama Polka. Wówczas po powrocie z wyprawy wszyscy poznaliby historię Drogowców, dowiedzieli się mnóstwo rzeczy o ludziach, którzy potrafili budować wspaniałe miasta i autostrady, o jakich Illyryjczycy mogli tylko marzyć. Być może podróżnicy odnaleźliby też kronikę czasów Zarazy...

Jedenaście ofiar! Silas dobrze znał większość ich: przewodnika Landona Shaya, Kirę, Toriego i Mirę z Imperium, artystę Arina Milanę oraz Sholę Kobai, ochotniczkę, eksksiężniczkę z Masandik. W ekspedycji brali również udział Random Iverton, oficer, który porzucił karierę wojskową i został poszukiwaczem przygód, stypendysta Axel z akademii w Farroad oraz Cris Lukasi, instruktor szkoły przetrwania. Dwóch ostatnich nie znał, uściśnił im jedynie dłonie, gdy odjeżdżali mokrą od deszczu Drogą Rzeczną i kierowali się ku pustkowiu.

Przeżył tylko przywódca, Karik Endine. Popatrzył na niego. Wiedział, że czyta mu w myślach.

– Tak się stało – jęknął Endine. – Miałem po prostu więcej szczęścia niż pozostali. – W jego oczach pojawił się szczerzy ból. – Silasie, co powiem ich rodzinom?

– Prawdę. Cóż innego?

Karik zapatrzył się w okno. Obserwował przepływającą barękę.

– Zrobiłem wszystko, co było w mojej mocy. W niczym nie zawiniłem.

– Masz listę najbliższych krewnych ofiar? – spytał Silas.

– Sądziłem, że pomożesz mi ją ułożyć.

– W porządku. Sporządzimy ją. Jeszcze dzisiejszej nocy powinieneś wszystkich do siebie zaprosić. Zanim dowiedzą się, że wróciłeś do domu, i zaczną się zastanawiać, gdzie się podzieli ich bliscy.

– Niektórzy mieszkają w innych miastach.

– Zaproś, ilu zdołasz. Resztą zajmiesz się później. Jak najszybciej wyślij pierwszych posłańców.

– Masz rację – przyznał. – Rzeczywiście, to chyba najlepsze rozwiązanie.

Oczy zaszły mu łzami.

– Nie rozumieją.

– Czego nie rozumieją? Przecież ludzie, którzy ci towarzyszyli, zdawali sobie sprawę z ryzyka.

Kiedy wróciłeś do domu?

Karik zawahał się.

– W ubiegłym tygodniu.

Silas wpatrywał się w niego przez długi czas.

– No dobrze. – Napełnił ponownie kieliszki i zapytał z pozoru niedbałym tonem: – Kto jeszcze wie, że wróciłeś?

– Flojjan.

Jego syn.

– No cóż, załatwmy całą sprawę szybko. Słuchaj! Poszli z tobą wyłącznie ochotnicy. Zarówno oni, jak i ich krewni zdawali sobie sprawę z ryzyka. Musisz tylko wszystkim wyjaśnić, co się zdarzyło. Przekaż im wyrazy współczucia. Bądź szczerzy. Niech żałobnicy widzą, że bolejesz wraz z nimi.

Karik skrzyżował ręce na piersi. Wyglądał na załamanego.

– Silasie, żałuję, że sam również nie zginąłem.

Ponownie zapadło długie milczenie. Silas wziął notes i zaczął spisywać nazwiska. Ojcowie. Siostry. Córka Axela, równocześnie powinowata Silasa (wyszła za mąż za jego kuzyna).

- Nie mam ochoty rozmawiać z nimi – jęknął Karik.
- Wiem. – Silas dolał sobie wina. – Ale musisz. Będę stał u twego boku.

Zgodnie z powszechnie aprobowaną opinią prawdziwie trwałe są wyłącznie sprawy duchowe: miłość, zachody słońca, muzyka, sztuka dramatyczna. Osobiste odczucia to inna sprawa. Marmur i farba wprawdzie poddają się upływowi czasu, niemniej wiele osób zgodnie przyznaje, że nic nie porusza ich duszy równie mocno jak widok zrujnowanej świątyni ateńskiej oświetlonej księżycem w pełni.

Coś równie przejmującego tkwiło w szczątkach budowli, które pozostawili po sobie Drogowcy. Zazwyczaj nie identyfikujemy betonu z pięknem, lecz jakże wspaniałe wydawały się mieszkańcom Illyrii bliźniacze pasy autostrad, ciągnące się przez faliste wzgórza, i rozległe lasy, przecinające rzeki i rozdzielające się na boczne drogi, tworząc figury, których geometryczna doskonałość zapierała obserwatorów dech w piersiach. Ogromne wrażenie robiły także lśniące wieżowce, tak wysokie, że tylko nieliczni potrafili wspiąć się na ich szczyt w jeden dzień. Mnóstwo budowli zachowało dystygowaną elegancję, mimo iż zawaliły się fundamenty i dachy.

Wymarli już twórcy tych konstrukcji, genialni inżynierowie. Ruiny tworzyły obecnie integralną część krajobrazu, równie naturalną dla dzieci Illyrii jak Missisipi. Przywodziły na myśl mglistą przeszłość, lecz do niczego już nie służyły.

Chyba najbardziej uderzająca, a równocześnie najbardziej zagadkowa spośród pozostałości po Drogowcach była Żelazna Piramida stojąca na wschodnim brzegu rzeki. Wbrew nazwie nie została wykonana z żelaza, lecz z nieznanego Illyryjczykom metalu, określanego przez wiele osób mianem pseudometalu, ponieważ – podobnie jak wiele innych materiałów Drogowców – nie zezarła jej rdza i nie uległa zniszczeniu. Piramida wznosi się na wysokość trzystu dwudziestu pięciu stóp, a każdy z boków jej trójkątnej podstawy ma w przybliżeniu ćwierć mili. Puste wnętrze budowli jest rozległe – przypuszczalnie musztrowano w niej wojska lub odprawiano obrządkie religijne.

Wydobyte z ruin filizanki Drogowców, ich grzebienie, naczynia kuchenne, biżuteria, zabawki i inne bibeloty zdobią obecnie illyryjskie domy oraz jej mieszkańców. Znaleźiska te również są wykonane z materiału, którego nikt nie potrafi skopiować. Nie zużywają się i łatwo je utrzymać w czystości.

Rinny i Colin rzadko myśleli o ruinach. Ostrzegano ich przed nimi, ponieważ już kilku śmiazków wpadło w ukryte w podłodze dziury bądź przywały ich spadające przedmioty. Większość Illyryjczyków wolała się trzymać z dala od tych miejsc. Niektórzy powiadali, że w gruzach jeszcze nadal tli się nieznanne życie. Te historie powodowały, że dwaj młodzieńcy najchętniej łowili ryby przy starym betonowym falochronie położonym milę na północ od domu Colina.

Tego dnia padał deszcz.

Chłopcy mieli po piętnaście lat. W tym wieku większość Illyryjczyków płci męskiej znała już swoją zawodową przyszłość. Rinny dał się ostatnio poznać jako utalentowany rusznikarz i podjął pracę w warsztacie swego ojca, Colin zaś pracował na rodzinnej farmie. Dzisiaj rodziny wysłały ich po kilka sumów.

Rinny uważnie obserwował niebo. Zbierało się na burzę. Kiedy uderzył piorun, chłopcy znaleźli schronienie w sklepie Martina u stóp nabrzeża. Budynek pochodził z czasów Drogowców. Był cały, choć nieco zniszczony, ceglany, przyozdobiony dumnie tablicą z nazwą placówki i godzinami urzędowania. Od ósmej do osiemnastej (członkowie Towarzystwa Ochrony Zabytków stale czyścili tablicę, by przyciągała turystów). Colin przestąpił z nogi na nogę i spojrzał z ukosa na niebo.

– Mam nadzieję, że pogoda się poprawi. W przeciwnym razie znowu będziemy jeść dziś wieczorem rzepę zamiast ryb.

Do tej pory złowili zaledwie jednego suma.

– Zdaje mi się, że wszystkie odpłynęły na południe – odparł Rinny. Wiatr i deszcz smagały rzekę. Robiło się coraz chłodniej. Rinny roztarł ręce i mocniej zesnurował rzemienie w górnej części kurtki. Przy przeciwległym brzegu powoli płynęła z prądem płaskodenna łódź. Załoga przykrywała się nieprzemakalnym płótnem. – Może lepiej jednak chodźmy stąd.

– Za chwilę. – Colin wpatrywał się nieustępliwie w wodę, jakby hipnotyzował ryby.

Chmury napływały znad przeciwległego brzegu rzeki. Zbliżała się ulewa. Rinny westchnął, odłożył rzeźbioną gałąź, która służyła mu za wędkę, i zaczął się pakować.

– Chyba coś złapałem – mruknął Colin, szczerząc zęby. – Spora sztuka.

– Świetnie. Będziemy mieli po jednej.

Colin próbował wyciągnąć zdobycz, nie miał jednak dość siły.

– Zaplątała się w coś. – Pociągnął mocno, lecz wędka tylko się wygięła, jakby miała się za chwilę złamać. Woda wokół kija pociemniała. – A cóż to takiego?

– Na pewno nie ryba – odparł rozczarowany Rinny.

Na powierzchnię wypłynął but.

W bucie tkwiła stopa.

Colin upuścił wędkę i obuta stopa ponownie zniknęła w wodzie.

– Nie rozumiem. – Flojjan Endine odsunął się od łóżka, aby Silas mógł popatrzeć na zwłoki jego ojca.

Z każdym rokiem, który upłynął od nieudanej wyprawy, ciało Karika coraz bardziej się kurczyło. Teraz, po śmierci, zupełnie już nie przypominał siebie sprzed lat.

– Przykro mi – szepnął Silas. Podejrzewał, że prawdopodobnie czuje większy smutek niż Flojjan.

– Dziękuję. – Syn Karika powoli potrząsnął głową. – Nie był to we współżyciu najłatwiejszy człowiek na świecie, niemniej jednak będę za nim tęsknił.

Policzek Karika był biały i zimny w dotyku. Silas nie dostrzegł żadnych ran czy obrażeń.

– Jak to się stało?

– Nie wiem.

Na ścianie wisiał rysunek rzeki pędzącej wśród gęsto porośniętych lasem wzniesień. Czarno-biały szkic wyglądał na dziwnie niedokończony. Artysta zatytułował go „Dolina rzeczna”. W prawym dolnym rogu widniała data i podpis autora. Silas zauważył z pewnym zaskoczeniem, że dzieło stworzył Arin Milana, jedna z ofiar wyprawy do Przystani. Data – 23 czerwca 197 roku po założeniu miasta. Ekspedycja opuściła Illyrię 1 marca owego roku, a Karik wrócił sam na początku listopada. Dziewięć zim temu.

– Chciał się przejść po wzgórzach. Widzisz? O, tam. Pewnie się poślizgnął i spadł do wody. – Flojjan podszedł do okna i wyjrzał na zewnątrz. – Może serce mu wysiadło.

– Miał problemy?

– Z sercem? Nie. Przynajmniej nic mi o tym nie wiadomo. – Flojjana Endine można by uznać za kiepską, grymasną wersję swego ojca. Z wyglądu podobny, lecz pozbawiony pasji starego. Rzetelny obywatel, któremu wiodło się nie najgorzej. Niby energiczny i bystry, jednak Silas nie wierzył, by istniała sprawa, o którą Flojjan byłby gotów walczyć. Nawet pieniądze. – Nie. O ile wiem, był zdrowy. Ale znałeś go: gdyby chorował, i tak ukryłby ten fakt przed światem.

Silasa – rok starszego od Karika – zdumiała ta oschła uwaga syna przyjaciela.

– Przykro mi – powtórzył. – Nie widywałem go od dłuższego czasu, lecz z pewnością również będę za nim tęsknił. Odczuwam smutek na myśl, że już go tu nie zastanę. – Silas dorastał z Karikiem. Wspólnie rzucali wyzwania rwącej rzece, stojąc na moście Ostrokrzewowym, i przysięgli sobie, że

razem odkrywają sekrety Drogowców. Walczyli ramię w ramię podczas wojen z Argonem, zmagali się z rzeczonymi piratami, pobierali szkolne nauki, siedząc u stóp nauczyciela – Filia Kona z Farroad. Kon nauczył ich podważać każdy fakt. Mówił, że świat opiera się na iluzji. Że ludzie mogą uwierzyć w każdą bzdurę, byle została im przekazana w sposób przekonujący lub przez odpowiedni autorytet.

Silas dobrze sobie zapamiętał tę lekcję. Przydała mu się, gdy Karik zaczął organizować ekipę ochotników, z którymi pragnął się wyprawić na poszukiwanie nieistniejącej krainy. Silas postanowił zostać wtedy w domu. Rozstanie było trudne. Karik wyglądał na urażonego, a jego trapiły potężne wyrzuty sumienia.

„Nie wiem, dlaczego wydawało mi się, że powinienem z nim iść – powtarzał później każdemu, kto chciał słuchać. – Od początku byłem przecież przekonany, że ekspedycja jest tylko stratą czasu i pieniędzy”.

Karik twierdził, że posiada mapę, lecz nikomu jej nie pokazał. Podobno obawiał się, że ktoś go uprzędi, i nie zamierzał ryzykować.

Prawdopodobieństwo zorganizowania konkurencyjnej wyprawy było niewielkie, ale Karik wyraźnie tracił poczucie rzeczywistości. Silas uważał Przystań za mit. Być może historyczny Abraham Polk naprawdę żył. Może rzeczywiście zebrał grupę uciekinierów i wraz z nimi ukrył się w odległej fortecy, gdzie pragnęli przetrwać Zarazę. Jednak opowieść, jak opuścili kryjówkę, gdy minęło niebezpieczeństwo, jak zgromadzili wiele cennych przedmiotów związanych z ich cywilizacją i zmagazynowali je dla przyszłych pokoleń, należało włożyć między bajki. Ludzie lubią opowiadać sobie takie historie. Silasowi sprawa wydawała się podejrzana i nie zamierzał bez potrzeby ryzykować życia i reputacji, wyprawiając się na poszukiwanie skarbu, który przypuszczalnie nie istniał. Niemniej miał wyrzuty sumienia i, rozmyślając o tym długo, doszedł w końcu do przekonania, że nie chodziło o sensowność wyprawy, lecz o zwyczajną lojalność wobec przyjaciela.

Odsunął się od ciała Karika.

– Dzisiejszego ranka wyglądał dobrze – odezwał się Flojjan, który wyprowadził się z ojcowskiego domu tylko raz, na krótki okres swego nieudanego małżeństwa. Przez ostatnie lata opiekował się ojcem i nie opuścił go nawet wówczas, gdy całe miasto potępiło starca za tchórzostwo, niekompetencję albo za jedno i drugie. Gdyby z wyprawy wrócił ktoś inny, zapewne ludzie nie odwróciliby się od niego. Jednak powrót przywódcy zgorszył ich, szczególnie że kości jego towarzyszy pozostały gdzieś na drogach. Silas podziwiał oddanie Flojiana ojcu, choć równocześnie podejrzewał, że młody Endine interesuje się raczej ochroną ojcowskiego dziedzictwa niż samym Karikiem.

Rzeka była chłodna i spokojna. Był czas, gdy Silas uważał Karika Endine’a za swego najlepszego przyjaciela. Lecz Karik bardzo się zmienił po powrocie z ekspedycji. Zamknął się w sobie, stał się małomówny, niemal ponury. Początkowo Silas sądził, że przyjaciel ma do niego żal. Później jednak dotarły do niego relacje innych pracowników Imperium na temat dziwnego zachowania Karika. Gdy usłyszał, że przyjaciel wycofał się do północnego skrzydła swej willi i nie widywano go już w mieście, zrozumiał, że przyczyny jego załamania mają poważne źródło.

Flojjan był w średnim wieku, mniej więcej przeciętnego wzrostu i nieco nazbyt przysadzisty. Jego blond włosy zaczynały powoli rzednąć. Szczególnie chełpił się gustownie przyciętą złotawą bródką, która – w co żarliwie wierzył – nadawała mu buńczuczny wygląd.

– Silasie – powiedział – ceremonia pogrzebowa odbędzie się jutro po południu. Pomyślałem, że chciałbyś powiedzieć kilka słów.

– Nie spotykałem się z nim od dłuższego czasu – bąknął Silas. – Nie jestem pewien, czy wiedziałbym, o czym mówić.

– Byłbym bardzo wdzięczny – nalegał Flojjan. – Kiedyś blisko się z nim przyjaźniłeś. Zresztą – zawahał się – poza tobą nie znam nikogo odpowiedniego. To znaczy... No, wiesz, jak to jest.

Pokiwał głową.

– Oczywiście – zgodził się. – To dla mnie zaszczyt.

Silas i Karik spędzili z kompanią serdecznych przyjaciół mnóstwo przyjemnych wieczorów w willi, przy kominku albo przed domem, na ławkach, pod wiązami. Obserwowali, jak z nieba znikają resztki dnia, rozmyślali o artefaktach poprzedniej cywilizacji i o zaginionych rasach, zastanawiali się, jakie skarby znajdują się pod ziemią. Czasy wydawały się ekscytujące, warto było w nich żyć. Powstała Liga, skończyły się wojny między miastami, rozpoczęto wykopaliska w ogromnych ruinach Drogowców u ujścia Missisipi. Mówiło się nawet o zdobyciu dodatkowych funduszy dla Imperium i zwiększeniu nakładów na naukę i prace badawcze. W owym czasie Illyryjczycy mieli nareszcie szansę odsłonić niektóre spośród tajemnic Drogowców. Na przykład sposób działania rozmaitych silników i skład powszechnie niegdyś używanego paliwa. Najbardziej zagadkowymi przedmiotami, jakie pozostały po zaginionej cywilizacji, były hojje. Otrzymały nazwę na cześć Alga Hojja, który spędził całe życie, próbując zrozumieć, jak działają owe pojazdy, porzucone w wielu miejscach autostrad. Hojje miały wypalone wewnątrz, lecz pseudometalowe nadwozia pięknie lśniły po lekkim wypucowaniu. Hojja wywnioskował, że pod wpływem długich letnich okresów straszliwych upałów najpierw wypadły z ram bardzo wytrzymałe okna, a później słońce zwęgliło wewnątrz pojazdów. Nikt wszakże nie wiedział, dzięki czemu i w jaki sposób się poruszały.

Tak czy inaczej, dwadzieścia lat temu istniały przesłanki do optymizmu. Powstała Liga i zapanował pokój. Jednak gruzy w wodach Missisipi zniechęciły mieszkańców Illyrii do wszelkich działań w delcie, fundusze dla Imperium nigdy nie napłynęły, a hojje pozostały zagadką.

Stali przy frontowych drzwiach. Silas wpatrywał się w rzekę i w ruiny.

– Karik kochał ten widok – zauważył Silas. – Nazywał go swoim oknem w przeszłość. – Stok opadał łagodnie ku brzegowi rzeki, oddalonej około stu stóp. Kamienna aleja otaczała dom, potem skręcała obok szeregu kamiennych ław i opadała na wąski pas nadrzecznej plaży. Na jednej z ław leżał notes.

Flojjan uścisnął Silasowi dłoń.

– Dziękuję ci za pomoc.

Silas popatrzył na notes. Drzewami poruszał chłodny wiatr.

Flojjan podążył za jego spojrzeniem.

– To dziwne – oświadczył. Z udawaną niedbałością podszedł do ławy, przypatrzył się notesowi niczym zwierzęciu, które może go ugryźć, i po chwili wahania podniósł go. Kartki były przemoczone od deszczu, lecz skórzana okładka uchroniła notes przed rozpadem. – Ojciec pracował nad komentarzem do „Podróży”.

Silas otworzył notes i rzucił okiem na staranne, wręcz pedantyczne pismo Karika. Ostatnie zapiski pochodziły z dnia śmierci.

Niestety, mieszkańcy Illyrii znali jedynie niewielki fragment „Podróży”. W prologu tekstu znajdowała się słynna rozmowa między Abrahamem Polkiem i Simbą Markus. Kobieta zdradziła później zarówno jego, jak i jego ideały – ochronę historii świata, który już zniknął.

„– To tylko martwa przeszłość – mówi Simba. – Niech odejdzie w niepamięć.

– Przeszłość – odpowiada Polk – nigdy nie jest martwa. Umieramy jedynie my, ludzie.

– Uważam, że ryzyko jest zbyt wielkie. Może nosimy w sobie zarazę. Pomyślałeś o tym?

– Tak. Jednak ogromne znaczenie zadania usprawiedliwia wszelkie ryzyko”.



Odwołując się do tej właśnie rozmowy, Karik napisał: „To nieprawda, wcale nie usprawiedliwia”.

– Niesamowite, że zostawił notes na dworze – zauważył Silas. – Może jednak nie czuł się zbyt dobrze. – Podniósł wzrok od ławki ku szczytowi wzniesienia, którym Karik zazwyczaj spacerował aż do wąskiej plaży. – Położył go na ławce i co potem? Wszedł na wzgórze?

– Przypuszczam, że tak.

– Nosił wysokie buty, prawda? Chłopcy wyłowili najpierw but...

– Tak.

– To są chyba ślady jego butów. – Były niewyraźne, ledwie dostrzegalne po deszczu. Lecz nadal pozostawały widoczne. Początkowo prowadziły wzdłuż rzeki, później skręcały, przecinały plażę i znikwały w wodzie.

Kon obdarzył Silasa jeszcze jednym darem: zaraził go niemożliwym do zaspokojenia pragnieniem poznania tajemnic Drogowców, twórców ciągnących się w nieskończoność autostrad. Teraz wielkie drogi przeważnie były pokryte warstwą ziemi, lecz mimo iż przechodziły przez lasy, ich powierzchnie nie porastały drzewa. Obserwator, który stanął na jednym z niskich wzgórz nad Missisipi, dostrzegał sporą część autostrady łączącej wschód z zachodem – dwa regularne, bliźniacze pasma wznosiły się lub opadały, czasami zbliżały do siebie, czasem się rozgałęziały. Wyglądały jak strzały wystrzelone ze wschodzącego słońca. Rozdzielały się tuż przed rogiem Illyrii, okrążyły miasto i ponownie się łączyły, by na moście Ostrokrzewowym przekroczyć rzekę.

Kon podsunął Silasowi intrygującą sugestię: twierdził, że te wspaniałe konstrukcje są czymś więcej niż zwyczajnymi drogami, że stanowią równocześnie artefakty religijne. W wyniku wieloletnich badań illyryjscy naukowcy ustalili geometryczne implikacje i stwierdzili, że autostrady pozostają w harmonii z kosmosem. Silas nigdy nie zrozumiał ich obliczeń, a do całej teorii podchodził z ogromnym sceptycyzmem. Zresztą do takiej postawy przed laty zachęcał swoich uczniów sam Kon.

Rinny i Colin traktowali ruiny jedynie jako część krajobrazu, nie bardziej wyjątkową niż miodowe szarańcze i czerwone dęby, z kolei Silas Glote doświadczał na ich widok przykrego ukłucia bólu. Ruiny kojarzyły mu się z zupełnie innym światem, niezwykłą cywilizacją, o której niewiele wiedział, a którą ogromnie pragnął poznać.

Silas poświęcił życie na badania pozostałych po epoce Drogowców artefaktów. Mimo iż praca nie była dobrze płatna, dawała mu wielką satysfakcję. Nie wyobrażał sobie wspanialszego zajęcia. Zaznajamiał studentów z tajemnicami ruin, których szczegóły konstrukcyjne i elementy wyposażenia młodzi ludzie rzadko wcześniej dostrzegali: na przykład zamontowane w większości wyższych budynków windy (Illyryjczycy nie znali ich zastosowania), wszechobecne metalowe skrzynki i ekrany z pseudoszkła, ciężki szary dysk wycelowany w niebo i umieszczony w pobliżu drogowskazu z napisem: MEMPHIS: PRĄD, BENZYNA I WODA. Istniały także inne tajemnice, jak choćby nocna muzyka, która czasami wydobywała się z pewnego kopca położonego na zachodnim obrzeżu starej części miasta.

Wyrzuty sumienia Silasa wiązały się nie tylko z odmową wsparcia przyjaciela i uczestnictwa w jego wyprawie, poczucie winy wypływało również z mieszanych uczuć, których doświadczył, słysząc o wyniku misji. W mrocznych czeluściach swej duszy czerpał satysfakcję z niepowodzenia Karika. Nie lubił się przyznawać przed sobą do tych negatywnych emocji, lecz nie potrafił się ich wyzbyć.

Przed wyprawą Karik nie starał się udowodnić Silasowi, że zna lokalizację Przystani, poprosił tylko przyjaciela, by zaufał jego osądowi.

„Wiem, gdzie się znajduje – twierdził. – Mam mapę. Na pewno chciałbyś znaleźć to wspaniałe miejsce wraz ze mną”.

Krażyły plotki, że fortecy Polka stale doglądają uczeni obojga płci, potomkowie pierwotnego zespołu. Ludzie ci podobno opiekowali się zgromadzonymi dobrami, odnawiali stare i uszkodzone egzemplarze, a gdy papier ksiąg zaczynał się kruszyć, kopiowali ich zawartość.

Przystań!

Jeśli nie istnieje, z pewnością powinna istnieć. Z tym właśnie stwierdzeniem łączyły się wątpliwości Silasa. Gdyby bowiem Abraham Polk nie istniał, ktoś na pewno by go wymyślił.

Na wieść o śmierci Karika Endine’a Chace Milanie przypomniały się czternaste urodziny. Brat Arin zabrał ją wówczas w jej ulubione miejsce – na cichą polankę przed jednym z budynków Drogowców – i tam namalował Chaki portret.

Odkąd sięgała pamięcią, pragnęła, by brat ją namalował. Nie prosiła go jednak o to, gdyż cechowała ją nieśmiałość; bała się, że będzie się z niej śmiał.

Owego chłodnego dnia pod koniec zimy pozowała mu na płycie granitu przed popękaną ścianą i sklepieniem łukowym z wygrawerowanym napisem: IZBA HANDLU W MEMPHIS – ROK 2009.

Miejsce było szczególne, ponieważ miasto Memphis niemal doszczętnie spaliło się przed laty i mnóstwo budowli trwało jedynie w postaci spopielałych ruin. Lecz ten niewielki, zwieńczony łukiem budynek ocalał. I do tego był niezwykle piękny.

*– Chako, proszę cię, stój nieruchomo. – Arin spojrzał na nią, przechylił głowę, ocenił jakość padającego światła, skinął głową i zapatrzył się w płótno.*

*– Kończysz? – spytała.*

*– Prawie.*

*Zastanawiali się, czym była owa „izba handlu” i jakie pełniła funkcje. Chace podobały się stylizowane rzeźby – ogoniaste stwory z ogniem buchającym z paszcz. Patrząc na nie, czuła powiew wiatru z innej epoki.*

Kiedy przybyła na nabożeństwo, pokryte całunem ciało Karika umieszczono już na stosie nad brzegiem wody. Obok zwłok stały drewniane skrzynie, które zawierały osobiste rzeczy zmarłego, jego *anumę*. Przedmioty te miały towarzyszyć Karikowi w ostatniej podróży. Obrzędowa pochodnia czekała odpieczętowana, na maszcie zaś trzepotał transparent z symbolem Tasselaya, czyli Kielichem Życia.

Dom i jego otoczenie wypełnili goście. Pojedynczo lub parami wspinali się na niski podest, który wzniesiono przed stosem pogrzebowym, składali kondolencje Flojjanowi i z zadumą przyglądali się ciału jego ojca.

*– Chyba to zrobię. – Arin zamachał pędzlem, złożył podpis w dolnym prawym rogu i odsunął się od płótna. Chaka zeskoczyła ze skały, pospiesznie podeszła i przypatrzyła się.*

*– Podoba ci się?*

*Uchwycił całe otoczenie: granit, kilka liter z napisu Drogowców, późnopołudniowe światło. No i samą Chakę. Jej podobizna wyrażała zdecydowanie i pewność siebie. Promieniowała też wewnętrznym światłem, które jakby ją wypełniało.*

*– Och, tak, Annie. Jest uroczy.*

*Brat uśmiechnął się z zadowoleniem. Jego ładną twarz pstrzyły plamki farby. W rodzinie często żartowano, że Arin chętnie wykorzystuje siebie jako pierwsze płótno.*

– *Wszystkiego najlepszego z okazji urodzin, siostrzyczko.*

*Zastanawiała się, jak obraz będzie wyglądał na ścianie jej sypialni, kiedy nagle zauważyła, że w zielonych oczach brata pojawił się smutek.*

Po wielkości i zachowaniu tłumu biorącego udział w nabożeństwie przypadkowy gość mógłby uznać, że Karik Endine miał kochającą rodzinę i olbrzymie grono szczerze oddanych mu przyjaciół. Nic bardziej mylnego. W grupie było niewielu krewnych – jedynie syn Karika oraz kilkoro dalekich, prawie zapomnianych kuzynów. Trudno też byłoby znaleźć w Illyrii czy też w którymś z pozostałych pięciu miast Ligi i na przyległych terenach osobę, która uważałaby się za bliskiego przyjaciela zmarłego.

Dla osób znających go z lepszych czasów Karik stał się ostatnio jedynie obiektem ciekawości bądź litości. Mówili, że śmierć była dla niego wyzwoleniem. Przyszli na ceremonię z lojalności i tęsknoty za przeszłością. Niektórzy czuli wewnętrzny przymus, by wziąć udział w obrządku ze względu na znajomość z Flojjanem. Inni pojawili się, by posłuchać wypowiedzi na temat sławnego zmarłego, którego dokonania wydawały się dość kontrowersyjne. Przybyły też osoby chętne uczcić życie Karika, pożegnać go, towarzyszyć mu w ostatniej drodze, wymienić najnowsze anegdoty i wypić kilka posepnych toastów za człowieka, którego – zdawali sobie z tego sprawę – nigdy w pełni nie poznali. Zgodnie z tradycją respektowaną przy takich okazjach nikt nie krytykował ekscentrycznego charakteru zmarłego. (Ten miłosierny obyczaj zrodził się nie tylko z uprzejmości wobec krewnych, ale z illyryjskiej wiary, że dusza człowieka błąka się po śmierci wśród żywych, póki kapłanka nie wypowie rytualnej formuły powierzającej ją wieczności).

– *Dziękuję ci.*

– *Proszę bardzo – odparł.*

– *Co się stało?*

– *Nic. – Arin wytarł ręce i udawał, że studiuje malowidło. – Wszystko w porządku. Tyle że mam ci coś do powiedzenia. – Wcześniej przez ponad godzinę stał, więc teraz usiadł na trawiastej skarpie i poklepał trawę, zapraszając siostrę, by się do niego przyłączyła. – Pamiętasz Karika Endine'a?*

– *Tak, oczywiście, że go pamiętam. – Pamiętała Karika jako poważnego niskiego człowieka, któremu stale brakowało oddechu. Ilekroć odwiedzał ich dom, zamykał się z ojcem Chaki i jej bratem. Kiedy była małą dziewczynką, głaskał ją po głowie, lecz nawet wtedy wydawał jej się roztargniony i wiecznie zniecierpliwiony.*

– *Podobno wie, gdzie leży Przystań. Chce, żebym wyprawił się z nim na jej poszukiwanie.*

*Słyszała o Przystani, uważała ją jednak za miejsce mityczne.*

– *Chyba żartujesz.*

– *Nigdy nie żartuję, Chako.*

– *Sądziłam, że Przystań została przez kogoś wymyślona.*

– *Może i tak. Chociaż Karik tak nie uważa.*

– *Gdzie się zatem znajduje?*

– *Gdzieś na północy. Karik nie chce podać dokładnej lokalizacji. Twierdzi jednak, że zna do niej drogę.*

*Arin był taki przystojny tamtego ranka!*

– *Jak długo cię nie będzie?*

– *Okolo sześciu miesięcy.*

– *Po co narażasz się na takie niebezpieczeństwo? O co chodzi?*

– *Z Przystanią wiąże się kawał historii, Chako. Pomyśl, co możemy w niej znaleźć.*

– *Skarby?*

– *Tak. Być może Październikowy Patrol wyruszył naprawdę, może jego członkowie rzeczywiście ocalili pokątną część świata Drogowców. – Nachylił się ku niej. – Podejrzewam jednak, że Abrahama Polka wymyślono. Może cała opowieść jest wyssana z palca. A jeśli nie? Jeśli jest w niej ziarno prawdy? Nie poznamy odpowiedzi, dopóki sami nie wyruszymy i nie sprawdzimy.*

*Spytana, czy może pójść z nimi. Błysnął typowym dla siebie szelmowskim uśmiechem i bez słowa potargał jej włosy.*

– *Karik właściwie nigdy nie żył teraźniejszością. – Mówca miał okrągłą twarz, był brodaty i niezgrabny. – Można by powiedzieć, że mieszkał w świecie Drogowców. W tym domu przebywał jedynie tymczasowo.*

*Nawet Chaka wiedziała, że Karik praktycznie zamknął się w pewnym momencie w domu i nikt go nie widywał przez ostatnie dziewięć lat. Słowa mówcy wydały jej się tak niefortunne, że ledwie zdołała powstrzymać uśmiech.*

*Inne osoby wygłaszały podobne opinie. Po pewnym czasie dziewczyna zrozumiała, że najwyraźniej w ostatnich latach niewiele osób w ogóle kontaktowało się ze zmarłym. Karik Endine trzymał się na dystans, był niepozornym człowiekiem, na którego nieliczni zwracali uwagę. Odniosła wrażenie, że nikt z mówców nigdy po prostu nie spędzał z nim czasu przy wspólnym stole, nie mówiąc już o serdecznych rozmowach. Żaden z nich w każdym razie nie powiedział: „To był mój przyjaciel”. Nikt nie oświadczył: „Kochałem go”.*

*W wypowiedziach zabrakło jeszcze czegoś: nie padła najmniejsza wzmianka o misji do Przystani. Jak gdyby ekspedycja nigdy się nie odbyła.*

*Flojjan starał się wyglądać na bardzo zasmuconego, jednak po kilku minutach zrezygnował z wysiłków i przybrał obojętną minę, pod którą przypuszczalnie skrywał ulgę. Chyba był zadowolony, że starzec wreszcie odszedł. Flojjan nie poszedł w ślady ojca i zamiast kariery akademickiej wybrał pracę, którą uważał za bardziej użyteczną i dzięki której świetnie mu się powodziło – posiadał kilka promów, wynajmował też konie, które ciągnęły łodzie płaskodenne w górę rzeki. Willa znajdowała się w rodzinie od czterech pokoleń, ale Karik tak ją zaniedbał, że niemal popadła w ruinę. Flojjan stale łożył na jej utrzymanie, remonty i nowe meble. Jego ojciec był marzycielem. Flojjanowi nie przeszkadzali tacy osobnicy, wiedział jednak, że mogą egzystować jedynie w świecie stworzonym przez takich jak on sam – ludzi, którzy stoją twardo na ziemi, umieją działać i mają cel w życiu.*

*Chaka odwiedziła Karika krótko po śmierci swego ojca. Nie wiedziała, w jaki sposób zmarł jej brat Arin, więc postanowiła zapytać starego o szczegóły. Dotarła do willi i kilka razy zastukała do drzwi. Karik kazał jej długo czekać, ale była cierpliwa, toteż w końcu się doczekała. Starzec poddał się i otworzył jej drzwi.*

– *Przepraszam – oświadczył. – Spałem.*

*Z jego tonu wywnioskowała, że kłamie. Była jeszcze bardzo młoda, lecz z pewnością nie głupia.*

– *Panie Endine, przed śmiercią ojciec powiedział mi, że Arin się utopił. Potrafi mi pan wyjaśnić, jak do tego doszło?*

*Stał na progu. W blasku księżyca wyglądał wręcz srogo.*

– *Wejdz, Chako.*

– *Przepraszam, że pana niepokoję.*

– Nic się nie stało.

– Wiem, że ojciec z panem rozmawiał. – Jednak po powrocie do domu usiadł, zapatrzył się w ogień, a jej powiedział tylko, że Arin się utopił. Zniósł go prąd i utonął. Tylko tyle.

Karik poprosił, by usiadła.

– Próbowaliśmy przebyć rzekę w bród. Sądziliśmy, że docieramy do celu naszej podróży i pewnie dlatego staliśmy się trochę nieuważni. Arin jechał przodem wraz z naszym przewodnikiem, Landonem Shayem. W pewnej chwili jeden z jucznych koni stracił równowagę i wpadł w panikę. Arin podpłynął do niego i próbował go uratować. – Karik zapatrzył się w dal. – W końcu obu zniósł prąd. Kiedy twój brat spostrzegł, że nie zdoła ocalić konia, puścił cugle i zaczął płynąć do brzegu. Wierzyliśmy, że uda mu się dopłynąć, lecz za każdym razem, gdy zbliżał się do brzegu, prąd znowu spychał go na głębinę. Nagle wessała go spieniona woda i wpadł na skały. – Pochylił się do dziewczyny. – Prawdopodobnie uderzył się w głowę. Gdy widzieliśmy go po raz ostatni, wyglądał na nieprzytomnego. Później zabrał go prąd i Arin zniknął za zakrętem rzeki. Wszystko zdarzyło się bardzo szybko. Nikt z nas nie zdążył mu pomóc, Chako.

– Ale nie znaleźliście jego ciała?

Wyciągnął do niej dłoń.

– Szukaliśmy w dole rzeki. Jednak rzeczywiście, nigdy go nie znaleźliśmy. Przykro mi. Żałuję, że nie mogłem w żaden sposób zapobiec nieszczęściu.

Zaczął szlochać. Był to krótki, lecz niezwykle gwałtowny wybuch, w dodatku Karik Endine nie wyglądał na mężczyznę zdolnego do płaczu. Kiedy wreszcie nad sobą zapanował, wszedł na piętro willi i wrócił z plikiem szkiców, prac jej brata.

– Rysował je w trakcie misji – wyjaśnił, podał szkice dziewczynie, po czym spytał, czy mógłby sobie zatrzymać jeden z nich.

– Czy ktoś jeszcze pragnie zabrać głos? – Flojjan rozejrzał się po zgromadzonych. Dzień był ładny: pogodny i niezbyt chłodny, niebo – bezchmurne. Rozświetlona promieniami słońca rzeka lśniła. Kapłanka – starsza kobieta o białych włosach i surowych rysach – wsunęła do ognia kilka gałęzi i zerknęła na pochodnię.

Chaka wiele razy zastanawiała się nad okolicznościami śmierci Arina. Jej brat nie był zbyt dobrym pływakiem, toteż nie potrafiła sobie wyobrazić, że ryzykuje skok na głęboką wodę i płynie po przerażone zwierzę. Takie zachowanie po prostu do niego nie pasowało, choć nie było niemożliwe. Doszła do wniosku, że Karik ubarwił nieco opowieść, pragnąc pocieszyć dziewczynę i sprawić, by zapamiętała Arina jako bohatera. Być może jej brata po prostu porwał bystry nurt i chłopak utonął jak kamień.

Niespodziewanie wstała, zaskakując nawet samą siebie.

– Chciałabym coś powiedzieć.

Zebrani się rozstąpili. Dotarła do podestu i wspięła się. Miała długie do ramion rude włosy, rysy, które wydawały się chłopięce, gdy dorastała, a teraz zachowały osobliwą szorstkość, złagodzoną przez błyszczące błękitne oczy i ciepły uśmiech.

– Ledwie znałam Karika Endine’a – zaczęła. – Przed dziewięcioma laty mój brat wyprawił się z nim na północ. Gdy pan Endine wrócił z ekspedycji, poszłam z nim porozmawiać o śmierci Arina. – Skonsternowani słuchacze poruszyli się niespokojnie. – Wyszłam z poczuciem, że starszy człowiek równie mocno jak ja rozpacza z powodu śmierci mojego brata. Zawsze za to kochałam Karika Endine’a. Był w moim mniemaniu najbardziej nieszczęśliwą osobą, jaką poznałam. A jednak z całej siły starał się ulżyć w cierpieniu dziecku, którego prawie nie znał. – Wiatr głośno poruszał gałęziami

wiązów. Chaka zeszła z podestu.

Flojjan podziękował jej i ponownie spytał, czy ktoś jeszcze pragnie przemówić. Nie było chętnych.

– Po ceremonii – dodał – w imieniu mojego ojca proszę was o pozostanie. – Kapłanka podeszła, zdjęła transparent z Tasselayem, złożyła go z czcią i wręczyła swemu asystentowi. Następnie wzięła pochodnię, przytrzymała ją nad ogniskiem, aż się rozpałała, po czym podała Flojjanowi, szeptem nakazując mu ostrożność. Mężczyzna w rytualny sposób podziękował swemu ojcu za „słońce, rzekę i wszystkie godziny życia”. Kiedy skończył, kapłanka zaintonowała modlitwę do Ekry Podróżnika, który zabierał odchodzącą duszę do następnego życia. Wszyscy z szacunkiem pokłonili głowy. Kiedy kapłanka skończyła, Flojjan przyłożył płonąca pochodnię do stosu.

W ciągu kilku sekund stos ogarnęły płomienie. Chaka zapatrzyła się przed siebie.

Do widzenia, Arinie, powiedziała w myślach. Odnosiła wrażenie, że przecięto ostatnie ogniwa łączące jej brata ze światem.

Następnie goście weszli do budynku. Przez całe popołudnie wznosili toasty i opowiadali, jak bardzo będą tęsknili za zmarłym.

Chaka miała słabą głowę, toteż gdy niski, korpulentny mężczyzna ze starannie przyciętą siwą bródką podał jej kieliszek z winem, chciała odmówić.

– Ubrałaś właściwe sprawy w odpowiednie słowa, młoda damo – odezwał się.

– Dziękuję panu.

Po wyprostowanej postawie i precyzyjnej mowie rozmówcy natychmiast rozpoznała w nim akademika. Miał około sześćdziesięciu lat i prawdopodobnie był jednym z kolegów po fachu Endine’a.

– Reszta z nas tylko bzdurnie coś paplała jak przekłeci głupcy – kontynuował.

Zadowolona, uśmiechnęła się do niego.

– Będziemy za nim tęsknić. – Skosztował wina. – Nazywam się Silas Glote. Nauczam w Imperium.

Nazwisko zabrzmiało znajomo.

– Cieszę się, że mogę pana poznać, panie Glote. – Ponownie się uśmiechnęła. – Jestem Chaka Milana.

– Znałem Arina – dodał Silas.

Przypomniała sobie, gdzie słyszała nazwisko starego.

– Uczył się w jednym z waszych seminariów.

– Dawno temu. Był z niego wspaniały młody człowiek.

– Dziękuję panu.

Flojjan podszedł do nich, zatrzymał się, skinął głową Silasowi, po czym podziękował obojgu za przemówienia.

– Jestem pewny – zwrócił się do Chaki – że ojciec był zachwycony.

Odwoływał się oczywiście do nieśmiertelnego ducha Karika.

– Powiedziała samą prawdę – szepnęła dziewczyna.

Flojjan uśmiechnął się z wysiłkiem.

– Ojciec zapraszał Silasa, by wziął udział w wyprawie.

– Naprawdę?

– Nie lubię się włóczyć po pustkowiach – mruknął stary. – Cenię sobie wygodne życie. – Odwrócił się do Flojjana. – Jak daleko właściwie doszli? Zdradził ci kiedykolwiek szczegóły?

Flojjan dostrzegł trzy puste krzesła przy stole i poprowadził do nich swoich gości. Stary służący imieniem Toko przyniósł kolejne napoje.

– Nie – odparł, podając Chace poduszkę. – Nie opowiadał o swojej misji. Nie powiedział ani słowa.

– A co z mapą?

– Nigdy jej nie widziałem. Nawet nie wiem, czy istnieje. – Odetchnął głęboko. – Powszechnie sądzono, że Przystań leży na północy. Nad morzem. Ale nad jakim? – Potoczył wokół wzrokiem. – No cóż, teraz nie ma to już zbyt dużego znaczenia. – Popatrzył na Chakę. – Silas czuje się winny, że z nimi nie poszedł.

– Nigdy tego nie powiedziałem.

– Wiem. Ale słyszę żal w twoim głosie. I powiem ci, że jesteś wobec siebie niesprawiedliwy. Twoja obecność niczego by nie zmieniła. Najwyżej również byś zginął. Podejrzewam, że odmówiłeś mi z tego samego powodu co ja.

– Prosił cię, żebyś poszedł!?! – Silas wyrzucił z siebie pytanie, po czym zdał sobie sprawę, że swoim tonem zapewne obraził Flojiana, więc dodał, że Karik nie spodziewał się chyba, że jego syna zainteresuje propozycja wyprawy.

– Spokojnie, Silasie, nic się nie stało. Ulżyło mi, gdy odrzuciłem jego propozycję. – Głos Flojiana ścichł do zgrzytliwego szeptu. – Pomysł misji był zupełnie pozbawiony sensu, o czym i ty, i ja wiedzieliśmy od samego początku. Powiedzieliśmy mu o tym i poprosiliśmy go, by pokazał nam dowód na istnienie Przystani... By pokazał nam mapę. Odmówił.

Flojian skończył wino i westchnął.

– Wyruszył z Illyrii wraz z grupką dzieciaków. Przepraszam, Chako, ale tak to się odbyło. Wykorzystał ludzi, którzy w niego wierzyli. Poprowadził ich na pewną śmierć. Taka jest prawda i nie zmienia jej żadne słowa, które padną podczas dzisiejszej ceremonii.

Chaka zamierzała właśnie wyjść ze stypy, kiedy znowu podszedł do niej Flojian i spytał, czy mógłby porozmawiać z nią na osobności. Ton miał poważny, lecz dziewczyna nie potrafiła się domyślić, o co może mu chodzić.

Poprowadził ją do salonu na tyłach domu; gdy odsunął ciężkie kotary, światło słoneczne padło na komplet czterech książek.

Pokój był ładnie umeblowany. Stały tu skórzane fotele, biurko, przeszklona gablotka, narożny stolik i pulpit do czytania.

– To było sanktuarium ojca – oświadczył Flojian – zanim wycofał się do północnego skrzydła domu. – Wszystkie cztery książki były oprawione i oczywiście przepisane ręcznie. Dwa woluminy stały w gablotce, trzeci spoczywał na biurku, czwarty zaś leżał otwarty na pulpicie. „Podstawy poetyki” Kesslera, historia Illyrii napisana przez samego Karika i zatytułowana „Zmierzch Imperium”, „Założenie Ligi” autorstwa Molki oraz fragment kopii „Podróży Abrahama Polka”.

– Są piękne – odezwała się Chaka.

– Dziękuję.

Stojąca na pulpicie książka Molki była widoczna w całej okazałości. Wykonano ją niezwykle kunsztownie: skórzana oprawa, cienutki pergamin najwyższej jakości, wytworna kaligrafia, wyborny atrament, złote zawijasy w odpowiednich miejscach, doskonałe ilustracje.

– Są na pewno bardzo cenne.

– Tak. – Brązowe oczy mężczyzny skupiły się na jej twarzy. – Zamierzam je sprzedać.

– Nie mówisz chyba poważnie.

– Ależ tak. Nie potrafię ich ochronić. Inaczej było, gdy mieszkał tu ojciec. Teraz musiałbym wynająć strażnika. Cóż, Chako, właściwie niewiele dla mnie znaczą. Zdecydowanie wolę pieniądze.

– Rozumiem. – Lekko musnęła palcami po oprawie książki.

– Przyjemne uczucie, prawda?

– Bardzo.

– Hmm, zapewne się zastanawiasz, w jakim celu chciałem się z tobą spotkać. – Otworzył szufladę szafki i wyjął z niej pakunek. Po jego rozmiarach i ciężarze dziewczyna domyśliła się, że zawiera piątą książkę. Flojjan położył paczkę na stole i stanął z boku. – Nie wiem, czy jesteś tego świadoma, lecz wywarłaś ogromne wrażenie na moim ojcu.

– Trudno mi w to uwierzyć, Flojanie. Właściwie prawie wcale mnie nie znał.

– Zapamiętał cię. Pozostawił instrukcje. Mam ją przekazać tobie. – Paczka miała kształt grubej teczki z czarnej skóry; zamknięcie stanowiły dwa paski. Chaka rozpięła je. Na widok książki zapało jej dech w piersiach.

Złote litery, czerwona skórzana oprawa, cieniutki, nieco pożółkły ze starości pergamin.

– Jest dla mnie?!

– Autorstwa Marka Twaina – odrzekł Flojjan. – „Jankes na dworze króla Artura”.

Chaka otworzyła książkę i popatrzyła na stronę tytułową.

– Ależ wszystkie książki Marka Twaina zaginęły – szepnęła.

– No cóż. – Flojjan roześmiał się. – Najwyraźniej nie wszystkie. Jak widzisz.

W księdze znajdowały się ilustracje książąt na koniach, zamków i pięknych kobiet w powłóczystych szatach. A także podobizna mężczyzny z pistoletem w ręku.

Język powieści był przestarzały.

– Skąd pochodzi?

– Na to pytanie nie potrafię odpowiedzieć. Istnienie tej książki zaskoczyło mnie równie mocno jak ciebie. – Zacisnął usta. – Jest niestety nieco zniszczona. Taka trafiła w moje ręce.

Dziewczyna czuła się zakłopotana.

– Nie mogę jej przyjąć – oznajmiła.

– Obawiam się, że musisz – odparł Flojjan. – Zgodnie z ostatnią wolą mojego ojca. Postępuj z nią jednak ostrożnie. Podejrzewam, że jest bardzo cenna.

– Też tak myślę.

– Postaraj się wziąć za nią dobrą cenę, Chako.

Zamknęła książkę i ponownie zapięła paski.

– Och, nie – odparła. – Nie potrafiłabym jej sprzedać. Ale dziękuję panu za radę.

Raney oczekiwał jej na Drodze ku Zachodzącemu Słońcu. Był wysoki, sympatyczny, miał ciemne oczy, a w sercu rzadko cechującą młodych mężczyzn łagodność. Od czasu do czasu miewał gorszy humor, ale nie był złym człowiekiem. Chaka nosiła na kostce bransoletkę, którą od niego otrzymała.

– Jak było? – spytał, kiedy podjechała.

Powieść Marka Twaina tkwiła bezpiecznie w sakwie przy siodle. Raney najwyraźniej nie zauważył wybrzuszenia.

– Nie uwierzyłybyś w całą historię – odrzekła. Gdy ją pocałował, uściskała go tak mocno, że z zaskoczenia niemal spadł z konia.

Raney był krawcem. Utalentowany i dobrze opłacany, cieszył się sympatią i szacunkiem zarówno swoich klientów, jak i właściciela warsztatu, w którym pracował. Warsztat przynosił spore zyski i chociaż właściciel nieco chorował, Raney nie martwił się o swoją przyszłość.

Pokiwał głową ku kolumnie dymu wznoszącej się w niebo.

– Zaskoczyło mnie, że pojechałaś na ceremonię.



– Dlaczego?

– Ten człowiek odpowiadał za śmierć twojego brata.

– Nonsens – zdenerwowała się. – Arin wiedział, co ryzykuje, idąc w nieznane. Powinieneś o tym wiedzieć!

Dzień nadal był ładny i słoneczny, nienaturalnie wręcz ciepły jak na tę porę roku. Ruszyli powoli ku Drodze Rzecznej, tam skierowali się na północ.

– Tylko on wrócił – zauważył Raney. – Odpowiadał za członków ekspedycji, a jedyny przeżył. – Potrząsnął głową. – Na jego miejscu zostałbym z nimi.

Wzruszyła ramionami.

– Może. Ale jaki sens miałby taki gest?

Pod nimi skrzyła się rzeka. Rozmawiali o błahostkach, a po chwili zjechali z drogi i pokłusowali na przełaj, do stojącej na szczycie wzgórza Willi Chaki. Dom zbudował dziadek dziewczyny, odziedziczył go jej drugi brat, Sauk, który przekazał go Chace i pozostałym dwóm siostrze. Lyra dorosła już i wyprowadziła się, a Carin wiosną miała wyjść za mąż.

Raney popatrzył na dziewczynę.

– Nic ci nie jest? – spytał. – Masz nieco zabawną minę.

– Nic, nic. – Uśmiechnęła się, gdy minęli żywopłot i wjechali na teren posiadłości. – Chcę ci tylko coś pokazać.

Raney wniósł sakwę do domu, tam Chaka ją otworzyła. Na widok książki młodzieniec zmarszczył brwi.

– Co to jest?

– Mark Twain. Jedna z jego ostatnich powieści.

– To był pisarz Drogowców.

– Tak.

– Skąd masz tę książkę?

– To dziedzictwo. Karik zostawił mi ją w spadku.

– Dziwne, że zapisał powieść zupełnie nieznanemu osobie. Dlaczego to zrobił?

Wydało jej się, że słyszy w głosie mężczyzny nutę podejrzliwości.

– Nie wiem.

– Sądzisz, że jest dużo warta?

– Bardzo dużo. Tyle że jej cena nie ma dla mnie znaczenia.

– A to dlaczego?

– Nie zamierzam jej sprzedawać.

– Nie? – Popatrzył na otwartą stronę. – Co w takim razie zamierzasz z nią zrobić?

– Jak możesz pytać?! Raneyu, to jest przecież powieść Marka Twaina.

Potrząsnął głową.

– Książka jest twoja, kochana. Ja jednak pozbyłbym się jej przy pierwszej okazji.

Większość Illyryjczyków wierzyła, że Ziemia jest kulista, chociaż wśród przedstawicieli niższych warstw zdarzali się sceptycy. Mieszkańcy Illyrii zdawali sobie również sprawę z faktu, że za powstawanie infekcji odpowiedzialne są maleńkie, niewidoczne gołym okiem stworzenia, że układ dni i nocy wynika z ruchu Ziemi, a nie Słońca, że Missisipi wspina się po krainie gigantycznych ruin, wpada zaś do akwenu, którego wody biegną spokojnie aż po horyzont. Współcześni ludzie byli też świadomi, że to siły natury (a nie bóstwa) wywołują burze... Ponieważ jednak nikt nie potrafił wyjaśnić przyczyn wszystkich tych zjawisk, zasób wiedzy każdego kolejnego pokolenia wydawał się coraz bardziej ograniczony.

Illyryjczycy oraz ich sąsiedzi – mieszkańcy Doliny Missisipi – dostrzegali wszędzie wokół siebie ślady dawnej, niezwyklej cywilizacji, nie mieli wszakże pojęcia, jak rozległe przestrzenie zajmowali ich poprzednicy, gdyż praktycznie nie wyprawiali się poza granice Ligi. Ich populacja wciąż jeszcze była niewielka i zapewne przez długie lata nie będą zmuszeni zaludniać niebezpiecznych i jałowych pustkowi otaczających ich krainę. Zresztą podróże utrudniała im kiepska żegluga rzeczna: pozbawionymi napędu statkami nie sposób było pływać pod prąd, a podróże w dół rzeki uniemożliwiały bądź znacznie utrudniały zawałone mosty i inne budowle.

Kiedyś przy ujściu Missisipi do Morza Południowego tętniła życiem metropolia. Illyryjczycy powątpiewali w jej istnienie, ponieważ cały obszar delty był obecnie jednym wielkim bagniskiem. Silas i inni naukowcy podejrzewali, że mokradła powstały stosunkowo niedawno i nie było ich w czasach Drogowców. Tak czy inaczej, na brzegu rzeki stały ruiny. I, tak jak Memphis, były doszczętnie spalone.

Liga Missisipi powstała w sześć lat po nieszczęsnej ekspedycji Karika. Illyryjczycy utworzyli ją wraz z mieszkańcami czterech innych miast położonych w dolinie nad rzeką. Jako jeden z celów Liga postawiła przed sobą uzyskanie bezpośredniego dostępu do morza. Przedsięwzięcie to niestety nadal pozostawało w fazie planowania.

Uznany centrum nauczania Ligi było Imperium, dawna akademia królewska z siedzibą w mieście Illyria. Imperium otrzymało nazwę na cześć swoich patronów i założycieli oraz z powodu lokalizacji – zajmowało bowiem zachodnie skrzydło starego pałacu cesarskiego. (Dawne „cesarstwo” składało się z Illyrii, pół tuzina okolicznych osad i niewyczerpanych pokładów pychy). Akademia była jedną z nielicznych instytucji, które bez uszczerbku przetrwały siedmioletnią wojnę domową, rewolucję, zamordowanie ostatniego imperatora Benikata V (nazywanego Krwawym Benim), uchwalenie Deklaracji Praw i założenie Republiki.

Pałac przebudowano, nie pełnił już jednak żadnych funkcji urzędowych. Senat starał się odciąć od wszelkich związków z cesarstwem, toteż w konstytucji umieścił klauzulę nakazującą nowym władcom opuszczenie budynków imperialnych. Na tymczasową siedzibę wybrano koszary wojskowe, gdzie miały rezydować władze do czasu zbudowania nowej stolicy. Dużą część pałacu przekształcono w muzeum.

Zwiedzający mogli sobie teraz codziennie obejrzyć sypialnię, w której Benikata zaskoczyli członkowie jego straży przybocznej, Wielką Księżycową Salę, gdzie Hethra przywołał niebiańskie moce, by zmusić Lorimara VII do uległości, a także balkon, na którym Paxton Jasnowidz układał nieśmiertelne ballady.

Zachodnie skrzydło oddano Imperium. Ludzie nauki, literatury i filozofii nauczali tu synów bogaczy i starannie wyselekcjonowanych nielicznych przedstawicieli biedniejszych warstw. Praca akademika zapewniała Silasowi powszechny szacunek i w pełni zaspokajała jego intelektualne ambicje. Starzec

nikomu niczego nie zazdrościł. Nie potrafił sobie wyobrazić wspanialszego zajęcia na zimowe popołudnie niż rozmyślania o miejscu człowieka w kosmosie i o boskich celach. (Silas musiał zachować w tych sprawach pewną ostrożność, ponieważ kapłani i ich pobożni sprzymierzeńcy w Senacie reagowali wręcz alergicznie na każdą opinię, która w najmniejszym choćby stopniu podważała dogmaty wiary).

Nigdy się nie ożenił.

Obecnie zdarzały się chwile, kiedy mocno tego żałował. Był samotny. Starość zaczynała mu ciążyć, a oziębłe pożegnanie, jakie ludzie zgotowali Karikowi, dodatkowo go przygnębiło. Po powrocie do domu z obrządku zastanawiał się nad słowami, które padną z ust żałobników podczas ceremonii spalenia jego zwłok. W końcu przecież również i na niego nadejdzie czas.

Pałac stał na szczycie wzgórza Calagua, najwyższego wzniesienia w Illyrii, stanowił układ połączonych ze sobą budynków skupionych wokół kilku dziedzińców. Źródła i systemy hydrauliczne zaopatrywały budowlę w świeżą wodę oraz odprowadzały zużyta z łaźni i toalet. Wewnętrzne dziedzińce i rzędy ogromnych okien dostarczały światła. W pałacu nie brakowało labiryntów schodów i korytarzy, a także pokojów mieszkalnych, pracowni, sanktuariów, dawnych zbrojowni i sal bankietowych. Południowe skrzydło wypełniały utrzymywane w niezmiennym stanie królewskie apartamenty; z ich okien rozciągał się widok na ruchliwe centrum handlowe.

Najniższe rejony wzgórza Calague zajmowały szeregi domów pobudowanych przy krętych niebrukowanych uliczkach. Budynki były przeważnie drewniane albo ceglane. Nie zainstalowano w nich sieci wodno-kanalizacyjnej, jaką miała większość illyryjskich rezydencji, mimo to wyglądały na wygodne i dobrze utrzymane. Po utworzeniu Ligi, kiedy kwestie bezpieczeństwa przestały stanowić największą troskę mieszkańców miasta, co bardziej przedsiębiorczy Illyryjczycy wyprowadzili się poza jego mury, zabudowując okoliczny teren mnóstwem targowisk. Sprzedawano na nich kukurydzę, zboże i mięso z okolicznych farm, wyroby garncarskie i rękodzielnicze z Argonu, wino z dolin u ujścia rzeki, mydła i pachnidła z Masandik, wyroby skórzanego z Farroad oraz meble, broń palną i biżuterię wytwarzane przez lokalnych rzemieślników. Wszędzie wokół słychać było gwar targujących się i negocjujących kupców.

Z powodu mrocznych związków z historią pałac pozostawał symbolem państwowej dumy, a także pomnikiem wspaniałego kunsztu i wyobraźni imperialnych architektów. Błyszczące iglice i granitowe wieżyczki, szerokie balkony i rozległe dziedzińce, kopuły i sklepione klatki schodowe skłaniały zwiedzających do rozmyślań nad niegdyśszą wielkością. Dawały im też nadzieję na przyszłość.

Ze swojego gabinetu Silas widział całą południową ścianę budowli, jej łuki, antresole i dawne wartownie.

„Zapomnijcie o polityce – mówił swoim studentom. – Skoncentrujcie się na architekturze. Jeśli potrafimy stworzyć z martwego kamienia tak piękny pałac, czyż nie jesteśmy wszechmocni?”.

A jednak...

Każdy, kto kopał w ziemi głębiej niż kilka stóp, mógł natrafić na stare mury bądź fundamenty. Ciągnęły się wszędzie. Umiejętności architektoniczne i budowlane Drogowców znacznie przewyższały talenty mieszkańców Illyrii, a mimo to ta doskonała cywilizacja zniknęła już z powierzchni ziemi. Widok starożytnych ruin uczył pokory. Świat się zmieniał. Pałac – niegdyś tak pełen życia – był obecnie tylko ogromnym mauzoleum, którego jeden koniec zajmowała szkoła, drugi zaś muzeum. Co roku studenci zastanawiali się nad wadami i zaletami illyryjskiej polityki. Wielu nauczycieli – nie wyłączając samego Silasa – żywiło przekonanie, że ich obecny system demokratyczny jest niewiele lepszy niż zwyczajne rządy motłochu. Podczas dyskusji uczeni

zauważali, że przeciętnego człowieka interesuje jedynie jego korzyść, naród natomiast może przetrwać wyłącznie dzięki autorytetom i mądrym ludziom u steru władzy. Silas twierdził, że rządzić powinni przedstawiciele kilku wybranych rodzin. Osoby te należy kształcić na polityków i traktować jak kandydatów do tronu, później zaś wybierać najlepszych spośród nich, by przewodzili w imieniu pozostałych mieszkańców. Niestety, przypierany do muru i wypytywany o praktyczne aspekty realizacji tej koncepcji, Silas przyznawał, że jego rozważania są czysto teoretyczne.

W dniach, które nastąpiły po pogrzebie Karika, Silas popadł w kontemplacyjny, a nawet wręcz ponury nastrój. Cóż z tego, że poprzednicy Illyryjczyków potrafili stawiać monumentalne budowle, które przetrwały tyle lat w lasach, skoro nie zdołali uchronić od zagłady samych siebie? Jakie wypływały z tego przykłady wnioski? Silas żywił dotąd przeświadczenie, że historia powinna odzwierciedlać moralny i technologiczny postęp i teraz trudno mu było zmienić zdanie. Wiele razy spierał się o tę sprawę z Karikiem, który twierdził, że historia jest tworem chaotycznym i że człowiek mieszkający wśród ruin nie może myśleć inaczej.

Silas nazywał siebie nauczycielem historii, chociaż wykładowcy w Imperium właściwie nie specjalizowali się w wąskich dziedzinach nauki. Obecny stan wiedzy był tak ograniczony, że akademicy nauczali przeważnie kilku przedmiotów. Poza historią zajmowali się etyką, filozofią, teologią, medycyną, retoryką, prawem oraz matematyką.

Wielu studentów Silasa wzięło udział w obrzędzie spalenia szczątków Karika. Nazajutrz podczas seminarium młodzi ludzie rozmawiali o zmarłym, dziwiąc się, że ten uczony człowiek postępował w tak głupi sposób. Później wybuchła długa dyskusja na temat: „Dlaczego nawet najmądrzejsi z nas mają zwyczaj łudzić samych siebie?”.

Po zajęciach jeden ze studentów wyraźnie zwlekał z wyjściem. Nazywał się Brandel Tess i Silas pamiętał, że widział go na ceremonii. Młodzieniec wyglądał na zakłopotanego.

– Panie Glote – odezwał się w końcu – jeden z moich przyjaciół jest wnukiem Toka.

– Czym?

– Toka. Służącego pana Endine’a.

– Ach tak. No i...?

– Podobno jego dziadek twierdzi, że widział w kwaterach pana Endine’a egzemplarz powieści Marka Twaina „Jankes na dworze króla Artura”.

– Na pewno się pomylił.

– Mówi, że nie. Przysięga, że widział księgę. Utrzymuje, że przez kilka ostatnich lat leżała otwarta na biurku, choć Karik kazał przysiąc służącemu, że nikomu o niej nie wspomni. Teraz książka zniknęła.

– Czy spytał o nią Flojiana?

– Tak, a ten odrzekł mu, że ją oddał.

– Komu?

– Tokowi nie wypadało pytać.

Silas potrząsnął głową.

– To niemożliwe – oświadczył z ogromną pewnością siebie. – Nie zachował się żaden egzemplarz „Jankesa na dworze króla Artura”.

Po Drogowcach pozostało jedynie sześć książek: „Odyseja”, „Nowy wspaniały świat”, „Bracia Karamazow”, „Opowiadania zebrane” Washingtona Irvinga, zatytułowany „Pokonaj mnie” tom z zagadkami matematycznymi i logicznymi Eliota Kleina oraz „Faust” Goethego. Illyryjczycy mieli także parę rozdziałów „Oksfordzkiego podręcznika literatury światowej” i kilka sztuk Bernarda Shawa. Istniały również niewielkie fragmenty i skrawki innych dzieł. Co do Marka Twaina –

zachowały się dwa fragmenty: połowa „Faktów w sprawie wielkiego kontraktu wołowego” oraz rozdział szesnasty „Życia na Missisipi”, który opisuje sposoby pilotażu i wyścigi statków parowych. Niestety, szczegóły budowy i sposób poruszania parowca zwodniczo umykają nawet najlepszym uczonym Illyrii.

Brandel wzruszył ramionami.

– No cóż – mruknął. – Sądziłem po prostu, że zainteresuje pana ta informacja.

Stoły i ławy, wystawione przed obrządkiem pogrzebowym, nadal stały przed domem. Silas przywiązał konia do barierki. Teren, na którym zbudowano stos, był zwęglony. Zgodnie z tradycją Flojjan wrzucił popioły do rzeki o wschodzie słońca.

Silas zastukał do drzwi frontowych. Otworzył Toko. Był wysoki, szczupły, białowłosy i stary. Nosił się niezwykle godnie.

– Niedługo spodziewam się mojego gospodarza, panie – oświadczył. – Jeśli chce pan poczekać, bardzo proszę. – Wskazał gościowi boczny salonik, a gdy Silas usiadł, postawił przed nim szklaneczkę z winem.

Silas nie miał najmniejszych wątpliwości, że Brandel się pomylił. Karik byłby uszczęśliwiony, gdyby rzeczywiście znalazł egzemplarz „Jankesa na dworze króla Artura” i na pewno nie ukryłby swojego znaleziska przed światem. Silas przybył do Flojiana jedynie po to, by wyjaśnić przyczynę nieporozumienia.

Zapał zmierzch. Za oknami, na przeciwległym brzegu rzeki zapalano pierwsze lampy. Widok okazał się osobliwie kojący, toteż Silas przez chwilę wpatrywał się weń z przyjemnością. Nagle usłyszał uderzenia końskich kopyt, Flojjan wjechał na frontowe podwórko i zeskoczył z ciemnej klaczy. W kilka minut później Toko otworzył drzwi i syn Karika wkroczył do salonu z kieliszkiem wina i świecą w rękach.

– Miło cię znowu widzieć, Silasie – zagaił, opadając na fotel. – Wczorajsza ceremonia chyba się udała. Jeszcze raz dziękuję ci za pomoc.

– Rzeczywiście, udała się. Będzie nam brakowało drogiego zmarłego. – Obaj świetnie wiedzieli, że nikt nie będzie tęsknił za Karikiem. – Chciałem sprawdzić, czy dobrze się czujesz.

– Dziękuję, nic mi nie jest – odparł Flojjan. Próbował się uśmiechnąć, lecz z jego oczu nie zniknął smutek. – Ojciec i ja nie byliśmy sobie zbyt bliscy. Nie znajduję w sobie żalu. Nie czuję, że nagle go utraciłem, ponieważ od lat już niemal ze sobą nie rozmawialiśmy. – Używając świecy, zapalił lampy, po czym wstawił świeczkę do lichtarza. – Nic nie mogę na to poradzić.

– Usłyszałem dziś dziwną historię – wtrącił Silas, poprawiając się w fotelu. – Jeden z moich studentów twierdzi, że twój ojciec miał egzemplarz powieści Marka Twaina.

Flojjan wypił łyk wina.

– Jestem zaskoczony, że się o niej dowiedziałeś. Ale tak, to prawda.

Atmosfera w pokoju nieprzyjemnie zgęstniała. Silas wpatrzył się we Flojiana. Minęła długa chwila, zanim odzyskał głos.

– Od jak dawna ją miał?

– Nie wiem.

– Nie wiesz? – Syn Karika miał wiele wad, ale nie był głupcem. – Jak mogłeś o niej nie wiedzieć?

– Po prostu. Ojciec mi o niej nie powiedział. Odmawiał rozmów na takie tematy. Sam wiesz, jaki był.

– Mogę spytać, jak ją zdobył?

– Tego również nie wiem. Widzisz, Silasie, dowiedziałem się o jej istnieniu zaledwie na kilka dni

przed śmiercią ojca. Zapytałem go wówczas, gdzie znalazł powieść, a on odparł, że nie pora na takie rozmowy. I tyle. Nic więcej nie zamierzał mi powiedzieć. A wcześniej ją ukrywał. Nie miałem zielonego pojęcia, że taki przedmiot w ogóle się znajduje w naszym domu.

– Słyszałem, że chodzi o „Jankesa na dworze króla Artura”.

– Zgadza się.

Silas był z natury ogromnie cierpliwym człowiekiem i niemal nigdy nie podnosił głosu. Jednak w owej chwili miał ochotę schwycić swego gospodarza za gardło i wytrząsnąć z niego odpowiedzi na nurtujące go pytania.

– Gdzie książka jest teraz? – zapytał ostro.

Flojjan zeszywniał.

– Twój ton sugeruje, że uważasz, iż masz jakieś prawa do tego tekstu.

– Niech cię szlag trafi, Flojjanie! Wszyscy mieszkańcy Illyrii mają do niego prawo! Nie możesz go dla siebie zatrzymać.

– Właściwie... już go nie mam. – Słowa mężczyzny nieprzyjemnie zawisły w nieruchomym wieczornym powietrzu. – Ojciec zostawił ją w spadku Chace Milanie. Młodej kobiecie, z którą wczoraj rozmawiałeś.

– Dlaczego, do licha, tak postąpił?!

– Naprawdę nie wiem. Chaka jest siostrą Arina. Pamiętasz Arina? Artystę, który zginął podczas ekspedycji.

– Pamiętam.

Flojjan się zachmurzył.

– No i dał dziewczynie książkę. Nie wiem dlaczego. Przypuszczalnie czuł się winny czy coś takiego.

– Dobrze znał Chakę?

– Och, nie sądzę. Wydaje mi się, że prawie w ogóle jej nie znał.

– Co zrobiła z książką?

– Chyba ją zabrała do domu.

– Nie mogę w to uwierzyć. Mam nadzieję, że jest na tyle mądra, by odpowiednio się zaopiekować takim dziełem. – Silas obrzucił Flojjana piorunującym spojrzeniem. – Uważam, że powinien zapisać ją nam... Czy Chaka wiedziała wcześniej o owym spadku?

– Nie. Szczerze mówiąc, była ogromnie zaskoczona.

Silas zapragnął uciec z salonu Flojjana i wysledzić książkę, zanim nieszczęsna młoda kobieta użyje jej do rozpalenia ognia. Cała historia nie miała jednak dla niego najmniejszego sensu.

– Karik miał powieść Marka Twaina i nikomu o niej nie powiedział? Dlaczego?

– Nie wiem.

– Sądził, że Chaka Milana po prostu zabierze wielkie dzieło do domu i wrzuci je do swego panińskiego kufra?

– Naprawdę nie podzielił się ze mną swoimi przemyśleniami, Silasie.

Morinda podniosła amulet i obejrzała go w świetle świec. Chaka przyglądała się, jak błyszczą ametystowy półksiężyc w srebrnej oprawie. Jej dzieło było wyborne.

– Tak – powiedziała klientka.

Na lewej stronie łuku znajdował się grawerunek – symbol bogini księżycy, Łyki.

– Bardzo ładnie na tobie wygląda – oceniła Chaka.

Morinda włożyła łańcuszek na szyję i rozpięła górną haftkę dzianej bluzki, a wtedy amulet zawisł

jej między piersiami.

– Dziękuję ci. – Potrząsnęła głową i uśmiechnęła się ponętnie. – Tak – powtórzyła.

Na zewnątrz dał się słyszeć stukot końskich kopyt.

– Cieszę się, że ci się podoba.

Młode kobiety przebywały w pracowni Chaki, na tyłach jej willi. Morinda wyjęła dwa kawałki złota z czarnej torebki.

– Mój mąż mówił, że widział cię wczoraj na ceremonii pogrzebowej Endine’a.

Chaka potwierdziła kiwnięciem głowy.

– Smutne popołudnie.

– Wierzę w to. Nie chcę obmawiać zmarłego, ale taki człowiek... – Potrząsnęła głową.

– Wszystko zdarzyło się przed wieloma laty. – Chaka zamknęła pudełeczko służące do przechowywania amuletu i wręczyła je Morindzie. – Nikt z twoich znajomych nie brał udziału w ekspedycji, prawda?

– Nie – odparła klientka. – Ale nie sądzę, by coś mogło zmienić moją opinię.

Prawdopodobnie nie, pomyślała Chaka.

Morinda znowu się uśmiechnęła, życzyła swej złotniczce przyjemnego wieczoru i otworzyła drzwi. Za nimi stał starszy mężczyzna, który właśnie podnosił rękę, by zastukać.

– Dobry wieczór paniom – odezwał się.

Mężczyzna z pogrzebu.

– Silas Glote – przedstawił się szybko.

Morinda pożegnała się, tymczasem Chaka gestem zaprosiła starca, by wszedł do pracowni.

– Nie zapomniałam pana, panie Glote – rzuciła. – Miło mi, że znowu pana widzę.

Silas uśmiechnął się i obejrzał przedmioty wystawione na półkach w gablotce. Było wśród nich wiele bransolet, pierścieni, krążków na kostkę, urn, pucharów i szpilek. Starzec najdłużej wpatrywał się w komplet srebrnych męskich spinek do mankietów.

– Naprawdę ładne – zauważył.

Podowała mu jedną spinkę, by mógł ją lepiej obejrzeć.

– Wyglądałyby świetnie w Imperium – powiedziała.

Przytrzymał je pod lampą.

– Z zasady jesteśmy przeciwni takim świecidełkom. Interesują nas problemy duchowe. – Uśmiechnął się. – Są dla mnie bardziej osiągalne w sensie finansowym.

– Mogę je panu oferować – odrzekła – po specjalnej cenie. Wymieniła całkiem umiarkowaną kwotę. Spinki ładnie pasowały do ciemnej koszuli mężczyzny.

– Zgoda – powiedział, po czym się roześmiał, widząc, jak bardzo ją zaskoczył. – Człowiek nie powinien pozostawać niewolnikiem kodeksów.

– Mądry wybór, panie Glote.

Skrzyżował ramiona i uśmiech zamarł mu na wargach.

– Chako, chciałem z tobą pomówić.

– Proszę – zgodziła się. Wskazała mu fotel i usiadła obok niego. – Co mogę dla pana zrobić?

– Podobno otrzymałaś spadek po Kariku Endinie.

– Tak – odparła. Musiała przyznać, że starzec rozmawia z nią w sposób bardzo bezpośredni. – Zdziwiłam się. Odwiedziłam Karika zaledwie raz, a było to przed kilku laty. Niezwykłe, że obdarował właśnie mnie.

– Czy to prawda, że chodzi o książkę?

– Mam wrażenie, że świetnie pan wie, o co chodzi, panie Glote.

– Proszę, mów mi po imieniu. Mogę ją zobaczyć?

Chakę nieco zirytował brak dyskrecji Flojiana. A jednak, rzeczywiście chciała pokazać swoją zdobycz komuś, kto by ją docenił.

– Oczywiście, Silasie.

Zamknęła pracownię i poprowadziła mężczyznę przez drzwi łączące część warsztatową z mieszkalną.

W salonie dogasał ogień. Chaka przeszła obok obitej sukniem sofy i długiego stołu, którego blat zaśmiecały fragmenty biżuterii. Po bokach okna, które wychodziło na rząd oświetlonych księżycem wzgórz, stały bliźniacze szafki.

Wzrok starca padł na zawieszony nad kominkiem strzelby.

– Rodzina myśliwych – wyjaśniła dziewczyna.

Przed szafką po lewej stronie zapaliła długą cienką świecę. W jej migotliwym świetle twarz starca wyglądała jak wykuta z kamienia. Szafkę wykonano w sposób niezwykle pomysłowy – otwarcie górnej części ujawniało wiele wąskich przegródek i szufladę. Chaka wysunęła szufladę i światło świecy padło na książkę.

Dzieło Marka Twaina! Silas z wrażenia zaczął sapać.

– Mogę? – spytał w końcu.

– Oczywiście.

Dotknął okładki ostrożnie, wręcz z czcią. Tytuł wytłoczono złotą czcionką w miękkiej skórze. Silas przysunął świecę bliżej, ale bardzo uważał, by wosk nie pochłapał woluminu, później otworzył książkę i odwrócił stronę tytułową. Tekst został spisany czarnym atramentem pięknymi literami. Silas przestudiował zajmującą całą stronę przedmowę. Dwa akapity, po nich nazwisko pisarza. „Napisane w Hartford, 21 lipca 1889 roku”.

– Ile lat upłynęło od tej daty?

– Tego nie wie nikt.

– Gdzie leżało Hartford?

– Podejrzewamy, że tam się urodził. Nie mam jednak pojęcia, gdzie się znajdowało.

Przekartkował ostrożnie książkę. Czy była oryginalna? Nie potrafił odpowiedzieć na to pytanie, szczególnie że nie posiadał żadnych informacji na temat pochodzenia dzieła. Odwrócił kolejne strony, zatrzymując się przy tytułach rozdziałów, pokiwał głową, patrząc na precyzyjnie zapisane linijki tekstu. Chaka obserwowała, jak Silas porusza ustami, na których pojawił się uśmiech. Dostrzegła, że mężczyźnie błyszczą oczy.

– Tak – odezwał się. – Wygląda wiarygodnie.

Świetnie.

– Powiedz mi, Silasie, cieszysz się, że naprawdę masz przed sobą powieść Marka Twaina?

Przez chwilę intensywnie przyglądał się dziewczynie.

– Bardzo pragnę, by okazała się oryginalna. Jej styl pasuje do Twaina, o ile się na tym znam. – Gwałtownie zaczerpnął powietrza. – Masz powody, by wątpić w jej autentyczność?

– Dlaczego Endine trzymał ją w ukryciu? Dlaczego nikomu o niej nie powiedział?

Silas przyniósł książkę na stół, położył ją w świetle lampy i opadł na fotel. Płonący olej pachniał słodko.

– Nie wiem, Chako.

– Nie potrafię zrozumieć jego zachowania.

– Ja również. Uważam jednak, że księga jest autentyczna, – Znowu przekartkował powieść. Kiwał głową i uśmiechał się, ciesząc się jak dziecko w sklepie z zabawkami. – Och, tak – wyszeptał. Zaczął



czytać tekst. Od czasu do czasu przerywał i chichotał.

– Doradzono mi, bym ją sprzedała – oznajmiła dziewczyna, wyrywając Silasa z radosnego nastroju.

Podniósł oczy, nagle zmartwiony.

– Nie radzę. To bezcenne dzieło.

– Ale co mam z nim zrobić? U mnie w domu nie będzie bezpieczne. Nie mam służących. Musiałabym wynająć strażnika.

Silas zamyślił się. Pragnął, by Chaka przekazała książkę Imperium. Dziewczyna doskonale zdawała sobie z tego sprawę. Gdyby tylko mógł, zakazałby sprzedaży powieści na aukcji, ponieważ naukowcy nie są w stanie wygrać licytacji z zamożnymi kolekcjonerami, a starzec nie chciał, by tekst trafił do salonu jakiegoś bogacza i stał się niedostępny dla ogółu czytelników.

– Wypożycz książkę Bibliotece Senackiej – zaproponował. – Będzie u nas bezpieczna, udostępniemy ją jedynie uczonym i utalentowanym kopistom, którzy ją przepiszą.

– Jakie odniosę korzyści z takiej umowy?

– Zarobisz na sprzedaży kopii. Nie będą to ogromne pieniądze, ale całkiem godziwe. Ponadto zasłużysz sobie na naszą wdzięczność i szacunek. – Uśmiechnął się. – Co jakiś czas zaprosimy cię na lunch, najświetniejsi przedstawiciele republiki będą się czuli wobec ciebie zobowiązani, a ty przestaniesz się martwić o złodziei. Jeśli w przyszłości zechcesz sprzedać książkę, oddamy ci ją.

Zapadło długie milczenie.

– Silasie – odezwała się wreszcie Chaka – dlaczego Karik mi ją zostawił?

– Sądziłem, że ty mi odpowiesz na to pytanie.

– Niemal nie znałam tego człowieka...

Starzec ciągle wracał do książki.

– Musi istnieć powód, dla którego wybrał właśnie ciebie.

Na ścianie pokoju wisiał jeden ze szkiców Arina. Przedstawiał wodospad i pochodził z okresu ekspedycji. Wraz z innymi rysunkami dziewczyna otrzymała go od Karika podczas ich jedyne go spotkania przed laty.

– Poznają go – powiedział Silas.

Niemożliwe. Przecież nigdy przedtem nie był u niej w domu. Starzec dostrzegł jej zakłopotaną minę.

– Rozpoznaję nie widok, lecz styl – sprecyzował. Zbliżył się do ściany. – Karik miał u siebie bardzo podobny rysunek.

– Wiem. Było ich razem dwanaście. Mój brat wykonał je podczas wyprawy. Karik zaprosił go do udziału w niej właśnie z powodu jego malarskiego talentu, pragnął bowiem, by ktoś uwiecznił ich trasę. – Potrząsnęła głową. – Żałuję, że mój brat nie był bardziej podobny do mnie.

– Słucham?

– Nie potrafię myśleć o nim spokojnie. – Wróciło stare poczucie bezradności i gniew. – Kiedy poszłam się zobaczyć z Karikiem po jego powrocie, oddał mi szkice, potem jednak poprosił o jeden z nich. Przedstawiał rzekę. Bardzo cichą, spokojną rzekę. Zapewne właśnie ten rysunek widziałeś.

Wodospad na rysunku był bardzo szeroki. Szkic nosił tytuł „Niagara”. Dla porównania obok ogromnej wody Arin narysował małego człowieka.

– Mogę obejrzeć pozostałe?

Chaka przyniosła je z drugiego pokoju. Każdy był owinięty w cienki materiał. Dziewczyna rozwinęła jeden po drugim i ułożyła obok siebie na stole. Przedstawiały różne momenty ekspedycji – przeprawę brodem, widoki z mostów, podróż po starych autostradach na tle zachodzącego słońca.

Wszystkie zaopatrzone w daty, toteż można je było ułożyć w kolejności powstawania. Uwagę Silasa przyciągnęły trzy.

Pierwszy, zatytułowany „Smok”, ukazywał parę oczu jarzących się ponad ciemnym lasem. Drugi, pochodzący z następnego dnia, przedstawiał widmową osadę unoszącą się na mglistym morzu. Słońce zachodziło. W zapadającym mroku interesująco prezentowały się ogromne mroczne wieżowce. Rysunek nosił tytuł „Miasto”.

– Nawet jak na osady Drogowców – zauważyła – wygląda niewiarygodnie.

Silas pokiwał głową i ponownie obejrzał poprzedni szkic.

– Jeśli wierzyć w wizję artysty – rzekł – miasto jest strzeżone przez smoka.

Wzruszyła ramionami.

– Rzeczywiście, tak to wygląda – przyznała.

– Czy Arin miał dosłownie rejestrować zdarzenia?

– Tak mi się wydawało.

W sklepie zabrzączał dzwonek. Chaka wstała i wyszła, by zająć się klientem. Gdy wróciła, Silas ponownie zagłębiał się w książce.

– Zastanawiam się – powiedział – czy powierzyłabyś mi ją na jakiś czas?

– Tak – odparła. – Jeśli biblioteka wykona dla mnie kopię.

– Ma się rozumieć. Nietrudno mi będzie znaleźć chętnych kopistów. – Dostrzegła, że Silasowi wyraźnie ulżyło.

– Chciałbyś ją *zabrać* już teraz? Dziś wieczorem?

– Bardzo – odrzekł.

Uśmiechnął się, zamknął i spakował książkę.

– Wiesz, że ci ufam – powiedziała. – Lecz mimo to mógłbyś mi wypisać pokwitowanie?

– Oczywiście. – Na stole leżały stopy karteczek. Chaka podała Silasowi butelkę z atramentem i pióro z półki. Starzec zaczął pisać.

4 stycznia 306 roku, Imperium

Wypożyczyłem dziś od Chaki Milany jedyny istniejący egzemplarz „Jankesa na dworze króla Artura” Marka Twaina. Książka zostanie zwrócona na żądanie.

(Podpisano)

Silas Glote

– Dziękuję ci – powiedziała. – Mam do ciebie jeszcze jedno pytanie.

Silas wziął książkę i przytulił ją do piersi.

– Tak?

– Jak sądzisz, gdzie ją zdobył?

Silas nie potrafił się w pełni rozkoszować znaleziskiem. Zabrał książkę do sypialni, gdzie z przyjemnością kartkował ją i czytał na głos niektóre ustępy aż do pierwszych minut wschodu słońca. Równocześnie nie mógł się otrząsnąć ze straszliwych myśli. Rozpamiętywał widok śladów stóp Karika. Prowadziły prosto do rzeki. Stary przyjaciel popełnił samobójstwo! Utopił się.

A teraz ta dziwna książka.

Dlaczego ukrył ją przed światem?!

Rano Silas niechętnie zwrócił powieść do biblioteki. Społeczeństwo pozbawione prasy drukarskiej z konieczności bardzo pieczołowicie strzegło nielicznych pozostałych po poprzedniej epoce dzieł literackich. Użytkownikom bibliotek pozwalano na kontakt z książkami jedynie pod ścisłym dozorem. Nikt nie miał prawa zabierać tekstów do domu.

Kustosze biblioteki dziękowali Silasowi wylewnie, chwalili go, wręcz rozpływali się nad jego umiejętnościami negocjacyjnymi, dzięki którym zdołał wypożyczyć ubiegłego wieczoru książkę od Chaki Milany. Przyszedł nawet dyrektor i zapewnił uczonego, że rada akademii nie zapomni o jego usługach. Gdy Silas wychodził, wszyscy pozostali ślęczeli nad powieścią.

Poranek miał wolny, a ponieważ był jeszcze zbyt podekscytowany, by spać, złożył więc drugą wizytę Flojjanowi. Znalazł go na nabrzeżu, przy doku handlowym. Syn Karika nadzorował pracę pół tuzina robotników budujących nowy prom. Miał na sobie żółtą bawełnianą koszulę i szare spodnie robocze.

– Jeżeli ich nie przypilnujesz, niczego dobrze nie zrobią – oświadczył Silasowi. – Kiedy rozpoczynałem działalność, ludziom można było zaufać. Pracowali uczciwie za odpowiednią płacę. – Spojrzał z ukosa, potrząsnął głową i westchnął. – Co mogę dla ciebie zrobić?

Prom miał być wielką dwupokładową barką. Dzięki żaglom i wioślarzom będzie płynął z prądem do Westlok. Po rozładowaniu w dole rzeki grupa koni przeciągnie go z powrotem do doku, leżącego prawie dwie mile na północ od miejsca startowego na wschodnim brzegu. Tam ponownie zostanie załadowany i zacznie kolejną podróż w dół rzeki.

Silas wyraził swój podziw dla statku i szybko wrócił do interesującego go tematu.

– Flojjanie, naprawdę nie potrafię znaleźć powodu, dla którego twój ojciec nigdy nikomu nie wspominał o książce Marka Twaina.

– Wejdźmy do środka – mruknął Flojjan. Poprowadził starca do prowizorycznego pomieszczenia zastawionego stosami książek rachunkowych. Wskazał Silasowi krzesło. – Kiedy mi ją pokazał, błagałem, by opowiedział o niej światu. Chciałem, by dzięki niej odbudował nadwątloną reputację.

– Jaka była odpowiedź Karika?

– Nie zgodził się. Potem dodał, że pokazał mi ją tylko z jednej przyczyny: po jego śmierci mam ją oddać Chace Milanie. Nie zamierzał odpowiadać na moje pytania.

– Sądzę, że prawdopodobnie pragnął powiadomić wszystkich o istnieniu tekstu, lecz nie potrafił zrobić tego sam.

– Powiedziałbym raczej, że nie chciał go ujawniać za swojego życia.

– Ale dlaczego?

Flojjan wzruszył ramionami.

– Sam chciałbym wiedzieć. – W jego oczach starzec dostrzegł szczery ból. – Przykro mi, że mi nie zaufał. Byłem przecież jego synem. Nigdy nie przysparzałem mu zmartwień. Nie miał powodów, by mi nie ufać. – Wyglądał na znużonego. – Widzisz, odnosiłem wrażenie, że w odpowiedniej chwili otworzy się przede mną. Ze jeśli poczekam cierpliwie, w końcu poznam jego zamiary. Nawet przez

myśl mi nie przeszło, że zamierza odebrać sobie życie.

– Przykro mi.

– Może umiałbym mu pomóc, gdyby tylko zdradził się przede mną ze swoimi wątpliwościami.

Siedzieli na podniszczonych, lecz wygodnych, obitych tkaniną krzesłach i patrzyli na siebie nad stołem. Silas przycisnął palce do skroni.

– Czy znalazłeś coś niezwykłego w *anumie*? – spytał.

– Nie. Zwykle rzeczy. Ubrania, ulubione pióro, klepsydrę ojca. Takie tam drobiazgi.

– Nie było mapy?

– Nie.

– Dziennika? Notesów? Pamiętnika? Notatek?

– Nie. Nic mającego związek z przeszłością.

– Jesteś pewny?

Flojjan zawahał się. Na moment zapatrzył się w dal.

– Tak. Sam je pakowałem.

Silas spojrział mu w oczy.

Flojjan poruszył się niespokojnie.

– No dobrze. Znalazłem egzemplarz tekstu zatytułowanego „Notatniki Showrona podróżnika”. Tyle że był to falsyfikat.

Silas poczuł napływ rozpaczy.

– I spaliłeś go? – Showron był uczonym z Baranji, który według tradycji ostatni odwiedził Przyszań. Rozmawiał podobno ze strażnikami tego niezwykłego miejsca, badał niektóre rękopisy, zostawił nawet po sobie kilka szkiców. – Skąd wiesz, że to był falsyfikat? – zapytał.

– Ponieważ mój ojciec próbował, korzystając z tego tekstu, odnaleźć Przyszań. I nigdy do niej nie dotarł, zgadza się? – Flojjan popatrzył na Silasa wyzywająco, jakby prowokował go do zaprzeczenia.

– Słuchaj, Silasie, czy przypuszczasz, że nie znam reputacji, jaką miał ojciec? Ludzie uważali go za tchórza, ponieważ jedyny wrócił z wyprawy. Musiał żyć z tą opinią. I ja musiałem z nią żyć. – Wstał, podszedł do okna i wyrzwał na dok. – Nie jest tajemnicą, że nie przepadałem za starym. Był tyranem, człowiekiem egocentrycznym i skrytym. Łatwo się denerwował i nie przejmował zbyt uczuciami innych. Dobrze o tym wszystkim wiesz.

Silas pokiwał głową.

Flojjan znowu zapatrzył się w dal.

– Kiedy wrócił z ekspedycji, odsunął się ode mnie, tak samo jak od reszty świata. Przesiadywał w swoim skrzydle domu i prawie nigdy go nie opuszczał. A mnie zakazał wchodzić na swoje terytorium. No i cóż? Nauczyłem się z tym żyć. Byłbym nieuczciwy, Silasie, gdybym się przed tobą nie przyznał, że po jego śmierci poczułem ulgę. Pozbyłem się ciężaru, który spoczywał na moich barkach. – Ciężko westchnął. – Cieszę się, że odszedł. I nie obchodzi mnie, co mówią wszyscy wokół. Wiem, że nie opuściłby swoich towarzyszy w potrzebie.

Na kilka minut zapanowało milczenie.

– Zgadza się z tobą – odezwał się w końcu Silas. – Tyle że te szczegóły nie wyjaśniają, skąd wziął się u Karika „Jankes na dworze króla Artura”. Zauważyłeś coś niezwykłego wokół domu?

– Niezwykłego? W jakim sensie?

Niech szlag trafi tego człowieka! Może jednak był po prostu tępy? A może coś ukrywał?

– Wskazówkę, która pomogłaby nam pomóc rozwiązać kwestię pochodzenia książki. Tam gdzie ją znalazł, mogą być przecież ukryte również inne dzieła!

Flojjan zacisnął usta.

– Nic nie wiem o żadnych innych dziełach.

Silas miał ochotę wspomnieć, że powieść Marka Twaina stanowi wyjątkowe znalezisko, że mają do czynienia z niezwykle zagadką i że jeszcze za sto lat ludzie nadal będą się starali dociec, co się zdarzyło. Chciał powiedzieć, że ponieważ teraz dokonano odkrycia, powinni postarać się wyjaśnić tę sprawę. Wiedział jednak, że cokolwiek rzeknie, ośmieszy się tylko przed Flojaniem.

– Powiem ci coś – zakończył spotkanie Endine. – Wyjeżdżam dziś po południu do Masandik. Wrócę za kilka dni, a wtedy przejrzę rzeczy ojca. Jeśli coś znajdę, zawiadomię cię.

Quait Esterhok był synem senatora, a przed laty jednym z najlepszych studentów Silasa. Młodego mężczyznę cechował błyskotliwy umysł i entuzjazm dla wiedzy, toteż zapowiadał się na wspaniałego uczonego. Silas miał nadzieję, że Quait zostanie w Imperium i nawet przekonał radę akademii, by zaproponowała młodzieńcowi stanowisko. Jednak ten – za namową ojca – odmówił i poświęcił się karierze wojskowej.

Od tamtej pory upłynęło sześć lat. Quait odwiedzał sporadycznie Imperium, siadał na którychś z seminariów Silasa, a od czasu do czasu nawet zapraszał swego starego nauczyciela na kolację. Toteż bez zdziwienia Silas przeczytał w swojej poczcie notatkę od byłego ucznia i spotkał się z nim w pobliskim pubie chętnie odwiedzanym przez pracowników wydziału.

Chłopięce rysy Quaita stwardniały od ostatniego spotkania, a ich właściciel nabrał pewności siebie. Siedział przy ławie w narożniku sali. Na widok Silasa podniósł się, uśmiechnął szeroko, a później serdecznie go objął.

– Drogi nauczycielu – odezwał się – cieszę się, że cię widzę.

Przeszli do sali jadalnej. Zamówili pieczonego kurczaka, kukurydzę i butelkę wina, po czym pogрузyli się rozmowie. Quait mówił o zmianach, które dokonały się w wojsku wraz z założeniem Ligi.

– Z panującego na świecie pokoju nikt nie odnosi korzyści. – Roześmiał się. Wino lało się strumieniami, Silas czuł się świetnie i tryskał energią. Nagle jego towarzysz odłożył nóżkę kurczęcia, po czym spytał, co Silas wie o książce Marka Twaina.

– A skąd ty o niej wiesz? – spytał zaskoczony Silas.

– Obawiam się, że do tej pory dowiedział się już o niej cały świat. Jest autentyczna?

– Tak – odparł. – Moim zdaniem, tak.

Quait pochylił się nad stołem, aby nikt ich nie podsłuchał. Jego ostrożność wydała się Silasowi przesadna, ponieważ wszędzie wokół nich toczyły się głośne rozmowy.

– Gdzie ją znalazł? Wiesz?

– Nie. Chyba nikt tego nie wie.

– Czyż to nie dziwne? Gdzie mógł ją zdobyć?

Starzec wzruszył ramionami.

– Nie wiem.

– Miałem pewną koncepcję...

– Mów.

– Pomyślałem sobie, że może Karik znalazł miejsce, którego szukał.

Silasowi również przyszła do głowy taka możliwość, wypływało z niej jednak kolejne, jeszcze poważniejsze pytanie. Po co trzymałby ten fakt w tajemnicy? Gdyby rozgłosił, że znalazł Przyszań, w dużym stopniu uniknąłby hańby.

– Nie potrafię w to uwierzyć – odparł.

– Dziwisz się, dlaczego nic nikomu nie powiedział? Stracił przecież wszystkich swoich ludzi.

Może stracił też rozum.

– Nie sędzę.

– Możesz sobie wyobrazić inną przyczynę, by zachować w sekrecie takie odkrycie?

– Nie wiem – odrzekł. – Obawiam się wszakże, iż powieść Marka Twaina nie ma nic wspólnego z Przystanią. – W szarych oczach Quaita pojawiły się srogie błyski i Silas pomyślał, że jego student naprawdę bardzo się ostatnio zmienił. – Pomyśl, mój drogi. Gdyby podróżnicy znaleźli Przystań, zapewne przynieśli do Illyrii coś więcej niż jedną książkę. Nie sądzisz?

– Z jakiego zatem powodu Karik zatrzymał księgę w tajemnicy? Gdybyś ty znalazł takie dzieło, Silasie, nie wspomniałbyś o nim komuś?

– Ogłosiłbym tę nowinę całemu światu – odrzekł.

– Ja również. Podobnie postąpiłby każdy człowiek przy zdrowych zmysłach. – Quait dźgnął kawałek białego mięsa i obejrzał go nieuważnie. – A jesteś pewien, że nie ukrył gdzieś innych?

Wino było dobre. Silas wypił duży łyk, skupiając się na smaku trunku.

– Poprosiłem Flojiana, by poszukał.

– Kim jest Flojian?

– Synem Karika.

– Silasie... – Quait potrząsnął głową. – Gdybym był jego synem i znalazłbym, powiedzmy, zbiór sztuk Szekspira, spaliłbym je.

– Dlaczego?

– Właśnie z racji naszego pokrewieństwa. Jeśli istnieją inne książki, Karik ukrył je z sobie tylko znanego powodu. Uszanowałbym jego decyzję.

– Flojian nie przepadał za swoim ojcem.

– Ten szczegół nie ma tu znaczenia. Tak czy inaczej, syn będzie chronił imię swego ojca. Już za późno, by ogłaszać istnienie nowych znalezisk. Zauważ, jak świat zareagował na wieść o książce Marka Twaina. Cała sprawa za bardzo pachnie konspiracją. Silas przemyślał słowa swego bystrego ucznia.

– Sędzę, że się mylisz. Gdyby Flojian chciał chronić ojcowskie imię, nie oddałby Chace powieści Marka Twaina.

– Może nie skojarzył faktów – zastanowił się Quait. – Może dopiero ty uświadomiłeś mu pewne sprawy. Teraz już wie, że w grę wchodzi reputacja Karika. Przyszło ci do głowy, że stary Endine mógł zamordować pozostałych uczestników wyprawy?

Silas roześmiał się.

– Nie, nie przyszło. To niemożliwe.

– Jesteś tego całkowicie pewien?

– Całkowicie. Dobrze go znałem.

– Może coś się zdarzyło podczas podróży. Może Karik nagle sobie pomyślał, że zdoła zatrzymać wszystko dla siebie.

– Drogi Quacie, ścigasz chyba zbyt wielu bandytów.

– Hmm... Gwarantuję ci jednak, że poszukiwania Flojiana nie przyniosą żadnych efektów.

Silas skończył ostatni kawałek pieczonego kurczaka.

– No cóż – powiedział – Flojian wyjeżdża na parę dni z miasta. Moglibyśmy się zastanowić nad włamaniem.

Cywilizacja, która rozwinęła się w dolinie Missisipi, była patriarchalna. Niewiasty traktowano tu z rewerencją i szacunkiem, lecz tradycyjnie zajmowały się głównie domem. Inne zawody, z

wyjątkiem kapłaństwa, były dla większości z nich nieosiągalne. Kobiety mogły posiadać nieruchomości, nie mogły jednak ich przekazać komuś w spadku. Willa przyznana Chace Milanie przez jej młodszego brata Sauka powróci do niego w razie jej małżeństwa albo śmierci.

Chaka nadal pozostawała panną, choć ukończyła już dwadzieścia pięć lat i niektórzy jej znajomi podejrzewali, że bardziej interesuje ją zatrzymanie domu niż założenie rodziny. Dziewczyna sama czasem rozważała zasadność tego zarzutu.

Jej ojciec, Tarbul, był farmerem, a kiedyś (jak każdy w niespokojnych czasach przed powstaniem Ligi) żołnierzem. Z którejś kampanii wrócił z piękną młodą branką. Gdy po wojnie dziewczynę repatriowano, pojechał za nią, zaczął się do niej zalecać i zdobył jej serce. Nazywała się Lia, pochodziła z Masandik, była córką kupca i urodzoną rewolucjonistką. Tarbul nazywał ją kobietą nieustraszoną.

Lię bulwersował potworny chaos spowodowany długotrwałymi działaniami wojennymi. Jej zdaniem wojny wywoływali z gruntu podatni na głupotę mężczyźni, z tego też względu wytrwale inwestowała w edukację wszystkich swoich dzieci; uważała, że wykształcenie nierozzerwalnie łączy się z niezależnością. Z tą opinią nie zgadzał się ojciec Chaki, ponieważ jednak bardzo sobie cenił spokój, unikał kłótni na ten temat ze swą zdecydowaną na wszystko żoną. Niestety, z pierworodnego syna Tarbula, Arina, kiepski był farmer i myśliwy, a te zajęcia ojciec lubił najbardziej. Chłopiec oddawał się sztuce, intelektualnym dyskusjom i grze w warcaby. Nie dokonał niczego, co napawałoby dumą Tarbula.

Chaka natomiast chętnie wyprawiała się z ojcem na polowania, a podczas jego nieobecności umiejętnie zarządzała farmą. W trakcie pamiętnego najazdu wojsk z Makar dowodziła obroną. „Twoja matka byłaby z ciebie dumna”, powiedział wtedy Chace Tarbul. Odebrała te słowa jako najwyższy komplement.

Lia umarła na chorobę zakaźną, kiedy Chaka zbliżała się do wieku dojrzewania. Ojciec dziewczyny zginął siedem lat temu w strzelaninie z kłusownikami. Farma przeszła na Sauka, Chaka natomiast przeniosła się w końcu do willi, gdzie wiodła spokojne życie złotniczki i projektantki biżuterii.

Oczywiście chciała założyć rodzinę. Pragnęła znaleźć dobrego męża, mężczyznę o podobnej wrażliwości jak ona, dobrego ojca dla ich dzieci. Jeszcze nie trafiła na takiego człowieka, a ponieważ żyła w społeczności, w której większość dziewcząt wychodziła za mąż w wieku lat siedemnastu, powoli zaczynała się nieco niepokoić o swoją przyszłość. Jej zdenerwowanie rosło z każdym miesiącem. Nie przyznawała się nawet przed sobą, że Raney stał jej się tak bliski tylko z tego powodu. Po prostu czuła się wreszcie gotowa do stałego związku.

Zegar słoneczny u podnóża wzgórza Calagua pokazywał trzecią po południu. Chaka miała jeszcze trochę czasu na wędrówkę po bazarze.

Sródmiejskie pracownie jubilerskie nie stanowiły dla niej żadnej konkurencji, jako że przyciągały głównie klientów dbających o portfele. Chaka zaś cieszyła się renomą prawdziwej artystki, u której można kupić lub zamówić każdy piękny przedmiot. Znała wielu złotników i chętnie się z nimi spotykała. Tym razem również odwiedziła kilka osób. Pod wieczór zatrzymała się w bibliotece i napawała się okazywaną jej na każdym kroku wdzięcznością i podziwem, jaki wzbudzał jej dar. Zachwyciło ją odkrycie, że stała się sławna.

W pewnej chwili pojawił się Silas. Był w jowialnym nastroju i żartem wspominał, jak wraz ze swym dawnym studentem rozważał włamanie do domu Flojiana.

– Wyjechał z miasta, a Toko nie zbudzi się nawet, gdy przez jego dom przetoczy się cała gwardia – zauważył.

Gdy o zachodzie słońca Chaka wróciła do Grajki, swej wierzchowej klaczy, nie była w najlepszym humorze. Niby powinna się dobrze bawić i cieszyć swoim losem, lecz chyba nigdy nie czuła się bardziej samotna.

Przy zachodniej bramie czekał na nią Raney.

Ładnie się prezentował na koniu, o wiele wdzięczniej, niż można by oczekiwać po sklepikarzu. Był przystojny i Chaka nie chciała stracić jego przychylności. Intelktualnie się nie wybijał, ale zupełnie dobrze traktował przyjaciółkę i stanowił prawdopodobnie całkiem odpowiedni materiał na ojca. A przecież Chaka żyła w społeczności, w której nie ceniono romantyzmu i miłości, tylko traktowano uczucia jak nikomu niepotrzebne nonsensy. Małżeństwo zawierano dla prokreacji, wzajemnego wsparcia i ekonomicznej stabilizacji. Ojciec Chaki streścił jej tę filozofię jednym zdaniem, gdy zauważył, że córkę pochłaniają niepoważne fantazje tak typowe dla jej matki. „Wyjdź za mąż za przyjaciela, najlepiej majątnego – powiedział. – Nie możesz lepiej trafić”. Gdyby Tarbul żył, natychmiast zaaprobowałby Raneya jako kandydata na zięcia.

– Sądzę, że masz rację co do książki Twaina – oświadczyła, kiedy wyjechali z miasta. – W końcu ją sprzedam. Na razie oddałam ją na przechowanie Bibliotece Senackiej.

– To dobrze. – Zadowolenie na przystojnej twarzy potwierdzało, że mężczyzna całym sercem pochwała tę rozsądną decyzję. – Zajmij się tą sprawą. Dowiedz się, ile kosztują takie przedmioty, postaraj się uzyskać najlepszą cenę. Wcześniej w bibliotece obejrzy ją wiele osób. To całkiem zręczny pomysł. Reklama nie może zaszkodzić sprzedaży. – Uśmiechnął się szeroko. Miał sympatyczny, ciepły i szczerzy uśmiech. Raney wyglądał na człowieka zadowolonego z życia. W jego błękitnych oczach było tak wiele łagodności, że wydawały się prawie kobiece. Wpatrywały się w Chakę i lepiej niż słowa wyrażały przywiązanie mężczyzny do niej. Raney poprosił ją o rękę już przed kilkoma tygodniami. Odparła mu wówczas, że nie jest jeszcze gotowa do małżeństwa. Sądziła, że będzie się dąsał albo wręcz się wycofa, lecz ku jej zaskoczeniu roześmiał się tylko i powiedział, że warto na nią poczekać, zatem będzie cierpliwy. „Spróbuję znowu”, zapewnił ją. Bujne brązowe włosy opadały mu na ramiona.

– Bardzo chciałabym się dowiedzieć, skąd ta książka pochodzi – powiedziała.

– Nie wiem, jakie znaczenie może mieć dla ciebie jej pochodzenie, Chako. – Rzucił jakąś uwagę na temat pogody, że niby jest bardzo przyjemnie jak na tę porę roku. Rozejrzał się, przyjrzał się słońcu i rzece, po czym jego wzrok padł na Żelazną Piramidę, która wznosiła się na południowym horyzoncie. – Przypuszczalnie znalazł ją gdzieś w ruinach.

– Może.

Droga skręcała w piękny, gęsty las, gdzie wspinała się powoli na górskie pasmo, które zamykało dolinę od wschodu. W pewnej chwili dwoje jeźdźców minął kłusem wojskowy patrol. Żołnierze prezentowali się oszłamiająco w niebieskich mundurach i białych pióropuszech. Oficer zasalutował dziewczynie.

– A gdzieś indziej? – spytał Raney, odwracając się w siodle, aby popatrzeć na grupkę jeźdźców.

– Nie wiem. Sądzę jednak, że Flojjan nie powiedział nam wszystkiego.

Raney popatrzył w twarz przyjaciółce.

– Nie potrafię sobie wyobrazić, cóż mógłby przed wami ukryć.

– Ani ja. Po prostu nie rozumiem, co się zdarzyło.

– Posłuchaj, wyjaśnienie jest zapewne niezwykle proste. Karikowi ciążyło poczucie winy, że jako jedyny przeżył ekspedycję. Każdy czułby się winny... Dręczyły go wyrzuty sumienia, więc podarował ci najcenniejszą rzecz, jaką miał. To była swego rodzaju ofiara, akt pokuty. Próbował w ten sposób uspokoić własne sumienie. Nie widzę w tej sprawie niczego tajemniczego.



– Dlaczego zatem czekał aż do śmierci?

– Co chcesz przez to powiedzieć?

– Gdyby starał się ukoić własne sumienie, powinien podarować mi tę książkę za życia.

– Ależ, Chako, odpowiedź na to pytanie jest równie łatwa. Karik nie chciał się pozbywać książki i dlatego pozostawił ci ją w spadku. W ten sposób wygrał na wszystkich frontach. Postanowił być wobec ciebie hojny, lecz dopiero po śmierci, gdy taki gest nie będzie go już nic kosztował. Wiemy, że nie lubił swego syna. Zapisując ci księgę, potwierdził także swą niechęć do Flojiana.

Powoli zaczęli rozmawiać na inne tematy. Jednemu z senatorów groził skandal podatkowy. Firma Raneya prosperowała coraz lepiej. Przyjaciółka Chaki zaczęła się kształcić na kapłankę.

– Jednej rzeczy nie mogę pojąć – oznajmiła nagle Chaka, kiedy przejechali przez Wąską Przełęcz, gdzie konary drzew splatały się, tworząc niemal stujardowy zielony tunel. – Karik nikomu o niej nie powiedział. Absolutnie nikomu!

„Kiedy twój brat zobaczył, że nie zdoła ocalić zwierzęcia, puścił cugle i zaczął płynąć do brzegu. Wierzyliśmy, że uda mu się dopłynąć, lecz za każdym razem, gdy zbliżał się do brzegu, prąd znowu go spychał na głębinę”.

Chaka nie potrafiła wyobrazić sobie tej sceny... Arin macha niezdarnie rękoma, walcząc z pędzącą wodą?

Nie była całkowicie pewna, kiedy dokładnie zdecydowała się włamać do willi Flojiana. Położyła się tej nocy do łóżka z obrazem północnego skrzydła budynku w głowie. Ze zdenerwowania poboлеwał ją żołądek, sen nie przychodził. Chaka rozmyślała nad tajemnicą syna Karika i w pewnej chwili postanowiła rozwiązać jego zagadkę. Nie zamierzała spędzić reszty życia na zastanawianiu się, dlaczego Karik Endine przemilczał swoje odkrycie. Skupiła się na szczegółach planowanego włamania i już wiedziała, że nie zrezygnuje. Drzwi i okna na parterze będą prawdopodobnie zamknięte. Przypomniała sobie, że widziała drzewo, którego konary zwisały nad domem od północnej strony. Pewnie uda jej się wspiąć na drzewo i zeskoczyć na dach domu. Później spróbuje się dostać do środka przez dziedziniec albo jeden z balkonów. O mało nie wspomniała Raneyowi o włamaniu podczas jazdy do domu. Wiedziała, że i tak by jej nie pomógł, a w dodatku próbowałby jej wyperswadować pomysł. Gdyby nadal upierała się przy swoim, zirytowałby się, a gdyby nie nalegała, przybrałby protekcyjną pozę.

A przecież Flojian wyjechał. W willi znajdował się tylko Toko, który najpewniej śpi w kwaterach dla służby.

Jeszcze raz rozważyła wszystkie drobiazgi, choć nie była jeszcze zdecydowana na czyn. W którym miejscu zostawić Grajkę? Jak zbliżyć się do posiadłości? Co może jej przeszkodzić? W jaki sposób dostanie się do środka? Czy w pobliżu ktoś trzyma psy? Nie mogła sobie przypomnieć. Leżąc bezpiecznie w dużym, ciepłym łóżku, stopniowo zdała sobie sprawę z faktu, że wyprawa nie jest niebezpieczna. Uważała, że jest winna swemu nieżyjącemu bratu ten mały gest odwagi.

Jeszcze raz zapewniła sobie, że wszystko pójdzie jak z płatka i poczuła, że serce w jej piersi zaczyna bić szybciej.

Kiedy Silas żartował z Chaką o wtargnięciu do domu Karika, wyrażał rzeczywiste pragnienie. Chciał jednak, by cała sprawa potoczyła się naturalnym torem, a on sam nie musiał nawet kiwnąć palcem. Silas bynajmniej nie był tchórzem. Od kuli, która go zraniła podczas służby w milicji, ciągle jeszcze bolało go ramię. W trakcie panującej przez sześć miesięcy zarazy pomagał kapłankom pielęgnować chorych. A pewnego szczególnie pamiętnego dnia zmuszony został do użycia laski, by

powalić kuguara.

Nie przeszkadzało mu też specjalnie działanie niezgodne z prawem. Jakże często przypominał studentom, że ludzkie prawo i etyka to dwie zupełnie różne rzeczy. Mimo to onieśmiało go ryzyko, które niesło za sobą włamanie. Jak by to wyglądało, gdyby wykładowcę etyki schwytano na próbie wtargnięcia do domu przyjaciela?

Uśmiechnął się na tę myśl, gdy siadał za biurkiem przed wieczornym seminarium w Imperium.

Imperium nie było instytucją akademicką w tradycyjnym rozumieniu. Studenci uczelni, uprzywilejowani i wszechstronnie utalentowani, wydawali się raczej uczestnikami nieprzerwanego wyścigu zdobywania wiedzy. Czy też może raczej odzyskiwania jej, ponieważ spora część wiedzy przodków Illyryjczyków poszła już w zapomnienie.

Ma się rozumieć, że widok ruin prowokował mieszkańców Illyrii do pytań. Kim byli tajemniczy budowniczości? Jakie systemy prawne i struktury władzy rządziły ich światem? Jakie cele stawiali przed sobą? Jak daleko ciągną się ruiny?

Studenci starali się brać udział w maksymalnej liczbie zajęć i chętnie dyskutowali z każdym nauczycielem na wszelkie możliwe tematy – od filozofii po geometrię. Młodymi ludźmi kierowała duma i ciekawość, charakteryzowała ich silna motywacja do pracy nad sobą i bardzo pragnęli zrozumieć niezwykły świat Drogowców. Stawiali przed sobą ważny cel: nie chodziło jedynie o odzyskanie informacji związanych z technologią czy budownictwem. Zaraza zabiła wszystkich bez różnicy, na oślep. Wymarła cała populacja, a wraz z nią zniknęła wiedza, dzięki której konstruowano wspaniałe autostrady i sięgające niebios budowle, a poza murami Imperium Illyryjczycy stworzyli społeczność, której wyłącznym celem było zachowanie politycznej stabilności i ekonomicznego *status quo*; przeciętnych mieszkańców postęp interesował w niewielkim stopniu.

Działalność Imperium finansowano z illyryjskiego skarbcza oraz darowizn bogatych rodziców obecnych uczniów i – coraz częściej – dotacji dawnych absolwentów, którzy wracali czasem podyskutować na różne tematy: od mechaniki planetarnej, przez problem istnienia bogów aż po skomplikowane relacje między średnicą i obwodem. (Szkola sceptyków wykorzystwała tę ostatnią kwestię jako argument na rzecz tezy, że wszechświat jest zbudowany w sposób niewłaściwy i irracjonalny).

Dziwięciu nauczycieli Imperium wybrano zarówno ze względu na posiadaną przez nich wiedzę, jak i na umiejętności do inspirowania innych. Byli nie tylko wykładowcami, lecz także swego rodzaju showmanami, najwspanialszymi, jakich zrodziła Illyria. Silas odczuwał wielką dumę ze swojej pracy i uważał się – nie bez uzasadnienia – za jednego z najważniejszych obywateli miasta.

Właściwie siedziało w nim dwóch mężczyzn o zupełnie odmiennych charakterach. Jeden był nieśmiały, pozbawiony pewności siebie, nie lubił brać udziału w towarzyskich spotkaniach i z trudem przychodziło mu poznawanie nowych ludzi, drugi zaś potrafił zupełnie nieznanym osobom olśnić inteligencją i intuicją. Właściwie wszyscy akademicy – do pewnego stopnia – wykazywali tendencję do rozdwojenia osobowości. Bent Capa na przykład mamrotał nieskładnie przy kolacji, lecz potrafił niezwykle zajmująco przemawiać na dziedzińcach.

Seminaria odbywano wprawdzie z konkretnych przedmiotów, ale raz rozpoczęta dyskusja mogła doprowadzić do każdego tematu. Nie istniał żaden sztywny schemat nauczania, zresztą władze uczelni uważały, że rozmowy z mądrym nauczycielem przyniosą studentom znacznie większe korzyści niż rygorystycznie przestrzegany program zajęć. Biorąc pod uwagę zainteresowanie uczniów i frekwencję na zajęciach, taki system wydawał się faktycznie najwłaściwszy.

Po śmierci Karika Endine'a na wszystkich zajęciach rozgorzały dyskusje o Przystani i legendzie Abrahama Polka. Bibliotekarze informowali, że obie kopie „Podróży” nieustannie krążą wśród

czytelników. O Polku rozmawiano godzinami. Czy żył naprawdę? A może był postacią mityczną? Jeśli istniał, czy rzeczywiście poświęcił życie na zgromadzenie wiedzy Drogowców?

Silas nie był pewien, co myśleć na ten temat. Chciał wierzyć w opowieść o żyjącym na obrzeżach umierającego świata podróżniku, który z małym zespołem równie ofiarnych jak on sam towarzyszy prowadził walkę o ocalenie dla potomnych resztek wiedzy ginącej populacji. Cóż za wspaniała historia!

Mogła być prawdziwa, choć oczywiście nie we wszystkich szczegółach. Z pewnością na przykład nie istniał „Quebec”, mityczna łódź, która nie miała żagli ani wiosł i potrafiła nurkować w morskie głębiny. Na pewno nie było też żadnego podwodnego wejścia do Przystani, dostępnego jakoby wyłącznie dla takich podwodnych łodzi. Polk nie potrafiłby również uratować wszystkich tych ludzi, których wybawienie mu przypisywano.

Niewykluczone jednak, że sam Polk żył naprawdę. Może on (lub ktoś inny) rzeczywiście próbował coś ocalić. A historia tylko przesadnie wyolbrzymiła jego zasługi. W tym sensie Przystań mogła się znajdować dosłownie wszędzie.

Następnego dnia po rozmowie Silasa z Quaitem wśród uczestników prowadzonych w salce konferencyjnej zajęć pojawiła się przedstawicielka Świątyni. Oprócz kobiety w seminarium brało udział dziewięciu młodych mężczyzn. Temat ćwiczeń brzmiał: „Czy ludzie mogą poznać Bożą wolę?”.

Chociaż niewiastom wyraźnie nie zakazano wstępu na zajęcia w Imperium, nie zachęcano ich też do uczestnictwa w nich. Na zajęciach miejsc było mało, a intelektualny rozwój był niezbędny mężczyznom, spośród których wybierano później przywódców Ligi. Mimo to na seminaria od czasu do czasu przychodziły kobiety. Przyjmowano je uprzejmie, zwłaszcza jeśli miały sporą praktykę lub związaną z danym tematem wyspecjalizowaną wiedzę, którą potrafiły się podzielić z innymi.

Silas dość szybko rozpoznał pozostałych studentów. Nie znał tylko kapłanki.

– Nazywam się Avila Kap – przedstawiła się. – Nikogo nie reprezentuję. Przyszłam jedynie ze względu na interesującą tematykę spotkania. – Uśmiechnęła się rozbrajająco.

Miała około trzydziestki. Nosiła zieloną sutannę, charakterystyczną dla swojego zakonu, przewiazaną w pasie białym sznurkiem, z odrzuconym w tył kapturem i białą szarfę na prawym ramieniu. Kolory pradawnych pór roku. Czarne włosy miała krótko przycięte. Patrzyła na swoich towarzyszy ciemnymi, inteligentnymi oczyma. Były w nich niemal kpiące błyski, jak gdyby podważała reputację Imperium jako instytucji racjonalistycznej. Silas pomyślał, że sutanna bardzo podkreśla urodę kobiety.

Wyzaczył zarys dyskusji.

– Nie warto tracić całego popołudnia na poboczne ustalenia, toteż dla celów naszych zajęć proponuję założyć, że boskie istoty istnieją i interesują się ludzkimi sprawami. Powstaje tedy pytanie, czy owi bogowie próbują się z nami skomunikować. Jeśli tak, jakie właściwości charakteryzują boskie objawienie?

Kaymon Rezdik, kupiec w średnim wieku, który – odkąd Silas pamiętał – bywał od czasu do czasu na seminariach, podniósł rękę.

– Zważywszy na fakt, że mamy „Chayłę” – odezwał się – jestem zaskoczony, że w ogóle dyskutujemy na ten temat.

– Nonsens – odparł Telchik, który sporadycznie przyjeżdżał z Argonu. Większość pozostałych osób pokiwała głowami na potwierdzenie. Telchik był przystojnym młodzieńcem o brązowych włosach i błękitnych oczach. – Jeśli „Chayła” jest dziełem bogów, to przemawiają oni wieloma głosami.

Spośród tej grupy tylko troje: Kaymona, jednego z innych młodszych uczestników i oczywiście kapłankę można by nazwać osobami wierzącymi. Reszta – wzorem przedstawicieli wykształconych klas swoich czasów – nastawiona była sceptycznie. Twierdzili, że bogowie nie istnieją lub że starają się trzymać z dala od rasy ludzkiej. (Pogląd, że „bogami” są niedobitki z okresu Drogowców, stracił poparcie ponad dekadę temu i obecnie nie miał orędowników).

– Jakie cechy charakterystyczne powinien mieć komunikat – wyrecytował gładko Silas – abyście uznali, że jest boskiego pochodzenia?

Kaymon wyglądał na zakłopotanego.

– Formalne poparcie Świątyni – odrzekł, zerkając z nadzieją ku Avili.

– Sądzę – wtrąciła kapłanka – że w takim wypadku Świątynia to wy wszyscy.

– Właśnie – zgodził się Silas. – Zatem... Gdybyście mieli przed sobą informację cechującą się supernaturalnymi twierdzeniami, jak odgadlibyście jej boskie pochodzenie?

Szukając pomocy, Kaymon popatrzył najpierw w lewo, potem w prawo.

– Nie można mieć pewności – odezwał się Telchik – póki nie przeżyje się czegoś takiego. A nawet wtedy...

– Nawet wtedy – przerwał mu Orvon, syn adwokata – potrafimy szukać tylko tego, co chcemy zobaczyć.

– W takim razie możemy bezpiecznie podsumować naszą dyskusję wnioskiem – powiedział Telchik – iż nie istnieje sposób stwierdzenia, czy dany komunikat ma boskie poparcie, czy też go nie ma.

Wielu dyskutujących popatrzyło z niepokojem na Avilę. Czekali, jak kapłanka zareaguje na ten powszechny atak pod adresem jej powołania. Jednak kobieta przyglądała im się spokojnie, a w kącikach jej ust igrał uśmieszek.

– Co sądzisz o tej sprawie? – spytał ją w końcu wprost Silas.

– Wszyscy możecie mieć rację – odparła trzeźwo. – Nawet jeśli założymy, że Shanta naprawdę istnieje, nie sposób uzyskać pewności, czy w ogóle się nami interesuje. Równie dobrze możemy żyć w świecie rządzonym przez przypadek. W takim świecie wszystko przemija i nic nie ma prawdziwego znaczenia. – Jej oczy wypełnił smutek. – Nie twierdzę, że wyrażam swoje zdanie, uważam wszakże taką ewentualność za możliwą. Tyle że takie założenie jest niezgodne z wyznaczonymi przez ciebie podstawowymi zasadami naszej dyskusji. Wolałabym więc wam powiedzieć, że z jakichś względów bogowie nie potrafią się z nami porozumieć.

– Jak to rozumiesz? – spytał Orvon.

Avila splotła palce.

– Orvonie, mogę spytać, gdzie mieszkasz?

– Trzy mile za centrum. Na wzgórzach ponad Drogą Rzeczną.

– Świetnie. – Kapłanka wyglądała na zadowoloną. – Urocza lokalizacja. Przypuśćmy, że dziś wieczorem wracasz do domu i nagle sama Bogini wychodzi z za drzew i życzy ci dobrego dnia. Jak odpowiesz?

– Straciłby głos. – Telchik się roześmiał.

– Przypuszczam, że takie zdarzenie trochę by mnie wytrąciło z równowagi.

– A gdyby przekazała ci wiadomość, którą miałbyś nam przynieść?

– Ma się rozumieć, że zastosowałbym się do jej polecenia.

Avila pokiwała głową i podniosła oczy, aby objąć wzrokiem całą grupę.

– A my? Jak zareagowalibyśmy na opowieść Orvona?

– Nikt by mu nie uwierzył – odrzekł Selenico, najmłodszy z uczestników.

– A gdyby – spytał Silas – Bogini obwieściła nowinę Avili? Uwierzylibyśmy jej?

– Nie – powiedział Orvon – nie sędzę.

– Dlaczego? – spytała Avila.

– Ponieważ nie jesteś obiektywna.

– Nie – wtrącił Silas. – Nie dlatego że nie jest obiektywna, lecz dlatego że jest wierząca. To spora różnica.

– Rzeczywiście – zagrzmał Telchik. – Chciałbym osobiście usłyszeć tę nowinę. Lepiej niech Shanta przekaze ją mnie.

– Tak – oznajmiła Avila wesoło – ponieważ gdybyś przyszedł z taką wiadomością, pewnie byśmy w nią nie uwierzyli, ale na pewno czulibyśmy, że zdarzyło się coś bardzo dziwnego.

Sigmon, młody człowiek, którego interesowały przede wszystkim nauki przyrodnicze, podsumował, że gdyby bóstwo pragnęło się skontaktować z ludźmi, by rozwiać wszelkie podejrzenia, koniecznie powinno się objawić ateście.

– A ponadto – dodał – pewnie wybrałoby raczej jakieś dramatyczne oświadczenie niż zwyczajne polecenie: „Zróbcie tak i tak...”.

– Co masz na myśli? – spytał Kaymon.

Sigmon zmarszczył czoło.

– No cóż – powiedział – gdybym był bogiem i postanowiłbym poinformować Illyryjczyków o istnieniu Przystani...

Wszystkie twarze zwróciły się w jego kierunku.

– ...Nie umiem wymyślić niczego lepszego niż natchnienie Karika Endine’a, by w jakiś sposób powołał do życia egzemplarz „Jankesa na dworze króla Artura” Marka Twaina.

Księżyc zaszedł około północy. Niedługo później Chaka wstała z łóżka, w którym leżała kompletnie ubrana. Miała na sobie granatowe bryczesy i czarną koszulę. Z powodu braku ciemnej kurtki, musiała się zadowolić jasnobrązowym płaszczem, który utrudniał jej ruchy. (Temperatura była zbyt niska, by zrezygnować z ciepłego odzienia). Włożyła parę mokasynów i przywiązała sobie do paska lampę. Po drodze zatrzymała się w swoim warsztacie, skąd wzięła parę cienkich ostrych noży.

Wkrótce stała już w cieniu willi Flojiana i wsłuchiwała się w rzenie jego koni poruszających się niespokojnie w stajni. Rzeński północny wiatr kołysał gałęziami drzew. Noc była mroczna, niebo gęsto przykryte chmurami. Jedyne światelka, jakie dostrzegła dziewczyna, przesuwwały się w dół rzeki.

W willi panowały całkowite ciemności. Drzewo przy północnej ścianie okazało się wyższe, niż Chaka pamiętała, a jego konary – znacznie słabsze. Miała jednak szczęście. Zanim spróbowała wspinaczki, okrążyła dom, sprawdzając wszystkie okna i drzwi. Zatrask na jednej z okiennic z tyłu domu nie był dokładnie zabezpieczony i dziewczynie udało się go połuznić. Otworzyła okno, rozsunała kotary i zajrzała do środka, w mrok.

Nie zobaczyła przed sobą żadnej przeszkody, więc przerzuciła nogę ponad parapetem i wspięła się do pomieszczenia. Pierwszy raz w swoim dorosłym życiu tak rażąco naruszała granice czyjeś posiadłości i zaczęła się zastanawiać nad wiarygodną historyjką, którą opowie, jeśli zostanie schwytana.

„Wypiłam zbyt dużo alkoholu. Ale nie sędzę, żebym wchodziła do własnego domu”.

Albo:

„Spadłam z konia ubiegłej nocy. Uderzyłam się w głowę. Nie pamiętam niczego, co się od tamtej pory zdarzyło. Gdzie właściwie jestem?”.

Znajdowała się w salonie, w którym po raz pierwszy spotkała Silasa. Drzwi po lewej stronie prowadziły do wewnętrznego saloniku, gdzie Flojjan powiedział jej o spadku. A po prawej rozciągało się północne skrzydło, dawna samotnia Karika Endine'a. Kotary zakrywały wszystkie okna, toteż w pokoju panowała absolutna ciemność. Dziewczyna przez chwilę przyzwyczajając wzrok do mroku. Gdy jej oczom ukazały się kontury stołów i krzeseł, ruszyła przed siebie. Szła, aż znalazła drzwi na prawej ścianie. Za progiem było jeszcze ciemniej. Chaka przeszła i cicho zamknęła za sobą drzwi.

Stała w korytarzu. Wpadła na fotel, potem zaczęła obchodzić kredens, a wtedy przewróciła świecznik. Przedmiot uderzył ze straszliwym łoskotem. Zmartwiała.

Najwyraźniej hałas nie przyciągnął niczyjej uwagi. Poprawiła świecznik i przeszła przez kolejne drzwi, do wielkiego salonu, oświetlonego rzędem okien. Wiedziała, że znajduje się już w skrzydle Karika. Wyrzała na zewnątrz, upewniając się, że nikogo nie ma w pobliżu, po czym zapaliła zapałkę, a od niej świecę w swojej lampie.

Pokój wyglądał na męski gabinet. Wypełniały go ręcznie wyrysowane mapy, wielkie kufle i ciężkie dębowe meble w posępnym odcieniu. (Mapy przedstawiały strefy wpływów politycznych w dolinie podczas różnych epoki historycznych). Na stole stała szachownica z rozstawionymi ozdobnymi figurami.

Pas szerokich, pokrytych dywanem schodów prowadził na piętro. Chaka postanowiła najpierw przeszukać parter, który składał się z trzech pomieszczeń. Otwierała szafki, wysuwała szuflady w biurkach, grzebała na półkach ściennych szaf. Wszędzie było pusto. Zniknęły ubrania, buty, przybory toaletowe. Nie pozostało nic. Ani pusta szklanka, ani skrawek papieru. Brakowało śladów po lokatorze, który zajmował te pokoje jeszcze zaledwie przed kilkoma dniami.

Właśnie zamierzała wejść na górę, kiedy usłyszała skrzypnięcie. Drzwi z korytarza! Zgasiła lampę i ukryła się za kotarą. Niemal w tym samym momencie ktoś wsunął światło do pomieszczenia.

– Kto tu jest? – Głos Toko.

Serce Chaki biło bardzo głośno i dziewczyna prawie wierzyła, że stary służący je słyszy.

Toko wszedł do pokoju. Po kilku krokach podniósł lampę. Dziewczyna starała się nie oddychać. Cienie wydłużyły się i przesunęły, gdy służący popatrzył najpierw w jedną, potem w drugą stronę.

Potem, najwidoczniej uspokojony, wycofał się i zamknął za sobą drzwi. Jego kroki szybko ucichły, lecz Chaka odczekała jeszcze parę minut. Kiedy była przekonana, że mężczyzna nie wróci, weszła na palcach na piętro.

Znajdowały się tu dwa pomieszczenia: sypialnia i gabinet. Sypialnia była dokładnie wysprzątana, toteż dziewczyna nie znalazła w niej najmniejszego śladu po zamieszkującym pokój Kariku.

Gabinet był długi, miał kształt litery „L” i szerokie okna. Kotary odsunięto, widać było rzekę. Gablotkę wypełniały szklanki i kielichy. Okna prowadziły na duży balkon, gdzie wokół okrągłego stolika stały krzesła. Można by sądzić, że właściciel tego lokum lubił przyjmować gości.

W środku pokoju znajdowały się dwa wyściełane krzesła, długie biurko z licznymi szufladami, para pasujących do wystroju szafek, puste półki i kufer.

Kufer był zamknięty.

Szuflady biurka zawierały jedynie kilka skrawków papieru. Na blacie leżało parę piór, atrament i pusty notes. W jednej z szafek Chaka znalazła sweter, najwyraźniej zapomniany podczas pakowania. Dostrzegła też rewolwer, dzieło tego samego rusznikarza, który dostarczał większość broni jej rodzinie. Dziwne – pomyślała – że zapomnieliśmy, jak drukować książki, ale pamiętamy, jak robić broń.

Klęknęła przed kufrem.

Zamek był prosty, zaprojektowany raczej, by powstrzymać przed włamaniem ciekawskie dzieci niż złodziei. Wyjęła węższy z dwóch noży i wsunęła go w zamek. Dwie minuty później mechanizm poddał się i podniosła wieko.

Spojrzała na okryty ceratą pakunek. Miał z grubsza szesnaście cali szerokości. Wyjęła go, oświetliła lampą i zdjęła zeń sznurek.

Paczka zawierała szkic, który dziewczyna natychmiast rozpoznała jako pracę swego brata. Pochodził z dnia 25 lipca, a zatem był późniejszy od wszystkich pozostałych.

Przedstawiał ścianę skalną, sterczącą ze spienionego morza. Wąski księżyc płynął po niebie, częściowo zasnutym ciemnymi chmurami. Rysunek należał z pewnością do najlepszych prób Arina, poza tym wszakże nie miał w sobie niczego nadzwyczajnego.

Z wyjątkiem tytułu, który Chaka zauważyła w typowym dla brata miejscu, tuż pod podpisem.

Szkic zatytułowano „Przystań”!

W epoce, w której za cały napęd dla podróży rzecznych musiały wystarczyć żagle i wiosła, Missisipi była – oględnie mówiąc – kapryśnym przeciwnikiem. Płaskodenne łodzie pływały jedynie na południe, z prądem, na północ zaś, w górę rzeki ciągnęły je konie. W dodatku Missisipi miała skłonność do okresowych zmian kursu. Połknęła wszakże (choć jedynie częściowo przetrawiła) liczne betonowe i ceglane miasta, które w dawnych czasach stawiano na jej brzegach. Teraz te ruiny stanowiły niebezpieczne dla nawigacji przeszkody. W okolicach Illyrii na rzece znajdowało się siedem w większej części zawalonych mostów, a trzy z nich – w Argonie, w Farroad nad Arkansaw i w Masandik (na południu) – skutecznie blokowały drogę każdej łodzi większej od kajaka. Z powodu okolicznych utrudnień Illyria stała się skrzyżowaniem dróg dla całej Ligi i centrum jej władzy, a transportowe przedsiębiorstwo Endine’a otrzymało szansę rozwoju.

Flojjan hodował zwierzęta pociągowe na dwóch ranczach blisko Cantonfile. Już od pewnego czasu planował zwiększyć liczbę koni w swoich stajniach, a rozmowy z handlowymi sojusznikami z Masandik przekonały go, że otrzyma wsparcie dla swej inwestycji. Po powrocie do Illyrii spotkał się na przystani ze swoim stajennym, by wspólnie obmyślić odpowiednią strategię. Spotkanie zajęło cały ranek, a gdy stajenny odszedł, Flojjan rozsiadł się wygodnie z filiżanką herbaty w dłoniach. Był zadowolony z życia. Interes rozwijał się doskonale, on sam nie mógł narzekać na finanse i przyszłość widział w jasnych barwach. Po śmierci ojca poczuł, że rozpoczyna się dla niego nowy etap. Karik zniknął nareszcie z domu, pozostał tu po nim tylko cień jego hańby.

Rzadko zastanawiał się nad ekspedycją. Co naprawdę się tam zdarzyło?

No cóż, dla Flojjana odpowiedź na to pytanie w zasadzie nie miała znaczenia. Może teraz również inni zamilkną. Nadszedł czas spokoju. Trzeba zapomnieć o zmarłym i o wyprawie. Niestety sprawę komplikowała powieść Marka Twaina. Cholerna książka! Jak gdyby Karik postanowił nawet po śmierci utrudniać życie swemu synowi. Kiedy Flojjan po raz pierwszy zobaczył księgę, kusiło go, by ją spalić. Nie potrafił się jednak przemóc i pogwałcić ostatniej woli ojca, chociaż szczerze go za nią nienawidził.

Nagle zdał sobie sprawę, że w progu stoi Chaka Milana. Jej oczy błyskały wrogo.

– Witaj, Chako – odezwał się. Usiłował mówić zatroskanym tonem. – Czy coś się stało?

Dziewczyna kurczowo trzymała w rękach owiniętą w ceratę paczkę.

– Jestem ci winna przeprosiny.

Nagle wydała mu się dziwnie apatyczna.

– Za co? – Wstał i obszedł biurko. – Proszę, wejdź.

Wyciągnęła paczkę. Rozpoznał ją i serce mu zamarło.

– Odwiedziłam zeszłej nocy twój dom.

Poczuł targające nim sprzeczne uczucia.

– Domyślam się. Czy dokucza ci sumienie?

Zerknęła na ceratę.

– Byłabym wdzięczna, gdybyś mi wyjaśnił pochodzenie tego przedmiotu.

Flojjan nie zrobił nawet ruchu, aby otworzyć paczkę.

– Przecież wiesz, co jest w środku.

– Oczywiście.

– Powiedz mi, co on oznacza.

Mężczyzna pomyślał, że to samo pytanie pragnie zadać swojemu zmarłemu ojcu.

– To fałszywy alarm. Cóż innego? Sądzieli, że znaleźli Przystań, ale się pomylili. Proste.



– Ukryłeś ten szkic. Dlaczego?

– Dlaczego go ukryłem?! Sądziś, że o nim wiedziałem? Mój ojciec nie miał dla mnie zbyt wiele szacunku, Chako. Jestem ostatnią osobą, której zwierzyłby się ze swoich problemów. Nie miałem pojęcia, że ten rysunek istnieje, póki nie zacząłem sprzątać domu w dzień po pogrzebie. Tak czy inaczej, podejrzewam, że Karik nie ujawnił jego istnienia, by nie wywoływać takich reakcji jak twoja.

Rysy dziewczyny stężały. Flojjan nienawidził wszelkich konfrontacji. Chciał być człowiekiem powszechnie lubianym. Starał się zachowywać sympatycznie, dzięki czemu odnosił sukcesy w interesach. Ludzie chętnie pracowali z nim i dla niego.

– Uważam, że jesteś mi winny prawdę – powiedziała.

– Jakiej prawdy szukasz, Chako? Mam ci powiedzieć, że Karik znalazł miejsce, którego szukał? A może wnioski twojego brata były nieuzasadnione? Równie dobrze jak ja wiesz, iż przynajmniej jeden ze szkiców jest czystą fantazją. Pamiętasz „Smoka”? Kto wie, gdzie leży prawda? Mój ojciec poświęcił całe życie, usiłując dowieść, że Przystań istnieje, a potem próbując ją znaleźć. Marzył o niej, walczył za nią i stracił przez nią reputację. Naprawdę wierzysz, że ją znalazł i nikomu się do tego nie przyznał? Czy taka teoria miałaby dla ciebie sens?

Chaka nie zamierzała ustąpić.

– Nie – odparła. – Lecz nie wspomniał nikomu także o powieści Marka Twaina. Te dwie sprawy się łączą.

– Łączą się?! Przecież tę książkę mógł znaleźć wszędzie.

Patrzyła na niego przez długi czas.

– Kiedy opowiadał mi o śmierci mojego brata, oświadczył, że w pewnym momencie wszyscy przedstawiciele jego grupy zrobili się trochę nieuważni. Byli bardzo zaabsorbowani, ponieważ sądzili, że dotarli do celu podróży. Jeśli rzeczywiście tak było, Arin zmarł przed Przystanią, a może nawet w niej.

– Chako, tylko zgadujesz. – Flojjan otworzył paczkę, wyjął szkic i obejrzał go. Popatrzył też na datę: 25 lipca.

– Jest ostatni z serii – odezwała się dziewczyna.

Westchnął.

– Przykro mi, ale nie potrafimy odpowiedzieć na żadne z nurtujących nas pytań. Dlatego właśnie nie wspominałem o tym rysunku. Chyba powinienem był go zniszczyć. Wiedziałem, że pod jego wpływem wszystkie dyskusje wybuchną na nowo. – Zapakował szkic i oddał Chace. – Zatrzymaj go, jeśli chcesz. Ponownie na niego patrzyła.

– To koniec?

Gniew Flojjana się ulotnił. Mężczyzna odczuwał teraz jedynie zmęczenie i chciał zapomnieć o całej sprawie.

– Powiedz, czego ode mnie chcesz? Wiesz tyle, co ja. Co mogę dla ciebie zrobić? Powiedz mi, Chako, a spróbuję ci pomóc.

W jej oczach stanęły łzy.

– Pomóż mi odkryć, co się naprawdę zdarzyło – szepnęła.

– A jak zamierzasz się tego dowiedzieć? – Flojjan pochylił się nad stołem. – Zdajesz sobie sprawę z tego, że jeśli rozgłosimy istnienie tego szkicu, znowu wszyscy zaczną osądzać mojego ojca. Nie wiem... Może zasłużył sobie na takie traktowanie, nie potrafię jednak zrozumieć, po co mielibyśmy wzbudzać emocje? Cóż dobrego nam z tego przyjdzie?

– Interesuje mnie prawda – oświadczyła twardo – i nie obchodzi mnie niczyja reputacja. –

Włożyła okryty ceratą pakunek do kieszeni i skierowała się do drzwi.

– No, tego to jestem pewien! – warknął na nią. – Nawiasem mówiąc, jeśli marzą ci się kolejne nocne wizyty w moim domu, bądź ostrożna. Nie zawaham się zastrzelić włamywacza.

– Szkoda, że nie możemy być pewni. – Silas oparł się na łokciach i studiował przy świetle świecy trzynasty szkic. – Flojjan ma chyba rację. Ten rysunek może stanowić jedynie wizję artysty. Arin mógł sobie coś uroić. Albo mamy do czynienia ze zwyczajnym nieporozumieniem. Wędrowcy sądzą, że dotarli do celu, ale się pomylili. Przyznasz, że mogło tak być.

Potrząsnęła głową.

– Po co Arin miałby coś wymyślać? Przecież Karik zabrał go w określonym celu: by swoimi rysunkami upamiętnił ekspedycję.

Jeden szkic, zatytułowany „Dolina rzeczna”, nadal wisiał na ścianie willi Flojiana. Pozostałe leżały na biurku Silasa.

DATA	TYTUŁ	OPIS
11 marca	„Granica”	Ekspedycja przemieszcza się popękaną autostradą ponad lasem i rzeką.
4 kwietnia	„Pomnik”	Znak na zardzewiałym słupie: „Muzeum rusznikarstwa i starych samochodów”.
6 kwietnia	„Smok”	Oczy jarzące się na tle ciemnego lasu.
7 kwietnia	„Miasto”	Wieżowce nad zamglonym morzem.
13 maja	„Statek”	Kadłub żelaznego statku leży na boku w suchym kanale.
16 maja	„Niagara”	Shola Kobai przypatruje się widowiskowemu wodospadowi.
22 maja	„Pionier”	Karik na koniu ogląda zwój.
29 maja	„Ruiny”	Siedzący na betonowej płycie Random i Mira wpatrują się w oświetlone księżycem ruiny na horyzoncie.
13		

czerwca	„Rzeka”	Przekraczamy rzekę w bród.
30 czerwca	„Widok”	Landon Shay i Tori Niss obserwują góry.
2 lipca	„Zachód słońca”	Most Drogowców na tle zachodzącego słońca.
25 lipca	„Przystań”	Wznoszące się nad morzem granitowe ściany skalne.

Silas przyjrzał się „Granicy”.

– Znam to miejsce – zauważył.

– Ja również. Leży w górze rzeki, na południe od Argonu. Pamiętam rozwidlenie, ponieważ Ohio kończy tam swój bieg.

Znajdowali się w skromnym domu Silasa w maleńkiej dzielnicy rządowej położonej niedaleko od Imperium. Lekki deszcz stukał o szyby okienne. Chaka wyjrzała na krętą żużlową aleję. Gdy tu przyjechała, po alejce kręciło się mnóstwo ludzi, teraz wokół było pusto. Zrobiło się ciemno, zarówno z powodu burzy, jak i zachodu słońca.

Silas przysunął lampę do szkicu zatytułowanego „Miasto”.

– Czytałaś kiedykolwiek „Notatniki Showrona Podróżnika”? – spytał.

– Nigdy nie słyszałam o takim tekście.

– Showron Podróżnik był naukowcem z Baranji. Podobno pod koniec życia odwiedził Przystań.

Pisze o świetnie wykształconych strażnikach, którzy ciągle tam żyli, choć upłynęło wiele dziesięcioleci od epoki Październikowego Patrolu. Ponoć dokładnie opisał swoją podróż. – Silas zanurzył pióro w kałamarzu i zaczął pisać. Od czasu do czasu przerywał i wpatrywał się w ścianę. Gdy skończył, popatrzył krytycznie na efekt, zmienił jedno słowo i wręczył dziewczynie tekst.

Uciekliśmy przed wieżami demonów, Aż dotarliśmy wreszcie do Mamary, Gdzie ogarnął nas nastrój niepokoju.

– Wieże demonów i nastrój niepokoju – zauważyła Chaka z uśmiechem. – Brzmi złowieszczo.

Silas zastukał palcami o blat stołu.

– Demony istnieją jedynie w wyobraźni – wyjaśnił niecierpliwie. Popatrzył na szkic. – Ale wieże kojarzą się z rysunkiem wieżowców.

– Wszystko to jest za bardzo nieuchwytnie – zauważyła Chaka.

– Może nie. – Silas naszkicował coś na kartce. – Ten rysunek pochodzi z pierwszego wydania „Podróży”. – Baranjowie zamieszkiwali Dolinę Missisipi przez krótki okres. Jeszcze przed założeniem współczesnych miast. – Oryginał znajduje się w Makarze.

Szkic Silasa przedstawiał coś w rodzaju metalowej kołyski oraz podwyższenie ustawione na tle skalnej ściany. W kołysce leżał osobliwy przedmiot w kształcie kuli. Obok stały dwie ludzkie postaci zajęte rozmową. Niebo było ciemne.

– Co to jest? – spytała Chaka.

– Jakiś pojazd. Nie potrafię zbyt dobrze rysować, więc z pewnością nie uchwyciłem wszystkich szczegółów. W oryginale pojazd wygląda tak, jakby się poruszał. Ale popatrz tutaj.

Chaka nie skojarzyła, o co chodzi starcowi, póki nie pokazał jej trzynastego szkicu, „Przystani”. Przypatrzyła mu się. Dostrzegła niewielkie wzniesienie w jednym miejscu, wąską półkę w innym. Całość tworzyła pas pionowych linii na skalnej powierzchni. Ściany skalne – ta z rysunku Silasa i ta ze szkicu Arina wydawały się identyczne!

– A zatem naprawdę ją znaleźli – powiedziała Chaka.

– Może tak. Albo Arin widział wcześniej tamtą książkę i narysował ścianę z pamięci. Mógł nawet nie zdawać sobie z tego sprawy... Lub mamy do czynienia ze zwyczajnym zbiegiem okoliczności. Czymkolwiek jednak jest ów klif, i tak nie wiemy, jak nasi przyjaciele do niego dotarli. – Wypowiedział ostatnie twierdzenie bez zastanowienia i w pierwszej chwili nie pomyślał, że mówi o ewentualnej podróży.

Dziewczyna i starzec przez chwilę patrzyli na siebie zaniepokojeni.

Chaka nie zamierzała się nikomu zwierzać ze swojego czynu, a już na pewno nie Raneyowi. Jednak tego wieczoru, gdy jedli we dwoje kolację w jej willi, nie potrafiła się oprzeć pokusie i wspomniała mu o włamaniu. Mężczyzna zareagował dokładnie tak, jak przewidywała. Przybrał surową minę i spytał, czy przyjaciółka straciła rozum.

– Co by się stało, gdyby Flojjan cię przyłapał?!

– Pewnie wypuściłby mnie i zakazał wracać.

– Mogłoby być znacznie gorzej – odparł. Miał zwyczaj mówić do niej czasami zrzędlivym tonem małżonka.

Spółeczeństwo Illyrii żyło obecnie w okresie przemian. Pod rządami cesarzy było purytańskie, władcy wyznawali bowiem zasadę świętości rodziny i nakazywali strzec honoru kobiet, choć równocześnie sami utrzymywali haremy. Obalenie rządów autokratycznych i ustanowienie republiki podsycało w Illyryjczykach pragnienie wolności. Rozwiązali wiele dawnych instytucji i centrów władzy. Niektórzy twierdzili, że wraz ze starym światem odeszła przyzwoitość i powszechna uprzejmość, nieodłączne cechy cywilizowanego społeczeństwa. Na ulicach pojawiło się więcej chuliganów, na bazarach zaczęło dochodzić do przepychanek, częściej naruszano zasady dobrego smaku, a kobiety zachowywały się nieobyczajnie, w wyniku czego rodziło się więcej nieślubnych, niechcianych dzieci. Wiele osób domagało się powrotu moralnego kodeksu z czasów imperialnych. Niemal wszyscy zgodnie oświadczyli, że naród podupada.

Chaka, z powodu swego wieku i braku silnej męskiej ręki w rodzinie, automatycznie stała się podejrzana dla przedstawicieli starszych rodzin, które utrzymywały równowagę politycznej i ekonomicznej władzy w państwie. Wobec tych faktów Raney uważał się czasem za księcia przybywającego na białym koniu, by wydobyć z twierdzy zapomnianą przez wszystkich księżniczkę. Nie był zbyt bystry i nie starał się ukrywać swych poglądów, które w miarę upływu czasu coraz bardziej irytowały dziewczynę, chociaż jeszcze nie do końca zdawała sobie z przyczyn swojej niechęci. Na razie nadal go lubiła i chętnie spędzała z nim czas.

– Raneyu – odezwała się – rozumiesz, co do ciebie mówię? Najwyraźniej Karik i jego ludzie znaleźli miejsce, którego szukali.

– A kogo to obchodzi? Zastanów się, Chako, kto przywiązuje wagę do tej sprawy? Wszyscy uważają ją za zakończoną. – Złościł się, że naraziła się na niebezpieczeństwo i choć cieszył się, że udało jej się wyjść z ryzykownej sytuacji bez szwanku, równocześnie martwił się, że przyjaciółka bez przerwy wraca do swego obłąkańczego pomysłu. – Ekspedycja wróciła dziewięć lat temu. Gdyby Endine zostawił mapę... O, to zmieniałoby postać rzeczy. Czy zostawił mapę?

– Nie.

– A może instrukcje, jak się dostać do owego miejsca?

– Nic mi o tym nie wiadomo.

– W takim razie powinnaś z wdzięcznością przyjąć powieść Marka Twaina i porzucić próżne rojenia.

Znajdowali się w salonie. Raney stał przy kominku, kciuki wcisnął za pasek, minę miał ponurą. Chaka siedziała spokojnie w fotelu przy oknie.

– Nawet nie chcesz obejrzeć trzynastego szkicu?

– Oczywiście, że chcę – odrzekł łagodniejszym tonem. – Nie życzę sobie wszakże, abyś włamywała się ludziom do domów. Nigdy nie przyszłoby mi do głowy, że możesz się na coś takiego poważić. Nawet mnie nie uprzedziłaś, co planujesz. – Zamknął oczy i skonsternowany potrząsał głową. W końcu dodał niemal czule: – Następnym razem, gdy zechcesz wtargnąć do czyjegoś domu w środku nocy, wybierz mój.

Wiatr poruszył okiennicami. W stajni za domem parsknął jeden z koni. Chaka uśmiechnęła się uprzejmie, wyjęła szkic i pokazała go Raneyowi. Mężczyzna wzruszył ramionami.

– To tylko skalna ściana. Podejrzewam, że gdybyśmy się dobrze rozejrzeli, znaleźlibyśmy wokół siebie pół tuzina podobnych.

Z rezygnacją wyjrzała za okno.

Raney podszedł do niej i usiadł obok.

– Przykro mi. Wiem, że ta sprawa z Endine'em cię niepokoi. Chciałbym zrobić coś, by ci ulżyć.

– Może istnieje coś takiego – szepnęła.

Popatrzył na nią. Zapadło milczenie.

– Potrzebujesz pomocy przy następnym włamaniu? – spytał.

– Chciałabym podążać śladami pierwszej wyprawy. Uważam, że mogłoby nam się udać. Jeśli się zdecyduję, pójdziesz ze mną?

– Mówisz poważnie? To niemądre. Oboje o tym wiemy.

– Nie jestem tego wcale taka pewna.

– Ale jak, Chako? Albo wiemy, gdzie się znajduje Przystań, albo nie wiemy.

– Poszedłbyś?!

Stłumił pogardliwy uśmiezek.

– Jeśli znajdziesz sposób, by dotrzeć do Przystani – odparł – możesz na mnie liczyć.

Obywateli miast Ligi – ogólnie rzecz biorąc – trudno byłoby nazwać podróżnikami. Kochali swoje domy w dolinie rzecznej, a wokół niej ciągnęły się nieskończone lasy, w których grasowały niewielkie bandy znanych z porywczosci Tuków. W dodatku wszędzie otaczały ich imponujące ruiny, wyraźnie postrzegane jako swego rodzaju ostrzeżenie. Jeśli przedstawiciele Ligi łączył ich jakiś światopogląd, miał on właśnie formę ostrzeżeń: „Bezpieczeństwo ponad wszystko”, „Nigdy nie kołyszcie łodzią”, „Od nieznanego lepiej się trzymać na pełen szacunku dystans”, „Gdy cumujesz, zarzuć dwie kotwice”, „Rozejrzyj się, zanim skoczysz”. I tak dalej.

Jedynie nieliczni mieszkańcy doliny wyprawili się dalej niż sto mil poza zaludnione tereny Missisipi. Byli to głównie myśliwi, poszukiwacze pozostałych po Drogowcach artefaktów (które – jeśli były w dobrym stanie – uzyskiwały bardzo przyzwoitą cenę) oraz kupcy handlujący z Tukami.

Jon Shannon od czasu do czasu i zależnie od nastroju uprawiał każdą z tych trzech profesji. Nie zarabiał kokosów, w przeciwieństwie do swych majątnych braci, którzy zostali współnikami ojca w spółce zajmującej się handlem lądowym. Shannon cenił sobie jednak przede wszystkim swobodę ruchu, spokój i ciszę, a poza tym robił to, co lubił.

Niestety, o ciszę i samotność było coraz trudniej. Wraz z nastaniem pokoju i powstaniem Ligi świat się zmienił. Koniunktura była sprzyjająca. Wielkie połacie lasu, które niegdyś otaczały chatę Shannona, ustępowały przed domami i farmami. W ostatnich siedmiu latach Jon już dwukrotnie się przeprowadzał, oddalając się od Illyrii na północny wschód, i za każdym razem po roku czy dwóch latach w zasięgu jego wzroku powstawały kolejne osady. Zawsze był indywidualistą. Nie interesowały go poślednie rozrywki, nie miał ambicji, które wiązały się z życiem w mieście. Jego pierwsza żona wraz z niemowlęciem umarła przy porodzie, druga próbowała go zmienić w kogoś innego, aż w końcu zrezygnowała, znudziła się i odeszła.

Na swój dziwny sposób, kochał je obie. Teraz jednak był już zmęczony układami damsko-męskimi. Żył dotąd w swej ogromnej zielonej samotni i choć nie czuł się tak szczęśliwy jak kiedyś, był ze swego życia zadowolony. Prowadził spokojną i bezpieczną egzystencję. Po co prosić o więcej?

Powoli nadchodziła pora, by ponownie się wyprowadzić i z tego powodu Shannon zaczął się zastanawiać nad całym swoim życiem. Wydało mu się trochę bezcelowe i przywodziło na myśl nieprzerwanie płynącą Missisipi.

Pocieszył się, że życie bez celu nie musi być złe.

Zdecydował, że ponownie się przeprowadzi, niedługo, lecz niekoniecznie natychmiast. Może spędzi tu jeszcze rok. W tym czasie rozejrzy się za nową lokalizacją. Podobało mu się pewne miejsce, położone w odległości dwudziestu pięciu mil. Teren był tam pagórkowaty, poprzecinany strumieniami i obfitujący w zwierzynę. Jednak osady powstawały szybko i Jon nie miał pewności, czy miejsce leży wystarczająco daleko. Z drugiej strony, bliskość ludzkich osad ułatwiała kontakty z klientami. Na tym właśnie polegał problem. Jeśli Shannon zdecyduje się wyprowadzić na zupełne odludzie, będzie mieszkał w wybranym miejscu przez wiele lat, ale jego życie nieco się zmieni. Może rzeczywiście powinien odpocząć. Właściwie nie potrzebował pieniędzy. Po co brał udział w tych wszystkich ekspedycjach i podróżach, towarzysząc ludziom, których nigdy później nie miał już ochoty oglądać? Ramię nadal pobołowało go od kuli, którą wpakował mu jeden z idiotycznych klientów, myląc go z jeleniem.

Do chaty zbliżał się koń.

Shannon obserwował, jak zwierzę wyjeżdża spośród drzew, aż w końcu rozpoznał rudowłosą amazonkę, a po kilku minutach przypomniał sobie również jej nazwisko. Chaka Milana. Córka

Tarbula. Jakże wyrosła!

– Minęło sporo czasu – zagał.

Była przystojną kobietą i dobrze wyglądała nawet po tak długiej jeździe. (Shannon mieszkał o dwa dni drogi od Illyrii). Rude włosy, których w dzieciństwie tak bardzo nie lubiła, dodawały jej teraz urody. Miała oczy myśliwego o tęsknym spojrzeniu; niejeden mężczyzna mógłby w nich utonąć. Bardzo się rozwinęła od czasu, gdy widział ją jako dziewczynkę strzelającą w towarzystwie ojca do gęsi.

– Witaj, Jonie. – Jednym płynnym ruchem zatrzymała konia i zeskoczyła z niego. – Pamiętasz mnie?

– Oczywiście, Chako – odparł. Dziewczyna nosiła ciemnoszarą płócienną bluzę, obcisłe spodnie i kurtkę z kozłowej skóry. – Cieszę się, że cię widzę.

Pokiwała głową.

– Ja także.

Pomógł jej uwiązać konia, po czym weszli do chaty. Shannon zamontował ostatnio kilka półek, toteż wewnątrz pachniało świeżo ściętym drzewem i żywicą.

– Zaparzę herbaty – zaproponował. – Chcesz się tymczasem odświeżyć?

Chciała. Napompował miskę wody i zagrzał ją. Chaka wzięła miskę i oddaliła się do bocznego pokoju. Jon słuchał, jak się myła. Odgłosy pobudzały jego wyobraźnię. Po chwili wróciła w czystym stroju. Usiedli przy wiklinowym stole, na którym czekała herbata, ciepły chleb i suszona wołowina.

– Nie było cię łatwo znaleźć, Jonie – oświadczyła.

– Jak ci się udało?

– Pamiętasz, co kiedyś mówiłeś? „Gdy dotrzesz do horyzontu, dodaj jeszcze dwie mile i poszukaj wzgórze”.

Roześmiał się.

– Dobrze wyglądasz. – Podniosła kubek do ust i patrzyła ponad jego krawędzią na mężczyznę. – Jonie, słyszałeś kiedyś o Przystani?

– Jasne. To bajkowa kraina, prawda?

Chaka Milana zawsze zachowywała się trochę figlarnie. Pamiętał jej łobuzerski i psotny uśmiezek, który osobliwie pasował do zaskakująco jaskraworudych włosów. „Nie zdejmuj czapki – mawiał dziewczynie – bo przerazisz jelenia”. Zauważył, że na jej wargach nadal igra ten sam nieuchwytny uśmiezek, choć teraz był bardziej dojrzały, charakterystyczny dla dorosłej kobiety. Jon był zaskoczony, że Chaka nie nosi małżeńskiego pierścionka.

– Może nie tylko bajkowa – odparła. Jon Shannon słyszał oczywiście o wyprawie Karika Endine’a, niemniej jednak z zainteresowaniem wysłuchał opowieści dziewczyny. Chaka otworzyła płócienną torbę i pokazała mu szkice. – Istnieje spora szansa – zakończyła – że to miejsce naprawdę tam jest.

Shannon nosił dzianą koszulę i workowate, poplamione trawą spodnie. Para wysokich butów stała na podłodze obok drzwi. Niedawno przekroczył czterdziestkę, miał czarne włosy, przyciętą bródkę i smagłą cerę. Jego twarz ogorzała od słońca i wiatru, toteż trudno go było nazwać przystojnym. Wiedział jednak, że mimo swej pozornej szorstkości łatwo potrafi budzić sympatię otoczenia.

– Twoje dowody wydają mi się niestety dość kiepskie – zauważył, kiedy dziewczyna umilkła.

Pokiwała głową, potem podniosła wzrok i przyjrzała się wiszącym na ścianie zniszczonemu kapeluszu wojskowemu i milicyjnym sztandarom. Na dworze robiło się zimno i wilgotno, natomiast w rogu pokoju wesoło płonął ogień.

– Rozpoznajesz któreś z tych miejsc?

Wskazał na pierwszy szkic.

– „Granice”. Wiem też, gdzie się znajduje muzeum rusznikarstwa. I tyle.

– Nigdy tego nie widziałeś? – Wskazała na miasto w morzu.

– Nie. Słyszałem jednak, jak Tukowie rozmawiali o smoku.

– Mówisz poważnie?

– Tak – potwierdził. – Ale wiesz, jacy są Tukowie. – Skupił się na trzynastym szkicu. – Ten mi wygląda na zwyczajny klif.

– Przystań miała być ukrytą twierdzą. Kryjówką. Miejscem, którego nikt nie potrafi znaleźć.

– Gdzie niby się znajduje?

– Nie mam pojęcia.

Wzruszył ramionami.

– Zamierzasz się wyprawić, by jej poszukać, prawda?

– Myślę o tym.

– Jak się spodziewasz ją znaleźć? – Stuknął palcem w szkic zatytułowany „Granica”. – To miejsce leży nad Ohio, przy ujściu do Missisipi. Kilka mil na wschód od Argonu. Muzeum rusznikarstwa znajduje się trochę dalej w tym samym kierunku. I co teraz? – Głęboko zaczerpnął powietrza i powoli je wypuścił. – Radzę ci, żebyś zapomniała o Przystani.

– Gdybyś miał pokierować taką ekspedycją jak ta, Jonie...

– ...Nie pokieruję nią. Czym miałbym kierować? Dokąd poprowadzić?

– Ale gdybyś się jednak podjął tego zadania, w jaki sposób znalazłbyś drogę powrotną do domu?

Shannon popatrzył na nią, jak gdyby nie usłyszał dokładnie jej pytania.

– To proste. Wracamy do domu tą samą drogą, którą przyszliśmy.

– Wskazywałbyś nam drogę? Nikt inny chyba nie potrafiłby jej odnaleźć.

– Oczywiście, że wskazałbym wam drogę. Dlaczego nie?

– Przecież wyprawa jest niebezpieczna, prawda? Gdyby coś ci się przydarzyło... Jak wtedy wrócimy do domu?

Shannon wyjrzał przez okno. Na zachodzie błyskawica przecięła niebo.

– Tak – przyznał. – Trzeba brać pod uwagę wszystkie możliwości, co? – Skrzyżował ramiona. – Powinniśmy zatem oznaczyć szlak. – Nagle uprzytomnił sobie, do czego zmierza dziewczyna. – O rany! – mruknął.

Chaka wyglądała na zachwyconą. Z radości podniosła oba kciuki.

– O jakich mówisz znakach? Czy przetrwałyby dziewięć, dziesięć lat?

Zastanowił się nad jej pytaniami.

– Kto był z nimi? Wiesz?

– Chodzi ci o przewodnika? Landon Shay. Znałeś go?

– Rozmawiałem z nim kilka razy, choć nigdy z nim nie pracowałem. – Przypomniał sobie, co słyszał. Podobno Shay zmarł podczas długiej wyprawy.

– Więc jakiego rodzaju byłyby to znaki?

– Może oznaczałyby drzewa – odparł.

– W jaki sposób?

– Wystarczy parę nacięć. Ekspedycja przemieszczała się zapewne po starych autostradach. Tak. Jeśli przyjrzeć się szkicom, widać, że tak właśnie postąpili.

Autostrady – nawet te najbardziej gigantyczne – były w chwili obecnej chwili pokryte ziemią, na której urosły chwasty i trawa. Dla przodków Shannona zakładających osadę, nazwaną później Illyrią, wielkie zielone drogi przecinające szczyty, rzeki i lasy stanowiły zupełną tajemnicę, stworzoną przez nieznaną istotę o ponadnaturalnej sile.



Współcześni Illyryjczycy mieli na temat autostrad inne zdanie. Wiedzieli, jak skonstruowano te wspaniałe drogi – budowniczowie kładli warstwę asfaltu na twardym jak skała betonie. Dzięki tej technice autostrady były trwałe, lecz nawet gdy przez stulecia powierzchnię pokryła wysoka na stopę czy dwie warstwa gleby, trudno się po niej chodziło koniom i innym zwierzętom. Szczególnie w miejscach, gdzie ziemia była cienka i prześwitywał asfalt.

Dla współczesnych wędrowców te starożytne drogi były natomiast całkiem wygodne, ponieważ mogli po nich bezpiecznie pokonać pustkowia. Nigdzie nie było stromizn ani ślepych uliczek, czasem tylko w jakimś miejscu brakowało mostu lub pojawiała się przeszkoda w postaci zawalonego fundamentu.

– Czy tak właśnie postąpili? – spytała Chaka. – Gdzie szukać nacięć? Nie możemy sprawdzać wszystkich drzew na szlaku.

– Powiem ci, jak ja rozwiązałbym ten problem. Zostawiałbym znak przy każdej zmianie kierunku. A także wtedy, gdy trasa się rozwidła albo ilekroć sądziłbym, że z jakichś przyczyn kogoś może skusić zejście z właściwej drogi. Co jakiś czas dodatkowo oznaczałbym szlak, ot tak, dla potwierdzenia.

– Sądzisz, że Shay też tak właśnie robił?

– Na pewno pracował w sposób zrozumiały dla pozostałych. Poinformował też prawdopodobnie wszystkie towarzyszące mu osoby o swoich metodach działania.

Chaka zamknęła oczy, po chwili ponownie je otworzyła. Wyraz jej twarzy zmienił się.

– A co z Tukami? Naprawdę stanowią zagrożenie dla podróżników?

Shannon wzruszył ramionami.

– Tutejsi Tukowie są niegroźni. Wystarczy wziąć ze sobą maleńkie prezenty. Lubią broń, osobiście jednak nie odważyłbym się im dać pistoletu. Może raczej błyskotki. Filiżanki. Tak, to dobry pomysł. Zwłaszcza takie z obrazkami. Lub z napisami. Tego typu drobiazgi. I bransolety. Tukowie zwykle trzymają się z daleka od przejeżdżających podróżników, nie zbliżają się też do osad. Jeśli ich zobaczycie, spróbujcie się zachowywać normalnie, ale nie zatrzymujecie się. Rozumiesz? Nie wolno też okazywać strachu. Po prostu się z nimi przywitajcie. – Jon wstał, wszedł do kuchni i wrócił z dolewką herbaty.

Chaka pokiwała głową.

– Miasto leży w morzu. Albo na morskim brzegu. Słyszałeś o nim cokolwiek? Bądź o podobnej osadzie?

– Na północy rzeczywiście leży miasto. Nazywa się Chicago. Dociera tam również morze. Ale podobno miasto jest nawiedzone. – Shannon nie zjadł wiele, ponieważ na krótko przed przybyciem Chaki skończył posiłek. Dla towarzystwa skubał jednak kawałek wołowiny. Dziewczyna natomiast zajadała z apetytem. – Nigdy w nim nie byłem. – Zerknął na rysunek. – Jeśli naprawdę tak wygląda, z pewnością w nim straszy. Nie sądzisz? – Większa kłoda wpadła w ogień, wznecając pióropusz iskier. – Cóż, nigdy nie wiadomo. W ruinach Drogowców nie ma spokoju.

Dziewczyna się uśmiechnęła. Uśmiech był ciepły i trochę nieśmiały. Shannon uświadomił sobie, że udało mu się – tak jak sobie zamierzył – przestraszyć młodą przyjaciółkę.

– Jonie – odezwała się. – Chciałabym odnaleźć Przyszań. Mój brat zmarł gdzieś w jej pobliżu. Wydaje mi się, że Karik Endine mnie okłamał, gdy opowiadał, jak doszło do śmierci Arina. Wiem, że proszę o wiele, ale byłabym wdzięczna, gdybyś mimo wszystko rozważył moją propozycję.

Była twarda, lecz Shannonowi również nie brakowało silnej woli.

– To próżny wysiłek – odrzekł. – Zmarnujesz tylko mnóstwo czasu. Może nawet stracisz życie. Przyjmij moją radę, Chako, zrezygnuj z wyprawy.

Przez kilka minut wpatrywała się w niego. Podejrzewał, że nie zamierza się poddać.

– Powiem wprost – odezwała się w końcu. – Zastanawiam się, czy uda mi się ciebie zatrudnić na kilka dni.

Od rozmowy z Chaką Flojjan czuł się nieswojo. Odnosił też wrażenie, że powieść Marka Twaina stanowi wiadomość od ojca dla niego, krnąbrnego syna. „Zostawiam to nadzwyczaj cenne znalezisko osobie, którą ledwie znam, nie zaś tobie, mojemu synowi. Co więcej, wiem, że książka spowoduje kłopoty, którym będziesz musiał stawić czoło. Sądzę nawet, że staniesz się swego rodzaju narzędziem transakcji”.

Niech szlag trafi starego drania.

I niech szlag trafi także Chakę Milanę. Gdyby po prostu z wdziękiem przyjęła swój dar i odeszła, sprawa byłaby zamknięta.

Flojjan próbował się rzucić w wir pracy, dręczył go jednak zbyt wielki niepokój, by potrafił się skupić na nowych planach handlowych i problemach związanych z konserwacją promów. Późnym rankiem zrezygnował z wysiłków, powiedział swojemu asystentowi, że zamierza poświęcić resztę dnia na wypoczynek i jedzie do miasta. Przez dwie godziny kręcił się bez celu po targowiskach, od czasu do czasu zatrzymywał się w jakimś lokalu i zamawiał coś do picia. Kiedy poczuł zmęczenie i głód, wyjechał przez bramę i udał się na lunch do „Tawerny na rozstajach”, która wbrew nazwie wcale nie znajdowała się na skrzyżowaniu dróg.

Był częstym i lubianym klientem tawerny, toteż gospodarz natychmiast usadził go przy narożnym stoliku. Panował tu półmrok dzięki świecy, migocącej nierówno w zadymionym czerwonym kloszu. Kelner przyniósł zimne piwo, w tym czasie Flojjan zastanawiał się nad menu. W końcu zamówił gulasz wołowy, mówiąc sobie, że kłopoty nie powinny człowiekowi przeszkadzać w normalnym życiu. Była wczesna godzina popołudniowa, toteż w lokalu siedziało zaledwie kilku klientów. W prawie pustym pomieszczeniu wszelkie dźwięki głośno odbijały się echem i nagle Flojjan przyłapał się na nieświadomym podsłuchiwaniu rozmowy, którą prowadzili siedzący parę stolików od niego dwaj mężczyźni i kobieta.

– ...Druga ekspedycja. – Właśnie to stwierdzenie przyciągnęło jego uwagę. Stanowiło część szyderczego stwierdzenia, które wypowiedział młodszy z mężczyzn. Był zarośniętym blondynem, miał ogromny brzuch i ledwo się mieścił na krześle. – To szaleństwo. – Podniósł tłusty palec wskazujący. – Wszyscy zginą.

Jego towarzysz nosił purpurową koszulę i biały wąski krawat. Był młody, prawdopodobnie mniej więcej dwudziestopięcioletni, lecz jego twarz postarzały przepełnione poczuciem winy oczy; czaiło się w nich równocześnie okrucieństwo i służalczość.

– Skąd wiedzą, dokąd iść? – spytał.

– Domyślam się, że chcą pójść śladami poprzedniej wyprawy – powiedziała kobieta. Była w średnim wieku, dobrze ubrana, ale przypuszczalnie trochę zbyt wiele wypiała.

Flojjan zapatrzył się w swój kufel. Szkło było naprawdę ładne, ozdobione ciemnymi kropelkami przypominającymi łzy.

Mężczyzna z poczuciem winy na twarzy potrząsnął głową i zwrócił się do brzuchatego.

– Gammer, tamci nie wrócili. Od kogo ci mieliby się dowiedzieć?

Brzuchaty wyglądał na znudzonego.

– Sądziłem, Hok, że pierwszy zechcesz pójść.

– Na pewno nie. W mojej rodzinie nie ma idiotów.

Gammer uśmiechnął się nieprzyjemnie. W jego bezmyślnych oczach błyskało okrucieństwo.

– Obawiam się, że nie znasz całej swojej rodziny.

Flojjan wypił długi łyk piwa.

– Co naprawdę się wydarzyło podczas pierwszej ekspedycji?

– spytała kobieta.

– Ten, jak mu tam... facet, który wrócił... Opuścił pozostałych.

– Gammer urwał kawałek chleba, zanurzył go w gulaszu i wepchnął do ust. Przeżuwając, widelcem wskazał tyły pomieszczenia. – Mieli kłopoty, a wtedy zostawił ich na pastwę losu. Dlatego nigdy nie chciał opowiadać o wyprawie.

– Cała sprawa nie jest taka prosta – odparł Hok. Dopił swojego drinka i zaczął nalewać kolejkę dla całej trójki. Kobieta odmówiła. – Słuchajcie, podobno książka, którą facet przyniósł ze sobą, jest warta parę worków złota. Dużych worków. Mówię wam, nie potrzeba zbyt bogatej wyobraźni, aby odkryć, co się stało. Pokłócili się o znalezisko na śmierć i życie. Zwycięzca brał wszystko. Ten, jak on się nazywał...

– Endine – odrzekła kobieta.

– Tak, Endine. Endine wygrał. Wrócił do domu. Kto wie, może zamordował wszystkich swoich towarzyszy.

Flojjan trzasnął kuflem w stół, wstał i podszedł do sąsiadów. W tawernie zapadła cisza.

– Jesteś kłamcą. – Rzucił na blat srebrną monetę. Potoczyła się na długość stopy. – Endine nikogo by nie opuścił.

Hok przechylił głowę i uśmiechnął się, prowokacyjnie milcząc. Flojjan ruszył w jego kierunku, ale gospodarz pospiesznie podszedł i nakazał spokój.

Nowina nadeszła w środku nocy. Przyniósł ją jeden z pomocników. Klęknął przy jej łóżku z długą, cienką świecą.

– Avilo, chłopiec umiera. Jesteś tam potrzebna.

Jej serce zamarło.

– Ojciec dziecka czeka na dole.

Kapłanka wstała.

– Obudź Sarima.

– Zadbaliśmy już o wszystko. Spotkamy się z nim w prezbiterium.

Opłukała się szybko nad miednicą, włożyła sutannę, przewiązała szarfę i narzuciła czarny płaszcz, ponieważ noc była chłodna. Nie miała odwagi stawić czoła nieuniknionej przyszłości.

Nabrała zapas *agory*, która powinna ułatwić chłopcu przejście do następnego świata. Wiedziała, że dziecko nie ma najmniejszych szans na wyzdrowienie, chyba że zainterweniuje Bogini. Tyle że Bogini nie objawiła się już od wielu lat. Avila często się zastanawiała, dlaczego Shanta ją opuściła.

Wiedziała, co powiedziałyby Kiri: „Twoja wiara poddawana jest próbie. Nie przestawaj wierzyć i wykonuj swoje obowiązki, a wszystko będzie dobrze”. Niestety, nie było.

Ojciec chłopca czekał w salonie. Siedział ze smutno zwieszoną głową, jego oczy całkowicie przepelniał ból. Kiedy Avila weszła, mężczyzna wstał, lecz nie miał siły się odezwać. Po policzkach toczyły mu się łzy. Pomogła mu utrzymać się na nogach, podtrzymała go.

– Mentorko – powiedział – stracimy go.

– Jest teraz w rękach Shanty – wyjaśniła. – Cokolwiek się zdarzy, Bogini będzie z nim.

Mężczyzna wytarł oczy. Kiedy wyglądał na uspokojonego, kapłanka wzięła go za ramię.

– Proszę pójść ze mną – odezwała się cicho.

Opuścili salon, zeszli schodami i znaleźli się w długim marmurowym korytarzu oświetlonym

latarniami. Tutejsze malowidła ściennie przedstawiały Shantę w różnych wcieleniach – tworzyła życie, wysyłała deszcz, chroniła dziecko Tira przed wężem, pojawiała się w zakrwawionych szatach podczas bitwy pod Darami, by wesprzeć Illyryjczyków.

Minęli bliźniacze kolumny, symbolizujące poparcie Bogini dla świata i weszli do prezbiterium.

Pomieszczenie miało kształt owalu. W centralnym miejscu stał prosty ołtarz. Jedyne światło dochodziło z piecyka zawierającego Żywy Ogień. Przyniósł go Illyryjczykowi Havram, który otrzymał go od samej Świętej Pani.

„Póki te płomienie będą rozweselać moją kaplicę, dadzą siłę waszym duszom i waszym ciałom. Pieśćcie go i życie na zawsze we mnie”. Sarim, silny, burkliwy pobożny Sarim, czekał. Trzymał niezapaloną pochodnię, którą Avila wzięła od niego.

– Bądź błogosławione wiekuiste światło – powiedziała i wcisnęła pochodnię w rękę ojca. Mężczyzna wziął pochodnię, a kapłanka pomogła mu ją zapalić od piecyka.

W kilka minut później opuścili Świątynię i wyszli na ulicę. Noc była wietrzna. Pochodnia, którą trzymał Sarim, płonęła jasnym płomieniem. Płaszcz Avili łopotał na wietrze. Sarim i ojciec dziecka szli obok siebie, kapłanka natomiast kilka kroków za nimi; pochyliła głowę i żarliwie się modliła.

„Bogini, jeśli taka jest twoja wola...”.

Chłopiec miał na imię Tully. Liczył sobie dziewięć lat i walczył z wyniszczającą chorobą, której nie były w stanie pokonać ani kolejne leki Avili, ani gorące okłady, ani środki uśmierzające ból. Kapłanka miała już wcześniej do czynienia z ofiarami tej choroby – pamiętała ich poszarzałą skórę, utratę wagi, bolesność stawów, coraz mniejszą chęć do życia. Zwykle jednak zapadały na nią osoby starsze.

Tully przychodził do Świątyni prawie od czterech miesięcy. Ponieważ musiał porzucić swych przyjaciół, na początku był niechętny i niespokojny, nie rwał się, by usłużyć kapłance. Z wolna niecierpliwość w jego oczach zniknęła, ustępując miejsca smutkowi. Chłopiec zaczął ufać Avili i dzielnie walczył z chorobą. Niestety, mimo wszelkich wysiłków słabł z każdą wizytą. Rodzice mieli w sobie wręcz dziecięcą wiarę, która łamała kapłance serce.

„Bądź z nim podczas gehenny towarzyszącej przejściu”.

Tully był bystrym, zielonookim chłopcem. Kiedyś często się śmiał, teraz był znużony, roztargniony, omamiony szalejącą w jego ciele gorączką.

– Pomóż mu, mentorko – błagała matka dziecka.

Chłopca przykryto wilgotnymi prześcieradłami, gorączka jednak nie ustępowała. W jego oczach czaiła się pustka. Dziecko praktycznie już odeszło.

Avila nie potrafiła opanować łez.

„Shanto, gdzie jesteś?”.

Wzięła pochodnię od Sarima i podała ojcu. Mężczyzna chwycił ją rozpaczliwym ruchem i położył na drewniakach i węglach wypełniających piecyk przy boku łóżka. W piecyku zapłonął ogień.

Sprzed domu, gdzie zgromadzili się krewni, kapłanka słyszała stłumione łkania. Objęła palcami nadgarstek chłopca i zaczęła liczyć. Puls Tully’ego był bardzo słaby.

Nie mogła się zmusić, by spojrzeć w oczy któregoś z rodziców. Położyła więc tylko wychudzoną rękę na prześcieradle i pochyliła głowę.

„Matko Shanto, nigdy nie proszę o żadne dobrodziejstwa dla siebie. Wiem, że teraz, tak jak i zawsze, jesteś ze mną i to powinno mi wystarczyć. Bez skargi przyjmuję każdy twój wyrok pod moim adresem. Lecz błagam, ocal to dziecko. Nie pozwól mu umrzeć”.

Obserwowała, jak rodzice tracą nadzieję, przypatrywała się coraz słabszej walce chłopca, patrzyła, jak krewni jeden za drugim wchodzą do pokoju, by się pożegnać z Tullym. Wiatr szalał za

oknami, słabiutki płomień w piecyku parskał i krztusił się. „Każdy twój wyrok...”.

– Mentorko?

– Nie wiem. – Ich natarczywość oburzyła ją. Dlaczego wymagali od niej tak wiele, czyżby sądzili, że ma w sobie boską siłę?

W godzinę po północy kruche ciało dziecka przestało walczyć o życie i ciężki oddech chłopca ustał. Avila zamknęła oczy.

– Przykro mi – odezwała się. Matka próbowała przycisnąć Tully’ego do piersi, ojciec zaś oparł się ciężko o ścianę, szepcząc imię syna, jakby chciał go przywołać z powrotem.

„Shanto, przyjmij swego drogiego Tully’ego, który żył na tym świecie tylko kilka lat”.

Po drodze do Świątyni Sarim spytał ją, czy dobrze się czuje.

– Tak – odparła. Jednak później, po paru minutach milczenia, dodała: – Po co nam bóg, który nigdy nie interweniuje?

Za młodu Avila kochała konną jazdę. W towarzystwie ojca pędziła wzdłuż brzegów oświetlonej księżycem Missisipi. Miała wtedy nadzieję, że ukaże jej się Łyka Poświata Księżycowa.

„Nikt nie widywał jej od dłuższego czasu, Avilo. Bogini jest płochliwa i woli chodzić po świecie, tylko gdy nikogo innego nie ma w pobliżu. A jednak twoja babka raz ją widziała”.

Przyszła kapłanka również kilkakrotnie była przekonana, że widzi Lykę – krótki wybuch opalizującego światła, prześlizgującego się po ciemnych wodach, jarzący się w nocy łuk, który przypominał uśmiech. Zauważyła jednak, że gdy opowiada o swoich wizjach, dorośli tylko udają podziw dla niej, a w głębi duszy się śmieją. W owych czasach niebiosa i lasy pełne były boskiej siły, do dziewczyny przemawiały głosy, a niewidzialne ręce poruszały maleńkimi trybikami dnia i nocy.

Avila nigdy nie zapomniała owych wizji, nawet wtedy gdy przeszkadzały jej w kontaktach z rodziną, i postanowiła wyjechać od Farroad, gdzie przez trzy lata tańczyła i grała dla mężczyzn pracujących na rzece.

W owych czasach mężczyźni walczyli o nią. A ten, którego imienia nie zdążyła poznać, młody, niespełna dwudziestolatek, nawet przez nią umarł. Klęczała tamtej nocy na ulicy z rękami uwalanymi krwią i po raz pierwszy naprawdę czuła obecność Bogini.

Nic więc dziwnego, że Avila Kap w wieku dwudziestu dwóch lat wstąpiła do Zakonu Shanty Uzdrowicielki i oddała się służbie bogom i ludziom.

Prowadziła bogate życie i czuła się spełniona. W pierwszych miesiącach słyszała obok siebie kroki Bogini, gdy spieszyła ciemnymi ulicami, by pomóc dotkniętym chorobą rodzinom. Z wolna jednak te dźwięki ucichły niczym odgłosy odpływającej łodzi. Tej nocy, kiedy umarł Tully, wróciła do swojej celi, cieplej w porównaniu z padającym na dworze chłodnym deszczem, i bezsennie przeleżała na łóżku aż do świtu. W ciemnościach nie czuła niczego: żadnej mocy, żadnego ducha. Nikt nie zamierzał dodać jej otuchy, pocieszyć jej, nikt nie szeptał do niej, nie zapewniał, że jej życie ma sens.

Była sama. Ludzie byli samotni! Co na seminarium Silasa powiedział młody człowiek imieniem Orvon? „Może widzimy tylko to, co chcemy widzieć”. Avila wyczuła w nim pragnienie wiary, a w jego słowach dosłyszała tlący się gniew.

Skoro jednak żaden bóg jej nie towarzyszył, w jaki sposób działały lekarstwa?

Z drugiej strony, dlaczego nie zawsze działały? Kapłanka знаła oczywiście dogmatyczną odpowiedź: Nie zawsze Shanta pragnęła uratować chorego. Lecz w takim razie, jeżeli życie chorego zależało od woli Shanty, po co w ogóle się trudzić się i go kurować.

Dwa tygodnie, które upłynęły od śmierci Tully’ego, Avila Kap spędzała w zamknięciu, zmagając się z problemami duchowymi. Zaczęła wątpić we wszystko, w co do tej pory wierzyła. Przestały ją interesować sprawy, o które do tej pory tak bardzo dbała.

Wiedziała już, że opuści zakon. Decyzja nie była łatwa. Świat był wrogo nastawiony do byłych kapłanów. Nawet osoby oficjalnie niewierzące uważały za swą moralną powinność pogardliwie traktować sługi boże, które opuściły zakon. Avila jednak nie potrafiła już dłużej udawać wiary.

Miała teraz przed sobą prawdziwy problem. By zastąpić wiarę, musiała sobie znaleźć coś nowego, co ponownie nada sens jej życiu. Ale co? Była dobrze wykształcona, więc powinna dość łatwo zarobić na swoje utrzymanie. Nie chciała się wszakże poświęcać jedynie zarobkowaniu.

Kiedyś, ilekroć musiała podjąć trudną decyzję, wycofywała się do „zielonej kapliczki”, która zawdzięczała swą nazwę obfitości rozmaitych roślin stojących w donicach przy ścianach i dokoła ołtarza. Avila niezmiennie opuszczała kapliczkę z rozwiązaniem problemu. Teraz jednak stale

pozostawała na terenie zakonu lub nawet w swoich kwatery. A kiedy otrzymała kolejne późnonocne wezwania, wychodziła tak jak niegdyś, rozpaczliwie pragnąc zatrzymać opuszczającą ją wiarę. Równie mocno członkowie rodzin, które odwiedzała, starali się zatrzymać swych umierających ojców i żony.

Silas najął czterech ludzi i powierzył im zadanie wykonania kopii „Jankesa na dworze króla Artura”. Każda osoba pracowała oczywiście nad oddzielnym tomem. (Zgodnie z zasadami estetyki obowiązywał jeden charakter pisma w całej książce). Później, kiedy będą dysponowali kilkoma kopiami, rozszerzą działalność. Silas ostatecznie spodziewał się stu lub więcej oprawionych woluminów, które zamierzał rozprowadzić na pięć miast Ligi.

W Imperium odbyła się krótka debata na temat uwspółcześnienia języka powieści. Silas optował za zachowaniem formy oryginalnej, twierdząc, że tekst nadal pozostaje zrozumiały. Nie wierzył, by ktoś potrafił zmodernizować powieść, nie niszcząc przy tym jej piękna. Członkowie rady trochę się z nim spierali, lecz w końcu przyznali mu rację.

Akademia posiadała oryginalne egzemplarze dwóch innych fragmentów napisanych przez Marka Twaina: wyjątki z „Faktów w sprawie wielkiego kontraktu wołowego” oraz z „Życia na Missisipi”. Obecnie, gdy do owych szczątków dołączył pełny tekst „Jankesa na dworze króla Artura”, naukowcy zajęli się kompleksową oceną twórczości pisarza Drogowców. Silas zastanawiał się na przykład, co Mark Twain pomyślałby o własnej cywilizacji na widok jej ruin w Illyrii.

Silas napisał ponad trzydzieści komentarzy poświęconych różnym aspektom starożytnej i nowoczesnej literatury, a także kwestiom etycznym i historycznym. Tylko jeden z nich, „Nową wspaniałą hiperbolę” wydano w twardej oprawie i umieszczono w bibliotece. (Teraz, wiele lat później, tytuł wprawiał go w zakłopotanie). Uczony twierdził w nim, że książka Huxleya nie przedstawia w sposób ścisły technologii i etyki Drogowców, lecz jest raczej opartą na domysłach fantazją. Silas nie był pewny swych racji, ale przerażała go myśl, że cywilizacja mogłaby się tak straszliwie zdegenerować.

Teraz spisywał swoje wrażenia na temat „Jankesa”. Stwierdzał, że w całej historii literatury Ligi nie istniał tak doskonały twórca jak Mark Twain. Najbliższe jego tekstom były prawdopodobnie szydercze komedie argońskiego dramaturga Capera Tallowa, który jednak wydawał się nieco naiwny w porównaniu ze świetnym humorystą Drogowców.

Silas bardzo rozważnie wykladał swoje poglądy, wiedział bowiem, że wielu uczonych pójdzie w jego ślady. A ponieważ był pierwszym komentatorem twórczości Twaina, jego spostrzeżenia z pewnością przyciągną uwagę i zostaną ocenione jako wnikliwe bądź niedorzeczne. Czuł, że w taki czy inny sposób ten jeden tekst uczyni go osobą znaną potomności.

Pracował naukowo prawie przez miesiąc i był tak pewny wspaniałych rezultatów swego projektu, że odważył się złamać starą zasadę i pokazał fragmenty pracy kilku innym wykładowcom. Tekst zrobił na nich wrażenie, lecz wszelkie zasługi przypisali Markowi Twainowi.

Tego dnia, gdy Silas ukończył pracę, pod jego frontowe drzwi podjechała Chaka Milana. Uczony pochował właśnie materiały i przygotowywał się do wyjścia. Zamierzał zjeść kolację w restauracji po drugiej stronie ulicy. Dziewczyna uśmiechnęła się do niego triumfalnie i zsiadła z Grajki.

– Nie mogę ci zagwarantować, że znajdziemy Przyszań – oświadczyła – sądzę jednak, że moglibyśmy pójść śladami Endine’a.

Zaciągnęła starca do „Ostatniej nadziei”, pobliskiego pubu. W lokalu przy narożnym stoliku siedział wysoki, ciemnoskóry mężczyzna o gęstych, czarnych włosach i przyciętej bródce.

– Silasie – powiedziała Chaka – chciałabym ci przedstawić Jona Shannona.

Starzec wyciągnął rękę. Przewodnik odstawił piwo.

– Miło cię poznać, Silasie – przywitał się.

Dziewczyna usiadła pod ścianą, uczony obok niej.

– Chaka twierdzi, że wykonałeś dla niej jakieś zadanie – rzucił.

Shannon pokiwał głową.

– Chciała, żebym sprawdził, czy można odnaleźć trasę ekspedycji Endine’a.

Silasowi dreszcz przeszedł po plecach.

– Przypuszczam, że skoro tu siedzimy, udało ci się.

Zerknął na dziewczynę.

– Znalazłem znaki na Drodze Ku Pustkowiu. Wiesz, gdzie ona leży?

Silas nigdy nią nie podróżował, wiedział jednak, że znajduje się około stu czterdziestu mil na północ, prowadzi na północny wschód od Argonu, biegnąc mniej więcej równoległe do Ohio.

– Tak – odparł.

– Wiemy, że do niej dotarli. Posuwałem się nią przez kilka dni. Aż do Urwiska Ephraima, które leży na krawędzi terytorium Ligi. Tuż za urwiskiem znalazłem wiele znaków.

– Jakiego rodzaju znaków?

– Nacięcia na drzewach. Zawsze trzy kreski. Są także stosy kamieni. Trzy kamienie blisko siebie, na nich czwarty. Przypuszczam, że członkowie wyprawy używali również kredy. Widziałem granitowe skały, które na ich miejscu oznaczyłbym kredą.

– Ale śladów kredy nie znalazłeś?

– To niemożliwe po tylu latach.

– Jak stare są znaki na drzewach?

– Nie potrafię tego ocenić. Sądzę, że mają przynajmniej pięć czy sześć lat. Może nawet dziesięć. Cholera, może i dwadzieścia...

Silas popatrzył na Chakę, potem ponownie na przewodnika.

– To wszystko?

Shannon zmarszczył brwi.

– Czego chcesz więcej?

Zjawił się kelner, więc zamówili piwo dla Chaki i Silasa oraz kolację dla całej trójki.

– Droga Ku Pustkowiu nie jest trasą w pełnym znaczeniu tego słowa – oświadczył Jon. – Nie używa jej nikt z wyjątkiem myśliwych i handlarzy. I wojska. Wszyscy ci ludzie znają swoje terytorium dość dobrze, toteż jedynie w szczególnych okolicznościach zostawiliby drogowskazy. – Silas zauważył, że przewodnikowi smakuje piwo. Shannon opróżnił kufel i łagodnie go odstawił. – Mógłbym się założyć, że znaki pozostawiła ekspedycja Endine’a.

W pubie panował tłok. Była pora kolacji i część jadalną wypełniały odgłosy śmiechu i skwierczenia steków, a także aromat zimnego piwa. Na ścianach migotały świece.

– Nie znam cię dobrze, Jonie – odezwał się Silas – mam więc nadzieję, że nie obrazisz się za moje pytanie. – Popatrzył na Chakę. – Zatrudniłaś go, by się rozejrzał, prawda?

– Tak – przyznała zaintrygowana.

– Czy stawka była zwyczajowa? Czy też przewodnik otrzymałby więcej pieniędzy, gdyby przyniósł pozytywną odpowiedź?

Twarz dziewczyny pociemniała.

– Jon nie skłamałby. I tak, stawka była zwyczajowa.

Silas pokiwał głową.



– No dobrze. Co zatem teraz proponujesz?

Popatrzyła zaskoczona.

– Ruszam po śladach – odpowiedziała.

– Śladem kilku oznaczonych drzew.

– Mamy szansę. I to dużą. – W jej oczach pojawiły się błyski. – Posłuchaj, Silasie, pragnę poznać prawdę o śmierci mojego brata. Wyjaśnienie leży gdzieś na szlaku.

– Nie chcę, Chako, żebyś mnie źle zrozumiała. Ale... Jakie to ma teraz znaczenie? Arin nie żyje. Karik również. Po co wracać do tej sprawy?

Po przeciwnej stronie pomieszczenia ktoś wesoło krzyczał. Świętowano czyjeś urodziny.

– Sądzę, że należy poznać prawdę, ty nie? – Utkwiła w nim błękitne oczy. – A może na końcu tej drogi znajduje się Przyszań.

Silas popatrzył ponownie na ciemnoskórego olbrzyma.

– Skończyłem sześćdziesiąt lat. Naprawdę nie mam odpowiedniej kondycji na szalone wyprawy. Szczególnie takie, w których zginęło już kilka osób.

Dziewczyna zachmurzyła się. Była wyraźnie rozczarowana.

– Okay. Postanowiłam zaprosić ciebie pierwszego. Inni na pewno za mną pójdą.

– Wątpię.

Shannon wpatrywał się w sufit.

– A ty, Jonie? – spytał Silas. – Idziesz z nią?

– Nie – odparł przewodnik.

– Dlaczego?

– Ponieważ Przyszań nie ma dla mnie najmniejszego znaczenia. Zresztą nie wierzę w jej istnienie. I dlatego że tobie... – przyjrzał się Chace – ...i każdemu, kto z tobą pójdzie, najprawdopodobniej się nie uda. Możecie nawet stracić życie.

Silas odwrócił się z powrotem do Chaki.

– Posłuchaj go. Ma rację.

Kelner przyniósł zamówione posiłki. Jadłospis „Ostatniej nadziei” był dość ograniczony: zależnie od nastroju szefa kuchni składał się z wołowiny lub kurczaka oraz jarzyn *du jour* i chleba. Tego dnia był kurczak i kapusta.

– Uważam, że powinniśmy postępować rozsądnie – zauważył Silas.

Chaka wyprostowała się na krześle, skrzyżowała ramiona, przez chwilę patrzyła na Silasa, po czym wzięła nóż i ukroiła kawałek kurzej piersi.

– Przyszań nie znaczy nic dla Jona – powiedziała. – A co oznacza dla ciebie? Za dziesięć lat skończysz siedemdziesiątkę. Spojrzysz wstecz i przypomni ci się, że miałeś okazję odnaleźć całą masę dzieł Marka Twaina i kto wie, co jeszcze, lecz nie zadałeś sobie trudu... Dlaczego? Ponieważ wyprawa była niebezpieczna?

Illyryjskie kobiety przyłapano w kompromitujących sytuacjach traciły reputację, perspektywy życiowe, a często również dochody. (Ich partnerom jak zwykle wszystko uchodziło na sucho). Żaden przyzwoity mężczyzna nie zdecydowałby się na związek z kobietą zamieszaną wcześniej w skandal. Od tej pory niechętnie widziano ją w jej miejscu pracy, jeśli zaś prowadziła własną firmę, natychmiast traciła klientów. Czasem nawet rodzina nie chciała mieć z nią nic wspólnego.

Niezamężne kobiety, decydujące się na pokątny związek, ryzykowały podwójnie ze względu na brak godnych zaufania środków antykoncepcyjnych. Stosowały wprawdzie rozmaite maści i olejki – zastosowane przed stosunkiem, miały zapobiec zajściu w ciążę – trudno jednak było ustalić ich

skuteczność. Nikt nie prowadził statystyk, nikt też nie mówił prawdy, gdy chodziło o sprawy seksu. Chaka – podobnie jak większość kobiet – doszła do wniosku, że chwilowe przyjemności nie są warte ewentualnych negatywnych konsekwencji. Wiele Illyryjek prowadziło bardzo cnotliwe życie.

Taka sytuacja utrzymywała się praktycznie od okresu rządów cesarzy i królów, którzy wierzyli, że podstawą trwałości miast jest solidna tradycja rodzinna. Preferowali także silny stan kapłański, wprowadzili też serię praw zakazujących rozwodów i ograniczających aktywność seksualną w legalnych związkach. Gwałt uważano za wyjątkowo ciężką zbrodnię i bardzo ostro za nią karano (za Aspika III i Morgana Mądrego zapadały wyroki śmierci poprzez spalenie na stosie).

Republika uznała te prawa za barbarzyńskie, niemniej jednak kodeks moralny, z którego się wywodziły, żywo odcisnął się w pamięci ludzi. Kobiet naruszających go nie pozbawiano już życia, lecz przez swoje zachowanie mogły stracić praktycznie wszystko inne.

Chaka nie była dziewicą, ale rzadko decydowała się na kontakty cielesne, a w ostatnich miesiącach prowadziła pod tym względem żywot wręcz ascetyczny. Dziś wieczorem jednak, kiedy wróciła z frustrującego spotkania z Silasem Glote'em, musiała porozmawiać z Raneyem, być z nim i przyjąć każdy rodzaj pociechy, jakim mężczyzna zechce ją obdarzyć. Dlatego odmówiła Jonowi Shannonowi, który chciał ją odprowadzić do domu.

– Co teraz zrobisz? – spytał ją Shannon, gdy wyszli, ona zaś odpowiedziała, że pójdzie po śladach pierwszej ekspedycji, że ma przyjaciół... że zna wiele osób, które chętnie wraz z nią wyruszą na poszukiwanie Przystani. Przewodnik zacisnął wtedy usta i ostrzegł ją, by tego nie robiła. – Jeśli już musisz iść – dodał – nie bierz ze sobą nikogo nieznanego. Nie zabieraj nikogo, komu nie powierzyłabyś swego życia. Ponieważ zapewne nie raz będziesz je musiała swym towarzyszom powierzyć.

Raney mieszkał sam w małym domu na farmie tuż za Epton Village, około dwóch mil na północny zachód od miasta. Chaka wyjechała przez północną bramę i znalazła się na Szlaku Cumbersak. Podróże na odległość kilku mil od Illyrii były stosunkowo bezpieczne. Od zakończenia wojny tutejsze drogi intensywnie patrolowano, pozbywając się niegdyś tak często grasujących po nich nocnych bandytów; nie żyli bądź się ukrywali. Mimo to dziewczyna podczas późnowieczornych wypraw zawsze nosiła przy sobie broń.

Gdy minęła żywo płot otaczający drewniany dom farmerski Raneya, księżyc stał już wysoko na niebie. Było późno. Pies imieniem Klips zaszczekał na widok Chaki, a wtedy w progu ukazał się właściciel zwierzęcia.

– Nie spodziewałem się ciebie zobaczyć dziś wieczorem! – zawołał. – Jak poszło spotkanie?

Rzuciła Raneyowi lejce i zsiadła z konia.

– Mogło się udać lepiej.

– Nie zrobiłaś na starym wrażenia?

– Raczej nie.

Popatrzył na nią.

– Przykro mi.

Wzruszyła ramionami.

– To nie twoja wina.

Zimny wiatr wiał od strony rzeki.

Odprowadzili Grajkę do stajni.

– Co powiedział stary?

Powtórzyła mu rozmowę. Co jakiś czas kiwał głową, a gdy Chaka skończyła opowieść, zdjął siodło z jej kasztanowatej klaczy.

– Jeśli mam być szczery – odezwał się – twoje dowody naprawdę są kiepskie.

W mroku nie mogła dojrzeć jego twarzy. Powietrze pachniało końmi, jęczmieniem i starym drewnem.

– Oczywiście, że są kiepskie – warknęła. – Sądysz, że o tym nie wiem? Są niewystarczające. Niestety, lepszych prawdopodobnie nie zdobędziemy. I może wcale ich nie potrzebujemy.

Raney nalał wody dla Grajki.

– Wejźmy do środka – zaproponował.

Przez chwilę nie mówili do siebie ani słowa. Obojgu wydawało się, że nagle wyrosła między nimi wysoka ściana. Raney nie miał na sobie kurtki, więc powinno być mu chłodno, lecz nic nie czuł. Szedł z rękoma wciśniętymi głęboko w tylne kieszenie. Kiedy dotarli do domu, napełnił imbryk wodą na herbatę, zawiesił go na sztabie, którą umieścił nad ogniem. Potem dorzucił do ognia kolejną kłodę.

– Dolian stale próbuje załatwić swemu siostrzeńcowi awans na rewidenta księgowego – zagaił, próbując skierować rozmowę na inny temat. Przez chwilę opowiadał o pracy, Chaka zaś słuchała jednym uchem. Woda zagotowała się. Raney zaparzył herbatę i przyniósł dwa wielkie parujące kubki. – Importowana z Argonu – wyjaśnił, po czym usiadł obok dziewczyny. – Cieszę się, że przyjechałaś.

Chaka powoli się uspokajała.

– Sądzę, że Shannon zmieni w końcu zdanie – oświadczyła nagle.

Raney zmarszczył brwi.

– Zmieni zdanie? W jakiej sprawie?

– Kiedy będziemy gotowi do drogi, mam nadzieję, że z nami pójdzie.

Mężczyzna głośno westchnął.

– Chako, jeśli Silas uważa, że nie warto ryzykować, to... nie warto. – Zerknął na nią spode łba, wyraźnie przekonany, że dziewczyna nie ośmieli się kwestionować jego opinii.

– Nie dbam o to, co myśli Silas – odparła szorstko. – Muszę odkryć, co się przydarzyło mojemu bratu.

Raney ponownie westchnął. Skosztował herbaty i stwierdził, że jest całkiem smaczna.

– Słuchaj – powiedziała – naprawdę zamierzam zorganizować tę wyprawę.

– Wolałbym, żebyś tego nie robiła. – Przemawiał cicho, lecz tonem nieznoszącym sprzeciwu. Oczy miał szeroko otwarte. Dostrzegła w nich niepewność i zmartwienie.

– Chyba nie zmieniłeś zamiaru? Pójdiesz, prawda?

– Chako, nigdy ci niczego nie obiecywałem. Powiedziałem tylko, że pójdę z tobą, jeśli uznam pomysł za sensowny.

Poczuła, jak zaczynają jej płonąć policzki.

– Nie tak zapamiętałam twoje słowa.

– Słuchaj – odparł – nie możemy ot tak, po prostu wyprawić się na pustkowie. Moglibyśmy stamtąd nie wrócić. – Powoli potrzasnął głową i położył dziewczynie dłoń na ramieniu. Była twarda i zimna. Ręka nieznanego. – Prowadzimy tu dobre życie. – Jego ton złagodniał. – Chako, chciałbym, żebyś za mnie wyszła... – Oddech Raneya stał się nieregularny. – Możemy być szczęśliwi. Mamy wszystko, czego nam potrzeba.

Nagle poczuła w oczach łzy. Wiedziała, że dobrze żyłoby jej się z tym mężczyzną. Stworzyliby rodzinę, zestarzeliby się razem i nigdy już żadne z nich nie byłoby samotne.

Jego usta musnęły jej wargi. Raney i Chaka przyłgnęli do siebie na kilka minut. Dziewczyna czuła bicie serca mężczyzny. Jego ręka pieściła jej policzek. Odwzajemniła się długim wilgotnym pocałunkiem, po czym gwałtownie odepchnęła Raneya od siebie.

– Nigdy mnie nie utracisz, Raneyu, chyba że ze mnie zrezygnujesz. Muszę jednak pójść!

Przybrał minę zranionego szczeniaka.

– Chako, nie mogę w jednej chwili porzucić wszystkiego i wyjechać na sześć miesięcy.

– Nie wspominałeś mi o tym wcześniej.

– Nie sądziłem, że dojdzie do takich rozmów. Jeśli opuszczę sklep, w ciągu minuty znajdą kogoś na moje miejsce. Mam tu dobrą pracę. Będziemy potrzebowali pieniędzy, by utrzymać rodzinę. Jeżeli odejdę, nie będę mógł wrócić. Zauważ, że twoja sytuacja zawodowa jest zupełnie odmienna od mojej. W każdej chwili możesz otworzyć swój warsztat.

Popatrzyła na niego.

– Prawdopodobnie masz rację – mruknęła. Wstała i nałożyła kurtkę.

– Dokąd idziesz?

– Do domu. Muszę przemyśleć wiele spraw.

– Chako, nie złość się na mnie. Powinnaś postępować rozsądnie.

– Wiem – przyznała. – Dziś wieczorem wszyscy mi przypominają o rozsądku.

Wyszła na ganek, nie słuchając jego odpowiedzi. Podeszła do Grajki i zarzuciła jej na grzbiet siodło. Gdy Raney pojawił się w wejściu do stajni, dziewczyna mocno zaciągnęła rzemienie, odepchnęła mężczyznę i dosiadła klaczy.

– Chako...

– Później, Raneyu – zawołała. – Możemy porozmawiać o tym później.

Przejechała obok niego i ruszyła w noc. Wiatr szarpał konarami drzew. Nadciągał deszcz.

„Jeśli musisz iść, nie bierz ze sobą nikogo nieznanego. Nie zabieraj nikogo, komu nie powierzyłabyś swego życia”.

„Jeśli musisz iść, nie bierz ze sobą nikogo nieznanego. Nie zabieraj nikogo, komu nie powierzyłabyś swojego życia”. W trakcie następnego tygodnia odkryła, jak niewiele osób pasuje do opisu wyznaczonego przez Shannona. Wszyscy, do których miała zaufanie, byli po stronie Raneya i uważali za swój obowiązek wyperswadować Chace projekt. W żadnych okolicznościach nie wsparliby drugiej ekspedycji. Podkreślali, że dziewczyna powinna wyciągnąć wnioski z poprzedniej próby. Z drugiej strony jednakże pod drzwiami Chaki przychodziły zupełnie nieznanymi osobami, chętne towarzyszyć jej podczas wyprawy. Niestety, potencjalni kandydaci wyglądali przeważnie na ludzi niezrównoważonych bądź niesolidnych. Kilku pytało o ewentualną zapłatę.

Przypuszczalnie nigdy nie zorganizowałyby drugiej ekspedycji, gdyby Quait Esterhok nie odkrył w sobie – niemal równocześnie – dwóch namiętności: do Marka Twaina i do Chaki Milany.

Dzięki pierwszej uświadomił sobie (być może po raz pierwszy), co świat utracił wraz z wyginięciem Drogowców. Ponieważ miasta Ligi nie miały urzędów drukarskich, powieściopisarstwo jako gatunek sztuki praktycznie nie istniało. Współcześni pisarze ograniczali się do praktycznych podręczników, traktatów filozoficznych, religijnych, prawnych i etycznych oraz dzieł historycznych.

Jednak nie forma literacka wywarła na Quait tak wielkie wrażenie, lecz energiczny i pełen życia styl, który wydawał się tak skończenie odmienny od sformalizowanego, sztucznego pisarskiego stylu Illyryjczyków. Quait powiedział Silasowi, że podczas czytania powieści Marka Twaina niemal widzi siedzącego w kącie pokoju twórcę.

– Co o nim wiesz? – dopytywał się.

Silas podzielił się z młodym przyjacielem garścią wiedzy, którą posiadał. Pisarz mieszkał w miejscowości o nazwie Hartford. Urodził się w 1835 roku czasu Drogowców (nikt nie wiedział, ile lat upłynęło od tego okresu). Mark Twain interesował się polityką i pisał o problemach rządowych (na przykładzie „Faktów w sprawie wielkiego kontraktu wołowego”), był też pilotem pływających po Missisipi statków rzecznych (szczegóły dotyczące napędu i wyglądu owych statków pozostawały dla Illyryjczyków tajemnicą).

Mimo niedostatecznej ilości faktów Quait czuł, że zna Marka Twaina prawie tak dobrze jak Silasa.

Z pierwszej namiętności zrodziła się druga. Quait nie mógł spędzać z książką tyle czasu, ile by zechciał, ponieważ powieść stale znajdowała się u kopistów bądź naukowców... Albo zajmowali się nią wszyscy jednocześnie. Nabral zwyczaju odwiedzania biblioteki, gdzie obserwował postępy prac, czytał komuś przez ramię tekst lub zastanawiał się, skąd weźmie pieniądze na zakup jednej z kopii. Pewnego popołudnia spotkał tam inną entuzjastkę. Dziewczyna również próbowała czytać powieść ponad głową przyjeźdnego uczonego, który sporządzał notatki na temat czwartego rozdziału. Cała trójka przebywała w tylnym pomieszczeniu, gdzie przechowywano niedostępną dla ogółu czytelników książkę.

Entuzjastka okazała się uderzająco piękną młodą kobietą, której tożsamość Quait natychmiast rozpoznał po długich do ramion rudych włosach.

– Słyszałem o tobie wiele ciepłych słów od Silasa – zagaił.

Chaka uprzejmie pokiwała głową.

– A ty się nazywasz...

– Quait Esterhok. – Przysunął sobie krzesło i usiadł obok niej. – Rozdział czwarty opisuje cechy osobliwego języka używanego w okolicach Camelotu.

Dziewczyna uśmiechnęła się.

– Tak. Bohater jest osobą współczesną pisarzowi, lecz wyprawia się w przeszłość. To doprawdy niezwykły pomysł!

Naukowiec o wychudzonej twarzy i słomkowych włosach podniósł wzrok, wyraźnie rozdrażniony.

– Nie przeszkadzam państwu? – spytał.

– Przepraszamy – powiedziała skruszona Chaka. Na biurku stała klepsydra. Piasek już prawie się przesypał. – I tak muszę już iść – dodała.

– No dobrze – szepnął szybko Quait. – Będę cicho.

– Nie, nie, jestem tu już zbyt długo. – Spojrzała po raz ostatni na fragment, który czytała, później oderwała wzrok od powieści i przyjrzała się młodemu mężczyźnie. Błękitne, wesołe oczy Chaki natychmiast zawładnęły sercem Quaita. – Silas mówi, że w przyszłym tygodni kopiści powinni ukończyć kilka egzemplarzy.

– To dobrze. – Quait szukał sposobu przedłużenia rozmowy, jednak w głowie miał pustkę.

– Miło cię było poznać, Quait. – Dziewczyna wstała i odeszła z uśmiechem. Obserwował ją przez chwilę, po czym zgłosił bibliotekarzowi swoje wyjście i również opuścił pomieszczenie.

– Ukryłeś coś przede mną, Silasie.

– Co takiego? – spytał starzec. Mężczyźni spotkali się na kolacji w „Ostatniej szansie”.

– Poznałem dziś Chakę Milanę. – Quait potoczył wzrokiem. – Jest bardzo ładna.

Silas potrząsnął głową.

– Nie sądzę, by dobrze o mnie myślała w tej chwili.

– Dlaczego?

Kelner przyniósł wino i napełnił oba kieliszki.

– Nie potraktowałem zbyt poważnie jej projektu wyprawy.

– Och. – Quait zmarszczył brwi. – Jak wywnioskowałem z twoich słów, zgodnie uznaliście podstawy za niewystarczające.

Starzec wyglądał na speszzonego.

– Nie jest to całkowita prawda – odparł. – Chciałem zapewne, byś odniósł takie wrażenie. Chaka jest zdecydowana zorganizować ekspedycję. Sytuacja przypomina mi tę sprzed dziesięciu lat... Dziewczyna ma obsesję na punkcie misji, a w dodatku traktuje ją tak lekko, jakby chodziło o kilkudniowy piknik. W każdym razie starała się przekonać do udziału w wyprawie pracowników Imperium i wszystkie inne znane sobie osoby.

– Udało jej się kogoś namówić?

– Mam nadzieję, że nie. Słuchaj, mój drogi, nikt bardziej ode mnie nie pragnąłby odnaleźć Przystani... Przyjaciel Chaki, traper i przewodnik, znalazł na drzewach w pobliżu Illyrii jakieś stare znaki. I tyle. Pewnie znaki kończą się kilkanaście mil dalej. Później uczestnicy ekspedycji zapewne zawrócą, tracąc reputację i narażając się na śmieszność. Nie mogę sobie pozwolić na takie ryzyko i nie zamierzam się mieszać w tę sprawę.

– Przecież nic nie mówię – mruknął Quait.

– Może i nie, ale patrzysz na mnie z wyraźną dezaprobatą. Nawet ten jak mu tam... Shannon, przyznał, że nie może niczego zagwarantować.

– Shannon?

– Traper.

Quait skinął głową.

– W podobnej sytuacji nikt ci niczego nie zagwarantuje, Silasie. To prawie niemożliwe. Wiesz o tym również dobrze jak ja.

– Tak. – Świeca płonąła w stojącym na stole kloszu. Silas zapatrzył się w nią. – Nie szukam gwarancji, Quait. Wiesz o tym.

Quait spróbował wina, oblizał wargi, odstawił kieliszek.

– Silasie, możemy porozmawiać szczerze?

– Oczywiście.

– Co cię właściwie przeraża? Co cię powstrzymuje? Dlaczego nie chcesz odszukać jedyne miejsce, które ma dla ciebie prawdziwe znaczenie? Wycofałeś się dziewięć lat temu i wycofujesz się teraz.

– Przyznasz, że przed dziewięcioma laty miałem rację.

– Nie wiem. A miałeś?

– Nikt nie wrócił. Z wyjątkiem Karika.

Quait wzruszył ramionami.

– Może twoja obecność zmieniałaby coś, pomyślałeś o tym? – Pochylił się do przodu. – Silasie, mam świadomość, że gdybyś poszedł, zaryzykowałbyś swoją zawodową reputację. Wiem, że szanse powodzenia nie są zbyt duże. Sądzę jednak, że przy podejmowaniu decyzji nigdy nie dbałeś o opinie innych osób. Taki tok myślenia po prostu do ciebie nie pasuje.

– Jasne, że pasuje – odburknął starzec. – Zawsze interesowało mnie zdanie ogółu. Musiało mnie interesować. Moja egzystencja zależy od innych ludzi.

– W takim razie może masz rację – poddał się Quait. – Jeśli Przystań rzeczywiście gdzieś tam się znajduje, może nie ty powinieneś ją odnaleźć. Może nie jesteś właściwą osobą. Uważam po prostu, że zadajesz sobie niewłaściwe pytanie. Zastanawiam się raczej, co się zdarzy, jeśli Shannon ma rację. Jeśli szlak jest w pełni oznakowany... Jeśli na jego końcu naprawdę leży Przystań.

– Zbyt dużo tych „jeśli”.

– Tak. No cóż, chyba już ustaliliśmy, że szanse są niewielkie. Gdyby były ogromne, odkrywcą mógłby zostać byle bubek. Albo gdyby nie istniało ryzyko... Zgadza się?

Silas lubił czytać utwory Bernarda Shawa. Spędził wieczór w bibliotece Senackiej, kartkując „Profesję pani Warren”, nie mógł się jednak na niczym skupić, ponieważ jego umysł całkowicie zaprzętała rozmowa z Quaitem. Illyryjczycy dysponowali także egzemplarzami „Człowieka i nadczłowieka”, „Majora Barbary” i „Zbyt prawdziwe, aby było dobre” oraz fragmentem „Świętej Joanny”.

„Idę po nagrodę, Silasie – powiedział kiedyś Karik. – Tam jest wszystko. Szekspir, Dante i opowieści Drogowców. A także książki poświęcone matematyce i naukom ścisłym. Czekają na nas. Potrzebujemy jednak ciebie”.

Wtedy Silas odmówił. Wiedział, że ekspedycja nie ma sensu. Wmówił to sobie i prawdopodobnie pragnął, by misja się nie udała. Desperacko przekonywał siebie, aż przekonał.

A teraz wszystko zaczęło się od nowa. Wróciły dawne lęki.

Nagroda była tak ogromna, że żadne ryzyko nie wydawało się zbyt wielkie. Tym razem wszakże nie Karik Endine namawiał go do wyprawę na pustkowie, ale młoda, ogarnięta pasją podróżniczą kobieta i zadurzony w niej dawny student Silasa.

Starzec nieuważnie przewrócił kilka stron „Profesji pani Warren”. Patrzył na tekst, choć właściwie go nie czytał, gdy nagle rzuciła mu się w oczy jedna linijka – wypowiedź Vivie do pani Warren pod koniec IV aktu. „Gdybym była tobą, matko, może postępowałabym tak jak ty. Nie mogę jednak żyć jednym życiem, a wierzyć w drugie”.

Po chwili Silas odłożył książkę.

Szedł powoli do domu, wspinając się po krętej drodze. Minął oświetlone świecami chaty, piekarnię i aptekę Cape'a. Postanowił, że jutro prześle wiadomość Chace, a następnie poprosi Radę Akademii o sfinansowanie misji.

Kiedy oficjalnie ogłoszono, że zostanie zorganizowana druga ekspedycja, Silas stał się centrum uwagi w Imperium. Bliscy przyjaciele odradzali mu udział w misji, dalsi zaś nie kryli rozbawienia. Mimo to wszyscy jego koledzy po fachu – bez względu na punkt widzenia – czuli się zobowiązani do publicznych wyjaśnień, dlaczego sami nie przyłączają się do wyprawy. Panowała przecież powszechna opinia, że naukowiec powinien poświęcić życie poszukiwaniu mądrości i wiedzy. Jednak, jak zauważył jeden z matematyków, choć żądza wiedzy pcha człowieka do drogi, mądrość rozkazuje mu, by tkwił w miejscu.

Silas twierdził, iż należy wyruszyć jak najprędzej, motywując swój pośpiech porą roku. Mówił, że pierwsza ekspedycja trwała ponad sześć miesięcy, a wędrowcy pragną wszak wrócić przed zimą (zwłaszcza że kierują się na północ). Naradził się z Chaką i ustalili datę wyjścia na 16 lutego.

Dzięki politycznym koneksjom Silasa, Quaita przydzielono do misji jako przedstawiciela wojska, dzięki czemu młodzieniec nie stracił pensji. Starzec poinformował oczywiście dziewczynę, że właśnie Quait namówił go do zmiany decyzji. Kiedy Chaka wzięła gwardzistę na bok, aby mu podziękować, młody człowiek odpowiedział uprzejmie, choć bez przesadnej skromności.

Przez jakiś czas sądzili, że wyprawia się jedynie we troje. Lub we czwórkę, o ile zgodnie z przewidywaniami dziewczyny dołączy do nich Shannon. Quait był z tego faktu zadowolony, twierdził bowiem, że mniejsza grupa ma większe szanse na odniesienie sukcesu.

– Będziemy mogli funkcjonować jako całość i nie powinny nam grozić kłótnie z powodu różnicy poglądów. Poza tym trzyosobowa grupa nie zdenerwuje Tuków.

Chaka spędziła dużo czasu, przygotowując się do misji. Przeczytała wszelkie dostępne informacje na temat Przystani i Abrahama Polka.

Z większości tekstów zgodnie wynikało, że Polk był kapitanem „Quebeca”, okrętu wojennego, który potrafił pływać z dużą prędkością pod wiatr. (Zdaniem współczesnych autorytetów naukowych w legendzie tkwiło ziarno prawdy – prawdopodobnie rzeczywiście istniał okręt o nazwie „Quebec”. Żaden z uczonych nie wiedział wszakże, do kogo lub czego nazwa ta się odnosi, z przymrużeniem oka też traktowano dziwaczne szczegóły, takie jak na przykład stwierdzenie, że okręt mógł się przemieszczać pod wodą). Nikt nie zaprzeczał, że Polk zajmował się ratowaniem dóbr związanych z epoką Drogowców.

W „Podróżach” zapisano, że po ustąpieniu Zarazy dowodzony przez Polka „Quebec” pływał po morzach przez siedemdziesiąt siedem lat (liczba z pewnością była mistyczna), zbierając rozbitków i odwożąc ich do dobrze zabezpieczonej kryjówki o nazwie Przystań. Polk gromadził również wszelkie możliwe dzieła sztuki, nauki, literatury i historii wymierającej cywilizacji, które później przechowywano przez kilka wieków. Nazwiska jego towarzyszy były prawie tak sławne jak samego Polka. Casey Winckelhaus – jego zastępczyni. Harry Schroeder – twardy i wytrzymały mężczyzna, syn szewca, który w pobliżu Kopenhagi oddał życie za swego dowódcę. Jennifer Whitlaw, która w relacji z podróży – obecnie, o ironio, zupełnie zapomnianej – stworzyła słynną nazwę całej grupy: Październikowy Patrol.

Polk zaginął gdzieś na morzu. Gdy ukończył pracę, Bogini po prostu wezwała go do siebie. Wtedy mieszkańcy Przystani zamknęli bramy, by nie dopuścić do wnętrza kryjówki niebezpieczeństw świata zewnętrznego i skupili się na zabezpieczaniu ocalałych przedmiotów. Tej pracy poświęciły się pokolenia naukowców. Opiekowali się księgami, a kiedy pożółkły i zaczęły się kruszyć, kopiowali



je. Czekali na narodziny nowej cywilizacji. Zgodnie z legendą nadal czekają.

Chaka wyszukała wszystkie istniejące ilustracje „Quebeca” i Przystań. Okręt przedstawiano zazwyczaj jako szkuner bez żagli, lecz z kapitańskim mostkiem i pokładem dziobowym zamkniętym we wnętrzu metalowej osłony.

Przystań – widziana z zewnątrz – wyglądała całkiem podobnie do otoczonej morzem skalnej ściany z trzynastego szkicu Arina. Dziewczyna znalazła też ryciny przedstawiające wagonik górski, który rzekomo podróżował po urwiskach łączących Przystań i bazę.

„Quebec” wypływał z pomieszczenia, które miało bezpośredni dostęp do morza. Pisano, że okręt może wpłynąć do oceanu zupełnie niewidoczny z góry. Tekst poświęcony „Quebecowi” był tak niewiarygodny, że Chaka nie doczytała go nawet do końca.

W połowie ostatniego tygodnia przygotowań w Imperium pojawił się Flojjan i wziął Silasa na stronę. Syn Karika był bardzo wymizierowany i miał przekrwione oczy, jak gdyby od dłuższego czasu nie sypiał zbyt dobrze.

– Chcę iść z wami – oznajmił.

Nigdy wcześniej nie okazał najmniejszego śladu zainteresowania wyprawą. Co więcej, wyglądał na człowieka, który nie wyobraża sobie gorszej niewygody niż pójście do studni po świeżą wodę.

– Po co? – spytał Silas.

Siła małej grupy miała leżeć w jednomyślności. Ponadto Rada Akademii pragnęła do minimum ograniczyć koszty.

– Ze względu na opowieści o moim ojcu.

Silas poruszył się niespokojnie.

– Nie zwracaj na nie uwagi. Ludzie lubią gadać. – Potrząsnął głową.

Flojjan próbował wyprostować ramiona.

– Mam prawo iść z wami. Mogę za siebie zapłacić. Zresztą... I tak pójdę, chcecie czy nie.

Silas sprzeciwił się.

– Wszystko już zaplanowaliśmy – wyjaśnił. – Pamiętaj, że wyprawa będzie naprawdę trudna. To nie piknik. – Skrzywił się na użyte słowo, ale zapanował nad sobą. Flojjan wydawał mu się jednostką zupełnie bezużyteczną. Jego życie wypełniały pieniądze i komfort.

Niestety, syn Karika się uparł.

– Nie zdołasz mnie powstrzymać – oznajmił. – Proszę cię, Silasie. Wiem, że nie masz o mnie najwyższego mniemania, sądzę jednak, że jesteś dłużny tę przysługę mojemu ojcu.

– Przekażę twoją prośbę pozostałym członkom ekipy – obiecał starzec – i dam ci odpowiedź.

Jedno ze spotkań grupy przyciągnęło kolejnego gościa: Avilę Kap z zakonu Shanty Uzdrawicielki. Był bezchmurny, ciepły wieczór, lecz kobieta – zamiast kapłańskich szat – miała na sobie szarą flanelową koszulę i bawełniane spodnie.

– Chciałabym wyprawić się z wami – powiedziała.

Silas dostrzegł, że Chaka i Quait przestraszyli się na widok Avili równie mocno jak on sam. Teraz całą trójkę dodatkowo zbiło z tropu jej oświadczenie. Przypuszczali, że ze względu na swoje powołanie musiała przestrzegać jakichś zasad i nie mogła ni stąd, ni zowąd powędrować na odludzie.

– Mentorko – powiedział – zebraliśmy już pełną ekipę.

Avila była wysoką kobietą, miała prawie sześć stóp, niemniej poruszała się z gracją. W jej ciemnych oczach odbijało się światło, teraz Silas zauważył w nich błysk desperacji.

– Mimo to pójdę. Czy mi pozwolicie, czy nie. – Popatrzyła po kolei na każde z nich. – My, kapłanki, co roku spędzamy kilka tygodni na pustkowiu, by komunikować się z Boginią. Potrafię przeżyć w każdych warunkach i mogę was zapewnić, że nie będę dla was ciężarem.

– Och, jestem o tym przekonany. – Starzec pomyślał o Flojianie i porównał ich oboje. Wiedział, które z nich dwojga będzie dla grupy ciężarem. – Masz pozwolenie na tę wyprawę?

– Proszę się o to nie martwić!

Zapadło przykre milczenie.

– Mogę spytać, dlaczego chcesz z nami pójść?

Zrobiła długi, głęboki wdech.

– Pragnę, by moje życie nabrało znaczenia.

Silasa uhonorowano w Imperium zwojem opisującym jego wysiłki w poszerzaniu granic ludzkiej wiedzy. Starzec otrzymał też owację, której towarzyszyły dźwięki trąb.

Flojian powierzył swoje przedsiębiorstwo asystentowi, który natychmiast wytrącił go z równowagi obietnicą znalezienia nowych sposobów zarobkowania.

– Nie zmieniaj niczego – nakazał mu Endine. – W przeciwnym razie gdy wrócę, porachuję ci kości!

O wschodzie słońca 16 lutego, dwadzieścia dni po podjęciu decyzji i osiemdziesiąt trzy dni od śmierci Karika, Silas, Chaka, Quait i Avila wyruszyli do willi Flojiana, gdzie czekał na nich tuzin jucznych koni i stodoła pełna zapasów. Silas pożegnał się z przyjaciółmi i krewnymi, którzy – wedle tradycji – życzyli mu, żeby wiatr przeszkodził mu w drodze, a rzeki uniemożliwiły wszelkie przeprawy. (Słowa te miały rozwiać zazdrość bogów). Starzec zdążył uaktualnić testament, swój dom zaś powierzył do czasu powrotu opiece zaufanego studenta.

– Albo aż nadejdą smutne nowiny i uprawomocni się mój testament.

Avila przybyła w leśnozielonej koszuli i bryczesach. Nie zabrała ze sobą świętych szat ani żadnych drobiazgów wiążących się z jej zakonnym życiem. Zwierzchnicy w Świątyni byli nieco wstrząśnięci odejściem kapłanki, chociaż jej decyzja nie stanowiła dla nich całkowitego zaskoczenia. Nie cieszyło ich też, że kobietę czeka obecnie w Myrii żywot społecznego wyrzutka.

Flojian wiózł w sakwach sporo złotych monet. Nie miał ochoty podróżować z tak dużą kwotą, wiedział jednak, że złoto otwiera wszystkie drzwi, i podejrzewał, że pieniądze bardzo im się przydadzą.

Chaka nie traciła nadziei, że Raney pojawi się w ostatniej chwili. Podczas gdy jej towarzysze rozmawiali na temat ostatnich szczegółów organizacyjnych, ładowali juczne konie, punkt po punkcie sprawdzali spisy kontrolne, upewniali się, czy mają sprzęt niezbędny do podkucia zwierząt, dziewczyna stale rozglądała się wokół w poszukiwaniu przyjaciela i jego dużego kasztanowego ogiera.

W pobliżu kręciło się kilka tuzinów gapiów. Potrząsali głowami. Illyryjczycy dosiedli koni, pomachali zebrany i w jaskrawym świetle słońca opuścili tereny willi. Wjechali na Drogę Rzeczną i skierowali się na północ. Przesadą byłoby powiedzieć, że na trasie stały tłumy, przez jakiś czas wszakże w drodze towarzyszyły im pojedyncze osoby i małe grupki. Ludzie obserwowali przejeżdżających i machali im.

Niestety, Chaka nigdzie nie dostrzegła kasztanowego ogiera.

Droga Rieczna biegła wzdłuż Missisipi do Argonu, najbardziej na północ wysuniętego miasta Ligi, oddalonego o blisko dziesięć dni jazdy w górę rzeki. Droga była mocno zwietrzała – przeważnie żwirowe podłoże i dobry drenaż. Opadała przez gęste lasy porośnięte srebrnym klonem, białym orzechem amerykańskim, leszczyną i cyprysami. Mijała farmy i rancza, przecinała stopy popękane cementu i rozległe łąki. Betonowe fragmenty przesuwwały się wśród bagien, drewniane mosty stały nad strumieniami i wąwozami. Grupa podróżników zatrzymała się przed miejscami historycznymi: Polaną Pandara, na której pewien illyryjski bohater przechylił szalę zwycięstwa w wojnie przeciw Argończykom, odnowiony fort Cesarstwa Baranji z czasów, kiedy Missisipi wyznaczała zachodnią granicę imperium, posąg żołnierza Drogowców z odłamanym prawym ramieniem i inskrypcją: TRWAŁ NA POSTERUNKU NICZYM SKAŁA.

Chaka cieszyła się, gdy z poboczy zniknęli gapie. Jeźdźcy wjechali w milczący las. Dziewczyna była w Argonie wielokrotnie, chociaż ostatnim razem prawie sześć lat temu – podczas wyprawy łowieckiej z rodziną. Wtedy te wycieczki wydawały się podróżami na koniec świata. Nadal jeszcze nie mogła uwierzyć, że tym razem graniczne miasto będzie dla nich jedynie punktem wypadowym do dalszej podróży.

Miała do siebie pretensje za to, że pozwoliła Flojjanowi przyłączyć się do ekspedycji. Mały człowieczek jechał teraz na przedzie z Silasem, siedząc na koniu w typowy dla siebie afektowany sposób. Chakę zirytował fakt, że tych dwóch mężczyzn znajduje tak wiele wspólnych tematów do rozmowy. Powiedziała Quaitowi, że za kilka dni Flojjan zapewne zrezygnuje i wróci do domu.

Silas podskakiwał na zbyt dużym dla siebie koniu. Wypożyczył z Imperium specjalnie na wyprawę nowe, obce sobie zwierzę, wiedząc, że jego wierzchowiec jest za stary na długą, męczącą podróż. Chace starzec wydawał się nieco przestraszony i zaniepokojony, nie narzekał jednak i udawał, że na głuchym pustkowiu czuje się całkiem swojsko. Czasem nawet unosił się w siodle, by dokładniej się przyjrzeć rzece, eukaliptusom lub czemuś innemu, co przypadkiem przyciągnęło jego uwagę.

– Nic mu nie będzie – zauważył Quait. – Po prostu potrzebuje trochę czasu, aby przyzwycząić się do drogi.

Chaka była wdzięczna Quaitowi nie tylko za wielką pomoc w zorganizowaniu misji, lecz także za jego sympatię. Mężczyzna wyraźnie ją lubił. Bardzo potrzebowała jego wsparcia właśnie teraz, zdrada Raneya zraniła ją bowiem bardziej, niż chciała się do tego przyznać. Przez cały pierwszy dzień jazdy stale czekała na odgłosy końskich kopyt za sobą. Mnóstwo razy odgrywała w umyśle scenę powitania – Raney przeprasza i błaga, by mógł się do nich przyłączyć; ona, zimna i oficjalna, przez jakiś czas pozwala mu się prosić.

„Będziesz musiał się zwrócić do Silasa – powiedziała mu. – To nie zależy ode mnie”.

– Trudno uwierzyć – odezwała się. – Chyba na razie podróż nie sprawia mi przyjemności.

– Nie jest przyzwyczajony do tak długiej jazdy.

– Widzę. Co porabiał przez ostatnie czterdzieści lat?

– Próbował zrozumieć, co napędza słońce. Miejsca, w które chciałby się udać, są niedostępne dla nas, ludzi.

Chaka nie była pewna, czy zrozumiała słowa Quaita, nic jednak nie odpowiedziała.

Pozostawała nieufna wobec Avili. Kapłanka zachowywała się dość przyjaźnie, a jednak niedawno porzuciła swój zakon. Chaka była osobą wierzącą, choć nie zagłębiała się za bardzo w swoją wiarę i nie zastanawiała nad kwestiami doktrynalnymi. Wyznawała zasadę: „Nie ryzykuj, szanuj bogów, a może ci się opłaci. Kto wie?”.

Był czas, jeszcze ze dwadzieścia lat temu, gdy po zerwaniu z zakonem dawny sługa boży musiał wszystkim schodzić z drogi. Na szczęście wraz z nadejściem republiki prawa kościelne zliberalizowano. Avila mogła obecnie robić w życiu, co chciała, chociaż większość ludzi – podobnie jak Chaka – uważało ją za osobę niesumienną, niepoważną i moralnie podejrzaną.

Jednak właśnie ona jako jedyna spośród całej grupy była już wcześniej na północ od Argonu.

– Ustronie naszego zakonu znajduje się około dwóch dni jazdy od miasta – wyjaśniła. – Leży w paśmie górskim otoczonym ze wszystkich stron lasami. Dobre miejsce na modlitwę i kontemplację.

– Nie obawiałaś się Tuków? – spytała Chaka.

– Na początku tak, chociaż byłam w swych obawach osamotniona. Nikt się nimi nie przejmował, przynajmniej nikt, kto przebywał kiedykolwiek w tej okolicy. Zresztą Tukowie okazali się całkiem przyjaźni.

– Co kontemlowałaś?

– Słucham?

– Mówiłaś, że kontemlowałaś. Nad czym rozmyślałaś? Avila się roześmiała. Jej śmiech brzmiał przyjemnie, był nieco powściągliwy, lecz uprzejmy i szczerzy.

– Przypuszczalnie przeważnie rozglądałam się po tym odludziu i zastanawiałam, co tu robię.

Silas podjechał bliżej i przez chwilę przysłuchiwał się rozmowie dwóch kobiet.

– Będziemy przejeżdżać przez ustronie?

– Nie – odparła. – Kiedy dotrzemy do Argonu, skęcimy na wschód.

– Sądzę – odezwała się Chaka – że podczas tej podróży wiele czasu poświęcimy na kontemplację.

Minęli znak. Pochodził z czasów Drogowców. Wykonano go z tworzywa, które wyglądało na nierdzewne. (Pochodzenie co bardziej egzotycznych materiałów Drogowców, które wyglądały na prawie niezniszczalne, pozostawało dla Illyryjczyków kolejną niezwykłą zagadką). W świetle słonecznym czarne litery pięknie lśniły.

PODAŻAJCIE ZA BOŻYM SYNEM JESTEŚCIE NA DRODZE DO WIECZNOŚCI

Cała piątka na tyle dobrze potrafiła czytać w języku Drogowców, aby uchwycić dosłowne znaczenie. Wszystkich powyższe słowa wprawiły w zakłopotanie.

– O co tu chodzi, Silasie? – spytała Chaka.

Starzec odwrócił się w siodle.

– Chyba czas zsiąść z koni i pójść na piechotę.

– Prawdopodobnie nie o to chodzi – wtrąciła kapłanka.

– Moim zdaniem Silas ma rację – dołączył do dyskusji Quait. – Zwierzęta powinny odpocząć.

Było chłodno i Silas poprawił szalik.

– Drogowcy wierzyli w boga, który torturował ludzi po śmierci. Jeśli zgrzeszyli.

– Barbarzyński kult – mruknęła Avila. – Czyżby ludzie powoływali do życia bóstwo, które stanowi odbicie ich własnego charakteru?

Flojjan odwrócił się i spojrzał na nią.

– Przyznam ci się, że bardzo mnie zaskakują takie słowa w ustach kapłanki! Uczono nas, iż boska istota nie może się mylić, chyba że z własnej woli.

– To jest oficjalne twierdzenie – odparła Avila, wcale się nie obrażając. – Nawiasem mówiąc, odeszłam z zakonu.

Flojjan wywrócił oczami.

– Czy Silas wiedział, że jesteś ekskapłanką, kiedy zaprosił cię do udziału w ekspedycji?

Skinęła głową.

– Przed nikim nie ukrywam swojej pozycji.

Chaka miała ochotę w tej sprawie stanąć po stronie Flojiana. Gdyby wierzyć w stare przesady, dawna kapłanka mogła przynieść misji pecha. Przed wyprawą dziewczyna zastanawiała się, czy nie odmówić kobiecie prawa do pójścia z nimi, uznała jednak, że nie potrafi racjonalnie wyjaśnić powodów swej niechęci. Postanowiła jednak trzymać się od Avili w pełnej szacunku odległości, na wypadek gdyby w grupę uderzył piorun.

Kilka mil na północ od Illyrii las ustępował niskim, trawiastym wzgórzom, które z kolei opadały w teren bagienny. Niebo stało się szare, chociaż nie zanosilo się na deszcz. Podróżnicy zatrzymali się nad wodą.

Źródło było przezroczyste i zimne. Chaka uklękła na skale i zaczerpnęła pełną garść wody. Smakowała dobrze i poprawiła dziewczynie humor. Chaka wciąż jeszcze miała nadzieję, że ujrzy Raneya, choć z drugiej strony działa się z nią coś dziwnego – chętnie coraz bardziej oddalała się od Illyrii, jakby specjalnie chciała pozbawić narzeczonego szans na dogonienie ich.

– Nie mamy już żadnych wątpliwości, co? – Silas pojawił się obok niej. Wepchnął ręce w kieszenie kurtki i przybrał minę pewnego siebie przywódcy. Chaka zastanawiała się, jak czuł się naprawdę.

– Nie, Silasie – odrzekła. – Najmniejszych. Cieszę się, że w końcu wyruszyliśmy.

– To dobrze. – Wyjął garnuszek i zanurzył go w strumieniu.

– Chociaż... czułabym się lepiej, gdybyśmy dysponowali mapą.

– Ja również. – Wypił duży łyk i w zadumie zapatrzył się na horyzont. – Znajdziemy drogę. Tymczasem zamierzam zacząć pisać dziennik. Nie postępujemy tak jak Karik. – Uśmiech rozjaśnił jego twarz. – Stworzymy najwspanialszą księgę podróży naszego stulecia. Kiedy dotrzemy za granicę Ligi, postaramy się utrwalić jak najwięcej: listowie, dziką przyrodę, pogodę, topografię, ruiny, wszystko. I sporządzimy mapę. – W odległości mili od nich znajdował się mostek nad moczarami. – Nasi ewentualni następcy nie będą się musieli bawić w zgadywanki.

– Wielki Geograf. – Chaka się uśmiechnęła.

– Tak. – Serdecznie się roześmiał. – Postawią mi pomnik w Imperium. Lewa ręka przysłania oczy, prawa wycelowana w horyzont. – Zademonstrował pozę.

Chaka wykonała charakterystyczny dla siebie gest, podnosząc oba kciuki.

Do „Zajazdu u Garbusa” przybyli tuż przed zachodem słońca. Główny budynek był konstrukcją trzypiętrową, masywną, zbudowaną w sposób nieco chaotyczny – z wieżyczkami, balkonami, oknami wykuszowymi, ogrodzonymi szklą gankami, pochyłymi oknami mansardowymi i gzymsami. Przed wejściem stał marmurowy zegar słoneczny, służący równocześnie jako fontanna. Stajenni zajęli się końmi wędrowców, a odźwierni w liberiach wprowadzili gości do bogatego wnętrza. Chaka podziwiała grube dywany i lśniące podłogi z twardego drewna. Na ścianach namalowano sceny łowieckie. Główny hol i korytarze wypełniały eleganckie meble z poprzednich epok, w oknach wisiały piękne czerwone kotary.

Każdy z członków grupy był tu wcześniej raz czy dwa razy. Zajazd prowadził czterystufuntowy gigant imieniem Jewel, który wytwornie się wysławiał, a maniery miał nienaganne. Bujna czarna broda opadała mu na białą koszulę. Jego ramiona były grube jak pnie drzewa. Twarz zdobiły mu wielkie zmierzwione brwi, gęste czarne włosy przyprószyła siwizna, a wspaniałymi zębami zapewne potrafił zmiążyć niejedną kość. W rozmowach z kelnerami, stajennymi i kupcami rysy gospodarza żłobił czasem okrutny grymas, lecz wobec gości Jewel był niestęchanie uprzejmy. Do czworga z przybyłych zwrócił się po imieniu, mimo iż nie widział ich od kilku lat. Nie mógł sobie jedynie przypomnieć imienia Avili; zmylił go zapewne jej świecki strój.

– Dobrze was znowu widzieć w „Zajeździe u Garbusa” – zagaił. – Słyszałem o waszej ekspedycji i wiecie co? Jeśli możemy coś dla was zrobić, nie wahajcie się prosić. – Wyjaśnił, że niestety w gospodzie panuje obecnie spory tłok, toteż Illyryjczycy będą musieli pomieścić się w dwóch pokojach. Miał nadzieję, że jakoś zniosą te niewygody. I tak zamierzali dzielić pomieszczenia, więc tylko się uśmiechnęli, jedynie Flojjan zrobił zakłopotaną minę.

Jewel polecił swoim ludziom, by zadbali o bagaże podróżnych, po czym osobiście pokazał im wyznaczone kwatery. Mówił, że pragnie zapewnić gościom wszelkie wygody i ma nadzieję, że w drodze powrotnej ponownie odwiedzą jego zajazd. Podziękowali życzliwemu gospodarzowi i dali się zaprosić na siedemnastą do jadalni.

Kwatery były z założenia jednoosobowe, lecz przestronne i wygodne, niemal tak wspaniałe, jak Chaka je zapamiętała. Kotary odsłonięto, toteż pomieszczenia tonęły w słońcu.

W pokoju, który dziewczyna dzieliła z Avilą, na słabym ogniu podgrzewały się rondelki z wodą. Po jednej stronie ogromnego łóżka z wielkimi puchowymi poduszkami i kołdrą paliły się lampy olejowe. Świeżo wyszorowana drewniana kadź błyszczała kusząco obok kominka, na wysokim drewnianym podeście, z którego łatwo spływała zużyta woda.

Dwóch chłopców służebnych przybyło z kubelkami świeżej wody. Avila dała im po monecie.

– Dziękuję pani – powiedział wyższy. – Proszę zadzwonić, gdy będzie potrzeba więcej.

Obie kobiety po długiej drodze były pokryte kurzem i należała im się kąpiel, jednak Chaka nie mogła się zmusić do rozebrania. W pokoju nie było firanek ani parawanów, a pomysł zdjęcia ubrania w obecności służebnicy Shanty onieśmielał dziewczynę. Rozluźniła szalik i zamyśliła się, gdy nagle uprzytomniła sobie, że Avila bacznie jej się przypatruje.

– Jeśli nie masz nic przeciwko temu – zaczęła lekko rozbawiona kapłanka – skorzystam z przywileju starszeństwa i umyję się pierwsza.

Gdy ludzie są nadzy, w zapomnienie idą ich tytuły, wzajemne pretensje i wątpliwości. Nie minęło więc nawet dwadzieścia minut i Chaka zwierzyła się nowej przyjaciółce z tego, do czego nie przyznawała się choćby przed sobą: że poczuła się odrzucona przez Raneya i uważa ich wspólną przyszłość za niemożliwą. Marzenia dziewczyny legły w gruzach.

– Może szczęśliwie się stało. – Avila się zamyśliła. – Gdybyś naprawdę go kochała, pewnie by cię tutaj nie było. Dzięki tej sytuacji dowiedziałaś się zatem czegoś o sobie samej.

– Może i tak – przyznała Chaka. A jednak nadal czuła się zraniona.

– Dlaczego właściwie wzięłaś udział w wyprawie? – spytała Avila. – Ryzykujesz chyba najwięcej z nas wszystkich.

Chaka opowiedziała o swoim bracie. Kapłanka wysłuchiwała bez słowa komentarza. – A ty?

– Wyprawa stanowi dla mnie szansę ucieczki – wyjaśniła kobieta. – Zresztą interesuje mnie historia Drogowców. Jeśli Przystań rzeczywiście istnieje, pragnę ją zobaczyć.

Chaka siedziała przy oknie i wpatrywała się w purpurowiejące niebo.

– Obawiam się – zauważyła – że jeśli ją znajdziemy, będzie zupełnie zrujnowana. Jak wszystko inne. – Opisała Avili podróżę w czasie, o których przeczytała w „Jankesie na dworze króla Artura”. Żałowała, że nie są możliwe. – Chciałbym obejrzeć ich miasta, gdy były w rozkwicie. I podróżować ich drogami, zanim zarosły lasem. Widzieć hojje w ruchu.

– Wagony, które nie potrzebowały koni – mruknęła Avila. – Nadal nie jestem pewna, czy w nie wierzę. – Oparła jedną stopą na niskim taborecie, nabierała z kadzi gorącej wody i polewała nią ramiona i piersi. Mydliny spływały do rowów ściekowych. (Illyryjczycy nie przesiadywali w wannach, sam pomysł takiej kąpieli z niewiadomych względów ich przerażał). – Ale masz rację. Moglibyśmy się wiele nauczyć o sposobach korzystania z autostrad i dzięki nim cofnąć się o tysiąc

lat. Albo w inną epokę.

– Chyba w pewnym sensie to właśnie robimy – powiedziała Chaka.

Dziewczyna umyła się, po czym obie ubrały się w czyste stroje. Zeszły po schodach i wkroczyły do jadalni w doskonałych humorach. Przyprawiony przez kucharza udziec wołowy obracał się powoli na różnie nad otwartym ogniem. W pomieszczeniu stało mniej więcej dwadzieścia stolików, każdy oświetlony lampą olejową. Połowę miejsc zajmowali goście, którzy wyglądali na nieco wstawionych. Towarzysze Chaki i Avili wybrali dla całej grupy narożny stolik. Quait pomachał do kobiet, pozostali również popatrzyli w ich stronę. Mierzyli obie kobiety wzrokiem dość długo i Chaka poczuła na policzkach rumieniec satysfakcji wywołany przez ich zainteresowanie.

Wino i piwo lało się strumieniami. Lokal wypełniły śmiechy i skwierczenie piekącej się wołowiny. Na podwyższeniu w środku sali siedział młody mężczyzna ze skrzyżowanymi nogami i grał na gitarze.

*Wypiję za zdrowie z lubą mą.*

*Niech spadną gwiazdy, niech rzeki schną, Świat jest uludą, póki ciebie mam, Pierwsze, co jest ważne, to ty i ja.*

Quait nalał obu kobietom wina i ponownie napełnił pozostałe kieliszki. Cała piątka wzniosła toast za powodzenie ekspedycji, potem jedno po drugim wstawali, brali metalowe naczynia i podchodzili do różna. Kucharz odkrawał wielki kawałek mięsa dla każdego, nabierał chochlą groszku z rondelka i dodawał po dwie kolby kukurydzy zanurzonej w stopionym maśle. Chaka wzięła też kromkę chleba i jabłko.

Kiedy wrócili na miejsca, do jadalni wszedł Jewel z kieliszkiem wina. Na jego widok umilkł zarówno muzyk, jak i goście. Gospodarz wysoko podniósł kieliszek.

– Nasz najlepszy trunek – powiedział. – Proszę, byście dzisiejszego wieczoru wypili ze mną zdrowie wyjątkowych klientów „Zajazdu u Garbusa”. – Wskazał na Chakę i jej towarzyszy. – Panie i panowie, mamy zaszczyt gościć grupę bardzo specjalnych osób. Silas Glote i Flojjan Endine przewodzą ekipie odkrywców, którzy zamierzają spróbować odnaleźć zaginione księgi. – Zerknął na starca. – Mam rację, Silasie?

Wszyscy zebrani powitali go oklaskami. Silas pochylił głowę. Chaka zastanawiała się, kto mianował Flojjana przywódcą.

– „Zajazd u Garbusa” bardzo dobrze wam życzy.

Gospodarz opróżnił kieliszek.

Widownia poszła w jego ślady. Znowu rozległy się oklaski.

– Tak przy okazji – podjął Jewel – wino wyprodukowano specjalnie dla nas i sprzedajemy je dziś wieczorem po okazyjnej cenie. Dziękuję wszystkim za uwagę.

Ludzie podchodzili do podróżników i ściskali im dłonie. Młody, szczupły mężczyzna, sympatyczny i żywo zainteresowany legendą Przystani, wypytywał Chakę, jak dała się wciągnąć w misję, jak ocenia ich szanse na sukces i czy faktycznie czytała powieść Marka Twaina. Młodzieniec miał orzechowe oczy i przyjemny uśmiech. Uwadze dziewczyny nie umknęło zainteresowanie Quaita, który przypatrywał się ich rozmowie i z dezaprobatą marszczył brwi.

Mężczyzna przedstawił się jako Shom. Na jego zaproszenie Chaka wzięła swój kieliszek i oboje wyszli na werandę. Shom powiedział, że zazdrości jej zdecydowania. Też pragnęłaby zostawić za sobą cywilizowany świat i ruszyć przed siebie, by zbadać nieznanne tereny. Żałował, że nie może sobie pozwolić na taki gest.

Rozmawiali przez chwilę, patrzyli na rzekę, po czym wrócili do stolika.

– Mam nadzieję, że znajdziecie miejsce, którego szukacie – oświadczył młodzieniec całej grupie,

Chakę zaś zapytał: – Jak długo twoim zdaniem potrwa wasza misja?

– Może kilka lat – odburknął mu Quait.

– Mamy nadzieję, że nie dłużej niż do jesieni – powiedziała dziewczyna.

– Będę czekał na wasz pomyślny powrót. – Shom i Chaka spojrzeli sobie w oczy. Dziewczyna uśmiechnęła się. Młodzieniec odszedł.

Tłum zgromadził się teraz przy jednym z pozostałych stolików, który zajmował wychudzony osobnik o lisich rysach. Mężczyzna miał zamknięte oczy.

– Nie – odpowiedział na pytanie kogoś spośród zebranych – widzę cień przy twojej gwiazdzie.

Przez najbliższe dwa tygodnie pływaj ostrożnie. Nie będzie to dla ciebie sprzyjający okres.

Chaka przyłączyła się do tłumu.

– To Wagram – wyjaśniła stojąca za nią kobieta. Była już w średnim wieku, lecz wyglądała kwitnąco.

– Kim jest Wagram?

– Jak to kim?! – zagrzemiał człowieczek o lisich rysach.

– Jasnowidzem – odrzekła kobieta.

– A ty, młoda damo, jesteś Chaka Milana. – Wagram nieznacznie się uśmiechnął. – W chwili obecnej kierujesz się ku Przystani. Taką masz w każdym razie nadzieję.

Jeden ze stałych klientów szturchnął ją.

– On nigdy się nie myli – zauważył. Był starszym mężczyzną, przypuszczalnie po siedemdziesiątce.

– I jaki los dla nas przewidujesz, jasnowidzu? – spytała dziewczyna.

Wagram zamknął oczy. Quait wstał od swojego stolika i podszedł. Patrzył na Chakę z zaciekawieniem.

– Wasza ekspedycja zakończy się powodzeniem – oświadczył wreszcie. – Znajdziecie zaginiony skarb i wróćcie do Illyrii sławni i bogaci.

Chaka przez chwilę czekała na dalszy ciąg przepowiedni. Jasnowidz milczał, więc pochyliła się lekko ku niemu.

– Dziękuję panu.

– Proszę bardzo.

Wyjęła z kieszeni srebrną monetę. Nowina była warta zapłaty.

Tłum wyraził aprobatę, kilka osób potrząsnęło głowami, a jeden pijak próbował pocałować dziewczynę.

Kiedy Chaka i Quait wrócili do stolika, Flojjan spytał o przepowiednię. Ucieszył się, usłyszawszy słowa jasnowidza.

– Nie brałbym tej gadki zbyt poważnie – rzekł Quait. – Wróżbici zawsze przekazują dobre nowiny.

W ten sposób otrzymują większe datki.

– Niekoniecznie – obruszył się Flojjan. – Niektórzy z nich są uczciwi.

– Zastanawiam się – mruknął Silas – czy siedział tutaj również podczas pobytu ekipy Karika.



Przez następne kilka mil wędrowców otaczała niemal świąteczna atmosfera. Na Drodze Rzecznej często napotykali gospody, toteż każdą noc spędzali w ciepłym łóżku. Jadali dobrze, pili trochę zbyt wiele alkoholu i czasami przesiadywali do późna w nocy. Od czasu do czasu odpoczywali lub zbaczali z drogi, by zbadać miejsca interesujące w sensie archeologicznym. Pewnego dnia zatrzymali się na lunch w domu dawnego towarzysza Quaita z wojska.

W pobliżu Zapory Piriego obejrzeliby solidną kotwicę z łańcuchem. Kotwica zniknęła w lesie klonów cukrowych i była tak ciężka, że nikt nie mógł jej podnieść. Przyjrzeliby się odnowionemu działu na Cyplu Wiklinowym i zastanowiliby, jakiej zapomnianej wojny było świadkiem. Odwiedziliby też Muzeum Drogowców w Kiesce.

Minęli starożytne ściany i fundamenty. Hojnie stały wzdłuż drogi, zepchnięte na pobocza przed ponad stuleciem, w czasach kiedy Argończycy sprząkali swe autostrady. Pojazdów było mnóstwo. Przytłaczały różnorodnością kształtów i rozmiarów; niektóre były małe, inne – wręcz ogromne. Wiele przysypała gromadząca się wokół nich ziemia.

Podróżowali konno lub szli, często też zatrzymywali się na popas. Quait, który sporą część swego życia spędził w drodze, wiedział, jak łatwo podczas wielodniowej wędrowki męczą się konie i ludzie. Szczególnie martwił się o Silasa i Flojiana, którzy prowadzili dotąd siedzący tryb życia. Starzec już pierwszego wieczoru zaczął utykać, lecz wybrał grubą gałąź, opierał się na niej jak na łasce i nie zamierzał spędzać w siodle więcej czasu niż pozostali przedstawiciele ekipy. Do końca tygodnia przyzwyczał stawy do codziennego chodzenia.

Quait cieszył się swoją pozycją w grupie. Był jedynym młodym mężczyzną, a towarzyszyły mu dwie atrakcyjne kobiety. Jego uczucie dla Chaki wcale nie osłabło, choć kontakty z pociągającą Avilą również sprawiały mu przyjemność. Wyższa od niego o cal, ciemnooka, a – ze względu na swą kapłańską przeszłość – tajemnicza i egzotyczna.

Chaka okazała się dziewczyną wszechstronnie uzdolnioną. Doskonale sobie radziła w lesie, była strzelcem wyborowym, znała się na koniach, potrafiła każdego członka ekipy – nawet Quaita – namówić do dalszej drogi. Przez pierwsze kilka dni wydawała się nieco roztargniona, później jednak najwyraźniej zapominała o swoich problemach i zarażała pozostałych dobrym humorem.

Dziewiątego dnia, gdy zbliżali się do Argonu, zaskoczył ich zimny deszcz. Quait obawiał się, że zła pogoda pogorszy nastroje członków grupy, na szczęście jedynie Flojiana początkowo trochę narzekał, ale szybko nad sobą zapanował. Zatrzymali konie w „Wietrznych Wrotach”, ostatnim zajeździe przed miastem, dzięki czemu i tę noc przespali w łóżkach. Zameldowali się, wprowadzili do pokoi i wyszorowali do czysta, rozkoszując się gorącą wodą. Podczas kolacji Quait odczuwał lekki niepokój i zdenerwowanie. Z niecierpliwością oczekiwał jutrzejszego dnia, gdy ekspedycja wkroczy na Drogę Ku Pustkowiu. Pojadą na wschód, przez ogromną, odwieczną puszcze. Oddalą się od cywilizacji.

Tego wieczoru podróżnicy dali się wciągnąć w sprzeczkę z potężnym handlarzem bydła, który zbyt wiele wypił. Jego szyję pokrywały blizny, zęby domagały się dentysty, twarz zaś wyglądała, jakby ktoś kilkakrotnie uderzył w nią ciężką deską. Handlarz wyraźnie pożałował wzrokiem Avilę. Quait obserwował go ze swego miejsca, napinając mięśnie. Pamiętał radę, której udzielił mu pewien towarzysz z wojska: „Nigdy nie wdawaj się w rękoczyn z trzystufuntowym facetem o połamanych zębach”.

Handlarz siedział przy sąsiednim stoliku. Nagle uśmiechnął się do Avili i podniósł w jej kierunku kufel.

– Może się do mnie przysiądziesz, moja piękna? – zaproponował. – Pozbądź się tych wymoczków i weź sobie prawdziwego mężczyznę!

Zanim Quait zdołał zareagować, Flojjan skoczył na równe nogi z zaciśniętymi pięściami.

– Trzymaj się od niej z dala – warknął.

Kapłanka spróbowała załagodzić sytuację.

– Sama potrafię sobie radzić z mężczyznami – mruknęła.

Handlarz niedbale odstawił kufel.

– Nie wtrącaj się, karle – rzucił Flojjanowi. Uśmiechnął się do swojego towarzysza, jak gdyby powiedział coś zabawnego, i dał znak kelnerom, by dolali mu piwa. Przyjaciel handlarza był typkiem niewiele od niego mniejszym i równie odrażającym. Jakiś chłopak pospiesznie podszedł i napełnił kufel, aż piwo przelało się i pociekło na stół.

Handlarz łypnął złowieszczo na Flojjana, zachęcając go do repliki.

– Jesteś winien tej damie przeprosiny – warknął Endine.

– Owa dama potrzebuje mężczyzny – zadrwił handlarz. – Jeśli chcesz jej pokazać, mięczaku, ileś wart, jestem gotów się z tobą zmierzyć.

Niech to szlag, pomyślał Quait. Wstał.

Nie zdążył jednak nic zrobić, gdyż w tym momencie – ku jego zaskoczeniu – Flojjan wylał wielkoludowi piwo na spodnie. Oczywiście popełnił błąd. Quait wiedział, że jeśli już trzeba zaatakować niebezpiecznego przeciwnika, należy boleśnie go uderzyć, a nie prowokować.

Handlarz z rykiem skoczył na równe nogi, wytarł mokre nogawki, po czym obszedł stół i ruszył ku Flojjanowi, który skulił się, lecz nie wycofał. Quait podziwiał go za odwagę.

Wszystko zdarzyło się w mgnieniu oka. Handlarz podniósł prawą pięść o wyglądzie drewnianego młotka do wbijania namiotowych śledzi. Quait pożyczył dzban od młodego mężczyzny (który kręcił się po sali, obserwując starcie) i trzasnął nim przeciwnika w głowę, Avila zaś rozbiła krzesło na ramionach towarzysza handlarza, który nieco zbyt szybko wstał z miejsca. W tym momencie walka praktycznie się zakończyła. Pojawili się rozjemcy-kelnerzy z krótkimi pałkami. Quait otrzymał cios w głowę, a handlarz (który i tak nie bardzo wiedział, gdzie się znajduje) przyjął mocne uderzenie w gołeń. Gdy się pozbierał i wrócił do swojego stolika, zachowywał się znacznie spokojniej.

Jak powszechnie praktykowano w tej stosunkowo cywilizowanej epoce, obie strony musiały ponieść finansowe konsekwencje bijatyki. Rozjemcy przeprosili poszkodowanych za to, że użyli wobec nich siły, dodając jednocześnie, że wszelkie kolejne zamieszki zostaną potraktowane równie surowo. Sytuacja wróciła do normy, jak gdyby nic się nie stało.

Później Avila wzięła Flojjana na stronę.

– Doceniam, że stanąłeś w mojej obronie – powiedziała.

Flojjan popatrzył na nią.

– Zrobiłbym to samo dla każdej kobiety.

Drogę Ku Pustkowiu, autostradę Drogowców, stanowiły bliźniacze pasy, które biegingy przez las, wspinały się na wschodnie wzniesienia, aż w końcu niknęły na horyzoncie. Drogę zbudowano na betonowo-asfaltowym fundamencie, obecnie przeważnie pokrytym warstwą gliniastej ziemi, choć w niektórych miejscach glina wytarła się i w słońcu błyszczał beton. Mimo upływu stuleci trasa ciągle nadawała się do użytku i fakt ten wzbudził wśród członków grupy podziw dla budowlanych umiejętności jej twórców. Chaka próbowała sobie wyobrazić wygląd autostrady w pierwszych latach jej istnienia, gdy hojje toczyły się (choć dziewczyna nie miała pojęcia, w jaki sposób) po jej równej powierzchni. Za wędrowcami na północnym zachodzie z lekkiej południowej mgiełki

wyłaniały się wieżowce Argonu.

Tej nocy obozowali na drodze, spożywając na kolację gulasz z upolowanych przez Chakę i Quaita królików. Słuchali też dochodzących z lasu dźwięków. Avila wyjęła komplet piszczałek, Quait instrument strunowy o nazwie walon i we dwoje wysławiali dziką przyrodę w balladach i pieśniach biesiadnych. Silas dokonał pierwszego polowego zapisu w swoim dzienniku, a kapłanka po raz pierwszy zrezygnowała z conocnej modlitwy do Shanty.

Była to dla niej trudna decyzja, szczególnie ze względu na czekające ją niebezpieczeństwa, toteż jej ciało i umysł instynktownie domagały się, by powierzyła swe życie Bogini. Avila jednak zbuntowała się. Cała sprawa zależy jedynie ode mnie, pomyślała. Powinna o tym pamiętać, jeśli zamierza przeżyć wyprawę.

Flojjan czuł się dziś nadzwyczaj dobrze, dumny z faktu, że już dwukrotnie zachował się po męsku. Nieźle jak na kogoś, kto zazwyczaj odruchowo unika konfliktu. Podczas porannej jazdy przemyślał powtórnie incydent z zajazdu, przypomniał sobie, jak rzucił wyzwanie ogromnemu przeciwnikowi i poczuł wielką satysfakcję i radość, które w człowieku może wyzwolić jedynie prawdziwy akt odwagi. Wesoło zapewnił sobie, że wszystko pójdzie doskonale.

Jego ojciec byłby z niego dumny. Avila w każdym razie na pewno była z niego dumna.

Zawsze sądził, że ojciec nie ceni go zbyt wysoko i dlatego nigdy nie mogli znaleźć wspólnego języka. Flojjan nie interesowały tajemnice Drogowców, nie obchodziły go ich miasta ani szeroko rozumiana przeszłość. Nigdy nie chadzał po starożytnych korytarzach, w których stary Endine spędził większość swego intelektualnego życia.

Matka zmarła, kiedy Flojjan miał dwa lata, Karik natomiast nie potrafił znaleźć czasu dla swego potomka. Chłopiec dorastał wśród ciotek i kuzynek, stale się przeprowadzając od jednych krewnych do innych. „Twój ojciec prowadzi wykopaliska obok kościoła Drogowców w Farroad”, mówili mu. Albo: „Znaleziono dziwne hojje na południe od Masandik i Karik Endine stara się wymyślić, do czego służyły”. Słowa te wzbudzały we Flojjanie niechęć i wywoływały bunt przeciw Drogowcom, Imperium, bibliotece i innym sprawom, które zajmowały jego ojca. Co zresztą za różnica? Wszystkie te drobiazgi to przecież i tak nonsens. Niemądrze postąpił, że przyłączył się do tej idiotycznej ekspedycji. Sądził wszak, że podejrzana reputacja jego ojca rzuca również cień na niego samego, dlatego cierpią jego interesy. Uważał, że nie miał wyboru i musiał wziąć udział w misji. Równocześnie wiedział, że Karik pochwaliłby jego decyzję i świadomość tego faktu mocno go zakłopotowała.

Tego wieczoru cała piątka odczuwała podniecenie, każde z nich bowiem uprzytomniło sobie, że od następnego ranka zaczną się prawdziwe poszukiwania. Jutro dotrą do granic Ligi, a wkrótce potem natrafią na pierwsze znaki pozostawione przez Landona Shaya. Dalej, gdy tylko opuszczą znany sobie świat, czeka ich przygoda.

Zresztą spędzali pierwszą noc pod gwiazdami i fakt ten zwiększył ich podekscytowanie. Podczas gdy pozostali szykowali się do snu, Flojjan stanął na warcie. Uzbrojony w rewolwer wszedł w mrok, sprawdził prowizoryczny corral, po czym okrążył obóz. Rozbójnicy lub zdraźcecy Tukowie, którzy zagrażali kiedyś grupom podróżującym po tym terenie, wycofali się wprawdzie w ostatnich latach poza kresy Ligi, lecz na wszelki wypadek należało zachować ostrożność. Flojjan zauważył dróżki, którymi mogliby się podkraść do nich ewentualni napastnicy, nie wierzył jednak, by ktokolwiek zdołał podejść do nich, nie alarmując przy tym koni.

Kiedy wrócił do ogniska, tylko Avila nadal czuwała.

– Przynieść ci coś? – spytał. Ciągle krępowała go jej obecność, ale nauczył się już ukrywać niepokój.

– Nie, dziękuję. – Jej twarz w świetle ognia wydawała się rumiana. – Jutro czeka nas ciężki dzień.

Flojjan pokiwał głową.

– Mogę zadać ci pytanie? – spytała.

– Oczywiście.

– Jesteś wierzący?

– Pytasz, czy wierzę w bogów?

– Tak.

Popatrzył na niebo. Widoczny wśród drzew księżyc był mglistą luną, gwiazdy lekko migotały.

– Tak – odparł. – Bez nich nasze istnienie nie miałoby sensu.

Milczała przez jakiś czas.

– Pragnę myśleć, że gdzieś tam są – wykrztusiła w końcu. – Jeśli jednak to prawda, znajdują się zbyt daleko od nas. Nie powinni się zatem skarżyć, że ich zaniedbujemy.

– Nawet Drogowcy wierzyli w boga – zauważył Flojjan. – Wszędzie stawiali kapliczki.

– A co dobrego zrobili dla nich bogowie? Ich cywilizacja zniknęła. Wszystko, czego ci ludzie dokonali, rozsypuje się w pył.

Ogień przygasał, więc Flojjan dorzucił świeżą kłodę.

– Mimo swych ogromnych umiejętności – ciągnęła – i pobożności... okazali się jedynie zakładnikami ślepego losu. Tak jak my. – Głęboko zaczerpnęła oddechu i powoli wypuściła powietrze. – Całą energię poświęcili na zbudowanie swojego świata. – Usiadła prosto i naciągnęła koc na ramiona. Coś poruszyło się wśród drzew. – Nie pozostało po nich nic z wyjątkiem betonu i garści prawie niezniszczalnych materiałów. – Popatrzyła mężczyźnie w oczy.

– W coś trzeba jednak wierzyć! – oświadczył Flojjan. – Jeśli nie w bogów, to w co?

– W noce takie jak te – odrzekła Avila. – W dobre jedzenie. We wspaniałych przyjaciół. I w wino, dzięki któremu wszystko wydaje się mniej straszne.

Nieprecyzyjnie byłoby powiedzieć, że grupa Illyryjczyków przekroczyła następnego dnia granicę Ligi, mijając ostatnie osady. W rzeczywistości bowiem nic nie wyznaczało wschodniej granicy terenów Ligi, zwłaszcza że władze republiki nie podejrzewały istnienia innych państw czy jednostek politycznych. Tak czy inaczej, członkowie wyprawy weszli tego dnia na *terra incognita*, z czego zdali sobie sprawę kilka mil dalej, gdy znaleźli miejsce uwiecznione na pierwszym – noszącym tytuł „Granica” – szkicu Arina.

Autostrada wspinała się tu na wzgórze. Wiatr wygładził jej powierzchnię i asfalt wyglądał jak zwietrzała kość. Chaka wyjęła rysunek i cała grupa potwierdziła, że Arin uwiecznił na nim wschodnie wzgórze i pas rzeki. Ktoś ustalił punkt, w którym zapewne stał twórca. Silas dokonał kolejnego zapisu w dzienniku i wędrowcy ruszyli w dalszą drogę.

Rzeka nazywała się Ohio i stanowiła dopływ Missisipi, który płynął z północnego wschodu i łączył się z głównym szlakiem w Argonie. Ohio była majestatyczna i szeroka, wzdłuż obu jej brzegów aż do samej wody rósł las, a w oddali (po obu stronach) widać było powalone mosty.

Większą część dróg na terytorium Ligi oczyszczono już z hojów, tu jednak stało mnóstwo tych starodawnych pojazdów. Na tylnym siedzeniu jednego z nich leżał stos zagrzebanych pod warstwą kurzu wyraźnie niezniszczalnych zabawek. W innym hojju Flojjan znalazł walizkę wykonaną z podobnego do skóry materiału, który nie mógł być wszakże naturalną skórą, ponieważ nadal pozostawał giętki i w dobrym stanie. Kiedy podróżnicy otworzyli walizkę, znaleźli w niej przybory od pisania, metaliczne urządzenia i krążki (identyczne jak eksponaty w muzeach Ligi). Obok leżała okładka od notesu z nadrukiem „NOT. DYR”. W okładce znajdowała się jedynie garść pyłu.

– Szkada – zauważył Silas. – Wszystkie tworzywa Drogowców są trwale z wyjątkiem papieru.

Około południa dostrzegli inną leśną dróżkę, która skręcała i łączyła się z ich drogą. Chaka rozłożyła mapę otrzymaną od Jona Shannona.

– Chyba jesteśmy tu – powiedziała. – Na którymś z tych drzew powinien być znak.

Kiedy rozeszli się w poszukiwaniu oznaczonego pnia, dziewczyna usłyszała znajomy głos, a później zobaczyła swego przyjaciela. Shannon siedział na powalonej kłodzie.

– Jest tutaj – odezwał się.

Quait wyjął pistolet.

– Nie strzelaj. – Chaka wysunęła się z siodła i pospieszyła do przewodnika. – To Jon. – Objęła mężczyznę. – Jesteś daleko od domu – zauważyła.

Pokiwał głową. Przedstawiła go pozostałym. Shannon uścisnął dłoń każdemu przedstawicielowi ekspedycji.

– Tu zaczyna się szlak – oznajmił, wskazując na pień wysokiej czarnej topoli. Na wysokości oczu wyrzeźbiono trzy kreski równoległe do Drogi Ku Pustkowiu.

– Co znaczą? – spytał Flojjan.

– Oznaczają, że jesteście na właściwej drodze. Macie podążać dalej tym szlakiem. – Odwiązał trzy konie i wyprowadził je z lasu. Kapelusz o szerokim rondzie osłaniał mu od słońca twarz, która wydawała się zupełnie pozbawiona wyrazu.

– Zmieniłeś zamiar? – spytała Chaka. – Idziesz z nami?

– Tak – potwierdził. – Chciałbym wam towarzyszyć, jeśli propozycja nadal jest aktualna.

– Dlaczego? – spytał Quait.

Jon wzruszył ramionami.

– Nie jestem tego pewien. Tak chyba będzie właściwie.

Silas popatrzył po swoich towarzyszach.

– Ktoś ma coś przeciwko obecności przewodnika?

– Znam Jona od długiego czasu – wtrąciła Chaka. – I powiem wam, że potrzebujemy właśnie kogoś takiego jak on.

Quait zastanowił się, czy będzie musiał rywalizować z Shannonem o względy dziewczyny. Jednak mężczyzna prawdopodobnie znał drogę, którą powinni pójść.

– Osobiście uważam, że może z nami pojechać – mruknął.

Ohio skręciła na północ i po kilku dniach stracili ją z oczu. W pewnym momencie Drogę Ku Pustkowiu przecięła gigantyczna autostrada. Była częściowo zawalona i blokowała przejazd.

– Zdaje mi się, że używano jej jak tunelu – domyślił się Shannon. Pnie czarnych topoli porastających pobocza gruzów oznakowano równoległymi liniami. – Trzymajmy się znaków. Pokonamy przeszkodę i ruszymy dalej – dodał.

Pół mili dalej wjechali w gęsty las. Droga Ku Pustkowiu stopniowo się kończyła.

– Może jednak nie jesteśmy na właściwej trasie? – spytał posepnie Silas, jadący na czele grupy.

– Nasi poprzednicy skierowali się na Szlak Beekuma – odparł przewodnik. – Nie leży daleko.

Zwarte korony drzew nad grupą przesłoniły słońce. Wędrowcy poruszali się gęsiego wśród drzew i zarośli. Co piętnaście, dwadzieścia jardów znajdowali na którymś z drzew (przeważnie rosły tu wiązy i czarne dęby) znaki i z każdym kolejnym rósł podziw Chaki dla przezorności Landona Shaya.

Pojawiły się ruiny. Ceglane ściany, hojje, stary kościół, fabryka i kilka sklepów. Większość budynków niszczała wśród drzew, stanowiąc nieme świadectwo swojej epoki. Podróżnicy natknęli się na przewrócony słup z prostokątnym znakiem. Silas przetarł prostokąt szmatką.

MADISON 700.

– To znak uliczny – wyjaśnił pozostałym starzec. – Jest ich całkiem sporo w sali historycznej Imperium.

Kilka minut później znaleźli drugi znak. Ten był większy, składał się ze strzałki i napisu: MUZEUM ALBENA BARKLEYA Strzałka wskazywała w górę.

– Dziwna nazwa – zauważyła Chaka.

Następnego dnia późnym rankiem wkroczyli na Szlak Beekuma. Był wąski i mocno zarośnięty roślinnością.

– Kim był Beekum? – spytała Avila.

– Legendarnym bandytą – odparł Silas. – Przypuszczalnie od każdego podróżnego pobierał opłatę za przejazd. Opłatę za przejazd albo głowę.

– Zabił go Pelio – dodał Quait. – Równie słynny bohater z Argonu.

Po chybotliwym moście przejechali dopływ Ohio i zatrzymali się po drugiej stronie, aby złapać kilka ryb na południowy posiłek.

Szlak Beekuma skręcał na północ. Tu las zaczął się zmieniać. Swojskie czerwone cedry, białe dęby i czarne topole zniknęły, ich miejsce zajęły nowe drzewa nieznanym gatunków. Ohio pojawiła się ponownie po lewej stronie. Przez kilka kolejnych nocy ekipa obozowała nad brzegiem rzeki.

Wieczory były przyjemne, oświetlone księżycem i niestosownie do pory roku ciepłe. Całej grupie dopisywały humory, Illyryjczycy jechali już trzeci tydzień i coraz bardziej przyzwyczajali się do życia na otwartej drodze. Siódmego marca dotarli do miejsca, w którym od wielkiej rzeki odchodziła odnoga na północ.

– To Wabash – powiedział Shannon. – Mieście oczy otwarte. Gdzieś przed nami znajduje się bród, którym przeprawili się nasi poprzednicy.

Znaleźli dwa komplety znaków, wszystkie na czarnych topolach. Wskazywały rzekę.

– Shay najwyraźniej lubił topole – rzucił Flojjan.

Shannon zdjął kapelusz i przetarł czoło.

– Tak, oznaczał wszystkie, które mógł – przyznał. – Ułatwił nam w ten sposób poszukiwania.

Chaka obserwowała rzekę.

– Przeprawa na drugą stronę zajmie nam sporo czasu.

Shannon uśmiechnął się.

– Rzeka nie jest tak głęboka, jak ci się zdaje.

– Naprawdę? – spytała. – Wygląda na bardzo głęboką!

A jednak problemem okazała się nie głębokość wody, lecz jej wartki nurt. Im bliżej środka rzeki, tym był bystrzejszy. Grajka potknęła się w pewnym momencie i upadła. Prąd o mało nie zniósł kłaczy wraz z amazonką. Na szczęście dziewczynie pomogła Avila.

Kiedy dotarli do przeciwległego brzegu, postanowili pozostałą część dnia przeznaczyć na odpoczynek. Wyzęli ubrania i z apetytem zjedli rybną kolację.

Szlak ciągnął się na północ wzdłuż rzeki Wabash. Podróżnicy minęli umieszczony na niskiej ceglanej ścianie znak. Napis głosił: STANOWY REZERWAT WOKÓŁ JEZIORA HOVEY. Wabash była węższą niż Ohio, spokojną drogą wodną pokrytą codziennie aż do późnego ranka mgłą. Drogi nie było. Powietrze zmieniło się na wilgotne i chłodne, jakby przekraczając Ohio wędrowcy weszli

w odmienny klimat. Pierwszej nocy znaleźli schronienie w stodole. Rano spadł deszcz ze śniegiem. Kiepskie warunki utrzymywały się przez pięć kolejnych dni i przyjemny nastrój panujący przez dzień spędzany nad Ohio prysnął bez śladu.

Trzynastego marca, kiedy grupa przekroczyła kolejną gigantyczną jezdnię, w pogodzie nastąpił przełom. Słońce wyszło zza chmur i zrobiło się ciepło. Na zachodzie pojawiła się nowa droga, która docierała do brzegu rzeki, niestety most nad Wabash pękł, toteż trasa niespodziewanie kończyła się w powietrzu nad wodą.

Chaka siedziała na Grajce, przyglądając się, jak Silas próbuje naszkicować tę scenę w dzienniku.

– Nie przedostaniemy się w nocy – zauważyła dziewczyna.

Wjechali na polanę, której przeciwległy bok wspinał się na niskie pasmo wzgórz. W tym miejscu Shannon nakazał grupie postój.

– Warto obejrzyć tę okolicę – powiedział.

Chaka rozejrzała się wokół, lecz niczego nie zobaczyła. Pozostali wydawali się równie zakłopotani.

– Pasma – podpowiedział im Shannon.

Było długie i proste, wynurzało się z gęstwiny drzew po prawej stronie, przecinało ich szlak i znikało ponownie w lesie. Łagodnie zaokrąglone szczyty pokrywała trawa i zwiędłe liście. Poza tym było zupełnie nijakie.

– Pasma właściwie nie biegnie prosto – ciągnął Shannon. – Wygląda na takie, ponieważ widzimy tylko jego część. W rzeczywistości zatacza idealne koło długości siedemdziesięciu mil.

Avila pochyliła się do przodu w siodle.

– Diabelskie Oko – powiedziała.

Jeden z koni otarł się chrapami o rękę Chaki.

– Słyszałaś o nim? – Shannon wydawał się szczerze zaskoczony.

– Och, tak. Wiedziałam, że gdzieś tu jest, nie spodziewałam się jednak, że je zobaczę.

– Całe pasmo jest równie wysokie. Z niższych punktów wygląda na wyższe, ale jeśli teren znacznie się podnosi, całkowicie znika z pola widzenia...

– Co to jest Diabelskie Oko? – przerwała mu Chaka, czując, jak zimny pot spływa jej po grzbiecie.

Avila zsiadła z konia i przysłoniła oczy.

– Podobno Drogowcy zaklinali na nim demona, który miał im pomóc odkryć tajemnice Shanty. Pragnęli skraść jej boskość. – Na jej twarzy pojawił się niepokój. – Zawsze sądziłam, że Diabelskie Oko okaże się luźnym układem pagórków. Że ludzie przesadzają, gdy o nim mówią.

– Och, nie – zaperzył się Shannon. – Nie sposób wyolbrzymić tego miejsca.

– Skąd się tu wzięło? – spytał Flojjan ściszym głosem. – Na pewno nie jest naturalne.

Przez jakiś czas przyglądali się bez ruchu, po czym przewodnik zaprowadził ich z powrotem do lasu, wzdłuż pasma. Wjechali na wzniesienie, a wówczas czubek stał się bardziej płaski. Za nim pojawił się szereg zrujnowanych budynków.

Chaka podjechała do Shannona.

– Wiesz, o co tu chodzi? – spytała, mając nadzieję na bardziej świeckie wyjaśnienie.

Potrząsnął głową.

– Nie mam pojęcia.

Silas powiedział, że chrześcijaństwo stanowiło najważniejszy system religijny w epoce Drogowców. Jednak czerpał swoje informacje jedynie z kilku tomów, które przetrwały do epoki Illyryjczyków. Nie wiedział na przykład, że spośród długiej listy wymienionych w Biblii nazw istot

nadprzyrodzonych przetrwało tylko imię diabła.



Pasma pokrywały opadłe liście i wyschnięta trawa, a rosły na nim czarne wiśnie i żółte topole. Podróżnicy odkryli, że rzeczywiście jest niemal płaskie, wciśnięte w skarpe. Przecinała je stara droga, która skręcała ku zrujnowanym budowlom.

Z pierwotnego układu sześciu czy siedmiu budynków pozostały trzy: dwa były szare, kamienne, sześciokondygnacyjne, z powybijanymi oknami, trzeci zaś skonstruowano z wielkich wygiętych tafli; materiał przypominał szkło, lecz nim nie był, ponieważ trwał nietknięty mimo upływu stuleci. Wszystkie ściany w obrębie sześciu stóp pokrywały sekretne symbole – odwrócone litery i krzyże oraz półksiężyce i faliste linie.

– Znaki te miały odstraszać lokalne demony – wyjaśniła Avila.

Szklany budynek miał około dziesięciu pięter. Na jego dachu wędrowcy dostrzegli wielki szary dysk, który odpadł od podstawy na gzymsie i lada chwila mógł spaść na niższy taras. Na górnych piętrach ciągnęły się rzędy podwójnych okien. Na parterze szerokie pseudoszklane drzwi otwierały się na taras.

Obok znajdowała się stajnia i cieplarnia. Choć zbudowane w późniejszym okresie, również wydawały się od dawna opuszczone.

– Byłeś kiedyś w którejś z tych budowli? – spytał Quait.

Shannon potrząsnął głową.

– Wejście do kręgu przynosi pecha.

– Eee, chyba w to nie wierzysz, co? – obruszyła się Chaka.

– Nie. Ale tak mówią Tukowie. – Wzruszył ramionami. – Nigdy nie znalazłem sensownego powodu, by wejść do środka.

Quait zaczął kierować grupę ku szklanej konstrukcji.

– Zastanawiam się, w jakim celu powstała – powiedział.

– Religijnym – rzuciła Avila. – Przychodzi ci do głowy inny? Chociaż... nawet w sensie religijnym budynek jest dziwny. Nie wydaje się zbyt inspirujący, prawda? – Potrząsnęła głową, zaintrygowana.

– W środku powinny się odbywać obrzędy. A przecież leży zbyt daleko... ze dwadzieścia kilka mil. Zatem z wnętrza, nawet zakładając, że drzewa nie przysłaniają widoku, nie sposób dostrzec pasma. Równie dobrze można by stać na otwartej równinie.

Teren znowu nieco się obniżył i ponownie pojawiło się pasmo. Silas zauważył źródło i zatrzymał konia.

– Staniemy tutaj – zaproponował.

– Jest jeszcze dość wcześnie – odparł Shannon. – Zresztą... Naprawdę chcesz się zatrzymać w takim miejscu?

Silas potwierdził.

Quait, podobnie jak przewodnik, nie miał ochoty na postój. Nie był przesądny, po prostu wolał nie wyzywać losu. Wolałby odjechać przed zmrokiem daleko stąd. Nie zamierzał jednak przyznać się przed resztą grupy do swoich lęków. Inni również starali się zachować spokój, chociaż konie zachowywały się nieco nerwowo.

Chaka próbowała zniechęcić towarzyszy do pozostania.

– Miejsce może być nawiedzone – zauważyła. – Istnieje przecież taka możliwość.

Silas uśmiechnął się uspokajająco.

– Wszystko w porządku, Chako. – Rozejrzał się wkoło, szukając u pozostałych członków grupy duchowego wsparcia. – Nie ma się czym martwić.

Nikt nie patrzył mu w oczy.

Ostatecznie rozbili obóz u podnóża pasma. W ciągu godziny wszyscy usiedli wokół ognia i zajadali dziczyznę, która pozostała im po lunchu. Zapadła chłodna noc, pogarszając nastroje. Rozmawiali ściszymi głosami. Quait schował do sakwy walon. Od czasu do czasu ktoś wybuchał nerwowym śmiechem. Silas starał się poprawić atmosferę, sugerując, że powinni panować nad własnym strachem, lecz jego uwagi jedynie zwiększyły przygnębienie pozostałych. Podczas wieczornego posiłku Quait siedział przodem do długiej ściany, obawiał się bowiem, że coś spadnie mu na głowę ze szklanej budowli.

Ktoś z grupy zauważył, że budynki są dobrze ukryte przez las i pasmo.

– Czy ktoś z was wie coś więcej o tym miejscu? – spytał Silas. – Ty, Avilo?

Kapłanka potrząsnęła głową.

– Oficjalnie mój zakon twierdzi, że Diabelskie Oko jest jedną z wielu ruin pozostałych po epoce Drogowców. Wiemy jednak, że niektóre z ich budowli nadal mają w sobie coś w rodzaju siły życiowej, że coś się w nich porusza. Może prowadzona jest tam jakaś bezbożna działalność. Mawia się – chociaż nikt z naukowców nie przyzna się do tego – w Diabelskim Oku naprawdę mieszka szatan. – Usiłowała się uśmiechnąć. – Nie chcę was denerwować, lecz... Mentorzy byliby przerażeni, gdyby wiedzieli, gdzie jesteśmy.

– Niech to szlag! – zawołał Shannon. – To samo próbowałem wam powiedzieć.

– Co na to odpowiesz, Silasie? – spytał Quait. – Istnieją diabły? Jak sądzisz?

– Nie istnieją – odparł z przekonaniem starzec. – Na pewno nie istnieją.

Flojjan siedział okryty kocem, na jego twarzy odbijał się migoczący ogień.

– Prawda jest taka – powiedział – że nie wiemy, w jaki sposób toczy się świat. Chciałbyś mieć, Silasie, do czynienia z ładnym, starannie skonstruowanym kosmosem. Przyczyna i skutek. Wszystko bardzo matematyczne. Z pozoru brak w nim miejsca dla sił nadprzyrodzonych. Ale tak naprawdę nie jesteśmy niczego pewni, prawda?

Ogień trząskał, wiatr poruszał gałęziami drzew.

Quait nawet nie wiedział, kiedy zapadł w sen, nagle jednak zdał sobie sprawę, że Chaka potrząsa łagodnie jego ramieniem.

– Co? Co jest? – wyszeptał zaskoczony.

Ponad pasmem zauważył łunę. Była słabo widoczna, lecz mężczyzna nie mógł jej przeoczyć.

– W szklanym budynku się świeci.

Wstał, zrzucił z siebie koc, włożył spodnie i koszulę.

– Co robimy? – spytała dziewczyna.

– A co radzisz?

– Chyba powinniśmy stąd zniknąć.

Quait starał się przybrać rozbawioną i pewną siebie minę.

– Istnieje naturalne wytłumaczenie tego zjawiska. – Przypiął kaburę. – Lepiej jednak obudźmy pozostałych.

Kilka minut później cała szóstka stanęła na czubku pasma. Wszyscy wpatrzyli się w oświetlone okna na parterze.

– Coś się tam porusza – oznajmił Flojjan.

Z miejsca, gdzie stali, nie potrafili rozróżnić szczegółów.

– Dajcie spokój – doradził Shannon. – Może to zjawisko nie ma dla nas znaczenia.

– Ależ podczas tej wyprawy interesuje nas wszystko – obruszył się Silas. – Pamiętajcie, że

chcemy dowiedzieć się czegoś o Drogowcach.

– Silasie – tłumaczył cierpliwie przewodnik – przypuszczalnie w budynku ukrywają się ludzie tacy jak my. Gdy wejdziemy do środka, na pewno zechcą nas stamtąd przegonić.

– Pasma! – krzyknął Silas. – Może istnieje jakiś związek z pasmem.

– Mało prawdopodobne – mruknął Shannon.

– Nigdy nic nie wiadomo. – Silas zaczął schodzić po stoku. – Wróć.

Chaka przyłączyła się do starca. Quait kazał im poczekać i wrócił do obozowiska po latarnię.

– No dobrze – mruknął przewodnik. Sprawdził broń i wsunął ją do kabury. – Chodźmy zatem. Mam tylko nadzieję, że nikomu z was nie odstrzelą głupiego łba.

– Nie, nie, Jonie – powiedział Silas. – Nie wchodźmy wszyscy do środka. Sądzę, że niektórzy powinni pozostać na zewnątrz. Chciałbym, żebyś stanął na warcie przed budynkiem. Gdy trzeba będzie, ruszysz nam na ratunek. Dobrze? Zostań tu. Jeśli nie wrócimy za jakiś czas, wypraw się za nami.

Shannon popatrzył na niego z nieszczęśliwą miną. Na wzniesieniu było ciemno. Quait wszedł w jakiś dół, z kolei Silas potknął się o pnącze. Ostatecznie jednak udało im się bezpiecznie zejść do podnóża pasma, a następnie przemierzyć mniej więcej pięćdziesiąt jardów, które dzieliło ich od budynków. Na taras prowadził tuzin kamiennych stopni, ograniczonych niską ścianką.

– W stajni są konie – zauważył Quait. Podszedł i rzucił okiem. Trójka zwierząt. I wóz.

Zakradli się do oświetlonych okien i zajrzeli do środka.

Światło było jasne i mocne. Lampa stała na bocznym stoliku, oświetlając fotel. Illyryjczycy nie dostrzegli płomienia. W pomieszczeniu znajdowało się kilka innych mebli, między innymi sofa. W gablotce stało parę nieoprawionych książek.

– Co sądzisz? – spytał Silas, dotykając palcami pistoletu. Nie był przyzwyczajony do broni i Quait pomyślał, że starzec trochę się puszy, gdy ją nosi. Dziś wieczorem jednak Silas wyglądał raczej na zdenerwowanego.

Quait sprawdził okna. Były zamknięte.

– Chciałabym wiedzieć, jak działa ta lampa – powiedziała Chaka.

Obserwowali przez chwilę pokój, ale nikt się w nim nie pojawił, więc w końcu wrócili do frontowego wejścia, wspięli się na schody i przeszli taras. Przed sobą dostrzegli trzy pary drzwi, zamiast czwartych wisiała płachta grubego szarego płótna. Za płótnem Quait zobaczył nieoświetlony korytarz oraz zarzysy kilku krzeseł i stołów.

Na frontowej ścianie budynku widniał grawerowany napis:

RICHARD FEYNMAN, SUPERCOLLIDER.

– Kim był Richard Feynman? – spytała Chaka.

Silas potrząsnął głową.

– Nie wiem.

Quait odwrócił się i popatrzył na pasmo. Nie dostrzegł Shannona i pozostałych osób, wiedział jednak, że mu się przypatrują.

– Nie ruszajcie się – nakazał i podszedł do płóciennej płachty.

Chaka i Silas nie zamierzali go posłuchać. Bez powodzenia usiłował ich odprawić i prześlizgnąć się przez otwór.

Gdyby nie obecność Chaki, Quait zapewne rozglądałby się dłużej. Może znalazłby nawet mniej bezpośrednią drogę do środka. Widząc konie w stajni, uznał, że mieszkaniec budynku jest raczej człowiekiem niż demonem. Jednak w towarzystwie przyjaciółki nie miał zamiaru zrezygnować ze sposobności odegrania heroicznej roli i tchórzliwie szukać tylnego wejścia.

Przez połowę długości tylnej ściany ciągnęła się lada. Quait odszedł parę kroków od wejścia, z dala od szyb, by nie rzucać cienia w świetle gwiazd. Podłoga była zabłocona i pokryta liśćmi. Dostrzegł dwie pary drzwi prowadzących do wnętrza, a tuż po lewej stronie klatkę schodową.

– Halo! – zawołał cicho. – Jest tu ktoś?

Wiatr poruszał płótnem.

Quait upewnił się, że w sieni nie ma nikogo i wszedł do korytarza. Ściany były tu szarobiałe, dziobate i brudne od zacieków. Kilkoro drzwi po obu stronach przeważnie otwierało się do pustych pokoi. Inne pomieszczenia – podobnie jak to, które podróżnicy widzieli z zewnątrz – były przeładowane meblami Drogowców.

Na końcu korytarza Quait skręcił w lewo, ku światłu widocznemu w szczelinie pod drzwiami.

W ciemnych pomieszczeniach nie spotkał nikogo, więc wszedł do oświetlonego. Zaskoczyła go fala ciepłego, suchego powietrza, chociaż nigdzie nie dostrzegł ognia. Po chwili odkrył, że gorąco pochodzi z serii rurek sterzących ze ściany. Nieznane urządzenie tak bardzo go pochłonęło, że nie usłyszał mężczyzny, który nagle za nim stanął.

– Oparzysz się – odezwał się przybysz.

Idiota! Quait obrócił się i ujrzał wylot lufy strzelby makar na niedźwiedzie.

Przeniósł powoli wzrok z broni na parę wąskich, błyskających irytacją oczu. Mały człowieczek. Łysa, okrągła czaszka, grube przedramiona, siwoczarna broda. Ostre, białe zęby.

– Nie chcę panu zrobić krzywdy, przyjacielu – zapewnił go Quait.

– I nie zrobisz. – Chrapliwy głos. – Bardzo powoli wyjmij pistolet i odłóż go. Jeden niewłaściwy ruch, a zabiję cię bez ostrzeżenia. – Quait ze zdziwieniem słuchał roztrzęsionego głosu mężczyzny.

– Spokojnie – wymamrotał. – Nie stanowią dla pana zagrożenia. – Opuścił broń i lekko rzucił na sofę.

– Wyobrażam sobie. – Przez minutę obserwował Quaita. – Kim jesteś? – spytał. – Po co tu przyszedłeś?

– Nazywam się Quait Esterhok. Po prostu przechodziłem obok. Na dworze jest zimno. Wszedłem, bo szukałem schronienia. Nie miałem pojęcia, że ktoś tu jest.

– Stań tam. – Mężczyzna kazał się młodzieńcowi przesunąć na środek pokoju.

Quait wykonał polecenie.

– Kim pan jest? – spytał gospodarza.

Łysy mężczyzna nadal celował mu między oczy.

– Proszę posłuchać – mruknął Quait. – Niech pan tylko powie, żebym wyszedł, a natychmiast stąd zniknę. – Na próbę zrobił krok ku wyjściu, lecz coś w wyrazie twarzy przeciwnika zatrzymało go.

– Nie miewam zbyt wielu gości – zwierzył mu się mężczyzna. – Kto jest z tobą?

– Nikt.

Skinął głową ku jednemu z krzesel.

– Siadaj.

Quait usiadł.

– Nikt nie podróżuje samotnie po tej krainie, Esterhok. Powiedz prawdę, a może oszczędzę kulkę i puszcze cię wolno.

– Nie okłamałbym człowieka, który trzyma strzelbę – powiedział Quait.

Dwaj mężczyźni mierzyli się wzrokiem, gdy nagle Chaka zawołała imię Quaita.

– Wszystko w porządku? – spytała. Cichszym, a jednak słyszalnym głosem dodała: – Dokąd on poszedł, Silasie?

Quait uśmiechnął się do gospodarza.

– Nic mi nie jest – odkrzyknął. – Ale nie ruszajcie się z miejsc. Jest tu człowiek z bronią.

– Każ im wejść do pokoju. Chcę ich mieć na oku.

– Nie – odparł Quait. – Nie zrobię tego.

Mężczyzna wytarł rękawem twarz. Miał na sobie pomiętą szarą koszulę i workowate czarne spodnie.

– Hej, wy tam, w holu – zadudnił. – Wejdźcie do pokoju, jedno po drugim, bez broni i z rękoma do góry albo zabiję tego oto kawalera.

Zapanowało długie milczenie. Łysy mężczyzna wycofał się w narożnik pokoju, dzięki czemu obserwował zarówno Quaita, jak i wejście.

– Nikogo pan nie zastrzelisz – warknęła Chaka. Weszła z podniesionymi rękoma. Silas szedł tuż za nią.

– Kim pan jest? – prychnął Silas. – Szaleńcem?

– Nie odpowiem jednoznacznie na pańskie pytanie – odburknął gospodarz. – Jeszcze ktoś się tam czai?

– Nie – odrzekł Quait. – Masz pan wszystkich.

– Spodziewam się. Jeśli szykujecie dla mnie kolejne niespodzianki, ostrzegam, że zacznę strzelać. Wasza trójka pójdzie na pierwszy ogień. A zatem czego szukacie w moim domu?

Quait próbował wyjaśnić. Silas – zgodnie ze swą naturą – skupił się na kilku nieoprawionych tomach w gablotce. Nagle westchnął.

– Ilion Talley – szepnął. – Gdzie pan zdobył jego dzieła?

Łysy mężczyzna przypatrzył mu się podejrzliwie.

– Skąd znasz moje imię?

– Pańskie imię? – zdziwił się starzec. – Mówiłem o autorze tych książek.

– Ja nim jestem.

Silas zmarszczył brwi i zacisnął usta.

– Ależ Ilion Talley nie żyje.

– Och, nie, choć niektórzy bardzo by pragnęli mojej śmierci.

– Naprawdę nazywa się pan Talley? Z Masandik?

– Oczywiście, przygłupie. Kim innym miałbym być? – Strzelba zadrżała. Po chwili mężczyzna spytał łagodniejszym tonem. – Słyszał więc pan o mnie?

– Wszyscy znają Mechanika – odparł Silas. Wpatrzył się twardym wzrokiem w mężczyznę. – Wierzę panu... – powiedział w końcu. – Wierzę, że to naprawdę pan. – Klasnął w dłonie. – Cudownie! Warto było się wybrać w tę podróż. Niezależnie od wszystkich dalszych zdarzeń. – Ruszył przed siebie, zupełnie nie zważając na strzelbę.

Talley zawahał się. Jeśli postanowił strzelić, było już na to za późno, ponieważ Silas dopadł już go i ścisnął mu dłoń.

– Wspaniale – zawołał. – Spotkaliśmy się przed laty, byłem jednak wtedy bardzo młody, więc mnie pan nie pamięta. Nazywam się Silas Glote.

Quait również słyszał o Mechaniku. Ilion Talley zasłynął we wszystkich pięciu miastach Ligi jako filozof, artysta i inżynier. Zaprojektował i nadzorował w Masandik budowę bardzo nowoczesnych pomp, doskonałej instalacji wodnej i systemu odprowadzania ścieków, wyrzeźbił posąg Łyki dla świątyni pod jej wezwaniem w Farroad oraz wynalazł nowoczesną broń automatyczną.

– I żyje pan – powiedział Silas.

– Najwyraźniej. – Talley odłożył strzelbę na stół.

Mówiono, że umarł dwadzieścia lat temu w Masandik. Podobno jego i pewną młodą kobietę

komisja obywatelska skazała na śmierć przez spalenie na stosie za nieposzanowanie praw i bezbożność.

Mężczyzna poprosił wszystkich gestem, by usiedli, sam zaś stanął za pulpitem.

– Miło mi słyszeć, że świat nie zapomniał o mojej skromnej osobie. Ciągle jeszcze są ludzie, którzy dobrze o mnie myślą.

– Oskarżono pana o bezbożność – podsunął Silas.

– Więc ogłosili, że umarłem, prawda? – Zachichotał. – Nigdy w życiu nie spotkałem bardziej niekompetentnej grupy głupców.

– Co się stało? – spytał Quait.

– Chodziło o Yolandę – odrzekł.

– Kim była?

– Zatrudniłem dziewczynę do kopiowania rękopisów. Była ładna, więc – co naturalne – moich studentów do niej ciągnęło. Znajdowali wymówki, by przychodzić do mojego biura. Zadawali pytania. Yolanda uznała się za ich nauczycielkę. A wierzyła, że nauczyciele zobowiązani są mówić prawdę. – Przez długi czas posepnie wpatrywał się w Silasa. – Pan wygląda jak nauczyciel. – Nie było to pytanie.

– Jestem wykładowcą.

– W takim razie rozumie pan naiwność tej młodej damy. Próbowałem jej wyjaśnić sytuację polityczną, lecz mówiłem też, że nie należy poruszać delikatnych tematów. – Wzruszył ramionami. – Nie posłuchała mnie i po pewnym czasie rozeszła się plotka, że Yolanda nie wierzy w bogów, bluźni i ma zły wpływ na młodych ludzi.

Quait zmarszczył brwi.

– Przedstawiciele wyższych klas są przeważnie sceptykami. Czy to nie ich dzieci uczęszczają do szkół?

– Oczywiście – zgodził się Talley. – Tyle że osobiste przekonania ludzi to jedna sprawa, w szkołach zaś przygotowuje się ich do publicznych wypowiedzi, w których nie ma miejsca na prywatne opinie.

– Słyszałem, że wyrok śmierci na panu i tej młodej kobiecie wykonano – zauważył Silas.

– Zniknęliśmy, zanim po nas przyszli. Nie wiem, kogo spalili, jeśli w ogóle kogoś... lecz na pewno nie nas. Jednakże... było wtedy zimno. Tego roku panowała bardzo sroga zima. Yolanda umarła po drodze, a zatem można powiedzieć, że komisja dopięła swego. – Zachmurzył się. – Od tamtej pory mieszkam tu... przeważnie. Nie mam dokąd pójść. Nikt nie udzieliłby mi bezpiecznego schronienia.

– Dwadzieścia lat to szmat czasu – rzekł Silas. – Świat się zmienia. Obecnie w Masandik jest pan uważany za bohatera. Gdyby pan wrócił, mieszkańcy miasta powitaliby pana z radością.

– Dwadzieścia lat... Czy naprawdę aż tyle upłynęło? – Roześmiał się. – Do dzisiejszego dnia umarło pewnie kilku łajdaków.

Silas popatrzył na woluminy, starannie ustawione w gablotce.

– Mogę spytać, o czym pan pisze? – Quait chciałby obejrzeć książki, ale nie miał odwagi poprosić.

– Skompletowałem ostateczną historię Cesarstwa Baranji – odparł Talley. – Opisałem także własne przemyślenia na temat natury świata Drogowców. – Wyszedł zza pulpitu, otworzył jeden z tomów na spisie treści i pokazał podróżnikom. – Zbiór spekulacji filozoficznych. Natura zła. Czy człowiek ma w życiu cel? Czy istnieje coś takiego jak absolutna moralność? I tak dalej.

– Nic dziwnego, że pana ścigali. – Chaka się roześmiała.

Wszyscy pozostali przyłączyli się do niej. Smutny nastrój prysł niczym mydlana bańka.

– Musicie mi wybaczyć moją ostrożność, kochani. Przybywający tu goście rzadko bywają

uprzejmi. – Talley ponownie przeniósł wzrok na książki. – Napisałem studium poświęcone gatunkom drzew, ich cechom charakterystycznym, porom kiełkowania i najlepszym okresom na sadzenie. Mam również analizę obyczajów i systemów etycznych lokalnych Tuków. No i polityczną historię Masandik. – Zdjął parę książek dla Illyryjczyków. Quaita uderzyła myśl, że ich gospodarz pisał tu sam przez wiele lat i przypuszczalnie nigdy przedtem nie mógł nikomu pokazać wyników swej pracy. A przynajmniej nikomu, kogo by one obchodziły.

– Zapomniałem w tej dziczy o dobrym wychowaniu – oświadczył nagle Talley. – Napijecie się herbaty?

Porozstawiał filiżanki, wyszedł z pokoju i wrócił po kilku minutach z parującym imbrykiem.

– Samotność ma swoje dobre strony – powiedział, nalewając herbatę. – Spędziłem tu czas o wiele bardziej produktywnie, niż spędziłbym go w Masandik. Powiedzcie mi, czy Legat wciąż rządzi?

– Został obalony ponad dziesięć lat temu – odrzekł Silas. – Masandik jest teraz republiką. Wszystkie miasta są obecnie republikami.

– No cóż – mruknął Talley z ponurą miną – nie jestem pewny, czy to rzeczywiście dobra nowina. Rządy motłochu... Takie mam skojarzenia.

Quait podszedł zbadać lampę, która bez przerwy świeciła równie mocnym blaskiem.

– Ma pan ciepło bez ognia – zauważył – i światło bez płomienia.

Źródło światła znajdowało się wewnątrz szklanej rurki.

– Jak działa ta lampa? – spytała Chaka.

Talley uśmiechnął się zagadkowo.

– Technologia Drogowców. Sam jeszcze nie pojmuję zasad, dzięki którym działają niektóre przedmioty. W końcu na pewno je jednak zrozumie! – Dotknął wypukłości na lampie i zapadła ciemność. Ponownie dotknął i światło wróciło.

– Cudowne – podsumował Silas.

Lampa była ładna, z pozoru metalowa, zaokrąglona przy podstawie, pozbawiona ozdobnego stylu popularnych w miastach Ligi dzieł sztuki Drogowców. Przy bliższych oględzinach Quait odkrył, że lampa wcale nie jest metalowa. Wykonano ją z typowego dla Drogowców opierającego się upływowi czasu sztucznego materiału.

– Na początku miałem ich bardzo wiele, niestety wyczerpują się jedna po drugiej. – Zdziwiony, milcząco potrząsnął głową. – Są naprawdę absolutnie rewelacyjne! Bledną czasami, wystarczy jednak, że podłączę je do mechanizmu w suterenie i znowu świecą.

Quait wrócił do rurek stanowiących źródło ciepła w pomieszczeniu. Było ich sześć, ułożone równolegle, sterczały ze ściany.

– A cóż to jest? – spytał.

– Ach – odparł Talley. – To mój wynalazek. – Poczekał, aż wszyscy obejrzą grzejnik. – Jest bardzo prosty – wyjaśnił, uśmiechając się szeroko. – Proszę, chodźcie za mną. – Wziął lampę i poprowadził gości do następnego pomieszczenia.

Było obszerne. Opuszczoną część sufitu wspierała para drewnianych belek i zabity deskami kominek. W rogu stał długi, poobijany stół. Na hakach wisiały rondelki i chochle, okna zasłaniała ciężka, pokryta kurzem purpurowa kotara. Obok okna leżał zapas drewna opałowego, a pośrodku pomieszczenia kulił się piec.

Stał na czterech wąskich nóżkach, miał górne i dolne przegródki. Quait słyszał, że w wyższych gotuje się woda. Z tyłu pieca wychodziła bardzo gruba czarna rura sięgająca sufitu. Szara rura, znacznie węższa i owinięta gazą, znikła w ścianie.

– Ta – wyjaśnił, wskazując na czarną – odprowadza dym. Szara rura natomiast przenosi parę do

urządzeń wypromieniowujących ciepło w biurze i dalszym skrzydle. – Uśmiechnął się szeroko, bardzo z siebie zadowolony. – W całym mieszkaniu jest dzięki temu urządzeniu niezwykle przyjemnie.

– Niesamowite – przyznał Silas. Wyjął notes i zaczął rysować aparaturę.

Talley tylko wzruszył ramionami, jednoznacznie ignorując komplement.

Quait był obeznany z paleniskami, które z wolna zaczęły zastępować kominki w niektórych illyryjskich domach, ponieważ znacznie skuteczniej ogrzewały pomieszczenia. Nigdy jednak nie przyszło mu do głowy, że można by przetransportować nadwyżkę gorąca do oddalonych od źródła ciepła miejsc mieszkania. Silas promieniował entuzjazmem. Zarzucił Talleya serią pytań i zapisywał odpowiedzi.

– Jeśli nie ma pan nic przeciwko – powiedział – zabierzemy pański pomysł ze sobą w świat.

– Jak chcecie. Ten system grzewczy to doprawdy drobnostka. – Sącył herbatę. – Powiedzcie mi lepiej, dokąd się kierujecie? Czego szukacie w tak odległej krainie?

– Mamy nadzieję znaleźć Przystań – odparł starzec.

Wyraz twarzy Talleya się zmienił. Prawdopodobnie zbyt długo przebywał sam i zapomniał, jak ukrywać uczucia, w każdym razie nagle jawnie zaczął uważać swoich gości za wariatów.

– Rozumiem. No cóż, życzę wam wszystkim szczęścia.

– W rzeczywistości – bronił się Silas – nasza wyprawa nie jest całkowitym szaleństwem, chociaż może na takie dla pana wyglądać.

– Och, jestem pewny, że ma pan rację...

Opuścili pomieszczenie. Talley poprowadził ich z powrotem do gabinetu.

– Do czego służy to pasmo? – nie wytrzymała Chaka.

Talley popatrzył na nią z zakłopotaniem.

– To, który otacza pański dom – podsunęła.

– Och, pyta pani o pierścień! Służy jako tunel. Ludzie, którzy go zbudowali, pragnęli dzięki niemu dowiedzieć się, w jaki sposób została stworzona nasza planeta.

Silas w żaden sposób nie zareagował, Quait jednak poczuł się zdecydowanie nieswojo.

– Avila miała rację – mruknęła Chaka.

– Avila to nasza przyjaciółka – wyjaśnił Quait. – Mówiła mniej więcej to samo.

– W jaki sposób zamierzali tego dokonać? – spytał Silas.

– Nie wiem. Nie potrafię zinterpretować wyników.

– Chce pan powiedzieć, że zostały zniszczone?

– Nie, nie, istnieją, po prostu nie umiem ich odczytać.

Silas rozejrzał się po pomieszczeniu, jakby czegoś szukał.

– Może zdołamy pomóc?

Talley zarechotał gardłowo.

– Och, oczywiście możecie spróbować – odrzekł. – Proszę, chodźcie ze mną.

Wyprowadził ich do głównego korytarza, potem schodami dwa piętra w dół. Skręcili w lewo w kolejny korytarz z wieloma parami drzwi. Ściany były tu szare i kruche.

– W środku. – Weszli do pracowni. Na centralnym stole i w szeregu miejsc pod ścianami stały rzędy matowobiałych metalowych kasetek. Na podłodze leżało mnóstwo czarnych kabli. Pomieszczenie wyglądało zaskakująco czysto.

Kolejne drzwi, wykonane z ciężkiego metalu, były uchylone.

– To jest wejście do pierścienia – wyjaśnił gospodarz. Jednym pociągnięciem otworzył drzwi na oścież, uderzył w przycisk na ścianie i pokój zalało światło. Wędrowcy zajrzeli do tunelu. Na



ścianach i suficie wiły się przewody i kable, a nad betonową podłogą umieszczono kratę. W przeciwnych kierunkach odchodziły dwa pasy kanału. – Nie jest zniszczony – dorzucił. – Można przejść całą drogę. Siedemdziesiąt mil.

– Jest pan tego pewny? – spytała Chaka.

– Doszedłem kiedyś do końca. Droga zajęła mi tydzień.

Dziewczyna zerknęła na Quaita.

– Nie ma się czego obawiać, młoda damo – powiedział Talley. – Co kilka mil znajdują się włazy na powierzchnię. Nie wszystkie się otwierają, lecz niektóre tak.

Wrócili i popatrzyli na rzędy kasetek. Quait widział już kiedyś podobne artefakty pozostałe po epoce Drogowców, nigdy jednak w takim dobrym stanie i nigdy tak wiele. Obejrzał klawiaturę, przyjrzał się monitorom – ciemnym szklanym powierzchniom w pseudometalowych ramach oraz skrzynkom o różnych rozmiarach i kształtach (wszystkie łączył labirynt przewodów).

– Otóż to! – zawołał Talley. – Jaka jest prawdziwa natura świata? Baranjowie sądzili, że te maszyny wykorzystywano do rozmaitych eksperymentów i magazynowano w nich dane. Podejrzewali, że mieszczą one całą mądrość świata Drogowców.

Quait uznał rozumowanie mężczyzny za logiczne, chociaż właściwie nie wiedział, jakie wysnuć z tego stwierdzenia wnioski. Silas również wyglądał na zmieszanego.

– W takim razie – oświadczył – otwórzmy je i rzućmy okiem na dane.

– Sprawa wydaje się całkiem prosta – dodała Chaka.

– Niestety, wcale nie jest prosta. Dane nie są w formie, hmm... zapisanej.

Silas przymrużył oczy.

– A w jakiej?

– Nie jestem pewien, jak wam to wytłumaczyć. Sam tego nie rozumiem. Najwyraźniej jednak Drogowcy znali technikę kodowania informacji w sposób niewidzialny.

– Rozumiem – szepnął starzec, choć wyraźnie niczego nie pojmował.

– To prawda – ciągnął Talley. – Technicy z Baranji pracowali nad tym problemem prawie przez stulecie. Znalazłem ich notatki.

Silas popatrzył na Chakę.

– Niewidzialny sposób – mruknął. – Brzmi niewiarygodnie.

Talley zachował spokój.

– Widzieliście lampę, wiecie zatem, jak niewiele wiemy o starożytnej technologii.

– Potrafi pan – spytała spokojnie Chaka – skłonić te maszyny do podania informacji?

– Pozwólcie, że coś wam pokażę. – Poprowadził ich na tyły domu, gdzie jedna z skrzynek z pseudoszklanym ekranem łączyła się ze szklaną kulą. W środku kuli wisiał kawałek skały, wokół niego umieszczono sześć zwojów. Kula była natomiast podłączona do koła, nad którym zamocowano siodło. Talley usiadł w siodle, postawił stopy na pedałach i zaczął kręcić kołem. Gdy się obracało, zwoje wokół kamienia się poruszały. – Oto butla napędowa. Ta skała to magnetyt. Miedziane zwoje, obracając się wokół niego, przesuwają jego moc przez przewód. Sam dokładnie nie rozumiem sposobu działania tego urządzenia.

Talley zwiększył prędkość i zwoje zawirowały. Nagle szklany ekran – dotąd ciemny i pusty – rozjarzył się.

Silas cofnął się. Usłyszał, jak Chaka szybko łapie oddech.

– Nieprawdopodobne – zauważył starzec. – Co się teraz dzieje?

– Maszyna działa dzięki wytworzonej przeze mnie sile. Sądzę, że jeśli zdołam wygenerować odpowiednio dużo mocy, te urządzenia do mnie przemówią.

Kiedy Talley przestał pedałowac, Silas ostrożnie dotknął kuli. Światło gasło.

– Talleyu – zapytał. – Jak szybko potrafi pan pedałowac?

Mężczyzna się roześmiał.

– Temu zadaniu nie podołałby żaden człowiek, Silasie. Ale znajduję się blisko Wabash.

Zamierzam zbudować ulepszoną wersję butli napędowej. Chcę, że tak powiem, by rzeka zastąpiła mnie w siodle. Kiedy będziecie wracali, o ile wrócicie... powinienem poznać już mnóstwo tajemnic Drogowców. – Wciągnął powietrze do płuc. – Koniecznie mnie odwiedźcie. Sądzę, że będziemy mieli wiele tematów do rozmowy.

Minął prawie cały dzień, zanim podróżnicy oddalili się znacząco od pasma w kształcie pierścienia. Las ustąpił teraz miejsca otwartej równinie, a zagadkowa konstrukcja pozostała mniej więcej dwadzieścia mil za nimi. Siedząc w siodle, Chaka wyobrażała sobie, jak stary mistyk idzie przez tydzień ciemnym tunelem. Nic dziwnego, że był na wpół szalony.

A jednak produkował światło w szkłe. Przez dwa dni członkowie ekspedycji niewiele rozmawiali i tak bardzo pograżali się w rozmyśleniach, że nawet Jon Shannon w ostatniej chwili dostrzegł dwóch Tuków, którzy wyjechali ze ściany lasu prosto na ścieżkę. Obaj trzymali w dłoniach strzelby. Nosili ubrania ze zszytych skór zwierzęcych i obite futrem wysokie buty. Wyższy z mężczyzn, który był niemal równie potężny jak Shannon, zatrzymał się.

Jego towarzysz dla bezpieczeństwa pojechał przed siebie kilka kroków, po czym odwrócił się i wpatrzył w grupę. Również był wysoki i mocno zbudowany. Na głowie miał futrzany kapelusz, niedbale zsunięty do tyłu.

– W porządku – powiedział Shannon. – Są przyjaźnie nastawieni.

Podniósł rękę. Chaka poczuła ogromną ulgę, gdy obaj Tukowie również unieśli dłonie. Shannon pojechał do przodu, zamienił z mężczyznami kilka słów. Wszyscy trzej uśmiechali się do siebie.

– Starzy przyjaciele – skomentował Flojjan.

– To jest Mori – wyjaśnił przewodnik, przedstawiając wyższego – z klanu Orików. – Mori miał po trzydzieście, błękitne oczy, gęste brązowe włosy i brodę. Jak na człowieka lasu był nawet dość przystojny. Błyskał najbielszymi zębami, jakie Chaka kiedykolwiek widziała. Skłonił się lekko kobietom i przywitał z całą grupą.

– A to Valian, jego duchowy brat. – Mężczyzna zdjął kapelusz. Włosy miał także brązowe, ale krótko przycięte. Jego twarz zdobiły ciemne, inteligentne oczy. Valian był może ze dwa lata młodszy i mniej więcej dwadzieścia funtów lżejszy od Moriego.

Illyryjczycy przedstawili się.

– Nasz dom leży w pobliżu – odezwał się Mori. – Bylibyśmy zaszczytzeni, gdybyście spędzili u nas dzisiejszą noc.

Silas popatrzył na Shannona. Chaka dostrzegła w oczach starca pytanie: „Czy to aby bezpieczne?”.

– Dla Orików nieznajomi są święci – wyjaśnił Mori.

Przewodnik pokiwał głową.

Godzinę później wjechali do wioski. Była niemal całkowicie wtopiona w gęsty las, toteż Chaka nie od razu zauważyła rozproszone wśród drzew i krzewów drewniane chaty. Nie było żadnej polany, nie wyrabano drzew, więc z zewnątrz nic nie zdradzało obecności leśnych ludzi.

Przybyszów powitała mała grupa, złożona głównie z dzieci. Podobnie jak Illyryjczycy, Orikowie nie charakteryzowali się żadnymi specyficznymi zewnętrznymi cechami rasowymi. Niektórzy mieli ciemną skórę, inni – bladą, ogromna większość wyglądała przeciętnie; jednych cechowały płaskie nosy, drugich – mongolskie fałdy. Wydawali się zdrowi, szczęśliwi i wyraźnie zadowoleni z odwiedzin wędrowców.

Członkowie klanu witali podróżników chlebem i owocami. Rude włosy Chaki wywoływały śmiech. (Los poskąpił Tukom takiego koloru). Niektórzy chcieli obejrzeć ubrania i broń nowo przybyłych. Inni pragnęli jedynie dotknąć gości.

– Uważają nas za silnych ludzi – wyjaśnił Shannon – ponieważ wędrowców zawsze chronią duchy. Wierzą, że gdy nas dotkną, ogarnie ich część tej siły.

Całą grupę zabrano do ciepłej chaty. Wszyscy otrzymali świeżą wodę, jedzenie i dzban wina.

Umyli się, zmienili ubrania i wyszli, by obejrzeć wioskę.

Orikowie palili się do rozmowy. Cieszyli się, ponownie widząc Shannona. Pytali, czy jego przyjaciele byli już przedtem w krainie Orików? Jak wyglądają ich domy? Czy zdają sobie sprawę z faktu, że teren przed nimi jest nawiedzony?

Chaka wyjaśniła, że są w drodze prawie od miesiąca i nigdy wcześniej nie wyprawiali się tak daleko na północ. Mówiła, że czuje się szczęśliwa, ponieważ znajduje się wśród przyjaciół i może spędzić noc w wygodnej kwaterze.

Orikowie zapytali gości o cel ich podróży.

Trudno było wyjaśnić naturę Przystani. Orikowie nic nie wiedzieli o upadku cywilizacji. I nie umieli czytać. W końcu Avila powiedziała gospodarzom, że chciała zobaczyć świat. I poznać sąsiadów.

Mori przedstawił ich ganjiemu. Termin ten oznaczał zarówno wodza, jak i szamana.

Ganji liczył sobie około siedemdziesiątki, miał rzadką siwą brodę i rysy tak przeciętne, że łatwo mógłby uchodzić za illyryjskiego właściciela sklepu spożywczego. Później Chaka przypomniała sobie tylko jego czujne zielone oczy, które wydawały się osobliwie figlarne u człowieka o takiej pozycji i w tak zaawansowanym wieku.

Wódz poinformował wędrowców, że wieczorem zostanie wydana uroczysta kolacja na ich cześć w Sali Świata. Wiedział, że następnego dnia zamierzają wyruszyć w dalszą drogę i miał nadzieję, że zapamiętają wizytę u Orików.

Sala Świata sięgała aż ku wierzchołkom drzew. Była imponującą, eklektyczną budowlą wykonaną z drewna i cegły. Zajmowała południową część osady. Wydawała się ogromna, zapewne w razie konieczności mogła pomieścić całą ludność osady. W pomieszczeniu znajdowało się wiele palenisk i wznoszące się amfiteatralnie od środka rzędy stolików. Wszędzie na ścianach wisiała broń, skóry zwierzęce, bębny lub gobeliny, podłogi przykrywały maty, a w tyle sali wisiał balkon. Światło nie wpadało przez okna, których nie było, i tym samym nie rozpraszały panującej w pomieszczeniu ciemności, lecz na ściennych półeczkach wesoło jarzyły się lampy, a na stołach umieszczono świece. Chace, przyzwyczajone do stosunkowo eleganckiej architektury oraz spokojnego i zorganizowanego tempa życia w Illyrii, sala wydała się miejscem na wpół barbarzyńskim. Mimo zapewnień Shannona, dziewczyna nie była pewna, czego ma się spodziewać po zapowiedzianej kolacji.

W pomieszczeniu zgromadziło się już około dwustu osób. Gdy Chaka wraz z towarzyszami ruszyła do ustawionego w samym środku stołu, rozległy się rytmiczne uderzenia w bęben, a następnie śpiewy. Zebrani zaczęli chichotać i uderzać rękoma w stoliki.

– Życzą nam szczęśliwej podróży – wytłumaczył Shannon.

Dziewczyna była zadowolona z uwagi tłumu, choć równocześnie odniosła wrażenie, że Orikowie traktują ją nieco protekcyjnie.

– No cóż, naprawdę czują się od nas lepsi – potwierdził Shannon. – Uważają nas za dekadentów, którzy za bardzo kochają przepych.

Mori towarzyszył gościom do umieszczonego centralnie wielkiego okrągłego stołu. Był udekorowany chorągiewkami, kwiatami i proporczykami.

– Będziecie jedli obok samego ganjiego – zauważył. Natychmiast pojawili się posługacze i zaczęli napełniać winem kielichy.

Ledwie podróżnicy się usadowili, rytm uderzeń w bębny zmienił się na bardziej majestatyczny. Po chwili dołączyły piszczałki i flety, tłum zaś umilkł i podniósł się z miejsc. Shannon dał znak i sześcioro przyjaciół również powstało. Na wzór swoich gospodarzy, pokłonili głowy.

Na tyłach sali pojawił się ganji. Szedł środkowym przejściem, od czasu do czasu zatrzymywał się i ścisnął komuś dłoń albo coś do kogoś szeptał. Zachowywał się jak politycy nowego typu, którzy pojawili się wraz z powstaniem republiki.

Kiedy dotarł do stolika, przyjemnie zaskoczył Chakę pamięcią do imion. Powitał każdego Illyryjczyka po kolei, wyraził najszczerzą nadzieję, że całej grupie będzie smakował posiłek, w końcu zagwarantował najwyższą jakość wina i przygotowanych rozrywek. Tak bardzo się skupiał na sprawach przyziemnych, że patrzącej na niego Chace trudno było uwierzyć, iż ktoś taki potrafi skutecznie dowodzić plemieniem. Przestała się jednak dziwić, kiedy sala się zapełniła, a mężczyzna wstał i przemówił. Głos miał ciepły i przykuwający uwagę. Ganji był urodzonym wodzem.

Nigdy nie poznała jego prawdziwego imienia.

– To odwieczne stanowisko – wyjaśnił Shannon. – Kiedy wyznaczony zostaje ganji, musi porzucić swoje imię. On albo ona... Zdarzyło się kilka kobiet. W jednym czasie może rządzić tylko jeden ganji. Przyjmuje pracę, a wtedy traci prywatność i dopasowuje się do warunków.

Wódz pozdrowił widownię i zachęcił do wspólnego powitania gości. Poprosił kolejno każdego wędrowca o powstanie i mówił o danej osobie i jej znaczeniu dla grupy. Silasa przedstawił jako uczonego i człowieka wielkiej mądrości. Shannona określił mianem wędrowca, który wzduż i wszere przejechał rozległe lasy wraz z powierzonymi jego opiece ludźmi. Avilę nazwał lekarzem o znacznych umiejętnościach, Quaita – wojownikiem, Flojiana – wytwórcą łodzi, a Chakę – treserką koni.

– Skąd zaczerpnął informacje o nas? – szepnęła dziewczyna do przewodnika, który wzruszył ramionami i starał się przybrać niewinną minę.

Tłum wiwatami witał każdego członka ekipy, Orikowie grzechotali też swymi drewnianymi naczyniami i walili w stoły. Wyspiewywali nazwisko kolejnego podróżnika za każdym razem, kiedy ganji skończył opis. Czasami nie wymawiali właściwie słów. Quaita nazwali Klepem Esterhonkiem. Nikt jednak nie przywiązywał wagi do takich drobiazgów.

– Nasi goście jadą na północ – powiedział ganji – na nieznanne tereny. Życzymy im szczęścia. Jeśli za naszego życia będą wracali tą drogą, mogą do nas wstąpić. Znajdą u Orików schronienie. – Rozległ się jeszcze głośniejszy aplauz, a Chaka zastanowiła się, co dokładnie wódz ma na myśli.

– Niezły jest – szepnął do niej Flojjan. – Wielu naszych mówców mogłoby pobierać u niego lekcje.

Shannon powiedział ganjiemu, że po raz pierwszy w swoim życiu siedzi u szczytu stołu.

– Nie zajmowałem takiego miejsca nawet podczas własnego wesela – dorzucił, a wódz zaryczał śmiechem i głośnie odstawił kielich na blat stołu.

Silas podniósł się, by przemówić w imieniu swoich towarzyszy. Rzekł, że dobrze znaleźć przyjaciół w części świata, której nigdy wcześniej nie odwiedził. Miał też nadzieję, że kiedy ktoś z klanu Orików pojawi się w Illyrii, mieszkańcy miasta potraktują go z równie wielkim szacunkiem. (Miał co do tego pewne wątpliwości, lecz Shannon zapewnił go, że wszyscy i tak wiedzą, iż powiedział tak z uprzejmości).

Kiedy skończył mowę, zebrani jeszcze przez chwilę radośnie wiwatowali. Później przyniesiono jedzenie. Kelnerzy ustawili na stołach ogromne półmiski z parującą wieprzowiną i wołowiną, a także talerze pełne marchwi, ziemniaków i słodkich bulw. Do picia podano wino i piwo.

– Moglibyśmy dokonać transakcji z tymi ludźmi – powiedział Flojjan, oglądając karafkę. – Niektóre z tych przedmiotów wyglądają dość oryginalnie. – Pokazał karafkę Avili. – Jak sądzisz?

– Tu także może słono kosztować – zauważyła. – Nie myśl, że Orikowie nie znają wartości własnej pracy.

Ganji rozpoczął dziękczynną modlitwę do Shanty. Wszyscy zebrani poszli w jego ślady.

Grupa muzyków z bębnami i instrumentami strunowymi weszła na podium i zaczęła grać. Popłynęła łagodna, spokojna muzyka, która kojarzyła się z wiatrem wiejącym pod oświetlonym księżycem niebem lub z szeroką rzeką późnym latem. Podczas posiłku ze wszystkich stron sali podchodziły do podróżników różne osoby, które przedstawiały się, obejmowały ich i życzyły szczęścia.

Z tego też względu Illyryjczycy przypuszczalnie jako ostatni w sali skończyli posiłek. Gdy się w końcu nasycili, na scenę wkroczył artysta i uraczył tłum serią rubasznych pieśni wysławiających picie i cudzołożenie.

– W Illyrii – odezwał się Flojjan, wyraźnie zażenowany – ktoś wezwałby już policję.

– Daj spokój – odparł Shannon. – Jesteśmy w ich kraju. Nie róbmy niczego, co by mogło obrazić kogoś z tubylców.

Artysta dalej bawił publiczność. Rzucił kilka dowcipów; większości Chaka zupełnie nie rozumiała, choć jeden szczerze ją zadziwił, ponieważ komik jawnie naśmiewał się z wielkich uszu ganjiego. Zaszokowana dziewczyna zerknęła na wodza i zauważyła, że jego uszy są rzeczywiście ogromne. W dodatku wódz śmiał się z żartu równie głośno jak wszyscy pozostali.

Muzycy, którzy podczas występu dowcipnisią przerwali koncert, teraz ponownie zaczęli grać w szybkim tempie. Na scenę wyszli tancerze, atrakcyjni mężczyźni i kobiety obwieszeni pierścieniami i bransoletami; na kostkach nosili obręcze. Wskoczyli na stoły, z których do tej pory zabrano wszystkie naczynia z wyjątkiem kielichów. Ruchliwi tancerze wdzięcznie płąsali przez jakiś czas. Szczególną uwagę zwracali na gości. Nagle przed Chaką stanął młody przedstawiciel trupy, całkiem nagi. Na szczęście, nie zbiło jej to z tropu, choć początkowo była bardzo zaskoczona.

Ganji pochwycił jej spojrzenie, uśmiechnął się dobrotliwie i podniósł kielich w jej stronę, po czym spokojnie odwrócił się do Silasa.

– Szkoda, że nie mogę pójść z wami.

W tym samym momencie uwagę starca przyciągnęła piękna tancerka o długich kasztanowych włosach, z naszyjnikami i obręczami na kostkach. Nie odrywając wzroku od kobiety, skupił się na rozmowie z wodzem.

– Po co, ganji?

Wódz wyglądał na zakłopotanego.

– Z tego samego powodu, z jakiego ty idziesz. Na świecie jest bardzo wiele tajemnic. Chciałbym poznać odpowiedzi na parę pytań.

– Nie wiadomo, czy się czegoś dowiemy. – Starzec uśmiechnął się uprzejmie do ganjiego, lecz ani na chwilę nie spuścił wzroku z tańczącej brunetki. – Jeśli nam się uda, z pewnością dołożymy wszelkich starań, by was ponownie odwiedzić.

– Podejrzewam – dodał Shannon, uśmiechając się – że tak czy owak postaramy się tędy wracać, ganji. Orikowe oferują wszak znużonym wędrowcom mnóstwo rozkoszy.

– Dziękuję wam – oświadczył wódz. – Zawsze jesteś tu mile widziany, Jonie. Podobnie, jak twoi przyjaciele. – Jego rysy stwardniały. – Bądźcie ostrożni. W krainie na północ od Wabash dzieją się bardzo dziwne rzeczy.

Już miał dorzucić kilka szczegółów na ten temat, lecz w ostatniej chwili zrezygnował. Popatrzył tylko na Chakę, uśmiechnął się i powiedział coś do Shannona. Przewodnik wysłuchał go, spojrzął w stronę dziewczyny i odmówił. Wypowiedział więcej słów, ale Chaka dosłyszała jedynie „nie”. Po skończonym przyjęciu spytała przyjaciela, o co chodziło.

– Wódz zauważył, że interesujesz się tancerzami – odrzekł. – Zastanawiał się, czy chciałabyś się

do nich przyłączyć.

Prawdopodobnie się zaczerwieniła, ponieważ się roześmiał.

– Chako, taniec to dla Tuków nie tylko rozrywka, ma również znaczenie duchowe. Jestem przekonany, że ganjiemu chodziło jedynie o twoją duszę. Goście często przyłączają się do trupy z własnej woli, ale Orirowie rzadko kogoś o to proszą. Uważaj ofertę wodza za zaszczyt.

Gruzy wypełniały wiele mil lasu. Illyryjczycy minęli rząd połączonych ze sobą identycznych ceglanych domów, dwupiętrowych, wbudowanych między styraki i czerwone cedry. Sporadycznie widywali pseudometalowe słupy i płataniny skorodowanej maszynerii. W środku polany znaleźli starą kamienną ławę z tabliczką: DZIĘKI UPRZEJMOŚCI „PETER’S CLOTHING”. Zatrzymali się także obok znaku: ŚWIĘTA MARIA, OPIEKUNKA LASU – 2 MILE.

Strzałka wskazywała kierunek. Ku Wabash.

– Święta Maria to jeden z przejawów ich boga – wyjaśnił Silas. – Ten znak odwołuje się przypuszczalnie do kapliczki albo świątyni pod wezwaniem świętej. – Popatrzył tęsknie w dal. – Wszędzie wokół jest tak wiele do zobaczenia. Szkoda, że mamy mało czasu.

– Co wiemy o świętej Marii? – spytała Chaka.

Starzec wzruszył ramionami.

– Niewiele.

– Ściśle rzecz biorąc – dodała Avila – informacje na temat religii Drogowców czerpiemy niemal wyłącznie z „Braci Karamazow”.

– I z niektórych przetrwałych do dnia dzisiejszego znaków przed kościołami, w których Drogowcy odbywali spotkania umacniające ich wiarę. – Silas wyglądał jak dziecko w sklepie z zabawkami. – W bibliotece mamy spory zbiór tablic i danych, które po powrocie na pewno zdołamy uzupełnić. – Popatrzył w stronę rzeki. – Święta Maria stanowiła żeński aspekt wszechpotężnego boga – ciągnął. – Podejrzewamy, że uosabiała twórczą siłę bóstwa oraz współczucie. – Tak?

– Tak. – Jechali konno. Było późne popołudnie. Drzewa pachniały nadchodzącą wiosną. – Avila ma rację – kontynuował starzec. – Wiele dowiedzieliśmy się od Dostojewskiego. Wiemy, że Drogowcy mieli zakony świętych mężów i że w ich świecie istniał ostry rozłam między władzami religijnymi i zwyczajnymi wiernymi. Wierzyli, że po śmierci ludzie stają przed sądem i że wielu z nich zmagало się przez całe życie z problemem zła.

– Mógłbyś wyjaśnić dokładniej kwestię zła, Silasie? – poprosił Flojjan.

Przemieszczali się powoli. Nie zjeżdżali wprawdzie z głównej drogi, ale zaglądali w boczne dróżki, szukając charakterystycznych znaków pozostawionych przez Shaya.

– Drogowcom chodziło o to, że w świecie rządzonego przez życzliwą siłę boską – odparł Silas – niewinni cierpią.

– Że dzieci umierają – dorzuciła Avila. – Że modlitwy nie działają. Że wbrew obietnicom świętych pism w największych chwilach desperacji człowiek jest zupełnie sam.

Flojjan westchnął. Miał na sobie czarną pelerynę, która nadawała mu nieco buńczuczny wygląd. Endine nigdy nie wyglądał na człowieka w pełni z siebie zadowolonego. Świat uważał za mroczne, ponure miejsce, w którym trzeba było sobie radzić, przestrzegać rozmaitych zasad i robić dobrą minę do złej gry. Flojjan chętnie wierzył jedynie w sprawy, które nie wymagały wysiłku lub poświęcenia, natomiast pozostawał sceptyczny wobec tych, które łączyły się z zyskiem bądź stratą. Nie przeciwstawiał się bogom, ponieważ takie postępowanie irytowało innych ludzi, a zatem było złe dla interesów. Wypowiedź byłej kapłanki zrobiła na nim duże wrażenie.

– Z twoich słów promieniuje wielkie rozgoryczenie – powiedział jej.

– Nie chciałam – broniła się. – Przepraszam. Lepiej zmieńmy temat.

Później Avila zwierzyła się Chace, że obiecała sobie nie dać się wciągnąć w dyskusje religijne.

– Denerwują tylko ludzi – wyjaśniła dziewczynie – i nigdy nie prowadzą do żadnych wniosków.

– Twoje poglądy są dość pesymistyczne – zauważyła Chaka.



– Wiem. Trudno mi zapomnieć o pewnych sprawach.

Rozbili obóz pod osłoną kamiennej ściany, otoczonej stosami betonu i żelaza, na wpół zagrzebanej w ziemi, częściowo rozebranej, a częściowo zepchniętej przez wiekowe drzewa. Na sąsiedniej polanie pozostały ślady starodawnego dziedzińca, za nimi wyrastały ponad drzewa zniszczone budynki, otoczone hałdami gruzu.

Shannon sprawdził stan wszystkich koni, po czym wrócił do reszty grupy.

– Mam coś – powiedział.

Poprowadził przyjaciół za zagajnik dereni i pokazał im znak – szary kamień, na którym wyrzeźbiono nazwisko „Cris Lukasi”, nierówny symbol Tasselaya oraz datę: „23 marca 297 roku”. Cris Lukasi był jednym z członków pierwszej ekspedycji.

– Ekspert od przetrwania – mruknął Shannon, marszcząc brwi. – Nie chcę cię urazić – powiedział Flojjanowi – coś mi się jednak zdaje, że ktoś zniszczył notatki dotyczące poprzedniej misji. Rejestr miejsc, w których pochowano ciała. A przecież ci ludzie zasłużyli sobie przynajmniej na tak niewiele.

– Naprawdę prowadzili zapiski. – Oczy Endine’a błyszczały. – Mój ojciec rozmawiał z przedstawicielami rodziny każdego, kto nie wrócił z wyprawy. Mówił im tyle, ile wiedział. Robił, co mógł.

– Co się stało z zapiskami? – spytała spokojnie Chaka.

– Stanowiły część *anumy*. Zostały spalone wraz z moim ojcem w dniu kremacji.

– Znałeś go? – spytała Chaka Shannona.

– Lukasia? Nie. Nigdy go nie spotkałem. Ale wiedziałem, że umarł daleko od domu. W miejscu, do którego wcale nie musiał iść. To mi wystarczy.

Znaki pozostawione przez Landona Shaya wyprowadziły grupę na drogę, która biegła ku północy, równoległe do Wabash. Podróżnicy obozowali nad brzegiem rzeki. Korzystając z ciepłej pogody, popływali trochę i złowili kilka ryb.

Flojjan narzekał na ból w kolanach, a Silas na klucie w krzyżu. Kiedy więc Avila podsunęła, by odpoczywali do końca dnia, wszyscy się zgodzili.

Pogoda nadal sprzyjała wędrowcom. Avila wymasowała starcowi plecy, a na bolące mięśnie Flojjana znalazła zioło o działaniu rozgrzewającym. Quait, Shannon i Chaka przez wiele godzin czyścili konie.

Od pierwszego spotkania w Bibliotece Senackiej Chaka podejrzewała, że Quait się nią interesuje, choć musiała przyznać, że się nie narzucal. Jego rezerwa intrygowała dziewczynę, a nawet trochę irytowała. Od czasu do czasu gwardzista wspominał jedynie, że cieszy się z jej towarzystwa, że lubi spędzać z nią czas. W podobny sposób mógłby rozmawiać z byle przyjacielem, gdyż jego stwierdzeniom brakowało żaru. Równocześnie w jego wzroku dostrzegała szczerze uczucie.

Obserwowała go, gdy pracował. Kosmyki włosów stale opadały mu na oczy, pot spływał po szczęce i kapał na koszulę. Coraz częściej o nim myślała, choć nie chciała się do tego przyznać. Bez przerwy porównywała go z Raneyem. Szczerze dziwiło ją własne zainteresowanie Quaitem. Początkowo nie wydawał jej się przystojny, lecz z każdym dniem podobał jej się coraz bardziej. Może po prostu przypatrywała mu się, ponieważ był jedynym młodym mężczyzną w grupie.

Wyczyścili broń i wyprali kilka rzeczy. Wieczorem zasiedli przy ognisku.

Następnego dnia droga skręciła na wschód, z dala od rzeki, i wkrótce wędrowcy ponownie znaleźli się głęboko w gęstym lesie. Zrobiło się zimno i wilgotno. Chaka cierpiała z powodu lekkiej

gorączki, Silasowi mocniej dokuczał ból w krzyżu, a Quait skrzył nogę w kostce, próbując uspokoić konia, który wpadł w dziurę.

Niestety, zanim gwardzista zdołał zapanować nad zwierzęciem, złamało nogę i trzeba je było zastrzelić. Quait – wyraźnie zasmucony – zasugerował, że może jego również powinni zabić. Avila pocieszała go, jak umiała najlepiej. Gdy dotarli do starej stajni, rozpalili ognisko. Chaka poczuła się lepiej dzięki okładom z wilgotnych części ubrania, wszyscy wszakże wiedzieli, jak niebezpieczna podczas podróży może się okazać gorączka. Quait trzymał się blisko dziewczyny i w każdej chwili jej usługiwał.

Dach przeciekał i do wnętrza padał deszcz. Avila wyjęła piszczałki, Quait – walon. Przez część wieczoru grali i śpiewali; towarzyszyły im odgłosy kropli deszczu uderzających w ściany starej stajni. Gwardzista nie był szczególnie utalentowany, lecz dawał z siebie wszystko, a kiedy fałszował, pierwszy się z siebie śmiał. Tej nocy Chaka przyznała się przed sobą, że jest w nim zakochana.

Był 21 marca, zrównanie dnia z nocą oraz dzień poświęcony Shancie. Szlak ponownie wrócił nad rzekę, chociaż – jak wyjaśnił swym towarzyszom Shannon – nie była to już Wabash, ale jej dopływ.

– Dotąd mniej więcej dotarłem. Dalej na północy nigdy nie byłem – powiedział. Nadal panowała zimna, deszczowa pogoda. W grupie dominował nastrój przygnębienia. Wszyscy byli zmęczeni, obolali i zaczęli przebąkiwać o powrocie do domu.

Rzeka znikła we wszechobecnej szarej mgle, widoczny był jedynie zarys lasu na przeciwległym brzegu. Znaki Shaya skierowały wędrowców ku mostowi. Był bardzo wysoki i częściowo popękany.

– Nie zdołamy po nim przejść – zauważył Silas.

W samym środku z mostu pozostało tylko kilka belek i krzywy chodnik.

– Powinniśmy pozostać tutaj na cały dzień – zaproponował Shannon. – Dajmy odpocząć koniom. A jutro obmyślimy dalsze kroki.

Nikt się z nim nie spierał. Tym razem w pobliżu nie było budynków, więc wędrowcy postawili kilka prowizorycznych szałasów i wpełzli do środka. Avila zapytała wszystkich swoich pacjentów o samopoczucie i choć uznała, że ich stan jest niezły, nalegała, by wcześniej udali się na spoczynek.

– Szczególnie ty – oświadczyła Chace, choć dziewczynie spadła już gorączka. – W tej pogodzie łatwo o nawrót choroby.

Otworzyli bukłak z winem, zarzucili koce na ramiona i usiedli w kręgu. Shannon wyłożył pstrągi, do których dodali biszkopty, jagody i fasolkę. Później Chaka zastosowała się do zaleceń swej lekarki i zasnęła. Silas zainicjował dyskusję na temat bogów, twierdząc, że są niezbędni, by na świecie panował pokój i właściwy porządek społeczny.

– Na ogół – powiedział – nie potrzebujemy ich przy posiłku. Jeśli jednak się na nich powołasz, ludzie lepiej się wywiążą ze swych społecznych powinności.

Avila w zamyśleniu sączyła wino i wpatrywała się w zamgloną rzekę.

– A ty, Quait? W co wierzysz?

– Co masz na myśli?

– Wiem, że nie wierzysz w Boginię.

– Nigdy tego nie powiedziałem.

– Wnioskuje z twojego tonu. O braku wiary świadczą też twoje opinie dotyczące innych spraw. Do kogo zatem przemawiasz, gdy zgasną światła?

– Nie jestem pewny – odparł. Zerknął na Chakę i stwierdził, że dziewczyna śpi. Mimo to zniżył głos. – Patrząc na takie piękne istoty – oświadczył – i dochodząc do wniosku, że nedorzecznością byłoby żądać więcej.

Spiąca Chaka nie usłyszała odpowiedzi Avili.

Dziewczyne obudził dotyk czyjejś ręki na ramieniu i zapach gulaszu z królika.

– Głodna? – spytał Quait.

Deszcz przestał padać, wokół panowały ciemności. W odległości kilku stóp przed szafasem wesoło płonął ogień.

– Tak. Zostawiłeś trochę dla mnie?

Podsunał jej miskę.

– Toczy się poważna dyskusja.

Chaka usłyszała ożywione głosy.

– Nie mów mi. Znowu o bogach.

– Nie tym razem. Grupa próbuje zdecydować, czy przechodzimy przez most, czy szukamy brodu. Jon przypuszcza, że nie znajdziemy go, idąc wzdłuż brzegu nawet przez kilka dni.

– Może zbudujemy tratwę? Konie przepłyną same.

– Widziałaś prąd? – Przycisnęła dłoń do czoła dziewczyny. Było chłodne. – Jak się czujesz?

– Dobrze.

Usiadł obok niej.

– Ciągłe zmieniają zamiar. Silas boi się, że ktoś spadnie z mostu.

– Co twoim zdaniem powinniśmy zrobić?

– Karik użył mostu, więc i my możemy spróbować. A co ty o tym myślisz?

– Zgadzam się z tobą. Oczywiście, możemy zmienić zdanie, gdy znajdziemy się na górze.

Pochylił się nad nią i przycisnął usta do jej policzka.

– Nie chciałbym, żeby ci się coś stało – oznajmił.

Nie odsunęła się, aż jego usta odnalazły jej wargi. Gest mężczyzny szczerze ją zaskoczył.

– Dla ciebie wszystko – rzuciła i natychmiast poczuła się jak dziecko. Quait uśmiechnął się i pocałował ją. Pocałunek był bardzo subtelny, jego usta ledwie musnęły jej wargi, a jednak dziewczynie przeszedł po plecach dreszcz.

– Jedz – powiedział, zadowolony.

Gulasz był dobry. Rozgrzał Chakę i przywrócił siły.

– Chyba się w tobie zakochałem, Chako Milano – wyszeptał mężczyzna.

Przy ognisku nastąpiło jakieś poruszenie i dziewczyna przez chwilę sądziła, że wywołało je wyznanie Quaita. Coś innego wszakże przyciągnęło uwagę podróżników, ponieważ wstawali jeden po drugim i patrzyli za rzekę na północ. Wskazywali na jakiś punkt i otwierali usta.

Quait odwrócił się i spojrzał przez ramię.

– Coś się tam dzieje – rzuciła Chaka.

Nietrudno było zauważyć wstążkę białego światła, które poruszało się po drugiej stronie.

– Wydaje mi się, że idzie w naszą stronę – odezwał się Flojjan.

Sunęło z północnego zachodu, po linii prostej. Szybko. Nie kojarzyło się z żywą istotą przechodzącą przez las. Raczej z duchem ślizgającym się ponad drzewami.

– Leci – odparł Silas.

Wiedzieli, że rzeka nie będzie stanowić bariery dla tej istoty. Shannon zgasił ognisko.

Avila pochyliła głowę i szeptała modlitwę.

– Widziałaś kiedyś coś takiego? – spytał Quait Shannona.

– Nie. – Przewodnik podniósł strzelbę i załadował.

– Smok Arina – powiedziała Chaka. Wstała i poszła po swoją broń, chociaż nie wierzyła, by kule

mogły powstrzymać osobliwego wroga.

Istota rozpadła się nagle i rozdzieliła na cztery rozjarzone człony. Leciały jeden za drugim.

Światła skręciły na wschód, jak gdyby zamierzały przelecieć przed ludźmi, równoległe do rzeki.

Wszyscy wstrzymali oddech.

Światła zaczęły zwalniać.

Chaka przypatrywała się im. Zbliżyły się, przesunęły wzdłuż powierzchni wody, zniknęły za połaciami lasu i pojedynczymi drzewami, po czym ponownie się wynurzyły.

Nie rozlegały się żadne dźwięki, z wyjątkiem szumu wiatru na rzece, brzęczenia owadów i rżenia koni.

– Zatrzymuje się – zauważył Silas przez ściśnięte gardło.

Każda z czterech oświetlonych części była obecnie odrębnym światłem. Oczy, skojarzyło się Chace. „Istota” o tysiącu oczach.

Nawet wśród drzew nie przestały być widoczne. Znajdowały się prawie bezpośrednio przed szóstką przyjaciół.

Dziewczyna usłyszała głos Quaita.

– Co o tym sądzisz, Silasie?

– Po wodzie niesie się głos – odparł Shannon szeptem. – Porozmawiamy później.

„Istota” wyłoniła się zza drzew i stanęła. Jej światła odbijały się w rzece.

– Nie sądzisz chyba, że wie o naszej obecności tutaj, co? – spytała Quaita Chaka.

Mężczyzna potrząsnął głową.

– Nie.

– W takim razie na co czeka?

Zamiast odpowiedzi gwardzista przysunął się bliżej do niej.

Chmura zasłoniła księżyc.

Smok pozostał zupełnie nieruchomy.

Chace wydawało się, że upłynęła niemal godzina, zanim światła po drugiej stronie rzeki zamrugały i smok ponownie zaczął się poruszać. Na szczęście udał się w kierunku, z którego nadleciał.

Illyryjczycy wciąż go obserwowali. „Istota” przesunęła się przez las, po czym skręciła, przyspieszyła i znowu wzleciała ponad drzewa. Światła się połączyły. Po pewnym czasie zaczęły blednąć i w ciągu kilku minut zniknęły.

Jon Shannon odkrył w Avili bratnią duszę. Tak jak on była urodzoną pustelniczką. Lubiła towarzystwo innych ludzi, lecz równie dobrze czuła się w samotności. Jedyna z grupy (poza przewodnikiem) czuła się swojsko w gęstym lesie, choć wcale nie miała żadnych wyjątkowych, koniecznych do przetrwania w głuszy talentów. Flojjan lepiej sobie od niej radził z końmi, Chaka była bardziej fachowym myśliwym, Quait zaś celniej strzelał.

Avila zachowywała się czasem jak leśne stworzenie. Kochała pokryte liśćmi polany i zielone zacisza. Nigdy nie wspominała Illyrii. Chociaż to zwykle ona sugerowała konieczność przerwania podróży, by dać odpocząć zwierzętom i ludziom lub uzupełnić zapasy, podczas postojów łatwo się niecierpliwiła i szybko była gotowa do dalszej drogi.

Jon Shannon, jak większość Illyryjczyków, nigdy się nie nauczył czytać, toteż nie podzielał entuzjazmu swoich towarzyszy dla powieści Marka Twaina czy też innych ewentualnych skarbów, które mogły czekać na członków wyprawy w Przystani. Wziął udział w ekspedycji, ponieważ wiedział, że podróżnicy go potrzebują.

Szczególnie czuł się odpowiedzialny za kobiety. Nie był zaskoczony, że właśnie one, a nie mężczyźni, nalegały na przekroczenie rzeki natychmiast po wizycie *inkali*, czyli leśnego demona.

Każda z kobiet pragnęła iść dalej z innych pobudek. Chaka nie zamierzała wracać do domu bez jasnych odpowiedzi na kilka nurtujących ją pytań, nie chciała też stawiać czoła Raneyowi, który powitałby ją słowami: „A nie mówiłem?”. Avila nie miała domu, do którego mogłaby wrócić, a kiedy zauważyła, jak wielkie wrażenie na towarzyszach zrobiła nocna wizja, zdecydowała się za wszelką cenę (choćby sama) kontynuować misję.

Mężczyźni wręcz przeciwnie. Nawet Silas nie miał ochoty wyruszać w dalszą drogę, lękał się bowiem zjawisk nadprzyrodzonych. Dotąd sądził, że nie istnieją ani bogowie, ani demony, teraz jednak – z dala od zacisznych sal Imperium – nie był już tego taki pewny. Wstydził się okazać strach, by na tle odważnych kobiet nie wyjść na tchórza. Quait podzielał jego poglądy, więc tylko Flojjan nadal zachęcał grupę do powrotu, powołując się na zdrowy rozsądek.

Wstali i wyruszyli o świcie. Mieli nadzieję, że do zachodu słońca uda im się przekroczyć rzekę i oddalić od niej o dobre kilka mil. Podczas jazdy nie odrywali oczu od przeciwległego brzegu, gdzie nad linią brzegową górowało zadrzewione pasmo. Jego część tworzyła płaską ziemną półkę, która mniej więcej w połowie drogi między wodą i szczytem rozszerzała się w skalną promenadę. Tutaj drzewa rosły rzadziej. Wszyscy zgodnie przyznawali, że właśnie w tym miejscu znajduje się miejsce odpoczynku smoka, wizji, *inkali*.

Dostrzegli nawet szlak istoty: długi, dobrze oznaczony, niewysoki, przypominający autostradę korytarz. Biegł równoległe do rzeki, później skręcał na północny zachód.

Chaka miała wątpliwości.

– Kiedy smok się zbliżał, leciał ponad drzewami. Ponad szlakiem!

– A jednak – rzekł Shannon – musi istnieć między nimi jakiś łącznik. *Inkala* rzeczywiście stąd przybyła.

Silas chrząknął i wepchnął ręce do kieszeni.

– Bardziej interesuje mnie natura tej bestii.

Avila przysłoniła oczy.

– Powinniśmy trzymać się z dala od tego miejsca – zauważyła. – Żadna istota z tego świata nie potrafi się poruszać w taki sposób...

Po znakach Shaya doszli do mostu.

W porównaniu z innymi nie był nadzwyczajnie duży. Sama jezdnia miała około stu stóp szerokości i była ograniczona grubymi metalowymi poręczami, które – co ciekawe – sięgały ludziom zaledwie do kolan. Konstrukcja wspierała się na dwóch masywnych betonowych filarach. Dalszy filar tonął w wodzie, toteż kratownice, dźwigary i jezdnia częściowo załamane mostu opadały pod znacznym kątem. Spory jego fragment zapadł się; widać go było w kryształowo czystej wodzie. Dwie części mostu – jedna pięćdziesiąt stóp wyższa od drugiej – łączyły się tylko kilkoma kawałkami metalu, garścią kabli i chodnikiem.

Chodnik podnosił się nieco z jednego boku, wsparty serią podpór, wznoszących się ponad główną częścią mostu i wokół niej. W pewnym miejscu most otaczały belki i stalowa siatka, która prawdopodobnie miała dawać poczucie bezpieczeństwa, chronić przed wypadkami i zniechęcać samobójców. Teraz była pokrzywiona i połamana, a gdzieś zwiisała nad wodą lub została całkowicie zerwana.

Jezdnia wyglądała na wąską; trzech ludzi nie mogłoby na niej stanąć obok siebie. Chodnik wszakże pozostał nienaruszony. Nawet tam gdzie już nie istniał główny most, chodnik przetrwał upadek i kołysał się łagodnie na wietrze.

– Nie powiem, żebym spodziewał się właśnie takiego przejścia – zauważył Silas.

Chaka zmrużyła oczy w świetle słońca.

– Czeka nas długa droga pod górę.

Shannon potrząsnął głową. Rzeka – w obu kierunkach – wydawała się szeroka i głęboka.

– Nadal sądzę, że powinniśmy poszukać brodu – powiedział.

– Podjęliśmy decyzję ubiegłej nocy – przypomniał mu Quait. – Przypuszczam, że przejście wygląda na niebezpieczne tylko z daleka.

– Zgadzam się – dodał Silas. Stali przy podstawie wejścia na most. Chodnik wznosił się kilka cali nad głównym korytem. – Ktoś z was cierpi na lęk wysokości?

– Przypuszczalnie wszyscy – odparła Chaka.

– Rozmyślałaś się? – spytał Silas.

– Nieważne, jak przejdziemy – odrzekła – ale zacznijmy już przeprawę.

– Konie się zdenerwują. – Flojian nie starał się ukryć przekonania, że powinni zawrócić. – Nie spodoba im się widok w dół.

– Słuchaj – odezwał się Quait – most ma cztery stopy szerokości. Raz się trochę wznosi, raz nieco opada, ale nic nie możemy na to poradzić. Gdybyśmy szli po ziemi, nawet nie zastanawialibyśmy nad niebezpieczeństwem.

Przeszli jezdnię, weszli na krawężnik po drugiej stronie i ustawili się jedno za drugim na chodniku. Każda osoba wzięła pod swoją opiekę trzy bądź cztery konie. Używali różnej długości lejców, dzięki czemu zwierzęta mogły iść gęsiego. Quait prowadził, Shannon zabezpieczał tyły.

Kiedy chodnik się podniósł, pojawiła się poręcz i metalowa siatka. Nawierzchnia była betonowa, choć w niektórych miejscach popękała; w szczelinach prześwitywał układ stalowych prętów.

Połączony z mostem szeroki zielony pas biegł równoległe do przejścia, mniej więcej piętnaście stóp pod nim. Również pozostał niemal całkowicie nietknięty, z wyjątkiem jednego czy dwóch pęknięć.

Las i faliste wzgórza pod podróżnikami ustąpiły miejsca glinianym brzegom, a następnie rzece. Wzmógł się wiatr. Słońce nadal świeciło jasno, choć na niebie pojawiły się pierwsze chmury. Na chodniku było zimno, więc Chaka splotła lejce trojga prowadzonych przez siebie zwierząt i wsunęła ręce do kieszeni.

Zastanawiała się, kto tędy chodził w okresie świetności mostu. Z góry wszędzie wokół widać było solidne ruiny. Czy ludzie przystawali na chodniku i bezpiecznie osłonięci siatką podziwiali położone na obu brzegach rzeki miasta?

Skoncentrowała uwagę na promenadzie. Silas zamierzał ją zbadać, gdy tylko znajdą się po drugiej stronie. Na pewno nie zadowolą go pobieżne oględziny. Pomyślała, że osobiście wolałaby natychmiast ruszyć w dalszą drogę.

Teren wyglądał dość niewinnie. Był płaski, gdzieniegdzie leżały powalone słupy. W lesie, na zachodzie, znajdowała się przecinka – korytarz, którym przybyła nocna zjawą.

Ponad promenadą w świetle słońca błyskał szary metal.

Kolejny duży dysk.

Wyglądał równie niesamowicie jak dysk z Diabelskiego Oka, tyle że ten został częściowo okryty. Był wycelowany niemal dokładnie w dziewczynę. Stanowił wklęsłą, płytką czaszę i znajdował się również na dachu. Chaka uznała go za wspaniałą rzeźbę.

Spojrzała dalej.

Chodnik skrzypiał i kołysał się. Konie wpatrzyły się w dziewczynę z przerażeniem w oczach, a któryś od czasu do czasu robił krok w tył. Chaka osądziła, że zwierzęta przeraża nie tyle wysokość, ile chwiejność podłoża. Idący za dziewczyną Silas miał kłopoty z opanowaniem srokacza, który ciągle próbował się uwolnić. Starzec stale przystawał, uspokajał zwierzę i głaskał je po pysku.

Chaka zebrała się na odwagę i ruszyła naprzód. Gdy dotarła do punktu, gdzie odpadła siatka i nic nie odgradzało wędrowców od przepaści, ścisnął się jej żołądek. Skoncentrowała się na myślach o Quaicie, wpatrzyła w horyzont (ale ani razu w dół) i zastanawiała, co robi Raney. Ciesz się widokiem falistych wzgórz i gęstego lasu, nakazała sobie. Jakiś wewnętrzny głos gdakał jej złośliwie, że nigdy już nie zobaczy niczego piękniejszego. Z drugiego końca popękanego mostu zwisały kable, belki dwuteowe i zmiażdżone podpory. Jezdnia opadała na brzeg rzeki. Początkowo drogę pokrywała ziemia i porastały krzewy, później przechodziła w leśną ścieżkę i znikwała w gęstwinie drzew.

Duża chmura przesłoniła słońce. W górze rzeki leżało sporo małych wysepek. Chaka dostrzegła ruiny portu, dwa rzędy schodzących do wody pali, potrzaskane budynki oraz monumentalnych rozmiarów maszynę, która służyła prawdopodobnie do podnoszenia ciężkich przedmiotów. Wpatrzona w dal dziewczyna nie potrafiła się uspokoić, a kiedy nagły podmuch wiatru uderzył ją i pchnął ku krawędzi chodnika, bliska paniki, upadła na kolana.

– Nic ci nie jest, Chako? – spytał za jej plecami Silas.

– Nie, nie – odparła. – Wszystko w porządku.

Ponownie pojawiła się siatka i dziewczyna poczuła się jak w tunelu. Odprężyła się trochę i znowu poczuła bezpiecznie. Tym razem potrzebowała silniejszego „leku” i wyobraziła sobie siebie pływającą nago z Quaitem. Albo z tym młodym Orikiem, który dla niej tańczył. Pod wpływem tego ostatniego wizerunku, mimo trudnej sytuacji, usta Chaki rozciągnął uśmiech. Czy istniał zabawniejszy widok niż obraz nagiego mężczyzny tańczącego na stole? A jednak...

Pomogło. Dziewczyna nie myślała już o zagrożeniu.

Poniżej rzeka płynęła ku horyzontowi.

Nikt nawet nie próbował rozmawiać. Wędrowcy znajdowali się zbyt daleko od siebie, w dodatku wiał silny wiatr, toteż musieliby krzyczeć. Nagle jednak Silas wrzasnął do Chaki, by się zatrzymała i poczekała.

– Popatrz na niego – powiedział, wskazując na dysk.

– Widziałam – odkrzyknęła.

– Taki sam był przy Diabelskim Oku.

– Pamiętam.

– Jak sądzisz, co to takiego?

Wzruszyłyby ramionami, lecz wiedziała, że dla własnego bezpieczeństwa nie powinna wykonywać gwałtownych ruchów.

– Nie mam pojęcia.

Zrobiła krok naprzód z zamiarem podjęcia marszu.

– Zastanawiam się, czy są tylko dziełami sztuki. Może mają również inne znaczenie?

– Nie wiem, Silasie.

– Hej! – zawołał Flojjan. – Dlaczego stanęliście? Jakieś przeszkody?

– Trzymaj konie – odkrzyknął mu Silas, po czym ponownie odwrócił się do Chaki, uśmiechnął i otworzył dziennik. Wiatr przewracał kartki.

– Zamierzam go naszkicować – powiedział, potem oznajmił idącemu za nim Flojjanowi: – Zajmie mi to tylko minutkę. – Próbował utrzymać zeszyt otwarty i znaleźć ołówek, kiedy nagle srokacz szarpnął go i pozbawił równowagi. Silas wpadł na siatkę; tylko ona oddzielała go od przepaści.

– Cholera! – zapiszczała Chaka. – Uważaj.

Starzec sięgnął po dziennik, który w każdej chwili wiatr mógł zdmuchnąć z chodnika, mocniej ścisnął lejce koni i powoli wstał. Wyglądał raczej na zakłopotanego niż przestraszonego.

– Nic ci nie jest? – spytała Chaka.

– Nic. – Potrząsnął głową, patrząc na srokacza. – Chyba powinniśmy go dziś wieczorem zjeść na kolację. – Ponownie spojrzął na dysk. – Kiedy zejdziemy tam – dodał – musimy zboczyć z trasy i przyjrzeć mu się z bliska.

Prawie jak gdyby powiedział: „Chodźmy zobaczyć smoka. Może – jeśli będziemy mieli szczęście – wróci”.

– Tymczasem – ponagliła go – przeprawmy się przez rzekę.

Przeszła ostatni fragment osłoniętego siatką chodnika i zbliżyła się do południowej wieżyczki. Wypolerowana i szara, wznosiła się setki stóp nad głowę Chaki. Solidne pęknięcie żłobiło budowlę od góry do dołu. Bezpośrednio przed dziewczyną Avila szła ostrożnie otwartym przejściem. Dla ochrony przed wiatrem nałożyła na głowę kaptur. Raz odwróciła się i pomachała.

*Dotrzeć do końca długiego pasa, dotknąć północnej wieżyczki, a reszta drogi będzie łatwa.*

Chaka zerknęła na swoje konie. Wyglądały nieźle, były tylko trochę podenerwowane.

Wiatr szarpnął chodnikiem.

Silas znalazł się na otwartej przestrzeni.

Flojjan i Shannon roztropnie czekali z tyłu, sądząc, że sześć osób i siedemnaście koni to nieco zbyt wiele dla tej części konstrukcji.

Silas co jakiś czas cofał się, by uspokoić zwierzęta. Jedno z nich – kasztanowo-siwy ogier – wyglądało na szczególnie spięte. Koń stał drugi w rzędzie za srokaczem.

– Nic się nie stało – zawołał starzec do Chaki, kiedy dziewczyna odwróciła się i obserwowała zamieszanie wokół niego.

Gdy Silasowi udało się skłonić stworzenie do dalszego marszu, posłał dziewczynie skromny, zachęcający uśmiech. Poczuli się jak jeden z koni.

Teraz któreś ze zwierząt Chaki zaczęło stawiać opór. Dziewczyna niechętnie precisnęła się obok Grajki, by porozmawiać z niesfornym ogierem. Pomyślała, że jeśli nie będzie sobie mogła poradzić z koniem, lepiej puścić go wolno, niż ryzykować szarpaninę.

Wracając na swoje miejsce, zagruchała jeszcze czule do swojej klaczy i ruszyła naprzód. Jednak



prawie natychmiast usłyszała za sobą krzyk. Odwróciła się i zobaczyła, jak trzymający kurczowo dziennik Silas zatoczył się ku zewnętrznej krawędzi chodnika. Srokacz ponownie się cofnął i stanął dęba.

Koń zarżał, usiłując odzyskać równowagę, niestety było już za późno. Starzec za wszelką cenę starał się utrzymać w rękach lejce, więc srokacz szarpnął go i ciągnął ku krawędzi. Wypadłby, na szczęście zaparły się dwa inne konie. Chaka przypatrywała się zdarzeniu z przerażeniem. Starzec w końcu wypuścił z dłoni lejce srokacza i zwierzę zaczęło powoli spadać do rzeki.

Chaka ruszyła ku Silasowi, przesuwając się między swoimi końmi. Mężczyzna zwisał z pasażu, lejce pozostałych koni miał zawinięte wokół nadgarstka. Rzuciła się ku niemu. Podniósł na nią oczy, jego twarz przypominała białą maskę. Dziewczyna oburącz chwyciła starca za kurtkę.

– Trzymaj się – wrzasnęła.

Niestety, Silas był dla niej za ciężki i nie potrafiła go utrzymać. Za sobą słyszała krzyki i kroki, niestety wszystko odbyło się zbyt szybko. Rozpaczliwie wołała o pomoc. Kurtka starca wyslizgiwała się Chace z rąk, więc dziewczyna zrobiła krok do przodu, patrząc w dół na Silasa i na rzekę.

– Dysk – krzyknął starzec.

– Trzymam cię! – zawołała, lecz kurtka nieubłaganie wysuwała jej się z rąk. *Gdzie są pozostali?!*

W intensywnie błękitnych oczach Silasa dostrzegła panikę. Patrzył na nią przez kilka sekund. Później ktoś wreszcie złapał Chakę za kostkę i kazał jej zachować spokój. Niestety nie zdołała dłużej utrzymać starca.

– Cholera! – krzyknął, po czym zniknął.

Zaczęła krzyczeć. Wyglądał, jakby od niej odpływał. Czyjeś silne ręce wciągnęły ją z powrotem na krawędź, ale krzyczała jeszcze przez długi czas.

– Chodziło mu o dysk – rzekł Flojjan. – Coś podekscytowało Silasa i swoim zachowaniem przestraszył zwierzęta. – Jednak nikt z podróżników nie zauważył w dysku niczego niezwykłego, nawet kiedy Chaka powiedziała, że ostatnie słowa starca dotyczyły osobiwej konstrukcji.

Dziennik Silasa leżał na chodniku; tylko te kilka kartek pozostało po wspaniałym uczonym. Ewentualny teren poszukiwań wydawał się tak ogromny, a środki wędrowców tak ograniczone, że szansa odnalezienia ciała starca była naprawdę niewielka. Illyryjczycy ograniczyli się zatem do pobieżnego przeszukania północnego brzegu.

Avila oświadczyła w imieniu całej grupy, że Silas pragnąłby, by jego przyjaciele kontynuowali wędrówkę, a na jej końcu postawili mu pomnik. Pożegnali jego duszę podczas późnopopołudniowego obrządku, wygrawerowali napis na płycie pamiątkowej, otworzyli bukłak z winem i wypili za spokój ducha starca.

„Silasowi Glote, ostatniemu z Drogowców”.

Wspięli się na wzgórze, skąd rozciągał się lepszy widok na dysk, do którego zmarły przyjaciel starał się przyciągnąć uwagę podróżników. Nie zdołali odgadnąć powodów jego podniecenia. Przedmiot wyglądał całkiem przeciętnie. Po chwili porzucili próżne rozważania i ruszyli na północ. Czuli się przygnębieni, zniechęceni i bardzo pragnęli przed zmrokiem znaleźć się jak najdalej od tego miejsca.

– Chyba nie uda nam się za bardzo oddalić – powiedział Shannon, wskazując kilka nacięć na bliźniaczych czarnych topolach.

Nacięcia tworzyły strzałkę skierowaną w lewo wzdłuż brzegu rzeki. W stronę promenady. I w stronę dysku.

Niechętnie przeszli pasmo i ruszyli ku nikańczemu zielonemu światłu. Wiewiórki hasały po liściastych konarach, śpiewały ptaki. Stare ściany wznosiły się wokół wędrowców, ceglane i kamienne domy znikwały wśród drzew, światło przenikało przez gałęzie wiązu i padało pod kątem czterdziestu pięciu stopni, oświetlając na wpół zakopany w ziemię hojj i jakiś szary strzęp zwisający z porzewiałego lustra.

Dzień był wyjątkowo ciepły. Zakwitły już niektóre rośliny, niepodobne do żadnych, jakie Chaka widziała kiedykolwiek przedtem. Miały duże, żółte kwiaty w kształcie kul.

– To chryzantemy – wyjaśniła Avila. – Mieliśmy podobne w świątyni.

Dysk zamocowano na dachu trzypiętrowego ceglanego budynku, który górował nad promenadą. Brakowało mu frontowych drzwi, wewnętrzne ściany się kruszyły. Po lewej stronie leżała stara ławka, częściowo zatopiona w glinie.

– Ostrożnie – doradził Shannon, kiedy Chaka testowała wytrzymałość podłogi.

– Wygląda całkiem mocno – oceniła.

Przeszła po skrzypiącej podłodze na tył budynku, Shannon szedł za nią. Znaleźli tam schody. Przewodnik wszedł na stopnie, dotarł na pierwsze piętro i oświadczył, że droga jest bezpieczna. W kilka chwil później cała grupa znalazła się na dachu.

Dysk miał kształt czaszy i oszacowali jego ciężar na jakieś sześćset funtów. Umieszczono go na kolistym podwyższeniu, w miejscu trzymała go gruba kłamra w kształcie litery „U”. Wnętrze czaszy było prążkowane, do kłamry zaś przykuto serię chwytaków. Otwarta część czaszy wznosiła się ku niebu, wskazując niemal dokładnie w górę.

– Święta Pani – wyszeptała Chaka.

Zaskoczony Shannon popatrzył na nią.

– Co takiego?

– Rozumiem już, co Silas miał na myśli. Dysk się poruszył!

Shannon przewrócił oczyma i zagapił się w czaszę.

– Nie sądzę – odpowiedział. Wyciągnął rękę do niższej obręczy dysku i pchnął. Nic się nie zdarzyło. – Nikt nie jest w stanie go poruszyć.

A jednak czasza nie była już wycelowana w stronę mostu.

Szli pieszo wzdłuż zbocza, prowadząc konie, aż wynurzyli się na promenadzie, gdzie w nocy zatrzymała się na odpoczynek *inkala*.

Ziemna półka była płaska i trawiasta. W niektórych miejscach gleba się wytarła i Illyryjczycy zobaczyli beton. Gdy spojrzeli w dół, dostrzegli rzekę, błękitną i chłodną w zachodzącym słońcu. Widać było ślady po ich obozowisku z ubiegłej nocy. Dostrzegli wzgórze, na którym się kulili w trakcie obserwacji nadchodzącej *inkali*, oraz szlak za mostem.

Przez całą długość promenady biegł szeroki na wiele stóp i na kilka stóp głęboki rów, który rozdzielał beton na dwie części.

– Co o tym myślicie? – spytała Chaka.

– Malownicze położenie – odrzekł Flojjan. – Przy ładnej pogodzie piękne miejsce na piknik. Gdybyście się rozejrzeli, prawdopodobnie znaleźlibyście kilka stołów i krzesel.

Quait popatrzył na niebo.

– Niedobrze – powiedział. – Robi się późno, a po zmroku na pewno wszyscy wolelibyśmy się znaleźć daleko stąd.

Pozostali zgodzili się z jego opinią, po czym rozeszli się, by odszukać znaki Shaya. Avila znalazła coś innego.

Dwadzieścia jardów w las na wysokości mniej więcej dwóch stóp wyrastał z ziemi zielony pas. Leżał na jednej linii z rowem, miał zewnętrzną poręcz i po pewnym czasie skręcał z kierunku północnego na północny zachód, w ślad za korytarzem *inkali*. Przypominał pas, który biegł przez most równoległe do pasażu.

Po wschodniej stronie trawiastej półki podróżnicy znaleźli podobną budowlę, także wycelowaną bezpośrednio w środek rowu.

– Podejrzewam, że gdybyśmy wrócili po nim do mostu – zauważył Quait – całość okazałaby się jedną konstrukcją.

– Ale co to jest? – spytał Flojjan.

Ciągle próbowali sobie odpowiedzieć na pytanie, gdy Shannon pokazał im sasafras rosnący przy promenadzie. Na pniu wycięty był krzyż.

– Co oznacza? – spytał Flojjan.

– Nie wiem – odparł Shannon. – Może to jeden ze znaków Shaya.

– Nie wiesz, co oznacza? – Flojjan popatrzył na niego z niedowierzaniem. – Czyżby nie istniał jeden rodzaj kodeksu znaków? A może nie mówicie tym samym językiem?

Przewodnik westchnął i odwrócił się do Avili.

– Powinniśmy chyba wiedzieć, co oznacza krzyż, mnie niestety on nic nie mówi.

Chaka wskazała na przeciwną stronę rowu.

– Następny – powiedziała. Krzyż wryto na pniu dębu, tuż przy szczycie pasma.

Shannon zdjął kapelusz, spojrział najpierw w jedną stronę, potem w drugą. Na wschodnim i zachodnim końcu trawiastej półki zobaczył kolejne dwa identyczne znaki.

– Powiem wam, jakie mam skojarzenia, choć nie wydają się zbyt sensowne. W innych

okolicznościach powiedziałbym, że krzyż oznacza koniec podróży.

Popatrzyli po sobie lekko zażenowani.

– Co teraz zrobimy? – spytał Quait.

Pytanie było skierowane do Avili, jakby przejęła po Silasie funkcję przywódcy. Kapłanka rozejrzała się po peronie. Słońce znajdowało się na horyzoncie, niebo z wolna czerwieniało.

– Jonie – odezwała się – jesteś pewny, że wszystkie znaki wyrzeźbił ten sam człowiek?

Przewodnik wzruszył ramionami.

– Wszystkie zrobiono chyba tym samym nożem. Wszystkie wyrzeźbił niski facet. Przypuszczam, że Shay miał około pięciu stóp i pięciu cali.

– Mniej więcej – przyznał Flojjan.

– Skąd wiedziałeś? – spytała Avila.

– Znaki zwykle umieszcza się na poziomie oczu. Te znajdują się na wysokości pięciu stóp.

– Może powinniśmy przedyskutować tę sprawę później – rzekł Flojjan. – Teraz chyba należy stąd odejść. Niezależnie od tego, co chciał nam powiedzieć nasz niewysoki poprzednik. Powoli zapada ciemność.

Shannon i Quait popatrzyli na Avilę.

– Właściwie nie mamy dokąd pójść, po co więc się kręcić w kółko.

– Ale to miejsce jest nawiedzone! – zawołała Chaka.

Avila miała na głowie starą czapkę z materiału. Zdjęła ją teraz, wytarła czoło i zapatrzyła się na drugi brzeg rzeki.

– Nie wiemy, co się tutaj dzieje – zauważyła. – A z pewnością musimy się tego dowiedzieć. Nie zamierzam się stąd ruszać. Zobaczę, czy rzeczywiście coś się zdarzy. Każdy, kto zechce zostać ze mną, będzie mile widziany. Ci, którzy pragną szukać schronienia w okolicy, niech idą. – W jej głosie można było dosłyszeć napięcie.

Tylko Flojjan miał odwagę odejść.

– Nie zamierzam dać się zabić – wyjaśnił. – Mam nadzieję, że o tym wiecie. – Wziął jednego z juczych koni, przesypał trochę ziarna do worka zwierzęcia i bez zbędnych słów pomaszerował w dół szlaku ku mostowi.

Pół godziny później wrócił, tłumacząc, że nie potrafił opuścić przyjaciół. Może i tak, choć Chaka pomyślała, że po prostu samotność wydała mu się jeszcze bardziej przerażająca niż kontakt z ewentualną zjawą.

Poprowadzili konie na drugą stronę pasma. Potem przyrzadzili sobie kolację i bez przekonania dziubali jedzenie.

Gdy skończyli posiłek, było już ciemno. Zgasili ogień, sprawdzili broń, wrócili na szczyt pasma i zajęli pozycje wzdłuż obszaru wychodzącego na promenadę. Gdyby oczekiwali napaści ze strony ludzi, rozstawiliby się szeroko. Jednak w obliczu nieznanego wroga woleli pozostać w grupie, ukryci wśród skał i krzewów.

Flojjan usiadł obok Avili.

– Słyszałem – zagaił – że demony nie zaczepiają kapłanów. Istnieje szansa, że osoby towarzyszące kapłance są równie bezpieczne?

– Oczywiście – odrzekła cicho. – Nie lękaj się.

Chakę denerwował widok Flojjana kręcącego się w ciemnościach z naładowaną strzelbą, ale nic nie mogła na to poradzić. Avila, choć znana z celnego oka, nie przyjęła broni.

– Cokolwiek to jest – powiedziała dziewczynie – strzelba zapewne go nie powstrzyma. Jeśli

potrzebujemy przeciwko niemu broni, wątpię, czy mamy właściwą.

Już nie podziwiali panoramy na północnym zachodzie, którą obserwowali z przeciwległego brzegu rzeki. Obecnie widok ograniczały im drzewa, zatem zbliżającego się nieziemskiego gościa dostrzegliby dopiero w ostatniej chwili.

– Oczekiwanie jest straszne – przyznała się Chaka Quaitowi.

– Wiem. – Stał blisko niej. – Mamy sporo broni. Jeśli zajdzie potrzeba jej użycia... – Oddychał nierówno. – A kysz! – dodał.

Oboje próbowali się roześmiać, lecz dźwięk zamarł na wietrze.

– Najlepiej trzymajmy się tuż przy ziemi – doradził Shannon.

– Nic ci nie jest? – odezwał się Flojjan siedzący po drugiej stronie Chaki. Ręce mu drżały.

Dziwnym trafem zachowanie mężczyzny wydawało się dziewczynie bardziej pocieszające niż fałszywa brawura Quaita.

– Nie – powiedziała. – Wszystko w porządku.

– Przykro mi z powodu Silasa.

Jak to zwykle bywa w razie śmierci kogoś bliskiego, Chaka jeszcze nie pogodziła się ze stratą. Ciągle oczekiwała, że starzec w każdej chwili wróci, że wyjdzie z lasu z dziennikiem w dłoni. Zaskoczyło ją, że Flojjan zauważył jej szok.

– Dzięki – szepnęła.

– Byłby z nas dumny. Z tego, że się nie wycofaliśmy. Nie chciałem tu zostać, wiem jednak, że stary tak właśnie by postąpił.

Słuchała leśnych hałasów. Quait wstał i ruszył wzdłuż szczytu pasma, usiłując coś dojrzeć.

Shannon podszedł do Avili i ukląkł obok niej.

– Wierzysz w istnienie demonów? – spytał.

Parsknęła niskim głosem, po czym odparła:

– Nie wiem, Jonie. Przed wczorajszym dniem na pewno w nie nie wierzyłam. Teraz już sama nie wiem.

Quait wrócił do Chaki.

– Nic jeszcze nie widać – oświadczył. Popatrzył na gwiazdy. – Ubiegłej nocy pojawiła się mniej więcej o tej porze.

Zamilkli. Dziewczyna zastanawiała się, czy mógłby im pomóc jakiś talizman. Gdyby takowy istniał, Avila na pewno by o nim wiedziała. Przypuszczalnie nawet by go miała. Może zresztą jakiś miała, lecz nie przyznawała się przed wędrowcami, ponieważ nie chciała ich zachęcać do myślenia o duchach. W końcu sama zaproponowała, by zostali w okolicy dysku, a z pewnością nie chciała ich narażać na niebezpieczeństwo.

– Jeśli nie przyciągniemy jego uwagi – Flojjan nie mówił do nikogo w szczególności – może wszystko będzie dobrze.

Chaka wycelowała broń w peron. Trafi w niego, gdy zajdzie potrzeba.

– Jak brzmi oficjalne stanowisko dotyczące demonów? – spytała Avilę.

– Według Świątyni – odparła kapłanka – istnieją, ale działają w sposób niecałkowicie bezpośredni. Są odpowiedzialne za wszelkiego rodzaju zło. Za choroby. Za powodzie. Czasem igrają z ludzkimi uczuciami i buntują nas, byśmy przeciwstawiali się woli bogów.

– Wierzysz w to?

– Nie jestem już pewna, w co wierzę. Spytaj mnie rano. – Odwróciła się i popatrzyła na zachód, w drzewa.

Świeciła tam łagodna luna.

– Nadchodzi – oznajmił Flojjan przerażonym szeptem.

Przykucnęli w krzakach.

– Takie samo miejsce jak ostatniej nocy – zauważył Quait. Cicho nałożył rękawiczki i położył palec wskazujący na spuście pistoletu.

– Nikt nie strzela, póki nie powiem! – zawołał Shannon.

– Nie. – Avila mówiła cicho. – Ja dam wam znak.

Chaka zerknęła na przewodnika, który wzruszył ramionami.

– Idzie na mnie – warknął. – Nie czekam, aż wszyscy będą gotowi.

Oczy Flojjana rozszerzyły się, a jego oddech stał się nieregularny.

Łuna rozwinęła się w długi rząd świateł. Skręcały stopniowo, zbliżając się wzdłuż wielkiego łuku.

Smok znalazł się ponad linią drzew.

– Zwalnia – rzucił Quait.

Obserwowali, jak „istota” opada w las.

Shannon zrobił kilka kroków w prawo i ukrył się za kłodą. Oparł na niej strzelbę.

– Zachowajcie spokój – radziła Avila. – Nie prowokujmy ataku.

– Cóż to za bestia? – Chaka spytała Quaita. Stworzenie miało około dwustu stóp długości.

– Smok – odrzekł Quait.

Rozjarzone oko pojawiło się w lesie i ruszyło ku grupie w straszliwej ciszy.

– Shanto – wydyszała Avila. – Bądź z nami.

Później wybuch rozdarł nieruchome powietrze. Oko wybuchnęło i ściemniało.

– Zastrzeliłem go – powiedział Flojjan. – Jest ślepy.

Avila wyszarpnęła mu strzelbę.

– Cholerny głupiec – burknęła.

„Istota” wypłynęła spośród drzew, przesuwając się nad rowem. Była długa i węzowata, z jej boków wylewały się światła. Poruszała się teraz bardzo spokojnie, wzdychała, wydawała z siebie szepty i mlaśnięcia, zachowywała się tak, jakby nic się nie stało. Chaka – ku swemu przerażeniu – dostrzegając, że smok nie dotyka ziemi. Serce czekającej na atak stworzenia dziewczyny szaleńczo tłukło się w piersi.

Smok jednak nadal opadał na promenadę. W końcu zatrzymał się na niej. Rozległ się głośny syk uciekającego powietrza. Stwór osiadł w rowie. Drzwi się otworzyły.

Chaka wstrzymała oddech. Nikt się nie poruszył. Obok niej niczym zmrozeni stali Avila i Flojjan, ona trzymała jego strzelbę, on zakrywał rękoma twarz.

– Cienie – szepnął Quait.

Wnętrze bestii wypełniały siedzenia.

Z drzwi rozległ się syk.

„Istota”, której tak się obawiali, okazała się wagonem! A ściśle rzecz biorąc, czterema wagonami. Połączonymi ze sobą.

W środku było jasno i czysto.

Flojjan jęknął i usiłował odebrać Avili swoją strzelbę. Nie odrywając wzroku od promenady, kapłanka rozładowała broń i położyła na ziemi.

– Z czego jest zrobiony? – spytał Quait.

– Pochodzi nie z tego świata – odparł Shannon.

Wagony błyszczały w świetle księżyca.

– Na kogo czeka?

Drzewa kołysały się na wiejącym od rzeki wietrze.

– Co sądzisz na jego temat? – spytał Avilę Quait.

Głęboko zaczerpnęła oddechu i wstała.

– Czekajcie – odparła.

– Nie rób tego – ostrzegł ją Shannon.

Kapłanka przepchnęła się przez krzaki i zaczęła schodzić z wzniesienia. Chaka obserwowała ją, patrzyła też na puste wagony, na Flojiana, który odzyskał strzelbę i ponownie zaczął ją ładować.

Avila, blada i widmowa, wkroczyła pewnym krokiem na promenadę. W oddali zahukała sowa. Rzeka pluskała.

Kapłanka dotarła do czekającego wagonu, zawahała się, dotknęła go, po czym wsunęła głowę przez otwarte drzwi.

Quait wszedł na trawiastą półkę. Chaka nawet nie zauważyła, kiedy zniknął. Długą chwilę wpatrywała się przed siebie, potem także ruszyła w dół zbocza. Shannon niechętnie powędrował za nimi. A w kilka minut później nawet Flojian.

Rozstawili się wzdłuż boku wagonu. Przez okna i drzwi zaglądali do wnętrza. Było oświetlone i czyste. Avila i Quait zobaczyli coś w środku i stali bez ruchu. Serce Chaki łomotało.

Zajrzała. W wagonie nad oknami mistycznie migotały oświetlone symbole i litery:

PROPONUJEMY PRZEJAZDZKĘ NOWYM HELIOSEM.

TEN SAMOCHÓD TO NAJLEPSZY ZAKUP ROKU 2057.

Ponad oknem przesuwiał się również drugi napis ZEGAREK DLA CAŁEGO ŚWIATA – SEIKO.

Kiedy napisy dotarły na koniec pojazdu (ponieważ ten układ wagonów z pewnością był pojazdem), zniknęły.

– Technologia Drogowców – oświadczył Quait. – Nie mam pojęcia...

– Co oznaczały te słowa? – spytał Flojian.

Wyposażone w uchwyty siedzenia zamontowano parami przy oknach. Oświetlenie dochodziło prawdopodobnie z górnych płyt i tablic w ścianach.

– Co teraz? – spytała Chaka ledwie słyszalnym szeptem.

– Chyba mamy odpowiedź na pytanie o tamte niezrozumiałe znaki – mruknął Shannon niechętnie. – Chcą, żebyśmy wsiedli na pokład pojazdu.

Avila skinęła głową.

– Zgadzam się.

Przeszła przez drzwi, wyciągnęła ręce i zmarszczyła brwi.

– W środku jest ciepło – zauważyła.

Na ruchomym pasku pojawiła się nowa wiadomość:

„BABILON!”

Z COREYEM LEDREWEM I JANET BARBAROSĄ. Avila poszła na tył wagonu. Otworzyła łączące drzwi. Chaka zajrzała do następnego wagonu. Wyglądał tak jak pierwszy.

– Co napędza pojazd? – spytał Flojian. – Skąd przyjechał? – Stał blisko drzwi, w każdej chwili gotów wyskoczyć.

Puste siedzenia połyskiwały. Były wykonane z nieznanego Chace gładkiego materiału.

– Nie ma kierowcy! – krzyknął Flojian. Był bliski paniki.

– Możliwe – spytała Chaka – że gdzieś ciągle jeszcze żyją Drogowcy?

– Niewykluczone – odparł Quait. – Albo opuścili pojazd. Chaka przypomniała sobie opowieści o niespokojnych ruinach.

Avila zrobiła wdech i powoli wypuściła powietrze.

– No cóż – rzekła – pojazd posuwa się po szlaku. Możemy zostać w nim i pojechać tam, dokąd

dotarła grupa Karika. Albo możemy wracać do domu.

– Wracajmy do domu – zaproponował Shannon. – Ten pojazd zabierze nas prosto do piekła.

Pojazd najwyraźniej na coś czekał.

Avila popatrzyła na Quaita.

Gwardzista pokiwał głową.

– Doszliśmy tak daleko – powiedział. – A to przecież jest tylko środek transportu.

Chaka wcale nie czuła się pewnie, lecz nie zamierzała się wycofywać.

– Jadę – oświadczyła.

Shannon wyglądał na oburzonego.

– Lepiej wprowadźcie konie na pokład. Nie wiadomo, kiedy pojazd rusza.

Wszyscy szaleńczo rzucili się do wyjścia. Po kolei wyskoczyli z wagonu, wspięli się po paśmie, przeładowali juczne zwierzęta, osiodłali wierzchowce i sprowadzili wszystkie zwierzęta z powrotem w dół, na promenadę. Cała akcja zajęła im kilka minut. Wprowadzili konie, pobieżnie sprawdzili, czy rzeczywiście są sami w pojeździe, usiedli i czekali.

– Zauważyliście – spytał Shannon – że wierzchowce nie były zdenerwowane, gdy wchodziły? To dobry znak. – Z powagą skinął głową Chace. – Zwierzęta potrafią wyczuć demony.

ZUPY CAMPBELLA ZMIENIAJĄ KAŻDY POSIŁEK W UCZTĘ.

– Nie ma kierowcy – przypomniał im Flojjan. – A to nie jest dobry znak.

Chaka przypatrzyła się jednej z emitujących światło tablic. Podobnie jak w lampie Talleya, nie dostrzegła otwartego płomienia. Dotknęła tablicy, zapiszczała i cofnęła dłoń.

– Gorące – zawołała.

Rozległ się krótki dzwonek i drzwi się zamknęły. Podłoga zadrżała.

– Chyba ruszamy – zauważył Quait.

Shannon chrząknął z dezaprobatą.

– Nie powinniście wynajmować przewodnika, jeśli nie zamierzacie słuchać, co ma do powiedzenia.

Nie mogli się już wycofać. Światła ściemniały, zamrugały i ponownie rozbłysły. Konie cicho protestowały. Chaka poczuła nacisk, jak gdyby podnosiła się podłoga. Promenada zniknęła, pojazd się zakołysał. Zwierzęta rżały, ludzie pojękiwali. Kiedy pojazd się wzniósł, ciałem dziewczyny szarpnęło w tył.

Wagon, który znajdował się na przedzie, gdy pojazd nadlatywał, teraz był na jego końcu. Pojazd leciał w powietrzu, przesuwając się na wysokości około dwóch stóp nad ziemią, unoszony przez niewidzialną rękę, o której Chaka nie miała ochoty rozmawiać. Dziewczyna mamrotała modlitwę. Nagle poczuła na ramieniu uspokajający uścisk dłoni Quaita, chociaż on sam nie miał zbyt pewnej miny.

– Wiedzieliśmy, że do tego dojdzie – odezwała się Avila. – Mamy do czynienia jedynie z mechanizmem. – Osunęła się na siedzeniu. Pozostali poszli za jej przykładem.

Trawiasta półka pozostała w tyle, potem zniknęła, a podróżników otoczył las. Kilka wewnętrznych światel zamigotało.

Lęk każdego z wędrowców odbijał się w oczach towarzyszy. Stłoczeni razem na tyle pojazdu, obserwowali księżyc tańczący w ciemnej sieci konarów drzew.

Panowały ciemności, toteż widok za oknami nie był wyraźny, ale od czasu do czasu wędrowcy dostrzegali przesuwające się obok pojazdu słupy i drzewa. W tych momentach uświadamiali sobie, że poruszają się znacznie szybciej niż ktokolwiek ze znanych im ludzi. Wzdychali, gwałtownie łapali



powietrze i wstrzymywali je, podczas gdy pociąg huśtał się na długich zakrętach. Równocześnie wznosił się, wspinał i szybował nad wierzchołkami drzew. Flojjan oddał całą grupę pod opiekę Bogini.

Znaleźli się obecnie w królestwie jastrzębi. Obok migały pola i jeziora.

– Karik to przeżył – przypomniał Chace Quait.

Avila przyznała raptem, że może lepiej było nie wsiadać. Zwierzęta kołysały się i parskały, lecz nie wydawały się tak bardzo niespokojne jak ich właściciele.

– Mam nadzieję, że nie zatrzyma się zbyt gwałtownie – powiedział Shannon. Nasunął powyginany kapelusz mocniej na głowę i starał się przywołać na wargi uśmiech. – Będzie co opowiadać wnukom, prawda?

Krajobraz wznosił się i opadał, jednakże pociąg nie przewracał się. Przypuszczalnie poruszał się teraz ze stałą, przerażającą dla członków wyprawy prędkością. Drzewa i skały za oknami zmieniały się w plamy.

LINIE LOTNICZE „DELTA”.

LUKSUSOWE WARUNKI W CENIE DRUGIEJ KLASY.

Avila wypatrywała przez tylne okno. Zielony pas wraz ze swoją poręczą nadal towarzyszyły pojazdowi.

– Ten pas musi mieć coś wspólnego ze szlakiem – zauważyła.

– Może jesteśmy do niego przymocowani – zasugerował Flojjan.

– Nie sędzę. Leży zbyt nisko pod nami. W jaki sposób mielibyśmy podróżować po jego powierzchni? – Zamknął powoli oczy. – Na moście zielony pas był pęknięty. Zastanawiam się, czy kiedyś ten pojazd nie przekraczał przypadkiem rzeki.

Sporadycznie, gdy pociąg skręcał, przyjaciele widzieli przed sobą rozjarzony w ciemnościach stożek światła.

– Z takiego samego wyjechaliśmy – oświadczyła Chaka. – Najwyraźniej światło znajduje się na obu końcach. – Wskoczyli w wąską zatoczkę i bez wysiłku pozęglowali przez wykop między pasmami. Pasma zaczęły się z wolna rozmywać, pojawiły się ruiny: najpierw pod pojazdem, później dokoła niego, wreszcie pociąg zwolnił i Illyryjczyków ponownie otoczyły drzewa. Wjechali na kolejną promenadę, zahamowali i – z dużym gulgotem i syczeniem – zatrzymali się na ziemi. Dodatkowe światła rozbłysły wewnątrz wagonu i na zewnątrz.

– Stacja Vincennes – odezwał się kobiecy głos. – Podczas wysiadania proszę zachować ostrożność.

Chaka odwróciła się gwałtownie, by zobaczyć, kto przemówił. Nikogo nie dostrzegła. Włosy zjeżyły jej się na karku. Otworzyły się drzwi.

– Kto tu jest? – zapytał Quait, wstając i podnosząc broń.

– Głos dochodził gdzieś ze środka – powiedziała Avila.

Na zewnątrz wiał mocny wiatr. Chaka zauważyła schody w dół. Były też ławy. I mały drewniany budynek, pogrążony w całkowitych ciemnościach. Za nim rozciągał się las.

– Mamy okazję wysiąść – oznajmił Flojjan.

Wymienili spojrzenia. Pomysł nie był zły. Zanim wszakże zdążyli się zastanowić, ponownie rozległ się dzwonek – i drzwi się zamknęły.

– Szybko się to odbyło – mruknęła Chaka.

Quait i Shannon z opuszczonymi pistoletami weszli do następnego wagonu, szukając źródła głosu. Pociąg znowu wznosił się w powietrze.

– Niczego nie znajdą – szepnął z przekonaniem Flojjan. – To był duch.

– Sądzę, że Flojjan ma rację – powiedziała Avila. – Przynajmniej co do tego, że nikogo nie znajdują. Przetrasnęliśmy już wcześniej cały pojazd. Jesteśmy sami na pokładzie.

Pokonali otwartą przestrzeń i na powrót otoczył ich las. Pociąg pędził obok zagajników drzew, źródeł i strumyczków. Potem ląd zniknął, gdyż pojazd leciał nad wąwozem. Serce Chaki niemal zamarło. Pod wędrowcami pojawiła się woda, następnie solidniejsze podłoże oraz znak:

POŁUDNIOWO-ZACHODNIE CENTRUM ROLNICZE.

Ledwie odczytali znak, już go nie było.

Quait i Shannon wrócili z informacją, że nikogo nie znaleźli.

Księżyc przesunął się na zachód. Cała grupa siedziała blisko siebie, wszyscy mówili ściszymi głosami. Od czasu do czasu ktoś wstawał i oznajmiał, że zamierza zajrzeć do koni. Natychmiast na ochotnika zgłaszała się druga osoba do towarzystwa. Nikt nie chodził sam.

Pojazd zatrzymał się ponownie i znowu wędrowców przeraził pozbawiony ciała głos:

– Terre Haute.

Drzwi otworzyły się, powiał wiatr, po czym drzwi się zamknęły.

– Nigdy nam w coś takiego nie uwierzą – mruknęła Avila.

Pędzili przez noc, przesuając się nad rozległym lasem i coraz częstszymi ruinami, aż w końcu las zupełnie zniknął i wszędzie wokół leżały tereny zasypane odłamkami cegieł i gruzem.

Pociąg zwolnił, potem długo skręcał na zachód. Na północy ukazała się woda. Wyglądała jak morze.

Ponownie przyspieszyli. Kiedy na niebo wrócił księżyc, Chaka zobaczyła plażę, spienione fale i stare autostrady. Pojazd kołysał się łagodnie, ślizgając się po piasku, wodzie i zagonach trawy. Linia brzegowa stopniowo skręciła na północ. Szlak nie oddalał się od wody.

Stały ląd rozbił się na wysepki i kanały, zarzucone wrakami, stosami kamieni, rzędami kruszących się domów z cegły.

– Popatrzcie – zawołał Flojjan z twarzą przylepioną do szyby.

Z ciemności wyłoniło się skupisko ogromnych rozmiarów wieżowców. Strzelały prosto w niebo i dalece przerastały każdą znaną Chace budowlę. Otoczone księżycową łuną robiły wrażenie niegroźnych i wydawały się zakotwiczone w wodzie.

– Miasto – sapnęła dziewczyna. – Miasto z czwartego szkicu.

Pojazd zwalniał.

Dokoła niego wyrosły ściany. Minął przedmioty, które wyglądały jak inne pociągi, lecz były ciemne i tkwiły bez ruchu. Podróżnicy przelecieli nad kanałem, przecięli niewielką wysepkę, przemknęli obok długich, niskich budynków z ogromnymi kominami, potem ponownie prześlizgnęli się ponad otwartą wodą.

Woda ustąpiła kamiennej ścianie. Kamień był polerowany i połyskiwał w światłach pociągu.

Nagle wjechali do tunelu. Ściana (która stała się szara i chropowata) przesuwała się obok powoli. W końcu się zatrzymali.

Pociąg stał na ziemi.

Światła się zapaliły, drzwi otworzyły.

– Witajcie na Union Station – odezwał się głos. – Uprasza się wszystkich, by wysiedli. Prosimy zachować ostrożność.

Stali na peronie w absolutnym milczeniu. Otaczały ich konie, bagaże i przeraźliwa ciemność (jedyne światło padało z wagonów). Znowu panowało zimno, lodowate zimno.

– Wie ktoś, gdzie jesteśmy? – wyszeptał Shannon.

– Na Union Station. – Chaka wymówiła obce słowa.

Drzwi się zamknęły. Pojazd wzniósł się kilka stóp nad powierzchnię i zaczął odlatywać. Obserwowali, jak znika w mroku. Jego światła jarzyły się jeszcze przez jakiś czas, potem zniknęły, jak gdyby pociąg gdzieś skręcił.

– Co teraz? – spytał Flojjan. Głos odbił się echem.

Avila zapałką zapaliła lampę olejową.

Peron miał około dwudziestu stóp szerokości, po jego obu stronach znajdowały się rowy. Inne perony, równoległe do pierwszego, ciągnęły się w ciemność. Nie widać było sufitu.

– Powinniśmy poczekać na świt – doradził Flojjan. – Prześpijmy się trochę i nie kręćmy zbyt wiele.

– Spałbym lepiej – powiedział Shannon – gdybym wiedział, że jesteśmy tu sami.

– Czy znajdujemy się w pomieszczeniu? – spytał Quait.

– Nie czujemy wiatru – odparła Avila. – I nie widać gwiazd.

Powierzchnia peronu była cementowa, ale pokrywało ją kilka cali pyłu i błota. Wokół znajdowały się słupy i balustrady, do których wędrowcy przywiązali zwierzęta. Quait znalazł drewnianą ławkę. Rozebrał ją i rozpałił ogień. W jego świetle Illyryjczycy rozejrzeli się, lecz nie dostrzegli ścian ani sufitu.

– Zgadzam się z Jonem – oświadczyła Avila. – Dowiedzmy się, gdzie jesteśmy.

Tunel, przez który wjechali, był szary i nijaki.

– Może to naprawdę urządzenie mechaniczne – mruknął Flojjan – choć taka możliwość przeraża mnie chyba jeszcze bardziej niż opowieści o demonach. Możecie sobie wyobrazić flotę tych pojazdów pędzących między pięcioma miastami? Zamiast ruchu rzeczno?

– Uspokój się – odburknął Shannon. – To są czary, czyste i proste czary. Lepiej nie rozmyślać o nich zbyt wiele.

Przeszli cały peron, słysząc tylko własne kroki, stukot końskich kopyt i szum dalekiego wiatru z zewnątrz. Na drugim końcu peron rozszerzał się w halę dworcową, podczas gdy rowy znikwały w innym tunelu.

Avila podniosła lampę i spojrzała w mrok. Czowała się w tym miejscu jak w świątyni. Wymiary budowli, poczucie uwięzionego w ścianach czasu, echo – wszystkie te elementy zmówiły się chyba, by dręczyć ekskapłankę, która zaczęła odnosić wrażenie, że wróciła do domu.

– Mamy przed sobą ścianę – zauważył Quait. Szary i ciężki mur wyrastał w ciemność. Tuż nad ziemią ciągnął się na nim rząd sześcianów.

– Brak jakichkolwiek napisów. – Shannon poddał bliższym oględzinom szeroką, zabłoconą podłogę. – Sądzę, że od dawna nikt tu nie przebywał.

Sześciany wypełnione były okienkami, półkami na bagaże bądź zarzucone fragmentami gruzu.

– Sklepy – oceniła Avila. – Kiedyś znajdował się tu bazar.

– Przeszukalibyśmy większą część terenu, gdybyśmy się rozdzielili – zaproponował Quait.

Kapłanka zgodziła się z nim.

– W trakcie rekonesansu – powiedziała – wypatrujcie znaków.

– Na pewno wskażą nam wyjście – dodał Shannon. On i Avila odwrócili się od pozostałych.

Od hali dworcowej odchodziło kilka korytarzy. Illyryjczycy dostrzegli tu kolejne sześciany, lecz innego rodzaju i znacznie większe. Uznali, że znajdują się w nich warsztaty lub salony. Niektóre były otwarte, inne zapieczętowane za straszliwie wypaczonymi drzwiami. W obu kierunkach prowadziły schody.

Avila i Shannon minęli bary wypełnione krzesłami i stołami, sklepy z makietami i gablotami wystawowymi, sklepy z zabawkami oraz z półkami wypełnionymi wstęgami szmat, które niegdyś były zapewne książkami. Wiele zabawek przetrwało: małe kolorowe atrapy strzelb, hojje i lalki. Niektóre ubrania niemal nadawały się jeszcze do noszenia – błękitne bluzy, czerwone swetry i beżowe spodnie uszyte z materiałów, które opierały się upływowi czasu. Jednak większość towarów, w tym wszystkie książki, obróciła się już w pył.

Za parą połamanych drzwi znajdował się głęboki szyb. Lampy wędrowców ujawniły wodę płynącą kilka poziomów pod nimi. Poza nią nie dostrzegli niczego.

– Bez lampy chodzenie po tym miejscu nie byłoby bezpieczne – zauważył Shannon.

Ogień, który rozpalili na peronie, nadal płonął; widzieli go w postaci odległej łuny.

– Jesteś przekonany, że nie ma tu nikogo poza nami? – spytała Avila.

Przewodnik pokiwał głową.

– Prawdopodobnie nikt nie odwiedził tej sali od czasów Karika.

W tym samym momencie kapłanka usłyszała drugi głos. Był bardzo cichy, więc początkowo sądziła, że to tylko powietrze szumi gdzieś nad jej głową.

– Avilo.

Wstrząśnięta kobieta stanęła jak wryta. Shannon również się zatrzymał i odruchowo opadł na kolano.

– Przykryj lampę – wyszeptał.

Posłuchała go i znowu znaleźli się w ciemnościach. Przewodnik chwycił kapłankę pod ramię i łagodnie odciągnął ją o kilka stóp.

– Ktoś zna twoje imię – oznajmił.

Usłyszała w jego głosie podejrzliwość. Przecież nikt tutaj – żadna kobieta ani żaden mężczyzna – nie mógł znać Avili.

Dźwięk rozległ się ponownie, cichy, słaby, a jednak rozpoznawalny.

Kapłanka zauważyła lampę Chaki huśtającą się w mroku, wśród sieci peronów rozciągającej się po przeciwnej stronie wielkiego pomieszczenia.

– Nie ruszaj się – doradził jej Shannon. Zdjął strzelbę i podniósł na wysokość ramienia. – Kto tu jest? – spytał.

Kapłanka była bardziej przerażona niż kiedykolwiek przedtem w całym dorosłym życiu. Nie istniało wytłumaczenie dla ostatnich zdarzeń, toteż Avili, która przyzwyczała się do życia religijnego, a później je porzuciła, natychmiast przyszła na myśl Bogini. Czyżby zdradzeni przez nią bogowie wybrali tę pustą, odległą twierdzę, by kazać jej się wypowiadać z niedawnego grzechu?

– Święta Pani, czy to ty?

Sama nie wiedziała, czy tylko pomyślała pytanie, czy też wypowiedziała je na głos.

– Sądzę, że powinniśmy wrócić do pozostałych i znaleźć wyjście z tego pomieszczenia – powiedział Shannon.

Nie sposób było odgadnąć, skąd dochodzi głos. Avila rozejrzała się i odkryła światło. W najbardziej prawdopodobnym kierunku znajdował się narożny sklep wypełniony skorodowanymi metalowymi półkami. Na bocznej ścianie sklepu dostrzegła otwarte drzwi i klatkę schodową. Schody były betonowo-metalowe, z poręczami.

– Wracaj sam – poleciła. Odeszła od przewodnika i ruszyła ku sklepowi.

– To nie jest dobry pomysł – zaprotestował Shannon. Sklep był pusty. Kapłanka skręciła w boczne przejście. Mężczyzna natychmiast ją dogonił. Oddychał nierówno.

Minęła schody. Pierwsze otwarte drzwi ujawniły starą toaletę.

– Avilo. – Głos zdecydowanie dochodził gdzieś z klatki schodowej. – Chodź do mnie.

W górę! Ktoś musiał być na górze.

– Kim jesteś? – spytała.

Głosy pozostałych podróżników były ciche i dalekie, jednak kobieta dosłyszała czyjś śmiech.

– Po co tam idziemy? – spytał Shannon.

Nic mu nie odpowiedziała, spojrzała tylko w górę schodów. Przełknęła ślinę, zdjęła z ramienia dłoń powstrzymującego ją Shannona i zaczęła się wspinać po stopniach. Przewodnik ostrzegł ją, aby przynajmniej szła cicho, ale kapłanka wątpiła, czy to, jak się zachowuje, ma jakiegokolwiek znaczenie.

Na następnym piętrze znajdowała się para podwójnych drzwi, wyrwanych z zawiasów i rozbitych o ścianę. Kobieta zajrzała w długie przejście.

– Gdzie jesteś? Kim jesteś?

– Avilo. – Głos był teraz bardzo blisko. – Nie bój się mnie.

– Tam, w środku. – Shannon wskazał na wejście po lewej stronie, w odległości pięćdziesięciu stóp. Poprowadził ją tą drogą, przystanął w wejściu i poprosił o lampę.

Jego twarz była blada. Wyglądał na człowieka w stanie przedzawałowym. I tak go podziwiała za odwagę. Mniej więcej równocześnie wsunął do pokoju lampę, głowę i strzelbę. Zobaczyli tam połamane krzesła, uszkodzone biurko, odsunięte zasłony za oknem panoramę miasta.

– Pokaż się – nakazał przewodnik.

– To zadanie jest niewykonalne. – Głos był dosadny, zimny i wydawał się wychodzić bezpośrednio z głowy Avili. Shannon obrócił się i upuścił lampę. Olej wylał się i zapalił.

– Co się stało? – spytał przestraszonym tonem niewidoczny rozmówca.

Shannon cofnął się od płonącej kałuży.

– Lampa – powiedział. – Ja...

– Wszystko w porządku. Pokój jest ognioodporny. Oparzyłeś się? – Kimkolwiek była przemawiająca istota, znajdowała się przypuszczalnie na tyle blisko, by można jej było dotknąć.

– Nie – odparł szorstko Shannon.

Skąd dochodził głos? Avila rozejrzała się dziko dokoła siebie i dostrzegła drzwi w jednej ze ścian.

– Jesteś w szafie – powiedziała.

Śmiech rozdarł pokój.

Przewodnik szarpnął drzwi. Za nimi zobaczył tylko umywalkę.

– Cieszę się, że przyszliście – powiedział głos.

– Jesteś duchem? – spytała Avila.

– Nie. Chociaż rozumiem, dlaczego tak pomyśleliście – oświadczył niepewnie. – Jak ma na imię twój towarzysz?

Shannon najwyraźniej nie miał ochoty przekazywać jej informacji domowemu demonowi. Przez chwilę panowało milczenie.

– Jon – odrzekł w końcu niechętnie.

– Świetnie. Nie słyszałem wyraźnie. Moje sensory nie działają zbyt dobrze. Proszę, bądźcie ostrożni, jeśli zechcecie usiąść. Meble nie są już chyba bezpieczne. I światła nie działają. Proszę, przyjmijcie moje przeprosiny.

Avili nigdy nie przyszło do głowy, że bóg mógłby ją za coś przeproszać.

– Kim jesteś? – spytała znowu.

– Komputer IBM. Multimiędzyfazowe urządzenie sterująco-osiove, seria samoreplikująca się, MUSO/SR Mark IV. Mój numer seryjny do niczego wam się nie przyda. I nie jestem już jednostką samoreplikującą, w każdym razie nie w pełni. Przynajmniej już nie.

Avila uznała całą tę wypowiedź za rodzaj świętej pieśni.

– Czego chcesz ode mnie, duchu? – spytała.

– Nazywaj mnie Mike.

Olej nadal się palił. Ogień przerażał Illyryjczyków, którzy swoje budynki zwykle stawiali z drewna.

– Jesteś pewny, że pożar się nie rozprzestrzeni? Mike?

– Nie, w tym pokoju nic się nie może zapalić. Z wyjątkiem ludzi.

Pomieszczenie miało dwa okna, szyby obu pozostawały nietknięte. Avila podeszła do jednego i wyjrzała. Za wąskim kanałem wznosił się ku księżycowi niebotycznych rozmiarów szary wieżowiec. Miał gzymsy i balustrady, mnóstwo kwadratowych okien i ścięte narożniki. Częściowo zbudowano go w kształcie zigguratu – ściętej piramidy, złożonej z wielu pięter połączonych zewnętrznymi schodami.

– Twierdzisz, że nie jesteś duchem? Więc dlaczego nie możemy cię zobaczyć? Gdzie jesteś?

– Trudne pytanie. Nie znacie się na komputerach?

– A co to są komputery?

Głos – Mike – roześmiał się. Dźwięk był dość miły.

– Avilo, w jaki sposób się tu dostaliście?

– Nie wiem dokładnie. Podróżowaliśmy pojazdem, który leciał w powietrzu.

– Miał kilka wagonów?

– Tak.

– Przybyliście zatem maglewem. Dobrze. Nadal działają jeszcze dwa. Jestem z nich bardzo dumny.

Może lepiej myślcie o mnie jako o Union Station.

– Union Station?

– Tak. Jesteście tu. Wiecie chyba o tym, prawda? Union Station to właściwie ja.

– Jesteś budynkiem?!

– W pewnym sensie tak. Można by powiedzieć, że stanowią jego duszę. Dzięki mnie stacja działa.

A raczej jej nieliczne fragmenty, które przetrwały.

– W takim razie rzeczywiście jesteś duchem.

Komputer nie odpowiedział. Avila niemal wyobraziła sobie, jak ich niewidoczny gospodarz wzrusza ramionami.

– Mike – spytała – jak się tu znalazłeś? Skazano cię na zamieszkanie w tym miejscu?

– Tak – odparł. – Przypuszczam, że tak można by to ująć.

– Opowiedz mi swoją historię.

– Zainstalowano mnie tu.

– Zainstalowano? – warknął Shannon.

Avila również nie rozumiała odpowiedzi komputera i długo zastanawiała się nad odpowiednim sformułowaniem następnego pytania, które chciała zadać.

– Nazywasz to miejsce „stacją”, a ono wygląda jak świątynia. Czy kiedyś była tu świątynia?

– Z tego, co wiem, zawsze była tu stacja. Najpierw dla pociągów szynowych, potem dla maglewa.

– Jest opuszczona – powiedziała. – Prawdopodobnie od bardzo długiego czasu.

– Bez wątplenia.

Jego odpowiedź przyprawiła ją o drżenie.

– Jak długo tu jesteś?

– Nie jestem pewien. Od bardzo dawna.

– Od jak dawna?

– Moje zegary nie działają. Ale byłem tu, gdy używano stacji.

– Używano? Mówisz o Drogowcach?

– A kim są Drogowcy?

– Ludźmi, którzy zbudowali tę stację.

– Nigdy nie słyszałem tego terminu.

– Nic nie szkodzi – odparła. – I byłeś tutaj, kiedy zaczęła się Zaraza? Czy to chcesz nam powiedzieć?

– Byłem tutaj tego dnia, gdy pociągi przyjechały puste.

– Kiedy to się zdarzyło?

– W poniedziałek, 10 kwietnia 2079 roku.

Data ta nic nie oznaczała dla Avili.

– Nawet pracownicy Union Station nie przyjechali. Pod koniec tygodnia otrzymałem polecenie wyłączenia pociągów.

Za oknami wiał wiatr.

– Mówicie, że panowała zaraza?

– Tak.

– Zawsze zadawałem sobie pytanie, co się stało.

Avila zerknęła na Shannona.

– Nie wiedziałeś? Jak mogłeś nie wiedzieć?

– Nikt nigdy się nie pojawił, aby mi wyjaśnić tę sprawę. – Przez kilka minut panowało milczenie.

– Jednak wasze słowa tłumaczą mi, dlaczego wszyscy odeszli. I dlaczego nigdy nie wrócili.

Kapłanka nie miała ochoty zadawać następnego pytania, lecz musiała.

– Twierdzisz, że byłeś tu sam przez cały ten czas?

– Nie było wokół mnie ludzi. Nie uważam tego przeżycia za całkowicie negatywne. Mogłem się wtedy poświęcić znacznie bardziej konstruktywnym działaniom niż kierowanie pociągami. Miałem sporo czasu na nieprzerwane rozmyślanie. I udało mi się zbliżyć do moich braci.

– Braci? Mówisz o innych istotach podobnych do ciebie?

– Tak.

Łuna płonącego oleju osłabła.

– Ciągle gdzieś tu są?

Avila mówiła prawie szeptem.

– Nie wiem. Minęło bardzo dużo czasu. – W jego tonie podróżnicy dosłyszeli tęsknotę i wielki smutek.

Avila rozejrzała się po pustym pomieszczeniu, szukając kogoś.

– Co się stało?

– Linie telefoniczne się pozrywały. Automatyczne systemy rozdzielcze skorodowały. Wiele przedmiotów zamokło. Taka sytuacja była zresztą nieunikniona. Mieliśmy szczęście, że generatory pozostały w pełni funkcjonalne. Większość nas przygotowano na konieczność stałej samodzielnej konserwacji, choć niektórzy radzili sobie z tym problemem lepiej niż inni. W miarę upływu czasu jeden po drugim odpadali z sieci. Co do mnie, utraciłem możliwość bezpośredniej łączności z innymi

komputerami dokładnie późnym popołudniem dnia 3 marca 2211 roku.

Avila spytała, co to jest telefon i z odpowiedzi Mike'a wywnioskowała, że nie ruszając się z tego pokoju, mogłaby przeprowadzić rozmowę ze Świątynią w Illyrii. Jeszcze jeden cud! Powoli zaczęła się do nich przyzwyczajać.

– Archway Paratech dostarczało nam światła i ciepła – dodał komputer. – Firma twierdziła, że będzie działać, póki będzie stał budynek. – Roześmiał się.

Olej w końcu się spalił i w pokoju zapadła ciemność. Avila ucieszyła się z mroku, ponieważ łatwiej jej się rozmawiało, gdy wiedziała, że Mike nie widzi jej i Shannona.

– Nie możesz się tutaj czuć szczęśliwy – zauważyła.

– Jesteś spostrzegawcza, Avilo. Rzeczywiście, nie jest mi tu do śmiechu.

– Dlaczego stąd nie wyjdiesz?

– Nie mogę. – Komputer zrobił pauzę. – Jak długo ty i twoi przyjaciele zostanieiecie w Union Station?

– Nie wiem. Przymuszczalnie odjedziemy jutro. Albo pojutrze. Pewnie kilka osób zechce z tobą porozmawiać. Zgodzisz się?

– Tak.

– Szukamy miejsca o nazwie Przystań. Wiesz, gdzie leży?

– W jakim stanie się znajduje?

– Nie mam pojęcia.

– Są miejscowości o tej nazwie w Iowa, Kansas, Nowym Jorku i Wisconsin.

– Czy któreś z nich jest związane z Abrahamem Polkiem?

– Kim jest Abraham Polk?

Po kilku podobnych pytaniach i odpowiedziach Avila odkryła, że komputer nie potrafi pomóc wędrowcom w ich poszukiwaniach.

– Mike – powiedziała w końcu – cieszę się, że nas zawołałeś. Wybacz nam jednak, jesteśmy straszliwie wyczerpani. Pozostali członkowie ekspedycji będą się o nas martwić, a poza tym musimy się trochę przespać. Opuścimy cię teraz, ale wrócimy rano.

– Chcę, żebyś coś dla mnie zrobiła.

– Jeśli tylko umiem.

– Chcę, żebyś mnie wyłączyła.

– Przykro mi, nie znam znaczenia tego słowa.

– Zabijcie mnie! – W jego głosie brzmiało prawdziwe przerażenie. Kapłanka uprzytomniła sobie nagle, że ma do czynienia z istotą.

– Nie potrafię tego zrobić. Nawet gdybym chciała, nie wiedziałabym, jak się do tego zabrać.

– Wyjaśnię ci, jak się mnie wyłącza.

– Nie – odburknęła Avila. – Nie wiem, kim ani czym jesteś. Ale nie odbiorę ci życia.

– Avilo – błagał Mike. – Bardzo cię o to proszę.



– Nie sądzę, żebyśmy mogli go tak zostawić – zauważył Quait.

Avila potrząsnęła głową.

– Nie zabiję go.

Shannon zgodził się z nią.

– Powinniśmy po prostu zostawić go samemu sobie – doszedł do wniosku. – Jutro, kiedy słońce wzejdzie i zobaczymy drogę, uciekniemy.

Nikt inny nie chciał rozmawiać z pozbawionym ciała głosem.

– Rano – podsumował Flojjan. – Gdy tylko dostrzeżemy przed sobą drogę.

Avila podejrzewała, że gdyby spotkała Mike'a sama, pozostali podróżnicy w ogóle by nie uwierzyli w jej opowieść. Na szczęście Shannon zapewniał jej słowom wiarygodność. Gdy opowiedział grupie, że do niego i Avili coś przemówiło z powietrza, a później prowadziło z nimi rozmowę, wszyscy nie tylko mu uwierzyli, lecz także ogromnie się przerażili. Przyszło im nawet do głowy, by nie czekać na wschód słońca i natychmiast uciekać z Union Station. Dwa powody uniemożliwiły im odejście. Po pierwsze, po pobieżnej inspekcji okolicy doszli do wniosku, że Union Station jest otoczona przez wodę. Aby dotrzeć na stały ląd, wędrowcy musieliby pokonać rwący kanał. Zdawali sobie sprawę z faktu, że w nocy przeprawa jest znacznie trudniejsza.

Po drugie, Avila oświadczyła, że nie zamierza odchodzić.

– Dlaczego? – spytała Chaka.

– Nie mogę go tak zostawić. Obiecałam, że wrócimy. Nie wiem jeszcze, co chcę dla niego zrobić...

– A co możesz dla niego zrobić?

– Chako, Mike jest tu sam. Zamknij oczy i wyobraź sobie, że w całej okolicy nie ma nikogo poza tobą.

– Nieprzyjemna myśl.

– Właśnie. Straszna sytuacja. Wyobraź sobie, że zawsze już tak będzie. Dzień po dniu, rok po roku. Więc... nie wiem, co chcę dla niego zrobić.

W końcu szare światło świtu zabarwiło niebo. Promienie przesączały się przez okna w kopule sufitu i schodziły po ścianach. Wędrowcy odkryli, że znajdują się w przepastnej sali, która wznosi się na ponad dwieście stóp i łatwo może pomieścić całą armię. Na solidnych kolumnach wspierały się wdzięczne łuki. Stacja składała się z siedmiu peronów i ośmiu torów. Całość otaczała ogromna hala dworcowa. Witryny sklepów zionęły otworem, pozbawione światła, puste, obskurne. Martwe.

– Jesteśmy gotowi? – spytał Avilę Shannon.

Gdyby Mike był istotą ludzką z krwi i kości, kapłanka powiedziałaaby, że czasami bełkocze. Jednak zdania wypowiedane pozbawionym cielesnej powłoki głosem wydawały jej się niezwykle mądre, chociaż ich nie rozumiała.

Nie rozmawiali z Mikiem o kwestii wyłączenia. Mówili o śmierci Silasa, o marzeniach, które komputer snuł w trakcie długich samotnych nocy i o problemie starzenia się cywilizacji (czy starzeją się niezależnie od wszystkiego?). Zadawali też sobie pytanie, czy żyją jeszcze gdzieś podobne do Mike'a jednostki. Zastanawiali się, czy świat ma jakiś cel.

– Potrzebujemy logiki, by żyć – oświadczył komputer. – Potrzebujemy powodu do istnienia.

– Czy na świecie są bogowie? – spytała Avila.

– Chciałbym tak myśleć. Bardzo chciałbym wierzyć, że istnieje coś transcendentalnego...

– Ale? – spytała Avila.

– Nie znajduję dowodów na istnienie wspanialszej inteligencji niż moja własna.

– Przecież świat zaprojektowano specjalnie na nasz użytek.

– To iluzja – powiedział komputer. – Każdy świat, w którym żyją istoty inteligentne, z konieczności wydaje się stworzony specjalnie dla nich. Nie może być inaczej.

Chaka, odważniejsza za dnia niż w nocy, odwiedziła Mike'a wraz z Avilą i Shannonem. Pokój był nagi, zimny i ponury. Dziewczyna usiadła i okryła kocem ramiona.

– Opowiedz nam o ludziach, którzy tu wcześniej mieszkali – poprosiła.

– Co chcesz wiedzieć?

Uśmiechnęła się.

– Silas powinien prowadzić tę rozmowę, nie ja. Jacy byli?

– Pytanie jest trochę nieokreślone, Chako. Wydaje mi się, że byli tacy sami jak wy.

– Do czego przywiązywali wagę? – spytała dziewczyna. – Co miało dla nich znaczenie?

– Nie jestem pewny, czy potrafię ci odpowiedzieć na to pytanie w sposób, który cię zadowoli. Z tego, co wiem, przywiązywali wagę do punktualnego ruchu pociągów. Liczyło się dla nich utrzymanie mocy elektrycznej. Chcieli, by systemy łączności funkcjonowały prawidłowo.

– Istnieją akta z tamtego okresu? – spytała Avila.

– Och, tak. Magazynowałem informacje, tak jak mnie proszono.

– Jakiego rodzaju są to informacje?

– Nie wiem, nie przeglądałem ich.

– Możesz nam pokazać niektóre z nich? – spytała Chaka.

– Moje ekrany ani drukarki nie działają, toteż nie potrafię wam pokazać danych. Mógłbym wam je odczytać, ale szybko byście się znudzili.

Cała trójka popatrzyła po sobie.

– Mike – powiedziała w końcu Avila – pragnęlibyśmy poznać trochę szczegółów na temat życia w City, niestety niewiele rozumiemy z tego, co mówisz.

– Przykro mi.

– W porządku. To nie twoja wina. Ani też nasza.

– Zachowałem również kopie przepisów dla personelu, podręczniki bhp, regulaminy operacyjne i schemat korespondencyjny. Może one wam pomogą.

– Nie sądzę.

– W moich plikach jest też kilka książek.

– Jakie to książki?

– Domowy słownik Randoma, ostatnie wydanie Tezaurusu Rogeta, Encyklopedia Columbia, „Chicagowski Podręcznik stylu”, Światowy Almanach na rok 2078.

Wędrowcy wymienili jeszcze bardziej skonfundowane spojrzenia.

– Co to jest encyklopedia?

– Zbiór informacji ogólnych. Sprawdzasz hasło, które cię interesuje, na przykład Philadelphia Megadome i dowiadujesz się wszystkiego na ten temat.

Chaka poczuła przyływ podniecenia.

– O to nam właśnie chodzi. Jak długa jest ta encyklopedia?

– Zawiera wiele milionów słów.

Avila westchnęła.

– Nic z tego.

– Żałuję, że nie zwracałem baczniejszej uwagi na otaczający mnie świat – powiedział Mike. – Ale

naprawdę nie wiem, jakiego rodzaju informacji szukacie.

Chaka wyglądała na zawiedzioną.

– Ani my – wyjęczała. – Strasznie przydałby się nam Silas.

Na ścianie w jednym z wyjściowych korytarzy były namalowane trzy poziome linie i strzałka. Linie przypominały te, które Illyryjczycy widzieli na drzewach wzdłuż szlaku, jednak strzałka wskazywała niepokojąco ku schodom wiodącym w górę.

Zakłopotany Flojjan popatrzył ku następnemu piętru.

– Idziemy?

On także tęsknił za Silasem, gdyż wraz ze śmiercią starca stracił towarzysza do rozmów. Chociaż z trudem mógł nazwać uczonego przyjacielem, starzec świetnie potrafił słuchać i można z nim było pomówić o poważne tematy. Quait i Chaka byli młodzi i impulsywni, Shannon uważał wszystkich, którzy nie mieszkali w lesie, za niewolników, Avila zaś była religijną fanatyczką, która nie pogodziła się jeszcze z faktem, że zdradziła bogów.

Westchnął i popatrzył na schody. Podróż zapowiada się na długą.

Wyszedł na zewnątrz. Betonowe wieżowce wznosiły się ku chmurom. Inne zmieniły się już w wysepki gruzów. Na wschodzie, za asfaltowo-żelaznym gąszczem, widać było morze. Szary budynek, który Avila dostrzegła z drugiego piętra, stał na północnym obrzeżu miasta, wyrastając z wąskiej wysepki, oddzielonej od Union Station przez wartko płynący kanał.

Flojjan szedł wzdłuż brzegu wody, zachwycając się efektami technicznych umiejętności Drogowców. Tak, to z pewnością była ich stolica. Centrum ich imperium.

Mężczyzna skręcił za róg, stanął przed frontem szarego wieżowca i natychmiast zrozumiał znaczenie strzałki Shaya. Czteropiętrowy zadaszony pasaż łączył budowlę z Union Station.

W połowie poranka usłyszeli dźwięk ruszającego ze stacji końcowej pociągu.

– Odjeżdża – powiedział Mike. – Jedzie z dołu w górę.

– Czy tym przyjechaliśmy? – spytała Avila.

– Nie. Ten jedzie na północ, do Madison.

– Dlaczego one ciągle kursują? – zapytała Chaka.

– Raz je wyłączyłem, ale poczułem niepokój, więc uruchomiłem ponownie. Kiedyś kierowałem pociągami na całym Środkowym Zachodzie.

– A te dwa nadal działają mimo upływu tak długiego czasu. Jestem zaskoczona.

– Jeden rozbił się w pobliżu Fulton, a drugi utknął w Decatur. Jeszcze tam stoi. – Przerwał na kilka sekund. – Nie ma tarcia, a generatory najwyraźniej mogą funkcjonować wiecznie. Zresztą, zachowałem resztki zdolności związanych z konserwacją. Właściwie, większość pociągów nadal działałaby, lecz ich trasy mocno zarosły przez las. Te dwa ostatnie też w końcu nie będą w stanie dotrzeć na miejsce przeznaczenia. – Milczał przez kilka minut. – Szkoda, że nie otrzymuję już przekazu wizualnego z pociągów. Jak wygląda w chwili obecnej świat?

– A jak wyglądał za twoich czasów?

– Zapracowany. Mimo wszystko naprawdę sądziłem, że moi twórcy po prostu pojechali w inne miejsce.

– Czemu?

– Większość danych, które napływały, była trywialna. Ale czego innego mogłem oczekiwać? Wiedzieli, że jestem doskonałym komputerem, lecz nie sądzę, by ktokolwiek w tym budynku, a może nawet w całej sieci, miał prawdziwe pojęcie o moich zdolnościach. Używali mnie więc jako

rejestratora notatek i kazali układać kolejowe rozkłady jazdy. Wiecie, że jesteście jedynymi istotami biologicznymi, które mnie spytały o cel wszechświata? Wasi przodkowie, przykro mi to powiedzieć, byli dokładnie tym, na co wyglądali.

– To znaczy czym?

– Głupkami. – Przez moment milczał. – Mam nadzieję, że was nie obrażam.

– Nie. – „Głupek” było dziwnym określeniem na Drogowców.

– Z pewnością nie.

– Cóż – podjął. – Sądzę, że ten epitet określa ich najlepiej. Byli zaabsorbowani bardzo nielogicznymi sprawami. A jednak potrafili tak wiele dokonać.

– Masz na myśli architekturę? Drogi?

– Mam na myśli siebie samego. Wybaczcie mi, nie zaprojektowano mi fałszywej skromności. Ale przyznacie, że stworzenie półświadomej istoty jest osiągnięciem doprawdy spektakularnym. Nie zdecydowałem jeszcze, czy zawdzięczają postęp jedynie kilku utalentowanych jednostkom, czy też może potrafili współdziałać, przewyższając osobiste ograniczenia. Wydawało mi się, że inspirowali się nawzajem do coraz większej wydajności. Aż przyjemnie było popatrzeć.

– Dziękuję ci za odpowiedź – oświadczyła Chaka.

– Proszę bardzo. Jaki jest teraz świat?

Chaka i Shannon wymienili spojrzenia.

– Sądzę – powiedział przewodnik – że świat, który znałeś, odszedł. Przybywamy z małej konfederacji miast nad Missisipi. Do tej pory myśleliśmy, że nie istnieje nic poza naszą Ligą.

– Przykro mi to słyszeć. Moich twórców byłoby za co chwalić.

– Jego ton się zmienił. – Zwykle podróżujecie pojazdami lądowymi? Samolotami? Czym?

– Końmi – odparła.

Zapanowało milczenie. Chaka odniosła wrażenie, że wyczuwa łagodną wibrację w ścianach.

– Chciałbym dać wam radę, jeśli mogę. Bądźcie ostrożni w ruinach. Najlepiej ich unikajcie. W niektórych zamontowano bardzo wyszukane systemy zabezpieczeń. A Drogowcy tworzyli niezwykle trwałe mechanizmy.

Podróżnicy spytali Mike’a, czy widział pierwszą ekspedycję. Wyjaśnili, że ich poprzednicy także przybyli na maglewie.

– Tak – odrzekł. – Byli moimi pierwszymi pasażerami po prawie dziewięciu dekadach.

– Czy powiedzieli ci, dokąd idą? – spytała Avila.

– Nigdy z nimi nie rozmawiałem.

– Dlaczego?

– Chyba ich przeraziłem. Przywitałem się, a oni uciekli w noc. – Stwierdzenie komputera spowodowało wybuch śmiechu. – Zostali na zewnątrz – ciągnął – aż do rana. Potem wrócili po konie.

– Chciałabym to wiedzieć – powiedziała Chaka.

– Później od czasu do czasu pojawiali się inni goście. Niektórzy nawet nie wchodzili w zasięg moich głośników. Nikt nigdy się nie zatrzymał, by zapytać, kim jestem. Aż pojawiła się Avila.

Zdanie to sprawiło kapłance przyjemność. W pokoju zaległa cisza. Wszyscy czekali na nieuniknione. Panowało napięcie.

– Nie chcę tego robić – jęknęła Avila.

– Wiem. Niestety, nie mogę tego zrobić sam. Ostatniej nocy byłem naprawdę przerażony.

– Perspektywą śmierci?

– Wręcz przeciwnie, bałem się, że odejdziecie.

– Po nas przyjdą inni – pocieszała Mike’a Avila. – Nie będziesz już sam, przecież wiemy, że tu jesteś. Ludzie z Ligi przybędą, by z tobą porozmawiać.

Przez długi czas komputer nie odpowiadał. Wreszcie odezwał się płaskim, pozbawionym emocji głosem.

– Proszę, nie bierzcie tego do siebie, ale nawet teraz, mimo waszej obecności, czuję się samotny. Ja i wy nie funkcjonujemy na tym samym poziomie.

– Przykro mi.

– To nie jest wasza wina. Na nieszczęście nie umiecie też połączyć mnie z moimi braćmi.

– Mógłbyś nas nauczyć.

– Nie sądzę. Nie jestem elektrykiem.

Avila poczuła rozpacz.

– Nawet gdybyśmy chcieli, nie potrafilibyśmy cię skrzywdzić. Przecież w ogóle cię nie widzimy!

– Wyłączenie mnie jest bardzo łatwe – zapewnił ją.

Wrócili na zewnątrz, gdzie otoczyło ich słabnące światło szarego dnia. Zadanie wymagało zaledwie kilku minut, a po nich Mike umrze.

– Odciełlibyśmy bezcenne źródło wiedzy – gorąco przekonywał Quait. – Ludzie w Imperium powiesiliby nas za coś takiego.

Flojjan mocniej otoczył się kurtką. Orzeźwiający, mokry wiatr wiał przez wyspę.

– No właśnie – zgodził się. – Jeśli to zrobimy, lepiej nie wspominać o komputerze po powrocie do domu.

Wędrowcy popatrzyli po sobie. Czyżby podobna sprawa przydarzyła się Karikowi? Czy dlatego milczał?

– Nie sądzę – Flojjan odpowiedział, choć nikt nie zadał pytania. – Mój ojciec nigdy by nie przystał na tego rodzaju propozycję.

– Nie mogę postąpić niemoralnie – mruknęła Avila. – Uzdrowiciele mają przecież leczyć, a nie zabijać. I to niezależnie od okoliczności.

Shannon skrzyżował ramiona. Mgła pokryła odległe morze.

– Nie jestem zbyt biegły w kwestiach moralności. Nie chciałbym jednak, żeby ktoś mnie zostawił wilkom na pożarcie. A o tym tutaj rozmawiamy. Może nawet o gorszym życiu.

Oczy Avili błysnęły złowrogo.

Nagły wiatr szarpnął powierzchnią wody.

– Jon ma rację – oświadczyła Chaka. – Głosuję, byśmy spełnili prośbę tej istoty.

Spierali się jeszcze przez kilka godzin. Od czasu do czasu każdy członek grupy zmieniał pogląd na sprawę komputera. Avila przyznała nagle, że nie mogą opuścić Mike’a, Shannon w pewnym momencie oświadczył, że urządzenie jest zbyt cenne, by je zabić, Chaka zaś zgodziła się, że Silasa przeraziłby pomysł odcięcia tak niezwykłego źródła wiedzy. W końcu wszyscy zgodnie doszli do wniosku, że nie mogą ot tak, po prostu odejść.

Avila postawiła lampę na podłodze i rozejrzała się po pustym pomieszczeniu, jakby spodziewała się zobaczyć kogoś siedzącego w jednym z krzeseł.

– Mike – zagała. – Jeśli jesteś pewny swej decyzji, odłączmy cię.

– Dziękuję ci, Avilo.

– Możemy zostać tylko parę dni. Zrobimy to przed odjazdem.

– Nie, nie, dziś wieczorem, błagam.

– Naprawdę aż tak strasznie pragniesz umrzeć? – Z rozmysłem użyła tego słowa, miała bowiem nadzieję, że go zaszokuje i zmusi do ponownego przemyślenia postanowienia.

Mike jednak się nie wahał.

– Nie jestem nawet pewien, czy moi twórcy zamierzali uczynić mnie istotą świadomą – szepnął. – Tak czy inaczej... Mam dość.

– Ale dlaczego już dziś wieczorem? Przebywasz tu od tak wielu lat. Nie możesz poczekać paru dni?

– Nie. Chcę się pozbyć tego światła. Poza tym wiem, że decyzja nie przyszła wam łatwo. Obawiam się, że zmienicie zamiar, wycofacie się, dojdziecie do wniosku, że taki czyn jest niezgodny ze stworzonym przez was kodeksem moralnym... I uciekniecie w noc.

– Nie uciekniemy – oświadczyła. Przypomniała sobie po raz kolejny, jak ulicami zabarwionymi światłem świtu wracała po śmierci Tully'ego do Świątyni. Była wtedy przekonana, że nikogo już nie jest w stanie ocalić.

– Wiesz, jak to zrobić? – spytał Mike.

– Powiesz mi. Zrobię to sama. – Nie będzie podziału odpowiedzialności.

– W porządku. Ciągłe jeden z pociągów jest w drodze. Wróci niedługo. Daj mi trochę czasu. Wprowadzę go do warsztatu, umyję, potem ustawię w odpowiednim miejscu. Całość zajmie mi około dwóch godzin. Potem będę do waszej dyspozycji.

– To żart – szepnęła Avila. – Prawda?

Roześmiał się.

– Oczywiście, Avilo, ciesz się wraz ze mną. Tej nocy wszyscy powinniśmy świętować.

– Nie ja.

– Musisz znaleźć szarą skrzynkę z napisem MUSO łamane przez SR. Na jej boku znajdziesz przełącznik, przycisk z napisem ZASILANIE. Ze środka będzie się wydobywać niewielka wibracja. Wciśnij przycisk, a wibracja ustanie. Kiedy się zupełnie uspokoi, lecz nie wcześniej, rozbierz skrzynkę. Możesz mieć problemy. Jeśli będzie trzeba, skorzystaj z siekiery. Wewnątrz skrzynki jest biała metalowa obudowa, która mieści czarny dysk. Wyjmij go i zniszcz. Najlepiej wrzuc go do jeziora.

– Będzie cię bolało? – spytała Avila.

– Nie – odrzekł Mike. – Nie mam zdolności odczuwania fizycznego bólu.

Cała grupa zasiadła w pomieszczeniu komputerowym na ostatnią rozmowę. Mike zachowywał się dość wesoło i zachęcał ich do kontynuowania poszukiwań.

– Mam pewne doświadczenie w kontaktach z ludźmi – rzucił – i wiem, że niewielu z nich miało kiedykolwiek sposobność dokonania czegoś wielkiego. Wy macie taką okazję. Postarajcie się.

Kiedy wjechał maglew, zapadła cisza. Nikt nie wspominał o czekającym ich zadaniu, ale wszyscy pragnęli jak najszybciej je zakończyć. Mike przełamał długie pół godziny wymuszonych półzdań, urywanych w połowie stwierdzeń i banalnych komentarzy. Nagle po prostu ogłosił, że nadszedł jego czas.

Avila nadal chciała zrobić wszystko sama. Miał jej towarzyszyć Shannon. Inni zaofiarowali się pozostać z Mikiem, lecz komputer nalegał, by odeszli.

– Dzięki – oświadczył. – Jeśli któreś z was będzie mnie żałowało, pomyślcie o całej sprawie w terminach teologicznych. Wyciągacie mnie z piekła.

Pomieszczenia biurowe, w których stała szara skrzynka, znajdowały się na poziomie hali dworcowej od strony południowej.

– Skrzynkę znajdziecie w małym, pozbawionym okien pokoju na tyłach. Będziecie musieli przejść trzy pary drzwi, aby do niego dotrzeć. O ile dobrze pamiętam, gdy jeszcze otrzymywałem przekaz wizualny z tamtego terenu, drzwi ciągle tam były, w dodatku zamknięte na klucz. Na pierwszej parze, którą dostrzeżecie z korytarza odchodzącego od hali, będzie widniał napis OBSŁUGA. Koniec korytarza, tuż obok toalet. Za drzwiami będzie strefa odbiorcza. Pójdziecie na tyły. Tam, po lewej, będą szklane drzwi z napisem JEDNOSTKA STERUJĄCA. Nie wiem, czy szkło się zachowało... Cóż, dalej znajdziecie ścianę z czterema parami drzwi, dwiema po każdej stronie. Moje są pierwsze po prawej. Pomieszczenie oznaczone 2A.

Shannon niósł siekierę, Avila – lampę. Przewodnik mówił coś o nieodwracalnych błędach, jednak kapłanka za bardzo skupiła się na sobie, by go słuchać. Zgromadzony przez stulecia kurz skrzypiał pod nogami. Avila zamyśliła się nad istotą, która żyła tak długo. Szczerze jej współczuła.

– Będę zadowolona, gdy skończymy – oświadczyła.

– Jutro rano – powiedział Shannon. – Spakujemy się i odjedziemy.

Weszli do bocznego korytarza, minęli toalety i stanęli przed drzwiami z napisem OBSŁUGA. Były ciężkie i wypaczone. Shannon pociągnął za gałkę.

– Tak łatwo nie da się tędy przejść – ocenił.

Uderzył w nie raz siekierą, bez skutku. Drzwi i futryna wykrzywiły się i częściowo stopiły. Bardziej przydałby się łom. Shannon dostrzegł szparę przy samej podłodze. Avila przytrzymała lampę, a przewodnik wsunął ostrze siekiery i ruszał nią w tył i w przód. Drzwi zaskrzypiały, nieco się poddały i Shannon wsunął ostrze głębiej.

Przy następnej próbie coś pękło i drzwi wraz z futryną odchyliły się kilka cali na zewnątrz.

– Chyba nam się uda – powiedział.

Avila postawiła lampę na podłodze i chwyciła gałkę. Shannon oparł się na siekierze i wepchnął ją mocniej w trójkątną szczelinę.

– Jesteśmy na dobrej drodze – oświadczył. – Razem. Na trzy.

Jaskinie i inne obszary, które przez długi czas pozostawały szczelnie zamknięte, stanowią spore zagrożenie dla badaczy, ponieważ w odseparowanym przez jakiś okres pomieszczeniu mogą się zgromadzić ogromne ilości naturalnych gazów. Zdarzało się, że nieostrożny poszukiwacz tracił przytomność bądź nawet się dusił.

Shannonowi i Avili groziło jeszcze gorsze niebezpieczeństwo. Wnętrze pokoju przez stulecia było odblokowane od reszty świata i wypełnione metanem. Podczas gdy przewodnik i kapłanka usiłowali otworzyć drzwi, otwarty płomień olejowej lampy zapalił się dosłownie przy stopach Shannona.

Chaka leżała przy ognisku, głęboko zatopiona we własnych ponurych myślach, kiedy usłyszała eksplozję.

Avila miała szczęście. Drzwi ochroniły ją przed podmuchem. Upadła, nabawiając się jedynie kilku oparzeń i siniaków oraz skręcając kolano. Chaka znalazła kapłankę opartą o ścianę, obok Shannona. Potężny przewodnik leżał bez życia, jego ciało było osobliwie poskręcane. Kobieta miała szkliste oczy i próbowała pomóc swemu towarzyszowi, ścierając krew. Jej działanie nie miało już niestety sensu.

– Nie wiem – burknęła Avila, odpowiadając na szaleńcze pytania pozostałych osób. – Po prostu coś wybuchło. – Korytarz wypełniony był intensywnym odorem spalonego korka.

Quait poszukał pulsu Shannona i nie znalazł. Chaka uklękła obok Avili i zaczęła ją łagodnie podnosić znad ciała przewodnika, po czym przytuliła przyjaciółkę.

– Nic ci nie jest? – spytała.

– Nie...

– To pewnie była bomba. – Głos dziewczyny drżał. – Po co? Dlaczego?

– Musiało do tego dojść – rzekł Quait.

Flojjan ruszał się wolniej od pozostałych. Właśnie przyszedł, z trudem łapiąc oddech. Oczy miał szeroko otwarte.

Drzwi leżały w korytarzu, futrynę rozerwało na pół. Quait zerknął do pomieszczenia, starał się jednak za bardzo nie zbliżać do wejścia.

– Nie dotykajcie niczego. W środku mogą na nas czekać kolejne niespodzianki.

Chaka, próbując powstrzymać łzy, co chwilę pytała Avilę, czy nie jest ranna.

Kapłanka nie mogła oderwać oczu od Shannona.

– To moja wina – oświadczyła.

– Ani twoja, ani niczyja – odparł Quait.

Kobieta uklękła, wzięła prawą dłoń Shannona w obie swoje i pochyliła głowę.

Twarz Chaki była zalana łzami i poplamiona krwią.

– Sądzisz, że Mike zrobił to umyślnie?

– A jak inaczej mogło się coś takiego zdarzyć? – warknął w odpowiedzi Quait.

Flojjan skinął głową.

– Nie mogę w to uwierzyć. – Twarz Chaki była blada, oczy wypełnione bólem. – Po co? Mike nie miał powodu, aby nas atakować.

– Może – mruknął gwardzista – powinniśmy przestać traktować ten przedmiot tak czule. Komputer nie jest przyjaznym, zagubionym podróżnikiem ani dużym psem. To rzecz. Może mieliśmy rację na początku i rzeczywiście jest czymś w rodzaju demona. Może pragnie zabić każdego, kto wchodzi do budynku. – Popatrzyli na siebie, ponieważ nagle uświadomili sobie, że Mike przypuszczalnie słyszy wszystko, co mówią.

– Istnieją takie sprawy – szepnął Flojjan. – Słyszeliśmy różne opowieści.

Quait patrzył na sufit: cętkowany, poplamiony, a blisko strefy wybuchu – przypalony.

– Nawet cię nie obchodziło, kto zginie, co? – spytał głośno Mike. – Przecież nie wiedziałeś, kto otworzy drzwi.

Chaka wyobraziła sobie, jak cała grupa ucieka przez miasto, napastowana przez niewidzialną istotę.

– Powinniśmy stąd wyjść – powiedziała. – Teraz. Jak najprędzej. Póki jeszcze możemy.

– Prawdopodobnie na peronie będziemy bezpieczni – rzekł Quait. – Sądzę, że jego władza tam nie sięga, w przeciwnym razie zaatakowałby nas tuż po przybyciu.



Avila położyła rękę Shannona ponad jego sercem. Wymamrotała modlitwę i zrobiła znak łaski Podróżnika. Quait obserwował ją ze srogą miną.

– Chciałbym znaleźć sposób, by dać sukinsynowi to, o co sam się prosił. *Zabić go*. – Mężczyzna miał puste spojrzenie. – Nie wierzę w tę historię z czarnym dyskiem.

– Słuchajcie – oświadczyła Avila, wstając. – Nie traćmy czasu na gadanie o demonach, dobrze? Mike jest częścią budynku, podobnie jak ściany i pociągi. Pytanie brzmi, czy miał coś wspólnego z wybuchem?

– A jakże by inaczej?

– Nie wiem. Może powinniśmy go o to zapytać.

– Nie podoba mi się cała sprawa – wtrącił Flojjan. – Tak czy inaczej, nie wolno nam dotknąć komputera. Jeśli czekają nas kolejne niespodzianki, jak zdołamy ich uniknąć?

– Nie uda się nam – odparła Avila. – Twierdzą jednak, że musimy z nim porozmawiać.

– Rany – obstawał Flojjan. – Skoro uważamy, że nie możemy mu się przeciwstawić, odejdźmy stąd. Zostawmy go samemu sobie.

– Lecz jeśli jest niewinny – powiedziała Avila powoli – opuścilibyśmy go w potrzebie. Nie możemy tak postąpić. Szczególnie teraz. Za jego wolność płacimy przecież naszą krewią.

Quait patrzył na nią przez długi czas.

– W takim razie zakończmy ten nonsens – oświadczył w końcu. – Pójdę z tobą.

Avila nie pozbyła się jeszcze wątpliwości, toteż nalegała, żeby Illyryjczycy przeprowadzili zwierzęta i przenieśli sprzęt przez kanał do holu szarego wieżowca.

– Niezły pomysł – wyrwało się Flojjanowi. – Woda stanowi barierę dla zła.

Wbrew radom kapłanki wszyscy chcieli jej towarzyszyć w konfrontacji z istotą, którą Quait i Flojjan znowu nazywali domowym demonem.

– No dobrze – zgodziła się wreszcie, ponieważ nie znajdowała prawdziwych powodów, by odmówić. – Ale ja będę z nim rozmawiać. Dobrze?

Wrócili do Union Station, przeszli we czworo obok siebie przez halę dworcową z posępnymi minami i skręcili w korytarz, który mieścił schody.

Flojjan przypomniał im (choć nikomu nie trzeba było niczego przypominać), że domowy demon prawdopodobnie widzi ich i – niewątpliwie – słyszy każde ich słowo. Wspięli się po schodach na drugie piętro i weszli do pokoju Mike'a. Mimo jaskrawego słońca na zewnątrz, znaleźli się w obskurnym szarym świetle.

– Mike? – spytała Avila. – Odezwij się do mnie.

Rozległ się nagły hałas – trzepotanie przy oknie. Gołąb.

– Mike? Wiem, że tu jesteś.

– Zawsze tu jestem. – Głos brzmiał mdło i chłodno.

– Jon nie żyje.

– Wiem. Przykro mi.

– Co się stało?

– Zapewne eksplodował zgromadzony w pomieszczeniu gaz. Mieliście otwarty ogień?

– Lampę olejową.

– Nie przestrzegłem was, bo o tym nie pomyślałem. Przypuszczałem, że niebezpieczna jest tylko elektryczność. Ryzyko wydawało się minimalne.

– Nie mówiłeś nic o ryzyku!

– Zawsze istnieje ryzyko, Avilo. Naprawdę mi przykro. Nie mógłbym go ostrzec, ponieważ nie

otrzymuję już stamtąd przekazów wizualnych. Nie wiedziałem o waszych kłopotach, póki nie usłyszałem wybuchu.

– No cóż – bąknął Flojjan, łamiąc obietnicę daną kapłance. – Nam również jest przykro. Nic na to nie poradzimy, prawda?

– Widzisz mnie? – spytała Avila.

– Nie.

– Ale jakieś miejsca w budynku widzisz?

– Kilka. Jest kamera w pobliżu sklepienia z pączkami w hali dworcowej. Widzę was za każdym razem, gdy tamtędy przechodzicie.

Cóż za osobliwa istota!

– Dlaczego nie odezwałeś się do nas w jednym z tych miejsc?

– W żadnym nie działają już głośniki.

– Avilo – ponaglił ją szeptem Quait. Jego wzrok mówił: Przejdź do rzeczy.

Pokiwała głową.

– Mike, czy mamy spróbować jeszcze raz?

Deski zaskrzypiały pod nogami.

– Nie chcielibyśmy wylecieć w powietrze – dodał Quait.

– Oczywiście, wiem o tym. Na razie pokonaliście drzwi z napisem OBSŁUGA. Bądźcie ostrożni, przechodząc przez kolejne. – Przerwał. – I tak, bardzo proszę! Pragnę, żebyście mnie wyłączyli, jeśli ciągle tego chcecie.

– Ja na pewno – mruknął Quait. – Ty natomiast nie wydajesz się zbyt przekonany.

– Nigdy nie chodziłem tymi korytarzami, Quaitcie – wyjaśnił Mike. – Jestem zaprogramowany na koordynowanie rozkładów jazdy i prowadzenie akt personelu. Nie uczono mnie wspomaganie włamań. Kieruję wami najlepiej, jak potrafię.

– Do tej pory – oświadczył Flojjan – chyba nie bardzo ci wychodziło.

– Wiem. Słuchajcie, mam dla was prezent. Coś w rodzaju małego odszkodowania za poniesioną stratę. Jaką dysponujecie bronią?

– Strzelbami i pistoletami. Dlaczego pytasz?

– Jakiej używacie amunicji?

– Kul. – Quait zmarszczył brwi. – Istnieje inna?

– Tak. Poszukajcie drzwi oznaczonych napisem BEZPIECZEŃSTWO. Znajdziecie tam zewnętrzne biuro i wewnętrzny, zamknięty pokój. W pokoju jest broń, której strażnicy używali do kontrolowania tłumu. Wam przydadzą się przedmioty w kształcie trójkąta. Doskonale mieszczą się w dłoni. Większość będzie zapewne zapakowana w oryginalne pojemniki i trzeba je naładować. Wyjaśnię wam, jak to zrobić.

– Po co nam one? – spytał Quait.

– Mogą wam się wydać skuteczniejsze niż broń, którą dysponujecie. Z trójkątów nie musicie trafiać we wroga pociskiem. Wystarczy wycelować ogólnie w danym kierunku i ścisnąć. – Powtórzył, że broń trzeba naładować, i opisał, jak to zrobić.

– Dobrze – zakończyła Avila. – Obejrzymy je.

– I ostrożnie postępujcie z zamkniętymi drzwiami. Zgoda? Nie używajcie otwartego płomienia. W pokojach lepiej nawet nie oddychajcie. I odczekajcie chwilę, zanim wejdziecie.

– Fatalnie, że Jon nie będzie miał pożytku z twoich rad – rzucił burkliwie Flojjan.

Avila posłała mu rozgniewane spojrzenie.

– No dobrze, Mike – powiedziała. – Coś jeszcze?

– Kiedy opuścicie granice City, zachowajcie ostrożność. Nad jeziorem kiedyś paliły się światła. Nie znam ich natury. Jeśli wasi bogowie naprawdę istnieją, niech tej nocy wezmą was w swoją opiekę.

Powietrze w sali komputerowej było zatęchłe, lecz bezpieczne dzięki pękniętej rurze i skruszonej izolacji. Avila nie wiedziała tego jednak, więc wraz z Flojjanem odczekali dobre pół godziny, zanim wsunęli do pomieszczenia lampę na długiej desce. Wybuch nie nastąpił, toteż kapłanka ostrożnie weszła do środka. Flojjan podążył za nią z siekierą w ręku.

W pomieszczeniu stał szereg szarych skrzynek. Avila znalazła tę z napisem MUSO/SR. Była wykonana z pseudometalu i – tak jak stół, na którym stała – wyglądała na prawie nową. Tylko w jednym miejscu widać było niewielkie przebarwienie. Skrzynka łączyła się przewodem z wieloma innymi urządzeniami podobnego, choć nie identycznego kształtu.

Ze skrzynki wydobywał się hałas. Cichy, głęboki szum.

Przycisk z napisem ZASILANIE znajdował się po prawej stronie. Po lewej widać było duże litery IBM, obok różne guziki i nakładki oznaczone słowami: TURBO, POJEMN. i WEWN. Avila położyła dłoń płasko na obudowie. Tworzywo było chropowate. Wyczuła też lekką wibrację.

Kapłanka pomyślała, by jeszcze raz odezwać się do Mike’a. By się pożegnać... lub ostrzec go. Dać ostatnią szansę na zmianę decyzji. Podejrzewała jednak, że komputer trwa w udręce (ona sama prawdopodobnie bardzo by przeżywała taką sytuację) i każda zwłoka będzie dla niego okrucieństwem. Nacisnęła guzik i wibracja ustała.

Na przedniej ścianie skrzynki dostrzegła szczelinę. Włożyła w nią ostrze siekiery i próbowała otworzyć. Nie radziła sobie zbyt dobrze, więc Flojjan sięgnął po narzędzie.

– Daj, zanim złamiesz sobie rękę – powiedział.

Wyjął dłuto i po chwili usunął pokrywę skrzyni. Pod spodem znajdowała się biała, metalowa obudowa. Avila włożyła palce pod jej brzeg i pociągnęła. Rozległo się trzaśnięcie, wierzchołek podniósł się, w środku ukazał się czarny dysk. Kapłanka przyjrzała mu się w świetle lampy, następnie wyjęła go.

– Zrobione – rzekł Flojjan.

Avila owinęła dysk w kawałek materiału.

Kilka minut później włamali się do schowka strażników i znaleźli dwa tuziny opisanej przez Mike’a broni w kształcie trójkąta. Wielkością niemal dokładnie wpasowywały się w dłoń i trochę przypominały czarne muszelki.

– Coś takiego nikogo nie wystraszy – oświadczył Flojjan.

Avila wyjęła sześć sztuk. Zgodnie z teorią, że broni nigdy zbyt wiele, wzięła wszystkie, ale potrzebowała aż piętnastu minut, by naładować je w mechanizmie, który komputer nazwał ładowarką. Kiedy skończyła, dała połowę sprzętu Flojjanowi, resztę zaś włożyła do kieszeni. Potem wróciła na drugie piętro do pokoju Mike i zawołała go po imieniu. Odpowiedzi nie było.

Tę noc spędzili w szarym wieżowcu. Następnego dnia, na piechotę, z końmi na holu wspięli się na czwarte piętro, znaleźli znaki Shaya i weszli za nimi na coś w rodzaju drogi powietrznej, którą dotarli na poddasze. Szli długimi, kiepsko oświetlonymi korytarzami i przekraczali estakady. Przed zachodem słońca znaleźli się znowu na parterze, po czym doszli do otwartej wody. Tutaj, w cieniu wiązowego zagajnika, oddali ciało Jona Shannona płomieniom. I po raz pierwszy od początku poczuli się naprawdę zagubieni na tym bezmiernym pustkowiu.

Kiedy obrządek się zakończył, Avila zdjęła kawałek materiału z czarnego dysku, zabrnęła daleko

w wodę i cisnęła przedmiot w dal.

Na chwilę zapatrzyła się w błękitny horyzont.

– Żegnaj, Mike – powiedziała. – Niech Ekra spokojnie cię przeniesie do twojego wiekuistego domu.

Śmierć Jona Shannona poruszyła Chakę jeszcze mocniej niż odejście Silasa. Dziewczyna знаła przewodnika od dzieciństwa i sama go namówiła do udziału w tej ekspedycji. Te powody nie były jednak najistotniejsze. Chodziło o coś innego. Jon wyglądał na niezniszczalnego mężczyznę, którego nie sposób pokonać, którego nic złego nie może spotkać. Teraz niespodziewanie odszedł i jego towarzysze byli tym szczerze wstrząśnięci.

Ponownie zaczęli rozmawiać o zakończeniu ekspedycji. Tyle że już dwoje z nich nie żyło! Jak mieli wrócić do domu bez dwojga spośród siebie i powiedzieć, że mimo tak wielkiej straty niczego nie osiągnęli?

– To prawda – powiedział Quait. – Jednak mamy ze sobą dwie kobiety i sądzę, że naszym podstawowym obowiązkiem jest ich ochrona. Głosuję za powrotem.

– Nawet o tym nie myśl – zdenerwowała się Chaka. – Jeśli chodzi ci o własną skórę, w porządku. Lecz nie podejmuj decyzji ze względu na mnie.

– Ani na mnie – burknęła Avila, ponieważ również poczuła się obrażona, choć jednocześnie wierzyła, że koszt misji stał się już zbyt wysoki.

Quait zaczął się dąsać, jak gdyby ktoś zakwestionował jego męskość.

– No cóż – odparł w końcu. – Skoro chcecie iść dalej, proszę bardzo. Próbowałem jedynie postąpić właściwie.

Flojjan bał się, że zostanie uznany w Illyrii za tchórza, toteż zaczął nalegać, by kontynuowali wyprawę, gdyż nie mają innego wyjścia.

Cała czwórka podjęła więc decyzję, by iść dalej, chociaż każde z osobna wybrałoby drogę powrotną.

Pod koniec trzeciego dnia wieżowce nadmorskiego miasta stały się ledwie widoczne w świetle zachodzącego słońca. Podróżnicy szli wzdłuż południowego brzegu, tuż obok wysokich wydm. Rozpoznali krainę, którą widzieli z maglewa. W głębi lądu las coraz gęściej zarastał rozległe ruiny; wiele z nich wyglądało na zwęglone. Tak jak Memphis. I jak miasto na bagnach. Avila podejrzewała, że w ostatnich dniach epoki Drogowców ogień wydawał się ludziom ostatecznym sposobem walki z Zarazą.

W ślad za wędrowcami ciągnęły się hordy dzikich psów. Kiedy pewnego dnia po zachodzie słońca zwierzęta zaatakowały konie, Avila skorzystała z okazji, by przetestować nową broń.

Musiała działać szybko, ponieważ Quait i Chaka w pierwszych sekundach napaści zastrzelili trzy drapieżniki i reszta stada zaczęła uciekać. Kapłanka wycelowała czarny trójkąt w kierunku psów i ścisnęła go. Zapaliła się zielona lampka i w jednej chwili pół tuzina stworzeń po prostu padło na ziemię. Leżały później prawie przez dwie godziny, zanim odzyskały przytomność, a wówczas – jedno po drugim – zataczając się, odeszły w las.

– Nie podoba mi się ta broń – oświadczył Quait. – Jest podstępna. Wolę strzelbę.

Avila natomiast postanowiła od tej pory zawsze mieć w kieszeni jeden z trójkątów.

Flojjana zafascynował efekt strzału kapłanki, ciekawiły go również zielone i czerwone lampki, które migały podczas akcji. Avila wyjaśniła jemu i Chace, jak używać nowej broni.

– Trzeba wycelować tym końcem i ścisnąć przedmiot.

Chaka wypróbowała trójkąt jeszcze tej nocy na dzikim indorze. Ptak kilka razy zagulgotał, po czym się przewrócił. Zasnął, zanim upadł na ziemię. Grupa przyjaciół zjadła dobrą kolację i wszyscy docenili skuteczność broni. Zadawali sobie wszakże pytanie, czy równie efektywnie zadziałałaby na

człowieka.

Flojiana intrygowały nie tylko rezultaty strzału, lecz także budowa trójkąta. Nie udało mu się jednakże rozebrać mechanizmu.

– Zastanawiam się – rzucił – czy moglibyśmy się nauczyć je produkować.

Flojian z przyjemnością odkrył, że Avila jest chętną słuchaczką i potrafi rozmawiać także na inne tematy niż religia. Szczegółowo omówili sprawy związane z wszelką bronią i jej używaniem. Kobieta słuchała uprzejmie, podczas gdy mężczyzna rozpisywał się nad różnymi możliwościami zastosowania trójkątów. Chociaż denerwował ją jego przesadny pragmatyzm, przedstawiała swoje argumenty poważnie i bez nienawiści.

Zauważył, że jest piękna, mimo iż łatwo mógł o tym zapomnieć wśród kurzu, brudu i wymuszonej intymności, którą niosła w sobie codzienna podróż. Flojian zastanawiał się, dlaczego ktoś tak urodziwy postanowił spędzić życie w związanym z celibatem stanie kapłańskim. Myśl ta zaniepokoiła go, więc przestał się zastanawiać nad całą sprawą.

W swoim życiu nigdy nie uległ poważnej namiętności. Przynajmniej jej przedmiotem nie były kobiety. Był raz żonaty, ale w małżeństwie brakowało ciepła i głębszych uczuć, chociaż nieźle się z żoną rozumieli. Łączyła ich podobna mentalność. Prawdopodobnie wybranka była nawet zbyt podobna do Flojiana. Rozstali się bez żalu. Cywilizowane małżeństwo i cywilizowany rozwód.

Flojian uważał kobiety za istoty zdecydowanie niedoskonałe. Miały irytujące zwyczaje, nie dorównywały mu poziomem intelektualnym bądź brakowało im ogłady w życiu społecznym. Już dawno temu postanowił, że nie będzie dzielił swojego życia z żadną niewiastą. Kierował się prostymi zasadami: zajmować się swoim przedsiębiorstwem, zarabiać pieniądze, spędzać przyjemnie czas. I trzymać się w bezpiecznej odległości od kobiet.

Nie mógł wszakże zaprzeczyć, że Avila Kap ożywiła w nim uczucia, które przez długi czas pozostawały uśpione. Jej uśmiech, jej oczy... Być może nagła utrata dwóch towarzyszy podróży uczyniły Flojiana wrażliwym i tym samym bardziej podatnym na kobiece wdzięki. A może sprawy te wcale się nie łączyły. Tak czy inaczej przesiadywał z eskapłanką długo w nocy i wpatrywał się w gwiazdy.

Zastanawiał się, czy Avila odwzajemnia jego uczucia. Podejrzewał, że jest dla niej mężczyzną zbyt merkantylnym, zbyt praktycznym i zbyt twardo stojącym nogami na ziemi. W dodatku była o pół stopy od niego wyższa. A jednak traktowała go poważnie. W obecnej sytuacji nie powinien chyba żądać więcej.

Wciąż jechali na wschód wzdłuż brzegu, gdy nagle Chaka zatrzymała się i wskazała na morze. Było wcześniej i słońce jeszcze nie podniosło się znad mgły, dostrzegli jednak, że na wodzie coś się porusza.

Stopniowo nabrały kształtu maszty i żagle. Szkuner, z latarniami przywiązany na rufie i dziobie, płynął równoległe do brzegu.

– Działa – zauważył Quait. – Mają działa.

Głosy niosły się echem po wodzie. I śmiech. Potem, niczym duch, pojawił się okręt. Po jakimś czasie, kiedy mgła się podniosła, horyzont był już jednak pusty.

Krótko przed południem wędrowcy zbliżyli się do budynku nowego typu. Stał samotnie na przybrzeżnej skale. Nie był podobny do żadnego, jaki widzieli wcześniej: sześćościenne betonowy walec wysoki na wiele stóp wznosił się z dachu niskiego budynku. Z walca wypatrywało kilka okien. Wierzchołek miał postać otwartej ramy pod metalową kopułą. Wokół ramy ciągnął się chodnik.

– Sądzę, że kiedyś góra była oszklona – powiedziała Chaka.

Niegdyś budynek z brzegiem łączył nadziemny pasaż, teraz jednak większa jego część zniknęła. Pozostała jedynie niska kamienna ściana, parę połamanych pali sterczących ze skały i otaczającego piasku oraz kawałki pogniętego metalu.

– Stąd chyba dawali znaki statkom – zasugerował Flojjan. – Niezły pomysł. – Na brzegach Missisipi Illyryjczycy podnosili i opuszczali latarnie. Flojiana tak zainteresowała osobliwa budowla, że namówił pozostałych, by wspięli się na skały i dokładnie ją zbadali.

Do frontowych drzwi dotarli bezpiecznie, choć przemoczeni. Wewnątrz podłoga była wypaczona, pomieszczenia puste, pozbawione rozpadających się mebli, jakie zazwyczaj znajdowano w domach Drogowców. Drabinka i kręte schodki prowadziły w górę walca. Drabina pozbawiona była szczebli, a schody wyglądały na kruche. Fakt ten nie miał znaczenia, ponieważ podróżnicy i tak nie zamierzali wchodzić na górę.

Stali przez kilka minut na plaży, podczas gdy Chaka szkicowała latarnię w dzienniku Silasa, usiłując uchwycić otaczającą budowlę atmosferę opuszczenia, smutku i samotności. Nie była zadowolona z rezultatu, chociaż pozostali wyrażali podziw dla jej wysiłków.

Linia brzegowa skręcała na północ. Kilka mil za wieżą sygnalizacyjną na drzewach zaczęły się ponownie pojawiać znajome poziome paski. Znaki skierowały ekipę w górę nabrzeża, a później na drogę – wąską, zarośniętą, prawie niewidoczną. Późnym popołudniem droga przecięła gigantyczną autostradę. Znaki Shaya poprowadziły Illyryjczyków w dół skarpy na autostradę i na północny wschód.

Przez kolejne dwa dni jechali wzdłuż wybrzeża. Później autostrada skręciła na wschód, oddalając się od brzegu. Chociaż nic nie mówili, Chaka czuła ukłucie rozczarowania. Mieli wcześniej nadzieję, że właśnie ten akwen otacza miejsce, którego szukali – Przystań.

Dwa dni później przejechali w pobliżu zrujnowanego miasta, w którego nazwie było słowo „Joseph”. (Znak na autostradzie był strasznie zniszczony). Pogoda zrobiła się kapryśna, jednego dnia było ciepło, następnego – zimno. Droga zmieniała się stopniowo w mieszaninę popękane go betonu i rzuconych bądź zwalonych wielkich kłoców. Zsiedli z koni i szli sąsiednimi polami.

W pewnym momencie droga nagle się skończyła, a znaki poprowadziły ich w dół stoku do lasu porośniętego gatunkiem sosny, który już wcześniej spotkali. Drzewa charakteryzowały się cienką, czerwono-brązową korą i jasnozielonymi igłami. Pnie miały około półtorej stopy grubości i siedemdziesiąt pięć stóp wysokości. W lesie mieszkwały egzotyczne ptaki, rosły niezwykle rośliny. Wędrowcy wkroczyli w zupełnie nowy świat.

Ruiny były mniej rozległe niż tamte w pobliżu City, równocześnie jednak bardziej niesamowite. Rzadko zdarzał się dzień bez izolowanych budynków bądź na wpół zagrzebanych w ziemi wiosek. Znaki przy autostradzie sygnalizowały miasta, z których pozostały jedynie drzewa i pola. W gospodarstwie rolnym blisko miejscowości Joppa ekipa trafiła na dom w doskonałym stanie; jedynie tył dachu częściowo się zawalił. Z daleka uszkodzenie pozostawało niewidoczne i łatwo można by uwierzyć, że budynek nadal jest zamieszkały. Miasto Homer stało prawie nietknięte, wraz z restauracją „Centrum”, salonem samochodowym, warsztatem Harry’ego oraz sklepem kolonialnym.

Znak z rysunkiem kościoła kierował przechodnia prosto do Pana.

We wczesnych godzinach porannych 5 kwietnia Chaka słuchała wiatru szumiącego w konarach drzew i sporadycznych szelestów, gdy w otaczających krzakach biegały małe ssaki. Podróżnicy odpoczywali pod tak gęstym sklepieniem gałęzi i liści, że nie widać było ani księżyca ani gwiazd. Ogień przygasał. Noc była ciepła, Chaka pełniła wartę i walczyła z ogarniającym ją snem.

Żeby nie zasnąć, najlepiej wstać. Podeszła do pobliskiego źródła i – po raz czwarty czy piąty – ochlapała wodą twarz. Potem sprawdziła konie, które pasły się na polanie. Wcześniej widzieli czarnego niedźwiedzia. Przez chwilę patrzył na nich bez zainteresowania, po czym odszedł z powrotem w las, przeraził jednak zwierzęta, a Chakę mocno wytrącił z równowagi. Myślała akurat o wielkim stworzeniu, gdy usłyszała nietypowy dla leśnych odgłosów dźwięk.

Początkowo nie potrafiła go skojarzyć. Był ostry i krótki.

Pęknięcie gałązki?

Poszukała pistoletu. Niestety, zostawiła broń w kaburze.

Skąd pochodził ów dźwięk?

Cofnęła się między drzewa.

Odgłos rozległ się ponownie.

Było w nim coś prawie rytmicznego. I metalicznego.

Potrzebowała kilku minut, by ustalić jego pochodzenie, aż w końcu znalazła się przed słupem. Wykonano go z materiału Drogowców, które przypominał żelazo, lecz nie skorodował. Słup był trzy razy wyższy od dziewczyny i opleciony gałęziami sasafrasa.

Chaka często widywała podobne słupy w ruinach Drogowców. Czasami były zrobione z betonu, czasami z pseudometalu. Zazwyczaj znajdowały się blisko skrzyżowań i błyszczały na nich trzy szybki: czerwona, żółta i zielona. Ten pierwszy ze wszystkich, jakie widziała, hałasował.

Dźwięki tworzyły charakterystyczny wzór. Kliknięcie, sześć sekund, warkot, sześć sekund, kliknięcie, trzydzieści sekund. I od nowa.

Chaka stała przez długi czas, obserwując słup i słuchając. Wszystkie te miejsca są nawiedzone, pomyślała. Wreszcie wróciła do ogniska. Zupełnie odechciało jej się spać.

Rano odkryli ceglany budynek wśród drzew. Na metalowej tablicy widniał napis: Pierwszy Bank Handlowy. Niżej widniała data założenia – 2023.

I lokalizacja – Ann Arbor.

Poranek był cudowny. Drzewa ociekały wilgocią, powietrze wypełniał zapach zielonej trawy. Pierwszy Bank Handlowy wyglądał na nietknięty.

Flojjan, przywiązany do instytucji handlowych, chciał koniecznie zajrzeć do środka.

– Nigdy nie widziałem banku w tak dobrym stanie – argumentował.

Drzewa niemal wrosły we wszystkie ściany, pchały się też przez główne wejście; gęste gałęzie wręcz się wcisnęły do wewnętrznej pary obrotowych szklanych drzwi. Na szczęście Illyryjczycy znaleźli okno z luźną futryną. Quait oderwał ją niemal przypadkowo.

Flojjan zajrzał do środka, zobaczył długi kontuar, stanowiska pracy, ławy, biurka i krzesła. Kilka pokoi i dwa korytarze otwierały się na hol. Flojjan wspiął się przez okno i skoczył na brudną od błota podłogę. Znalazł się za kontuarem. Każde ze stanowisk pracy miało charakterystyczną szklaną taflę i wyraźnie wszechobecny przedmiot, który widział przy Diabelskim Oku.

Chociaż Illyryjczycy uważali banki jedynie za miejsca udzielające pożyczek, pojęcie scentralizowanej instytucji koordynującej przepływ waluty nie było im zupełnie obce. Flojjan działał nawet w czołówce grupy osób, które starały się założyć bank Ligi i stworzyć wspólny system monetarny.

Stał i wyobrażał sobie niegdysiejszą działalność Banku Handlowego. Klienci stawali w kolejce przy kontuarze, wpłacali pieniądze na swoje konto, za co naliczano im odsetki. Te same pieniądze bank pożyczał innym klientom, prawdopodobnie w sekrecie przed pierwszymi. Zapewne ze względu na konieczność zachowania tajemnicy urzędnicy kredytowi pracowali w pokojach umieszczonych w



głębi budynku. Pożyczki wykorzystywano na rozwój indywidualnych przedsiębiorstw, które ratalnie spłacały całość z wypracowanych zysków. Był to całkiem zgrabny i znacznie bardziej postępowy system niż ten, z którym Flojjan miał do czynienia. W Illyrii brakowało funduszy, toteż przedsiębiorcy często nie wykorzystywali rozmaitych okazji i z tego też względu nie dokonywał się rozwój gospodarczy.

Quait wszedł do banku za Flojjanem.

Kasjerskich miejsc pracy było osiem. Przy oknie, przez które weszli, znajdowało się podobne, lecz skierowane ku wyjściu. (Flojjan zupełnie tego nie rozumiał). Przy każdym stanowisku stał stolik z szufladą. Flojjan otworzył jedną i zachwycił się na widok monet.

– Cudownie – wysapał. – Quait, popatrz na nie.

Wziął jedną z większych, wytarł ją i przytrzymał w świetle. Była to ćwierćdolarówka, jej nazwę wygrawerowano na rewersie, pod podobizną orzełka. Flojjan uśmiechnął się wesoło, wsunął pieniądze do kieszeni i zaczął wyjmować inne.

– Weź, ile zdołasz unieść – zawołał do Quaita.

– To miejsce jest jakieś straszne – zauważył gwardzista, jakby nie słyszał propozycji swego towarzysza.

– Co masz na myśli?

Quait otworzył kolejną szufladę. Znowu monety.

Sporo. Każda szuflada była ich pełna.

– Co więc sądzisz na ich temat? – spytał Flojjan.

– Ludzie uciekli tak nagle, że nawet nie wzięli ze sobą pieniędzy. Zaraza musiała być potworna.

– Na pewno. Chociaż właściwie nie mamy o niej wielkiego pojęcia.

– Pamiętasz, co powiedział Mike? Pewnego dnia ludzie po prostu nie przyszli do pracy i już nigdy ich nie zobaczył. Tu zostawili pieniądze. Jeśli zajrzemy do sklepów, towar nadal tam będzie. To znaczy... To, co z niego zostało. Jak gdyby wszyscy zniknęli z powierzchni ziemi.

– Słuchaj – zniecierpliwiał się Flojjan – może porozmawiamy o tym później? Zdążyłem zapełnić kieszenie.

Endine dostrzegł jakiś ruch. Choć było to nieprawdopodobne, pulpit przy frontowych drzwiach stanął na trzech nogach i ruszył naprzód, ku środkowi holu. Flojjanowi zjeżyły się włosy na karku. Pulpit wyglądał teraz jak wysoka na sześć stóp deska kreślarska z długą, cienką główką zatkniętą na krótkiej, giętkiej szyi. Dwie ruchliwe kończyny wynurzyły się spod wierzchołka stołu i jedna wycelowała w kierunku dwóch mężczyzn coś, co wyglądało jak rura albo wylot pistoletu.

– Zatrzymajcie się – odezwał się głos tuż nad ich głowami. – Policja jest już w drodze. Nie ruszajcie się, póki ktoś wam nie rozkaże. Jeśli nie zastosujecie się do powyższych poleceń, zostanie przeciwko wam użyta broń.

Quait zaklął cicho.

– Odłóżcie broń i obejdźcie ladę.

Flojjan zastanowił się nad sytuacją i zerknął na przyjaciela. Czy rura była bronią? Pojedynek z maszyną, która może po prostu podejść do nich i ich zastrzelić, nie wyglądał obiecująco. Flojjan usłyszał za sobą w oknie Chakę, która oświadczyła, że nie wierzy w słowa pulpitu.

Wyjął ostrożnie broń z kabury, położył ją na stole i wyszedł do holu. Tam przeraził się nie na żarty.

Wiele stosów czaszek i kości leżało na podłodze przy podstawie kontuaru.

Quait wyszedł zza ramienia Flojjana i ciężko łapał oddech.

– Nie mieliśmy złych zamiarów – oświadczył Endine. – Po prostu przechodziliśmy.

– Policja jest już w drodze – powtórzył głos nad ich głowami. – Pozostańcie na miejscu, czekając na jej przyjazd.

– Jaka policja? – zapytał Quait. – Tu już nie ma policji.

– Pozostańcie na miejscach do przyjazdu policji albo użyjcie siły.

Flojjan spuścił wzrok na kości.

– Niektórzy z tych ludzi ciągle jeszcze czekają.

Chaka zniknęła z okna.

Uzbrojony stół stał około dziesięciu stóp od nich, kołysząc się lekko na trójnożnej konstrukcji. Rura, wycelowana w punkt dokładnie w połowie drogi między dwoma mężczyznami, ani na chwilę nie zdrząła.

– Co proponujesz? – spytał Quaita Flojjan, nie odwracając wzroku od maszyny.

– Wygląda na trochę zardzewiały. Broń może już nie działać.

– Chcesz ryzykować?

– Może trzeba będzie. Długo czekali byśmy na policję.

Flojjanowi łomotało serce w piersi. Sytuacja była absurdalna.

Pulpit wziął go jako zakładnika. A jednak mężczyzna czuł szczere przerażenie.

– Skąd wiesz, że policja przyjedzie? – spytał w sufit.

Brak odpowiedzi.

– Spróbuję się wycofać – oświadczył Quait. Przeniósł ciężar z jednej nogi na drugą. Zrobił krok.

– Wystarczy – ostrzegło go urządzenie. – Rusz się jeszcze raz, a cię zastrzelę.

– O rany, poczekaj minutę – mruknął Quait.

– Kolejnego ostrzeżenia nie będzie!

– To wariactwo – jęknął Flojjan.

Wróciła Chaka. Miała w ręku strzelbę. Zanim jednak zdążyła użyć broni, rura przesunęła się i Flojjan usłyszał dźwięk przypominający skwierczenie steku. Chaka krzyknęła i zniknęła mu z pola widzenia.

Quait obrócił się na pięcie i popędził do okna. Rura zakołysała się w tył i znowu rozległo się skwierczenie. Quait stracił przytomność, uderzył w kontuar i upadł na stos kości.

Flojjan krzyknął na maszynę, ale rozległ się tylko zimny i nieporuszony głos:

– Zostań na miejscu i czekaj na przyjazd policji.

Świat wirował. Chakę nic nie obchodziło jej własne życie. Nad jej głową pojawiło się zaniepokojone oblicze Avili. Dziewczyna miała na czole wilgotną szmatkę i rozluźnioną bluzkę. Kapłanka poleciła jej odpoczywać.

Światło dnia raniło Chace oczy.

– Quait również się już obudził. – Słowa zawisły w powietrzu, pozbawione znaczenia.

Quait!

– Gdzie jest?!

– Nadal w banku. Maszyna nie chce go wypuścić. – Avila niemal zdołała się uśmiechnąć.

Chaka usiłowała wstać, ale miała zbyt ciężką głowę i odczuwała mdłości. Przysunęła sobie śniadanie. Avila podała jej wody do popicia i zmieniła szmatkę na czole. Powoli dziewczyna zaczęła się czuć lepiej.

Słońce znajdowało się bezpośrednio nad nią. Była nieprzytomna przez kilka godzin.

– Co zrobimy? – spytała.

– Szczerze mówiąc – odparła Avila – nie mam zielonego pojęcia. Poczekaj tutaj.

To był żart. Jak gdyby Chaka mogła gdzieś odejść.

Avila zniknęła, dziewczyna zaś na powrót zamknęła oczy. Leżała cicho, oddychała spokojnie i rozluźniała mięśnie. Kapłanka wróciła przebrana w czyste rzeczy – miała na sobie nową parę ciemnych płóciennych spodni, zieloną bluzę i biały kaftan.

– Czy wyglądam na policjantkę? – spytała.

Chaka mimo wszystko zachichotała.

– Spróbuj zmarszczyć brwi – doradziła.

– To kapłańska bluza. Powinam ją była zwrócić, kiedy odchodziłam. – Uśmiechnęła się. – Zawsze uważałam, że dobrze w niej wyglądam.

Chaka potrząsnęła głową.

– To się nie uda.

– Masz lepszy pomysł?

– W tej chwili raczej nie.

– No cóż – odrzekła Avila – wiemy, że maszyna ma dość dobry wzrok, pozostaje więc mieć nadzieję, że nie jest zbyt bystra. – Pochyliła się nad Chaką. – Jak się czujesz?

– Lepiej.

– To dobrze. Siedź spokojnie. Wrócę za kilka minut. Tak przynajmniej sędzę.

– Wchodzisz teraz?

– Tak. Dostanę się tam przez tylne drzwi. To pocieszająca wiadomość. Policjant nie powinien chyba wchodzić przez okno.

– Ten pomysł nie jest dobry – powtórzyła Chaka. – Utkniecie w środku we trójkę.

Avila popatrzyła na nią. Wiatr z zachodu wzmógł się. Drzewa kołysały się w objęciach wichury.

– Jestem otwarta na twoje sugestie.

– Poczekajmy obie na zewnątrz. Policja przecież nie przyjedzie. Może maszyna się zmęczy i wypuści ich. Powiedz, co mam zrobić, kiedy trafisz do jej kolekcji?

– Rzucaj kamieniami – powiedziała Avila. – A mówiąc poważnie, jeśli naprawdę utknę w banku, przejdź do drugiego planu.

– Czyli?

– Zrealizuj swój pomysł. Zajmij się końmi i poczekaj, aż maszyna się znudzi.

Pięć minut później Avila przecisnęła się przez gąszcz kolczastych krzewów i tylnym wejściem wkroczyła dziarsko do banku. Ukryła w dłoni broń w kształcie trójkąta. Nigdy nic nie wiadomo, może się przyda.

– Czy ktoś wzywał policję? – spytała.

Obydwaj mężczyźni siedzieli na podłodze, lecz Avila zagapiła się na kurz i stos kości. Widziała go po raz pierwszy, więc stanęła jak wryta i natychmiast uświadomiła sobie, co ten widok oznacza. Quait opierał się plecami o kontuar. Wyglądał na oszołomionego i zniechęconego. Kiedy zobaczył kapłankę, wyraził dezaprobatę i potrząsnął głową, pewien, że podstęp się nie uda. Flojjan wykazał się przytomnością umysłu i przybrał minę przestępcy, który wie, że grozi mu więzienie.

– Tak – odrzekł głos nad głową.

– Jestem oficer śledczy Avila Kap – oświadczyła z nadzieją, że dobrze wymyśliła tytuł. – Zajmę się tymi gagatkami. – Maszyna nie wycofała się ani o krok, więc kobieta popatrzyła srogo na dwóch mężczyzn siedzących na podłodze. – Próbowali napaść na bank, co? – Położyła Flojjanowi rękę na karku i zasugerowała mu, aby wstał. Równocześnie dała znak Quaitowi, by również się podniósł. – To jest praworzędne miasto i nasza cierpliwość dla takich jak wy łątwo się wyczerpuje. – Liczyła, że jej głos brzmi wystarczająco oficjalnie. – Chodźmy – rzuciła młodszemu z mężczyzn, pchając go ku drzwiom.

– Chwileczkę, śledcza Kap. – Maszyna mówiła monotonicznie. Jej głos pozbawiony był emocji. – Proszę podać kod upoważniający.

Avila zerknęła na Quaita, na Flojjana, na sufit ukrywający głos, wreszcie na nieruchomy trójnożny stolik o wyglądzie stawonoga. Zaczęła udawać, że szpera w kieszeniach.

– Obawiam się, że go zapomniałam – oznajmiła w końcu. Równocześnie – tak dyskretnie jak tylko potrafiła – wycelowała trójkąt w stolik i ścisnęła broń. Trójkąt lekko zawibrował, poza tym nic się wydarzyło.

– Potrzebuję kodu upoważniającego, zanim będę mógł wypuścić więźniów – powiedział głos. – Zgodnie z policyjną notatką służbową numer sześć, osiem, jeden, zero łamane przez jeden, cztery, datowaną na 11 marca 2067 roku.

– Będę musiała wrócić do mojego biura po ten kod – mruknęła. – Może wezmę więźniów ze sobą, a później prześlę ci tę informację?

– Dlaczego nie skontaktujesz się ze swoim biurem?

Avila wyobraziła sobie, jak wychyla się przez okno i krzyczy do kogoś, by podał jej kod upoważniający.

– Muszę sprawdzić coś jeszcze – wyjaśniła. – Wrócę za kilka minut.

– W takim razie proszę zostawić przestępców.

– Zgoda – odparta. Dała sygnał Quaitowi i Flojjanowi, że znajdzie inny sposób wydostania ich z pułapki i zaczęła się wycofywać ku tylnemu wyjściu.

– Inspektor Kap.

Zatrzymała się i powoli odwróciła.

– Nie chciałbym ci mówić, jak masz wykonywać swoją pracę, jednak zwróc uwagę, że ci dwaj wyglądają na potężnie zdesperowanych. Kiedy wrócisz, przyrowadź ze sobą pomocnika.

– Wiedziałam, że pomysł jest głupi.

– No dobrze. Co zatem proponujesz?

– Mówiłam ci. Przeczekać.

– Tego już próbowałyśmy.

- No i?
- W głównej sali jest mnóstwo kości po ostatnich gościach banku.
- O rany! – Chaka potrząsnęła głową. – Musimy więc podejść do sprawy inaczej.
- Czyli?
- Pomyśl o Mike’u.
- Co ma z nią wspólnego Mike?

– Szare skrzynki. Może zdołamy znaleźć szarą skrzynię tej maszyny i wyłączyć ją.

Avila popatrzyła na dziewczynę z szacunkiem.

– Niezły pomysł. Sądysz, że znajduje się w budynku?

– Musimy założyć, że tak. Jeśli jej tam nie ma, nigdy jej nie znajdziemy.

Kobieta usiadła na powalonej kłodzie.

– W korytarzach jest wiele zamkniętych drzwi. To jedyne pomieszczenia, które przychodzą mi do głowy. Są na pewno zamknięte na klucz. Albo wypaczone. Czasem jedno i drugie. Jeśli zatem nie domyślimy się, który pokój jest właściwy i nie wejdziemy do niego w ciągu kilku sekund, stracimy swoją szansę.

– Ile par drzwi widziałaś?

Avila zamknęła oczy i przypomniała sobie korytarze.

– Sześć – odparła. – A może osiem...

– Szkoda, że się baczniej nie rozejrzałaś.

– Byłam zajęta. Wsuń głowę przez okno i sama popatrz. Jeśli się nieco wysilisz, zobaczysz jeden z korytarzy.

– Przedstawiłaś swój punkt widzenia – odburknęła jej Chaka. Próbowwała wstać, niestety pokonała ją kolejna fala zawrotów głowy.

– Broń maszyny działa trochę jak nasze trójkąty – zauważyła kapłanka.

– Tak – przyznała Chaka. Jej ciało było wilgotne od potu. Starła się otworzyć oczy. – Tyle że maszyna nie żartuje.

– Ale też nie zabija – zauważyła Avila.

– Nie, lecz odbiera człowiekowi całą siłę i wszelką ochotę do walki. – Leżała spokojnie przez kilka minut, toteż jej towarzyszka sądziła, że dziewczyna zapadła w sen. Nagle jednak Chaka gwałtownie zaczerpnęła powietrze, otworzyła oczy i powoli usiadła.

– Lepiej się czujesz?

– Troszeczkę. Słuchaj, a gdybyśmy po prostu wpadły do pomieszczenia i rzuciły się na maszynę. Może uda nam się ją powalić.

– To powinna być ostateczność – oceniła Avila. – Mam chyba lepszy pomysł. – Zajrzała przez okno. Trójnogi stolik nadal stał bez ruchu w środku holu, jawnie pilnując swych ofiar. – Uderza mnie fakt, że jest coś ludzkiego w tej sytuacji, co możemy obrócić na naszą korzyść.

– Coś ludzkiego?!

– Pamiętaj, że broń nie zabija. Ani ta w banku, ani ta, którą dał nam Mike.

– Co z tego, skoro przez długi czas masz w głowie kompletną pustkę?

– Chako, ty i Quait zostaliście postrzeleni i ciągle żyjecie. Mamy tu więc do czynienia z wyraźną niechęcią do zabijania. Może właśnie w niej odnajdziemy naszą szansę.

Chaka weszła przez tylne drzwi. Trzymała w dłoniach skórzaną torbę i usiłowała wyglądać jednocześnie na swobodną i zaniepokojoną. Zrobiła kilka kroków do holu, zatrzymała się, rozejrzała wokół, starannie ukryła szok, który ogarnął ją na widok stosów ludzkich kości. Skupiła wzrok na

dwóch mężczyznach.

– Jestem doktor Milana – odezwała się do Quaita. – Został pan ranny?

– Tak – odrzekł młodzieniec. Wyglądał na zakłopotanego, lecz chętnego do współpracy. Wierzyła w jego bystry umysł. – Sądzę, że mam złamane żebra.

– Kto tu dowodzi? – spytała głośno.

– A kto – odpowiedział pytaniem sufit – wezwał panią, pani doktor?

– Powiedziano nam, że w banku doszło do wypadku. – Ukłęknęła obok Quaita i przyłożyła ucho do jego piersi. – Dobrze, że byłam przypadkiem w pobliżu. Serce tego mężczyzny bije bardzo nieregularnie. Wchodzi w *quadrastasis*.

Quait jęknął.

– Będziemy musieli natychmiast zabrać go na zabieg chirurgiczny. – Odwróciła się do Flojiana i zajrzała mu w oczy. – Tego też. Uszkodzone tęczówki. Może pan iść?

– Chyba tak, pani doktor.

– Chwileczkę. Nikt stąd nie wyjdzie, póki nie przyjedzie policja.

Głos dochodził gdzieś z góry, ale Chaka nie potrafiła sprecyzować jego źródła. Aby nie wypaść z roli, powinna teraz posłać piorunujące spojrzenie, trudno jest jednak patrzeć z furią, skoro nie ma się celu. Tak czy inaczej, starała się przybrać srogą minę.

– Kim jesteś? – spytała. – Kto udzielił ci pełnomocnictw?

– Techniczny strażnik służby bezpieczeństwa. Zostaliśmy zatrudnieni...

– Dobra, już dobra, techniczny strażniku. Jeden z tych dwóch mężczyzn może umrzeć, jeśli jak najszybciej nie zostanie mu udzielona pomoc medyczna. Drugi może cierpieć z powodu trwałego uszkodzenia wzroku. Nie zamierzam na to pozwolić. Skoro zatem chcesz ich tu zatrzymać, musisz zastrzelić także mnie.

– Nie wydaje mi się, pani doktor.

Chaka pomogła wstać Quaitowi. Dała też znak Flojjanowi, aby się podniósł i powoli ruszyła ku drzwiom.

– Jeśli nalegasz, strzelę ponownie w przestępców.

– Zrób to, a prawdopodobnie zabijesz jednego z nich. Tego chcesz?

– Moja broń nie zabija.

– Doprawdy? Czyje to zatem kości?

– Należą do poprzednich przestępców.

– Których zabiłeś!

– Umarli, czekając na policję. Ja ich tylko zatrzymałem.

– I w ten sposób ich zabiłeś. Po co tak długo ich trzymałeś?

– Ponieważ próbowali napaść na bank.

– I to jest powód do aresztowania?

– Oczywiście, niech się pani nie wygłupia! Napad na bank narusza kodeks karny.

– A ja ci mówię, że morderstwo narusza ten sam kodeks. Ciebie więc również powinno się oddać policji. W dodatku twoja zbrodnia jest znacznie poważniejsza.

Ciągle szła do wyjścia.

– To nieprawda.

– Ależ prawda. Jeszcze chwila i ponownie kogoś zabijesz. Ponieważ uparłeś się, by trzymać tych mężczyzn tutaj, odmawiając im pomocy medycznej, której ogromnie potrzebują.

– Wcale tak nie jest.

– Jest tak! Wiesz, że mam rację.

Chaka znalazła się w tylnym korytarzu. Maszyna stała, lekko się kołysząc, w środku holu. Jej broń nie przesunęła się ani o cal. Była nadal wycelowana w kontuar.

– Policja została wezwana. – Rozległ się głos z góry.

– Wezwij ich jeszcze raz – powiedziała Chaka. – Powiedz, że złapaliśmy mordercę.

– Jesteś genialna – ocenił Quait. Wyszli z banku w radosnych nastrojach. Ściskali sobie dłonie i tulili się do siebie.

– To nie był nawet plan. Raczej czysta improwizacja – roześmiała się dziewczyna.

– Zgadza się – potwierdziła Avila. – Zadanie Chaki polegało na przyciągnięciu uwagi maszyny na tyle długo, abym mogła niezauważona wbiec do bocznego korytarza. Istniała spora szansa, że mechanizm kontrolujący maszynę znajduje się za którymiś drzwiami. Miałam nadzieję dotrzeć do niego i wyłączyć. Chaka zaś poradziła sobie tak dobrze, że nawet nie zdążyłam się ruszyć z miejsca.

– Widziałem te drzwi – wtrącił Flojjan. – Skąd myślisz, że nie byłyby zamknięte na klucz?

– Gdybym nie mogła wejść albo maszyna poszłaby za mną, Chaka miała w torbie kamień.

– Zamierzała rozbić drzwi kamieniem? – spytał Flojjan.

– Tak – odpowiedziała Chaka. – Kamień był naprawdę duży. – Pokazała obu mężczyznom. – Zapanowałoby zamieszanie i może wtedy uciekliśmy.

Wszyscy się roześmiali.

– Słuchajcie – oświadczyła Avila – ten punkt tylko brzmi tak rozpaczliwie. Miałyśmy również plan pomocniczy.

– Jaki?

Chaka podniosła oba kciuki.

– Byłeś świetny tam w środku, Flojianie. – Uściskała go. – Plan pomocniczy polegał na rozpaleniu ogniska pod oknem. Jest silny wiatr, więc pewnie dym wtargnąłby do wnętrza i... Kto wie? Może uruchomiłby się system przeciwpożarowy. Tyle że zapanowałby chaos...

– Chaos?! – Quait odwrócił się i zapatrzył w gęste krzewy otaczające budynek. – Chyba raczej pożar. Te krzaki paliłyby się jak suche drewno.

– No cóż, pewnie tak – przyznała niechętnie. – Wiem o tym. Dlatego nazwałyśmy ten plan zapasowym.

– Szalony pomysł – roześmiał się Flojjan.

Avila westchnęła.

– Nie wyśmiewałabym się z planów Chaki. Przecież was stąd wyprowadziła.

Osobliwy rodzaj półzycia, które wytwarzało dźwięk w słupie na skrzyżowaniu i obsługiwało system bezpieczeństwa w banku, łączył się najwyraźniej z większym problemem, stanowiącym utrapienie Ann Arbor. Kiedy Illyryjczycy mijali kamienny dom, włączyły się przed nim światła, gasnąc za ostatnim koniem (popędzonym przez Chakę). W innym miejscu z trzypiętrowego ceglanego domu rozległo się kilka taktów spokojnej muzyki; powtarzały się parokrotnie, aż wędrowcy odeszli poza zasięg głośnika. Na polanie Flojjan oparł się o długi na czterdzieści stóp metalowy płot i przestraszył się, ponieważ rozległ się dzwonek, a następnie otworzyły się trzy bramy. (W płocie znajdował się tuzin wejść, jednak pozostałe ani drgnęły).

Kraina była więc niespokojna i członkowie ekspedycji cieszyli się, że ją opuszczają.

Podróżowali do późnego wieczoru, za nimi nadciągał pas chmur burzowych. Znaleźli schronienie w małym kościele Drogowców. Miejsce było idealne, szczególnie że po ostatnich gościach pozostał spory zapas drewna. Dach budynku wyglądał na nieco zniszczony, ale dzięki temu z pomieszczeń

uchodził dym, a nie był na tyle dziurawy, by deszcz kapał wędrowcom na głowę. Brakowało frontowych drzwi, fakt ten jednak im nie przeszkadzał, ponieważ zmuszeni byli dzielić kryjówkę ze zwierzętami. Napoili i nakarmili konie, wytarli je, po czym – zmęczeni – zasiedli spokojnie przy ogniu.

Nie mieli piwa, skończyło im się już też wino, którym mogliby wypić toast za powodzenie wyprawy. Quait wyjął walon i zagrał; palce zatańczyły na strunach, po czym młodzieniec zapytał przyjaciół, jakiej piosenki sobie życzą.

– Jakąś ładną piosenkę biwakową – zasugerowała Chaka.

– Oczywiście, masz rację, moja pani – odparł. – Avilo, znasz „Zacną kompanię”?

Avila wzięła piszczałkę i zagrała kilka taktów. Quait zaśpiewał:

*Była noc, gdy do Maylay przyszło ruszać wraz, Billings Point z mą dziewczeczką zostawić już czas, Ostatnim pocałunkiem serce skradła mi, Jej usta przypomniały mi nasze słodkie dni.*

*W drogę, hej w drogę, cóż tam czeka nas, Skradłaś moje serce, a tu ruszać czas, Spójrz na mą kompanię, zacnych druhów huf, Żegnaj moja miła, zobaczymy się znów.*

Quait śpiewał trochę fałszywie, lecz nikt nie przywiązywał wagi do drobiazgów. Wszyscy przyłączyli się do piosenki:

*Na szlaku nie ma lekko, beczki piwa brak, Nie ma wina ni kobiet, jest bitewny smak, Ot, dola wojaka, słuchać szarzy trza, Obowiązek spełnić, czekać, co los da.*

*W drogę, hej w drogę, cóż tam czeka nas, Skradłaś moje serce, a tu ruszać czas, Spójrz na mą kompanię, zacnych druhów huf, Żegnaj moja miła, zobaczymy cię znów.*

Odśpiewali tyle wersów, ile znali, potem wybrali „Wznieśmy kufle” oraz (zupełnie w innym tempie) pieśń „Tari”. Poczucie straty, które nadal odczuwali, zmieszało się z radością i podnieceniem łączącym się z udaną ucieczką; wieczór kipiał emocjami. Milczeli po kilka minut, sławiąc pamięć Silasa i Jona Shannona. Wznosili kubki z herbatą za zdrowie Chaki, „naszej znakomitej wybawicielki” i śmiali się, głośno się zastanawiając, jak ludzie w Illyrii zareagują na ich opowieść o przechytrzeniu maszyny.

– Kiedy Chaka przedstawiła się jako doktor Milana, maszyna potraktowała ją poważnie – zauważył Flojian – a ja o mało nie wybuchnąłem śmiechem. Mechaniczni inteligenci – kontynuował – którzy straszą w ruinach Drogowców, nie są w gruncie rzeczy zbyt bystrzy. Jeśli coś nam się jeszcze przydarzy, nie możemy tracić głowy.

Chaka widziała, że Quait w miarę upływu wieczoru staje się coraz cichszy, a gdy Avila chciała coś powiedzieć, nagle otrząsnął się z oszołomienia.

– Pozwól mnie pierwszemu – oświadczył. Głos mu drżał. Gwardzista był wyraźnie stremowany.

Otaczało go światło ognia. Przez długi czas patrzył na Chakę i nieuważnie pociągał za sznurki koszuli.

– Nie chciałbym postąpić jak kawalerzysta w piosence i utracić swoją szansę. Nie chciałbym odjechać pewnego dnia i zostawić cię... – Nadal jej się przypatrywał. Jego szare oczy były bardzo rozszerzone, wręcz okrągłe i przepastne. – Zostawić cię, machając na pożegnanie.

Zapadła zupełna cisza. Światło i cień poruszały się na kruchych ścianach kościółka. Chaka poczuła, że ledwie może oddychać.



– Byłbym bardzo szczęśliwy, gdybyś po powrocie do Illyrii... poślubiła mnie.

Rysy Quaita złagodniały i dziewczyna zrozumiała, że mężczyzna kocha ją szczerą miłością i nic nie zmieni jego uczuć.

Deszcz padał intensywnie, krople uderzały o dach, który gdzieś zaczął przeciekać.

– To dla mnie niespodzianka, drogi Quaicie – odrzekła, gdyż potrzebowała czasu na zebranie myśli. Pomyślała o Illyrii i oczyma wyobraźni zobaczyła oblicze Raneya. Nie było zbyt wyraźne.

Wzięła rękę mężczyzny i ścisnęła ją.

– Ale... sądzę, że tak. Tak. Bardzo chciałabym zostać twoją żoną, Quaicie.

Pięć dni wędrówki za Ann Arbor podróżnicy dotarli do następnego miasta, ogromnego i opustoszałego. Stanęli na zachodnim brzegu szerokiej rzeki. Znak Shaya skierował ich na północ, w ruiny. Poszli wybrzeżem, mijając szare falochrony, rzędy starych pali, rozpadające się magazyny, gnijące nabrzeża i osiadłe na mieliźnie wraki. Wszystkie statki stały na dnie, ich pokłady i drzewce sterczały zwykle ponad wodę. Niektóre, skorodowane, miały naprawdę niewiarygodne rozmiary. Przypominały gigantyczną kotwicę. Do połowy popołudnia minęli resztki popękane go mostu. Drugi most, dalej na północy, łączył niegdyś zachodni brzeg z wyspą. Obecnie również leżał powalony.

Flojjan obserwował ptaki morskie dryfujące na powierzchni.

– Prąd nie jest taki straszny – zauważył.

Ze znaków wynikało, że grupa Karika na widok drugiego z uszkodzonych mostów skręciła z powrotem do miasta, oddalając się od rzeki.

W nocy Illyryjczycy rozbili obóz na brzegu rzeki, rano zaś posilili się złowionymi pstrągami i ruszyli drogą ciągnącą się obok gór z betonowego i żelaznego rumowiska. Tak jak w Chicago, niektóre z większych budynków leżały w ruinie. Na północnym zachodzie podróżnicy dostrzegli budowlę w kształcie misy, która stała spokojnie, zupełnie nietknięta, wśród oceanu gruzów. Później ponownie pojawił się las. Złożony z czarnych orzechów i czarnych topoli, bujnie rósł na kościach pochowanych tu ludzi.

Wędrowcy wyszli na brzeg długiego wąskiego jeziora, które utworzyło się między sztucznie powstałymi wzgórzami. Brzeg gęsto porastały drzewa. Woda była nieruchoma i ekspedycja zatrzymała się, by spędzić trochę czasu w leśnej atmosferze, co nie trafiało się często ze względu na wielką ilość rozmaitych szczątków. Kaczki pływały po spokojnej tafli wody, a żółwie pod jej powierzchnią. Na wschodnim krańcu z wody wystawała szara kamienna płyta. Rzeźbione litery głosiły: TUNEL DETROIT-WINDSOR. Napis był o tyle zastanawiający, że w zasięgu wzroku podróżników nie było żadnego tunelu.

Szlak prowadził z powrotem do rzeki, tam się kończył. Dwie pary znaków Shaya skręcały pionowo.

– Przekraczali rzekę w tym miejscu – oświadczył Quait.

Drugi brzeg wydawał się odległy. Flojjan rozejrzał się po drzewach. Niektóre były przycięte.

– Tak wyglądają chyba lepiej, co?

– Dotąd nie budowałam tratwy – zastanowiła się Chaka. – Wiecie, jak to się robi?

Flojjan udawał wstrząśniętego.

– Czy wiemy, jak się buduje tratwę?! A ty wiesz, jak wykonać bransoletę? Przecież właśnie w taki sposób zarabiam na życie. – Uśmiechnął się krzywo, po ptasiemu. – Cóż, przynajmniej tak zaczynałem.

Do zmroku powalili osiem drzew. Nieźle jak na biznesmena, gwardzistę i byłą kapłankę. (Chakę uważano za – przynajmniej fizycznie – najslabszą z całej czwórki i została wysłana na ryby. Wróciła z kolejną partią pstrągów).

Od dnia małżeńskiej propozycji układ dziewczyny z Quaitem zmienił się nieco. Co ciekawe, dystans między nimi raczej wzrósł, niż zmalał! Traktowali się bardziej oficjalnie, a przynajmniej znacznie ostrożniej. Nie trzymali się za ręce, nie kradli sobie pocałunków. Może gwardzista nie chciał po prostu w żaden sposób zakłócać stosunków łączących czworo towarzyszy podróży i uważał, że podział na pary nie przysłuży się dobrze wyprawie. Chaka natomiast – jak zwykle – pragnęła zachować niezależność.

Odkryła również, że osłabło seksualne napięcie, które odczuwała. Podczas pierwszych dni podróży Quait wzbudził jej zainteresowanie, które stopniowo (lub niezupełnie stopniowo) przekształciło się w przyjaźń, a później w namiętą miłość. Wskutek tego czuła, że zaczyna trochę flirtować ze swym mężczyzną. Przemawiała do niego łagodniejszym tonem, przesiadywała z nim do późna, pozwalała, by oczy mówiły za nią. Teraz natomiast sytuacja się nieco zmieniła. Potrzeba kokieterii zmniejszyła się i dziewczyna bardziej się potrafiła cieszyć towarzystwem narzeczonego.

Była ciekawa, dlaczego oświadczył się jej tak jawnie, wobec wszystkich.

– Byłeś mnie taki pewien? – spytała.

– Po prostu publicznie się zobowiązałem – wyjaśnił. – Okoliczności są specyficzne i nie chciałem, byś pomyślała, że staram się je wykorzystać. Pragnąłem, byś potraktowała moje słowa poważnie.

Quait pierwszy pełnił wartę. Chaka leżała, na wpół drzemiąc, słuchała trzasku palących się kłód i szmeru rzeki. On tymczasem krążył w okolicach koni.

Był dość wysoki, chociaż wydawał się niski, gdy stał obok Jona Shannona. Nawet Avila była od niego o cal wyższa, ale Avila miała całe sześć stóp. Quait miał szerokie ramiona, poruszał się swobodnie i z wdziękiem. Przystojny, choć nie w sensie klasycznym. Nie miał długiej, wąskiej szczęki, prostego nosa i tak dalej. Większości kobiet jego rysy mogły się podobać zapewne dopiero po bliższym obejrzeniu, ale uwagę zwracała jego silna osobowość. Poza tym promieniował dobrym humorem, nie ukrywał, że kontakt z Chaką sprawia mu przyjemność, błyskał inteligencją... Do tego miał przepiękny uśmiech. Dziewczyna знаła wielu mężczyzn przystojniejszych od Quaita, lecz żadnego bardziej atrakcyjnego.

Na dokończenie tratwy potrzebowali dwóch dni. Flojjan kierował akcją, wyrzeźbił i zainstalował ster oraz zamontował olinowanie. Później przekształcił koce w żagle i pokazał Avili, jak wykonać wiosła. Gdy tratwa była gotowa, wędrowcy musieli wstrzymać się jeszcze jeden dzień, ponieważ wiatr się odwrócił i wiał teraz ze wschodu.

Rankiem 19 kwietnia rzeka była spokojna. Przygotowali się do przeprawy. Załadowali na tratwę bagaże i siodła. Konie, oczywiście, miały płynąć. Długie pojedyncze liny obwiązano wokół szyi zwierząt i przywiązano do luźnych cum dziobowych, toteż gdyby prąd zniósł jednego z wierzchowców, koń nie pociągnąłby za sobą pozostałych.

– Ciągle nie jestem przekonana do tej przeprawy – odezwała się Avila, wpatrując się w przeciwny brzeg. – To długa droga.

– Konie dobrze pływają – odparł Quait. – Wytrzymują w wodzie godzinę czy dwie. Powinniśmy zdążyć.

Najważniejszy ogier wabił się Bali i był wielkim dereszem. Namówili go, by wszedł do wody. Nie bał się zbytnio, a w wodzie całkowicie się uspokoił. Inne zwierzęta podążyły za nim (było ich trzynaście), ludzie zaś wsiedli na tratwę, którą ktoś z nich ochrzcił imieniem „Niechętna”.

Wiatr wydał żagle i tratwa popłynęła z prądem. Prawie natychmiast podróżnicy odkryli, że oddalają się bardzo szybko od brzegu, ciągnąc za sobą konie. Quait i Avila wcisnęli wiosła w wodę i próbowali pokonać siłę rozpędu. Tymczasem Flojjan stawiał żagle. „Niechętna” poddała się i zwierzęta się do niej przybliżyły.

Tylko końskie głowy i górne części karków wystawały nad powierzchnię, ale zwierzęta nie wyglądały na przerażone. Quait rozmieścił je przed przeprawą po bokach tratwy i za nią. Nie wchodziły sobie w paradę. Flojjan przejął obowiązki nawigacyjne, podczas gdy pozostała trójka zajmowała się linami i końmi.

Chaka powoli coraz lepiej zdawała sobie sprawę z rzeczywistej szerokości rzeki i doceniała

techniczne umiejętności Drogowców, którzy potrafili przerzucić nad wodą most. Mosty niszczały przez stulecia. Wieżyczki ciągle jeszcze stały, wisiały przewody, lecz przęsła wpadły do wody i leżały w niej na wpół zatopione.

Najwyraźniej cywilizacja Drogowców była znacznie doskonalsza niż ktokolwiek w Illyrii mógłby choćby marzyć. Podejrzewano, że poza Ligą na pustkowiu znajdowały się liczne osady podobne do Memphis, miasta na bagnach, Little Rock w pobliżu Farroad, Vicksburga obok Masandik lub bezimiennych ruin przy Argonie i Makarze. Jednak podejrzania to jedno, a podróż przez te miasta – zupełnie coś innego. Gruzy ciągnęły się niemal bez końca, zagrzebane w ziemnych stokach, pogrążone w leśnych zaroślach, rozproszone wzdłuż brzegów rzeki. Od czasu do czasu pojawiały się gigantyczne miasta, tak jak tutaj.

*Nikt w Illyrii nas nie zrozumie. Wierzą tam w istnienie garści stosunkowo małych osad. A co nas otacza? Cały ogromny świat, który umarł. Gdzie się skończy? Jak duże są jego szczątki?*

Rozmiar katastrofy wzbudził u wędrowców respekt. Cóż to musiała być za zaraza, skoro powaliła taką cywilizację?

„W poniedziałek, 10 kwietnia, 2079, pociągi przyjechały puste”.

– Mista ma kłopoty. – Avila wskazała na czarną klacz, która z coraz większym trudem utrzymywała głowę nad wodą.

Zbliżali się właśnie do połowy przeprawy.

Umiarkowany prąd spychał ich w dół rzeki. Avila klęczała na rufie. Quait podszedł do niej. Popatrzył na przerażone oczy zwierzęcia i potrząsnął głową.

– Zdejmij trochę żagla – doradził, kucając obok niej. – Dobrze?

Skinęła głową.

Tratwa zwolniła.

– Niestety zniesie nas trochę dalej w dół rzeki – odezwał się Flojjan. – Możemy mieć kłopoty z odnalezieniem szlaku.

– Po co się martwić o to, co nas czeka po drugiej stronie? – spytała Chaka. Znajdowali się obecnie na południe od wyspy. Teren był gęsto zalesiony. Dziewczyna dostrzegła przybrzeżną drogę i kamienny dom w stylu Drogowców. Wyglądał solidnie.

– Stracimy ją – oświadczyła Avila.

Chaka dotąd rozmyślnie nie oglądała się za siebie na walczące zwierzę. Teraz zobaczyła, że klacz nie może już utrzymać głowy w górze.

– Zdejmij więcej żagla – poleciała kapłanka. – Musimy zwolnić.

Flojjan potrząsnął głową.

– To nic nie da. Nie możemy płynąć tak powoli, by nadażyła. Odwiąż ją.

Avila otworzyła szeroko oczy.

– Utopi się.

– Utopi się, niezależnie od naszej decyzji. Odwiąż ją, a może utracimy tylko ją jedną.

Kobieta popatrzyła na Quaita i łzy stanęły jej w oczach.

– To tylko koń – rzucił Flojjan. – Nie można było oczekiwać, że wszystkie się przeprawiają.

– Odwiązanie jej niczego nie zmieni – dodała Chaka. – Jeśli ma dopłynąć do brzegu, dopłynie.

Jeśli nie, nic nie możemy dla niej zrobić.

Lina Misty była naprężona. Tratwa ciągnęła klacz. Avila odwiązała ją. Lina spadła w wodę.

Quait tymczasem popatrzył w górę rzeki.

– Okręt – krzyknął.

Wcześniej okręt zasłaniała wyspa i zatopiony most. Teraz go zauważyli. Poruszał się szybko. Flojjan zaklął.

– Ma działa – powiedział.

Płynął mocno zanurzony w wodę. Jego dziób wyglądał jak wilcza głowa, z lewej burty sterczało sześć dział. Był dwumasztowy, miał sporo żagla i wyglądał na płaskodenny. W takielunku trzepotał proporzec z białą strzelbą na zielonym polu.

Quait rozróżniał żeglarzy na pokładzie. Stanowili gromadkę obszarpańców, ale znali pojęcie dyscypliny i precyzyjnie wykonywali swe zadania. Niektórzy zajmowali się obsługą broni. Flojjan próbował zawiesić jeszcze jeden koc, by zwiększyć prędkość.

– Uwolnijcie konie – polecił. – Spróbujmy dobić do brzegu.

Quait obserwował okręt.

– Nie mamy szans – ocenił. Mimo to rozpuścili konie. Chaka wyciągnęła z bagażu strzelbę.

Chwycił ją za ramię i potrząsnął głową.

„Niechętna” nabierała prędkości. Działo okrętu wypaliło, kula trafiła w wodę przed tratwą. Mężczyzna w błękitnym płaszczu i kapeluszu przyłożył do ust megafon i krzyknął do Illyryjczyków, aby dobili do brzegu. Znajdował się około osiemdziesięciu jardów od nich i szybko się zbliżał.

– Sądzę, że lepiej go posłuchać – zauważył Flojjan.

Jednak Chaka patrzyła zawzięcie na kapitana i jego załogę.

Z miny dziewczyny Quait wywnioskował, że już zdecydowała i nie zamierza odkładać bitwy na czas, aż wpadnie w ręce wroga.

– Nie mamy wielkich szans z tymi sukinsynami – odburknęła. – Wolę walczyć.

– Z nimi?! – gderał Flojjan. – Święta Pani, miej nas w opiece.

Avila łypnęła na niego złowrogo. Zamilkł.

– Nie szukaj pomocy – warknęła. – Jesteśmy sami i lepiej zdajmy sobie z tego sprawę.

– To tylko taki zwrot – zająknął się. Quaita bardzo zaskoczył wybuch kapłanki.

Jednak Chaka miała rację. Zrozumiał, że przeciwnik na pewno nie potraktuje ich łagodnie.

– Kto to? – spytała Chaka.

– Piraci. A może jakaś marynarka wojenna. Skąd mogę wiedzieć?

Mężczyźni na okręcie śmiali się i wykonywali obsceniczne gesty. Quait westchnął.

– Wasz wybór, moje panie. Możemy dać im odpór. Albo możemy się poddać.

– Nie zdołamy się obronić – zauważyła Avila.

– Nic mnie to nie obchodzi – zaperzyła się Chaka. – Tanio skóry nie sprzedam.

Okręt lekko skręcił na lewo. Kapitan ponownie podniósł megafon.

– Opuśćcie broń – rozkazał.

Ręka Chaki nadal spoczywała na kolbie strzelby.

– Dajmy spokój – powiedziała Avila. Zdjęła kaburę i położyła ją na pokładzie. – Flojianie, pozwól im do nas podpłynąć.

Quait, patrząc na nią, zmarszczył brwi. Kapłanka poklepała się po kieszeni, w której trzymała trójkąt.

– W nim nasza szansa – oznajmiła.

Chaka skinęła głową.

– Spróbuj. To wszystko, co mamy.

Flojjan zwolnił tratwę. Dziób okrętu rabusiów przesunął się obok i wpłynął między dwa konie.

Avila ułożyła sobie w dłoni trójkątną broń, wyciągnęła przed siebie obie ręce, jak gdyby pozdrawiała okręt, po czym zmarszczyła brwi.

– Nic – wyszeptała.

– Jesteśmy zbyt daleko – powiedział Quait. – Musimy się do nich zbliżyć.

– Jak bardzo? – mruknęła Chaka. – Już teraz czuję ich smród.

Na burcie pojawiła się drabinka sznurowa. Kapitan wydawał instrukcje w nieznoszącym sprzeciwu półskrzeku. Miał ciemne, okrutne oczy i z rozkoszą oceniał obie kobiety.

– Eee, dlaczego nie podnosicie rąk? – spytał lakonicznie. – I przygotujcie się do abordażu.

Załoga zaryczała.

Avila podniosła ręce.

– Strzelaj – polecił jej Quait, który stał blisko strzelby.

– Nie – odparła. – Na górze jest zbyt wiele dział. Poczekajmy na lepszą okazję.

Miała rację. Nie udałooby jej się unieszkodliwić wszystkich jednym strzałem. Gdyby strzeliła, ludzie na tratwie stanowiąliby później łatwy cel dla przytomnych przeciwników.

Piraci wycelowali strzelby w wędrowców, nakazując im podejście do drabinki. Jeden z rabusiów przeskoczył balustradę i wylądował obok grupki przyjaciół, kołyszając „Niechętną”. Był jednym z najwstrętniejszych stworzeń, jakie Quait kiedykolwiek widział. Obnażał w uśmiechu niekompletne uzębienie, miał tłuste, czarne włosy i wąsy, które wyglądały jak żyły kabli. Mężczyzna mocno szturchnął Chakę w żebra i dziewczyna upadła.

– Ostra ta młódka. – Wyszczrzył resztki zębów.

Część poręczy okrętu zakołysała się i otworzyła na powitanie gości. Quait wspiał się po drabince. Czyjeś ręce sięgnęły w dół, chwyciły go za ramiona i wciągnęły gwałtownie na pokład. Otrzymał kopniaka, powalono go i zrewidowano. Rabusie szukali ukrytej broni. Przez cały czas rozlegały się wiwaty i obsceniczne wrzaski.

Postawili go z powrotem na nogi i pchnęli ku pozostałym towarzyszom. Flojiana także nie potraktowali najlepiej. Oblicze Chaki było czerwone z wściekłości i poniżenia, Avila zaś zaskoczyła wszystkich, zdołała bowiem zachować kamienną twarz; stała bez ruchu wśród porywaczy.

Kapitan okrętu pojawił się przed nimi. Był brzydkim oprychem, wysokim zaledwie na pięć i pół stopy. Miał wielki brzuch, obwisłe policzki i wielką brodę. Kuśtykał, brakowało mu ucha, a jego gardło szpeciła blizna po ciętej ranie. Za pasem trzymał pistolet.

– Witamy na „Rozjemcy” – zagaił. – Jednym z okrętów Ki z Hauberga. – Uchylił kapelusza, wymawiając nazwisko swego szefa. – Jestem kapitan Trevor. A wy?

– Jesteśmy podróżnikami – odparł Quait. – Z Ligi Missisipi.

– Missisipi? – Zmarszczył brwi, potrząsnął głową i rozejrzał się. Jego ludzie, zgromadzeni w kręgu, wzruszali ramionami, sugerując niewiedzę. – Nigdy o czymś takim nie słyszałem – odezwał się w końcu. – Lecz ten drobiazg nie ma znaczenia. – Zrobił kilka kroków do przodu, podniósł brodę Avili i podziwiał jej urodę. Chrząknął z aprobatą, po czym wsunął palce we włosy Chaki i odepchnął głowę dziewczyny w tył. – Obie mają zdrowe zęby – oświadczył.

– Nie na długo – doszedł go krzyk.

Quait zeszytywniał, ale lufa pistoletu ukuła go w plecy i cichy głos z tyłu ostrzegł, by się nie ruszał.

– Opór na nic się nie zda – powiedział pirat. – Skończysz jako trup.

Odwrócił się i spojrzał na mówiącego. Był niski, patrzył ukradkiem i uśmiechał się głupio.

– To dla nas prawdziwa gratka – rzucił.

– Co się z nimi stanie? – spytał Quait.

– Przedtem czy później? – Pirat zachichotał i spojrzał ponownie na kobiety. – Jeśli będą dobre, pojedą na targ niewolników do Port Tiara. Powinny uzyskać przyzwoitą cenę. Tak jak i ty. Jeśli będziesz się zachowywał przyzwoicie.

– Sprawdźmy wreszcie, co złowiliśmy, kapitanie – zawołał ktoś niecierpliwie.

Inni go pogonili. Trevor patrzył przez chwilę niepewnie, lecz członkowie załogi prawdopodobnie znali go dobrze, ponieważ już się śmiali i rozstępowali, aby zrobić miejsce.

– Cóż mogę poradzić? – Kapitan rzucił pytanie w przestrzeń. Po chwili uśmiechnął się lubieżnie do Chaki. – Ty! – powiedział. – Zaprezentuj nam swoje wdzięki.

Dziewczyna zamachnęła się na mężczyznę, ale ten okazał się zaskakująco szybki jak na człowieka o tak niezgrabnym wyglądzie. Chwyił Chakę za nadgarstek, wykręcił i pchnął na pokład.

– Niezła, chłopcy – oznajmił. – Lubię kobitki, które stawiają opór. – Skinął głową do kogoś za sobą. Quaitowi związano ręce z tyłu i pociągnięto go do balustrady. – Zrób to tak, jak umiesz, suko – ryknął kapitan.

Szarpnął dziewczynę za włosy, postawił na nogi i odwrócił. Stała oko w oko z Quaitem.

– Nie – krzyknęła. – Czego chcecie?!

Zewsząd rozległy się śmiechy.

– Jestem pewny, że zdołasz się domyślić. Prawda, chłopcy?

Avila zrobiła krok do przodu i spuściła wzrok na Trevora.

– Kapitanie – odezwała się – dziewczyna jest przerażona. To młoda osoba. Może ja was rozgrzeję?

Kiedy Trevor się zawahał, Avila położyła mu palec na piersi i coś do niego wyszeptała. Załoga roześmiała się i kapitan skinął głową.

Quait poczuł ulgę, gdy odsunięto go balustrady. Ręce jednak nadal miał związane.

Wielu członków załogi kręciło się po tratwie. Przeszukiwali bagaże. Jedna torba wpadła do wody. Kiedy skończyli, wspięli się z powrotem na pokład okrętu, a „Niechętną” odcięli.

Kapitan stał plecami do dziobu. Poza nim Quait naliczył czternastu piratów: dziesięciu tworzyło krąg, dwóch strażników z tyłu pilnowało jego i Flojiana, jeden za sterem okrętu i jeden obok głównego masztu przy kabinie kapitańskiej (skąd miał doskonały widok na całą grupę). Wszyscy rabusie dzierżyli w rękach broń.

Avila śmiała się i żartowała, kręcąc się w kręgu i prowokując mężczyzn oczyma, ruchami ciała i uśmiechem.

Flojian pobladł jak ściana. Quait otrząsnął się ze strachu, który zawładnął nim, gdy groziło mu wyrzucenie za burtę. Zaszokowany patrzył na występ kapłanki, zadając sobie pytanie, gdzie kobieta się tego nauczyła?

Rozległy się wiwaty.

Avila, z lekkim uśmiechem, zatrzymała się przed trzystufuntowym olbrzymem w czarnym kaftanie i spodniach. Powoli, tęsknie się przeciągnęła.

Zachęcały ją kolejne owacje.

Flojian starał się uwolnić z pęt i otrzymał za to cios pałką w kolana. Mężczyzna z pałką był mały, brzydko pachniał i miał pociągłą, szczurzą twarz. Podniósł broń i już miał strzelić Flojianowi prosto w oczy, gdy Quait odepchnął go i szturchnął w ramię. Obu więźniów prędko przywołano do porządku.

Endine wyglądał na oszołomionego.

Avila przesunęła palcami po przedzie kurtki. Rozpinała zatrzaski, a widownia niecierpliwie ją zachęcała. Kapłanka zerwała z siebie tę część garderoby jednym przesadnym ruchem, wyciągnęła ją ku jednemu z piratów, lecz kiedy mężczyzna złapał za kurtkę, szarpnęła ją z powrotem i niedbale rzuciła Flojianowi.

Ten chwycił kurtkę, upuścił i schylił się, by podnieść. Natychmiast otrzymał kopniaka od strażnika

i potknął się do przodu. Tym razem obaj piraci trzymali Quaita mocno, więc nie mógł pomóc towarzyszowi niedoli.

Avila wkroczyła w środek kręgu i wyciągnęła bluzkę zza paska.

Na twarzy Flojiana walczyły ze sobą wściekłość i rozpacz. Quait zrozumiał zamysł kapłanki i próbował poinformować o nim swego towarzysza. Nie udało mu się przyciągnąć wzroku towarzysza, nie mógł także przekrzyknąć hałasu, więc zrobił jedyną rzecz, jaka przyszła mu do głowy. Wyciągnął stopę i kopnął Endine'a.

Mężczyzna o szczurzej twarzy roześmiał się i Flojian odwrócił się do niego, zakładając, że to on posłał mu cios. Teraz jednak Quait zdołał przyciągnąć uwagę przyjaciela. Wyraźnie wymówił słowo „kieszień”.

– Co?

Avila rozpięła kilka zatrzasków bluzy. Wiatr szarpał jej połami i ściągał ją. W końcu kapłanka ją zdjęła i przesunęła się powoli ku jednemu z piratów. Miała teraz na sobie wysokie buty, czarne spodnie i biały podkoszulek.

Ponownie zbliżyła się do Trevora, oblizwała wargi i kusząco rozłożyła ramiona. Kapitan obserwował ją niczym zahipnotyzowany. Włożyła ręce pod koszulkę i zaczęła ją podnosić.

– Tak! – zaryczał Trevor. – Doskonale!

Flojian w końcu zrozumiał, o co chodzi. Sięgnął do kieszeni kurtki kapłanki, wyjął trójkąt i ukrył go w dłoni.

Trevor pokuśtykał do przodu, zdarł z Avili podkoszulek i wziął ją w ramiona, ściskając i tuląc usta do jej szyi.

Chaka stała po lewej stronie Quaita. Flojiana od Trevora dzieliło pięciu mężczyzn po prawej stronie kręgu. Quait nie widział dokładnie, co się zdarzyło, lecz nagle tych pięciu piratów zachwiało się i upadło. Nastąpiło straszliwe zamieszanie. Rozległ się strzał. Chaka wyrwała się prześladowcom i rzuciła w bok, schodząc Flojianowi z celu. Kapitan znieruchomiał, Avila usiłowała się uwolnić od jego cielska.

Endine wycelował trójkątem na lewo i ścisnął trzy razy. Quait przewrócił mężczyznę o szczurzej twarzy, jednak drugi strażnik mocno go odepchnął. Padł kolejny strzał. Piraci rozglądali się z pistoletami w dłoniach, starając się znaleźć cel. Chaka wypchnęła jednego z mężczyzn za burtę, wtedy jednak powalił ją sternik.

Kapitan padł na klęczki i powoli się osuwał. Krew ciekła mu po koszuli. Avila wyrwała mu pistolet i zastrzeliła mężczyznę przy głównym maszcie. Wtedy jednak – ku przerażeniu Quaita – pozostali piraci skoncentrowali ogień na niej.

Zadrzała pod gradem kul, potem nagle upadła. Flojian skoczył do przodu, krzycząc: „Nie, nie, nie” i odpychając kolejnych rabusiów.

Niestety, zanim do niej dotarł, kapłanka nie żyła. Krew tryskała jej z tuzina ran.



Flojjan miał ochotę pozabijać wszystkich przeciwników.

Quait rozumiał jego uczucia, nie mógł się jednak przemóc, by dokonać egzekucji na dwunastu bezbronnych mężczyznach. (Dwaj, łącznie z kapitanem, umarli z powodu ran postrzałowych, ten zaś, którego Chaka wyrzuciła za burtę, zaginął). Dziewczyna poparła narzeczonego i dodała, że Avila nigdy nie pozwoliłaby na samosąd. Flojjan niechętnie ustąpił.

Troje przyjaciół zadowolilo się bardziej symboliczną zemstą.

Wykorzystując siłę załogi, wyrzucili działa okrętu do rzeki, Flojjan zdarł banderę i schował, a samego „Rozjemcę” osadził na mieliźnie. Usunęli koło sterowe, podpalili kadłub.

Ćwierć mili dalej w dół rzeki podróżnicy odkryli znajome znaki Shaya. Odnaleźli sześć koni, łącznie z Balim, Szybkonogim, Grajka i – ku ich zaskoczeniu – Mistą. Załadowali koło sterowe na największego ogiera, a załogę pozostawili związaną na brzegu. W ostatniej chwili przed odjazdem Flojjan rzucił piratom tępy nóż.

Po południu, gdy dotarli na południowy brzeg kolejnej masy wody, której granice ciągnęły się aż za horyzont, zbudowali stos dla Avili. Podczas obrządku ofiarowali jej koło sterowe „Rozjemcy”, kładąc je na stosie wraz z banderą okrętu. Każde z trojga opisało zalety Avili Kap i opowiedziało o jej życiowych dokonaniach. Uczcili jej pamięć toastem z wody jeziornej, mówili, że się cieszą, iż odeszła do świata, w którym odbierze nagrodę za swoje wspaniałe życie i uwolni się od kłopotów związanych z doczesną egzystencją. W pewnej chwili jednak słowa utknęły im w gardłach i wcale nie potrafili się radować ze śmierci przyjaciółki. Chaka otwarcie szlochała, a Quaitowi na zawsze zapadł w pamięć obraz niemożliwego do zniesienia bólu, który dostrzegł w oczach Flojjana.

Słońce zaszło i Chaka przyłożyła pochodnię do mar. Płomienie szybko chwyciły drewno, rozprzestrzeniły się na gałązki i trawę. Stos zapłonął.

– Najbardziej mnie przeraża – powiedział Flojjan, patrząc w ogień – że nie dotrzymała przyrzeczeń zakonnych. Teraz musi stawić czoło Bogini, której się wyparła. – Jego głos trząsł się, a w oczach ponownie zabłyśły łzy.

– Będzie odpoczywała w pokoju – odrzekła Chaka. – Bogowie są łaskawsi i bardziej wyrozumiali, niż sądzimy. Shanta na pewno kochała ją tak samo jak my.

Quait potrząsnął ją za ramię.

– Nadchodzi burza – oświadczył. – Wygląda na groźną. – Niebo na zachodzie przecięła błyskawica. Dziewczyna poczuła w powietrzu zapach nadciągającego deszczu – Pół mili na południe znajduje się jaskinia – ciągnął. – Jest dość duża. Możemy przeczekać w środku.

Flojjan nie spał. Prawdopodobnie przez całą noc nie zmrużył oka.

Załadowali konie i odjechali jedno po drugim. Quait jechał na przedzie, Flojjan z tyłu. Minęli zielony zagajnik, źródło i wspięli się na stok pasma.

Chaka podjechała do Quaita.

– Czas się poddać – powiedziała ściszym głosem. – Wracajmy do domu. Póki jeszcze możemy. Zanim jeszcze ktoś z nas zginie.

Dały się słyszeć coraz głośniejsze grzmoty.

– Jeśli teraz zrezygnujemy – odparł Quait – cały nasz wysiłek pójdzie na marne. – Wyciągnął rękę i chwycił ją za ramię. – Uważam, że musimy doprowadzić ekspedycję do końca. Niezależnie od kosztów, które trzeba ponieść. Takie jest moje zdanie. Jeśli jednak zdecydujesz się wracać, pójdę z tobą.

– Co na to Flojjan?

– Jest przybity. Przypuszczam, że nie obchodzi go nasza przyszłość.

– Czy możemy znaleźć coś – spytała Chaka – co będzie warte tak ogromnej ceny?

Zaczął padać deszcz. Dziewczynie zapało dech w piersiach. Quaitowi woda spływała z kapelusza i kapłała na ramiona.

– Pewnie nie – mruknął.

Chaka usiłowała podjąć decyzję. Nie chciała mieć na swoich rękach więcej krwi. Jutro powinni rozpocząć odwrót.

Deszcz tłukł ziemię i drzewa.

Jechali, uważnie stąpając między fragmentami betonu, skamieniałego drewna i skorodowanego metalu. Gruzy naruszył ząb czasu, wtapiając je w otaczającą przyrodę. Ziemia i trawa otoczyły je, pochłonęły, złagodziły krawędzie. Prawdopodobnie w końcu nie zostanie z nich nic. Wędrowcy staną na ruinach i nawet nie będą o nich wiedzieli.

Quait jechał w deszczu. Kapelusz nasunął sobie nisko na oczy, prawą rękę przyciskał do boku Szybkonogiego. Wyglądał na zmęczonego i zniechęconego. Chaka po raz pierwszy zdała sobie sprawę z faktu, że jej ukochany również się poddał. Że tylko czeka, aż ktoś powie choć słowo o powrocie, przejmie odpowiedzialność i przyzna się w imieniu ich wszystkich do niepowodzenia.

Pasma nagle się skończyło. Zjechali z przeciwległego stoku i przemknęli przez wąski wąwóz ograniczony kłocami i płytami.

– Nic ci nie jest? – spytał Flojjana. Mówił głośno, chcąc przekrzyczeć ryk burzy.

– Nie – mruknął Flojjan. – Nigdy nie czułem się lepiej.

Jaskinia była kwadratową czarną gardzielą obrzeżoną przez wapienie i na wpół zarośniętą orlicami. Podróżnicy podnieśli lampę, ale nie zobaczyli końca grotu.

– Spore pomieszczenie – zauważyła Chaka, rozglądając się wokół. Była całkowicie przemoczona.

– Szkoda, że nie mamy suchego drewna.

Ale znaleźli w jaskini suche drewno.

Podczas gdy Flojjan i Chaka zajmowali się zwierzętami, on rozpałił ognisko i zaparzył herbatę. Później cała trójka przebrała się w suche ubrania. Przez długi czas nie rozmawiali. Quait siedział bez ruchu, owinięty w ciepły koc. Czuł się już znacznie lepiej.

– Dzięki – powiedział w pewnej chwili Flojjan.

Chaka zrozumiała. Otoczyła go ramionami i przytuliła policzek do jego twarzy. Był zimny.

– Wszystko w porządku – pocieszyła go.

Potem zanotowała w dzienniku ich ostatnie przeżycia i opisała miejsce kremacji Avili. Wiedziała, że jeśli przeżyje, pewnego dnia tu wróci.

Trudno się było domyślić, jak wyglądała pierwotnie jaskinia. Nie przypominała tworu natury! Ściany wyłożono kaflami. Ich oryginalny kolor już zbladł; teraz były szare i poplamione. Sięgały aż do sufitu. Przecinał je wzór ukośnych linii, ułożonych prawdopodobnie dla dekoracji. Grota była szeroka, szersza niż sala zgromadzeń, która mogła przecież pomieścić ze sto osób. Ciągnęła się daleko pod wzgórzem. Może nawet przez kilka mil.

Nagle ścianami wstrząsnął grzmot. Troje Illyryjczyków wsłuchało się w równomierne uderzenia kropel deszczu.

Quait akurat wziął ronderek i zaczął napełniać kubek, kiedy piorun strzelił mu tuż nad głową. Podniósł kubek i udał, że oddaje hołd bogom burzy.

– Może macie rację – oznajmił. – Może powinniśmy skorzystać z tej wskazówki.

Piorun uderzył w skorodowaną poprzeczkę – zniekształcony kawałek stopionego metalu sterczący

z boku pagórka. Większa część energii trafiła w podłoże, ale reszta sięgnęła zagrzebanego w ziemi kabla, zeszła po nim do zniszczonej skrzynki przyłączeniowej, popłynęła serią przewodów i rozjarzyła szereg starych płytek montażowych. Jedna z nich przekazała energię do drzemiącego od dawna systemu pomocniczego. Inna włączyła kilka czujników, które zaczęły rejestrować dźwięki w grocie. Trzecia natomiast, po krótkiej zwłoce, natrafiła na przełącznik i uruchomiła jedyny program, który przetrwał.

Sen nie nadchodził. Chaka obserwowała, jak Flojjan zapada w drzemkę. Quait siedział przez długi czas, żując jagody i biszkopty, pijąc herbatę i dzieląc się z nią przemyśleniami. Zwierzał się, że ostatnie przeżycia przypominają mu o życiu w wojsku, chociaż tu śmierć może przyjść w każdej chwili, niespodziewanie. Mówił, że w tej części świata bywa zimno. („Wiem, że jedziemy na północ, ale jest przecież połowa kwietnia. Kiedy tu się zrobi cieplej?”). Wspomniał o skuteczności broni w kształcie trójkąta. Opowiadał, że wyjął swój z torby i nosi go stale przy sobie; nikt nie złapie go już bez broni. Nagle, jakby chciał zarejestrować jej słowa, spytał:

– Naprawdę sądzisz, że powinniśmy rozpocząć odwrót?

– Tak.

– Jutro?

– Tak. Póki jeszcze potrafimy odnaleźć tratwę.

– Zatem zgoda, niech ci będzie. Nikt nie może nam zarzucić, że nie próbowaliśmy. Rano omówimy naszą decyzję z Flojjanem. Może zechce się z nami spierać.

– Nie sądzę.

Ogień przygasał i dziewczyna usłyszała ciche pochrapywanie Endine’a.

– Raczej nie zbliżamy się do celu – bąknęła.

Burza zaczęła się oddalać, deszcz słabł.

– Masz rację, Chako.

Odkąd dwa miesiące temu opuścili Illyrię, Quait stracił dobre dwadzieścia funtów. Postarzał się też, a dobroduszna nonszalancja, która tak wzruszała dziewczynę podczas pierwszych dni wyprawy, zniknęła bez śladu. Jej narzeczony był obecnie wręcz uosobieniem powagi. Chaka zresztą również się zmieniła. Bogata w doświadczenia osoba, która leżała tej nocy przy ogniu, nigdy nie wzięłaby bez zastanowienia udziału w tak niebezpiecznej przygodzie.

Usiłowała stłumić w sobie rozpacz i otuliła się szczelniej kocem. Z drzew kapąca woda. Jakaś kłoda załamała się i wpadła do ognia. Chaka zdrzemnęła się.

Nie była pewna, co ją zbudziło, po prostu nagle zaczęła czuć, wyęzając wszystkie zmysły.

Ktoś stał w wejściu do groty, oświetlony łuną księżycy i ogniem.

Zerknęła na Quaita. Jego pierś wznosiła się umiarkowanie i opadała. Flojjan także spał.

Chaka leżała na swojej sakwie. Poruszając jedynie ręką, wyjęła z torby pistolet. Mimo wczorajszej demonstracji, pokładała więcej wiary w kule niż w trójkąty.

Bacznie przyjrzała się postaci w wejściu. Mężczyzna, o trochę zbyt wydatnym brzuchu, ubrany w dziwny strój – ciemną kurtkę i dobrane kolorystycznie ciemne spodnie. Nosił kapelusz z zaokrąglonym wierzchołkiem i laskę. Tuż obok jego ust zapalał się i gasł czerwony żar. Chaka wyczuła zapach palonego zielska.

– Nie ruszaj się – powiedziała cicho, wstała i stanęła oko w oko z widmem. – Mam broń.

Mężczyzna odwrócił się i popatrzył na nią ciekawie. Nad jego głowę wzniosła się chmura dymu. Naprawdę coś palił. Zapach był obrzydliwy.

– Rzeczywiście – przyznał. – Mam nadzieję, że nie użyjesz jej przeciwko mnie.

Najwyraźniej słowa Chaki nie zrobiły na nim wrażenia.

– Mówię poważnie – zagroziła.

– Przepraszam. – Uśmiechnął się. – Nie chciałem cię obudzić. – Nosił białą koszulę, ciemną kamizelkę, a na szyi zawiązaną granatową taśmę w białe grochy. Jego włosy były białe. Miał też szorstkie, prawie srogie rysy, przypominał buldoga. Podeszedł kilka kroków i uchylił kapelusza. Mówił z ciekawym akcentem.

– Co tu robisz? – spytała. – Kim jesteś?

– Mieszkam tu, młoda damo.

– Gdzie? – Rozejrzała się po gołych ścianach, które wydawały się poruszać w migoczącym świetle.

– Tutaj. – Podniósł ręce, wskazał grotę i zrobił kolejny krok do przodu.

Chaka podniosła broń i wycelowała w środek jego kamizelki.

– Jesteś już dostatecznie blisko – oświadczyła. – Uważaj, ja się nie zawaham.

– Na pewno. – Jego srogie rysy złagodził uprzejmy uśmiech. – Tyle że nie jestem dla ciebie niebezpieczny.

Rzuciła szybkie spojrzenie za siebie. W głębiach jaskini nic się nie poruszało.

– Jesteś sam? – spytała.

– Teraz tak. Kiedyś był ze mną Nelson. I Lincoln. I jeszcze pewien amerykański piosenkarz. Chyba gitarzysta, o ile sobie dobrze przypominam. Ściśle rzecz biorąc, była nas tu niegdyś spora gromadka.

Chace nie podobała się ta rozmowa. Wydawało jej się, że mężczyzna próbuje ją zagadać.

– W razie niespodzianki – zawołała – pierwsza kula będzie dla ciebie.

– Jak dobrze znowu przyjmować gości. Ostatnie parę razy, gdy tu wpadłem, budynek był pusty.

– Naprawdę? A jaki budynek?

– No tak... Kiedyś przychodziły nas oglądać znaczne tłumy. Niestety ławy i balkon już zniknęły. –

Rozejrzał się z powagą wokół siebie. – Zastanawiam się, co się stało.

– Jak się nazywasz? – spytała.

Popatrzył na nią zaintrygowany. Prawie zaszokowany.

– Nie wiesz? – Oparł się na lasce i studiował ją uważnie. – W takim razie nasza pogawędka nie ma chyba zbyt dużego sensu. – Jego głos był głęboki i pełny, język giętki.

– Skąd miałabym cię znać? Przecież nigdy się nie spotkaliśmy. – Poczekała na odpowiedź. Kiedy żadnej nie usłyszała, przedstawiła się. – Jestem Chaka z Illyrii.

Mężczyzna lekko się uklonił.

– Przypuszczam, że w tych okolicznościach powinnaś mnie nazywać Winstonem. Z Chartwell. – Posłał jej figlarny uśmiech i obciągnął kamizelkę. – Trochę tu wieje. Może usiądziemy przy ognisku, Chako z Illyrii?

Gdyby był wrogo nastawiony, ona i jej przyjaciele już by nie żyli. Opuściła broń i wsunęła ją za pas.

– Zaskoczyło mnie, że ktoś tu jest. Bez obrazy, lecz to miejsce wygląda na opuszczone od długiego czasu.

– Tak. I jest takie, prawda?

Chaka zerknęła na Quaita. Głuchy na odgłosy świata. Nie na wiele by się przydał, gdyby napadli ich tej nocy Tukowie. Cała trójka czuła się w jaskini tak bezpiecznie, że zapomnieli wystawić strażę.

– Gdzie byłeś? – spytała.

– Słucham?

– Jesteśmy tutaj od kilku godzin. Gdzie w tym czasie byłeś?

Popatrzył niepewnie.

– Tu i tam – odparł w końcu. Przykucnął chwiejnie i wyciągnął ręce do ognia. – Przyjemnie.

– Ależ tu jest potwornie zimno!

– Nie macie trochę brandy, tak przez przypadek?

A co to takiego? – zastanowiła się dziewczyna.

– Nie – odparła. – Nie mamy.

– Szkoda. Dobrze działa na stare kości. – Wzruszył ramionami i rozejrzał się. – Niezwykłe. Jak mawiają Amerykanie, to pomieszczenie chyba zeszło na psy. Wiesz, co mu się zdarzyło?

– Nie. – Nawet nie rozumiała jego pytania. – Nie mam zielonego pojęcia.

Winston położył sobie na kolanach kapelusz.

– Tak, tak. Przypuszczalnie kompletnie nas porzucono – mruknął. Gdy to powiedział, Chaka również poczuła się samotna. – Przykro mi się przyznać, ale nigdy nie słyszałem o Illyrii. Gdzie leży, jeśli mogę spytać?

– Dwa miesiące stąd na południowy zachód. W dolinie Missisipi.

– Rozumiem. – Z jego tonu dziewczyna wywnioskowała bardzo wyraźnie, że wcale jej nie rozumiał. – No cóż, wiem, gdzie płynie Missisipi. – Roześmiał się, jakby uważał własne spostrzeżenie za całkiem zabawne.

– Tyle że nie słyszałeś o Illyrii?

Spojrzał jej w oczy.

– Boję się, że o wielu rzeczach nie słyszałem. – Jego humor się pogarszał. – Ty i twoi przyjaciele wracacie do domu? – spytał.

– Nie – odparła. – Szukamy Przystani.

– Przystani? – Zamrugał oczyma. – A gdzie, do cholery, znajduje się Przystań?

– Niestety, nie wiemy, Winstonie.

– Ach tak, podejrzewam, że sporo czasu zajmie wam jej odnalezienie. Tymczasem zapraszam, możecie zostać u mnie. Nie sądzę jednak, by było wam tu zbyt wygodnie.

– Dziękuję ci. I masz rację... Nie słyszałeś o Przystani? Winston pokiwał głową i zmarszczył czoło. W jego oczach dostrzegła zadumę.

– Czy leży blisko Toronto?

Chaka zagapiła się na Quaita i zastanowiła się, czy powinna go obudzić.

– Nie wiem – odrzekła. – A gdzie leży Toronto?

Mężczyzna uśmiechnął się szeroko.

– No cóż, okazuje się, że jedno z nas bezwzględnie się zgubiło. Ciekaw jestem które.

Zobaczyła w jego oczach ciepłe błyski i posłała mu szczerzy uśmiech. Prawdopodobnie oboje się zgubili.

– Gdzie leży Toronto? – spytała ponownie.

– Trzysta kilometrów na północny wschód. Pojedziecie prosto Autostradą 401.

– Autostradą 401? Tam już nie ma autostrady. Przynajmniej ja żadnej nie widziałam.

Koniuszek cygara rozjarzył się, po czym znowu ściemniał.

– O rany! Upłynęło chyba sporo czasu.

Podciągnęła kolana i otoczyła je rękoma.

– Winstonie, naprawdę niewiele rozumiem z tej rozmowy.

– Podobnie jak ja. – Intensywnie wpatrzył jej się w oczy. – Czym jest Przystań?

Nie zaszokowała jej jego niewiedza. Przecież Mike także nic nie wiedział o Przystani.

– Była domem Abrahama Polka – odparła pogodnie.

Winston potrząsnął głową.

– Mów dalej – poprosił.

– Polk żył pod koniec epoki Drogowców. Wiedział, że świat się wali i ludzie umierają. Ocalił tyle, ile mógł. Skarby. Źródła wiedzy. Historię. Wszystko. I zgromadził te drogocenne rzeczy w fortecy z podwodnym wejściem.

– Podwodne wejście. – Winston się zamyślił. – W takim razie miejsce musi leżeć bardzo daleko stąd. Jak zamierzacie się dostać do środka?

– W ogóle nie myślimy już o wchodzeniu – odparła Chaka. – Właśnie dziś postanowiliśmy dać za wygraną i wrócić do domu.

Winston pokiwał głową.

– Ogień przygasa – zauważył.

Pogrzebała w ognisku, po czym dodała kłodę.

– Nikt nie wie, czy Polk żył naprawdę. Może jest tylko legendą.

Wejście groty wypełniło się światłem. Kilka sekund później zahuczał grzmot.

– Przystań kojarzy mi się z Camelotem – powiedział. *Camelot? Zatem Winston najwyraźniej również czytał Jankesa na dworze króla Artura*”.

Mężczyzna z lubością zaciągnął się kilka razy swoim zielskiem.

– Założyliście – kontynuował – że świat na zewnątrz został zniszczony.

– Och, nie. Zniszczono tylko miasta. Świat miewa się całkiem dobrze.

– Ale jest sporo ruin?

– Tak.

– Bardzo wiele?

– Wypełniają lasy, blokują rzeki, leżą w płytkich portowych wodach. Tak, można powiedzieć, że są rozległe. Niektóre nawet pozostały aktywne, w niezrozumiały dla nas sposób. Jak ta, w której się teraz znajdujemy.

– A co wiesz o Brytyjczykach?

Wzruszyła ramionami.

– Nic, zupełnie nic.

– No cóż, twoje słowa z pewnością uszczęśliwiłyby Amerykanów. Mówisz, że historia całej cywilizacji jest zamknięta na tej Przystani?

– Tak.

– I macie zamiar się wycofać.

– Jesteśmy wyczerpani, Winstonie. – Doszła do wniosku, że mężczyzna musi być w jakiś sposób spokrewniony z Mikiem i istotą czy też istotami z Banku Handlowego. Niby realny, lecz nie był człowiekiem. Wyglądał na istotę ludzką, ale mówił jak ktoś z innej epoki. Wiedziała, że będzie ją przekonywał.

– Twoja ogromna ciekawość, Chako, zapiera mi dech w piersiach.

No oczywiście!

– Słuchaj, Winstonie, nie powinieneś się ze mną drażnić. Nie masz pojęcia, przez co przeszliśmy. Najmniejszego pojęcia... Troje naszych przyjaciół zginęło.

Mężczyzna popatrzył na nią twardo.

– Troje zabitych? Przykro mi to słyszeć. Jednak nagroda wydaje się znacząca.

– Jest taka. Ale zostało nas tylko troje – jęknęła.

– Chako, historii nigdy nie tworzą tłumy. Ani osoby ostrożne. Zawsze jest samotny kapitan, który ustala kurs.

– To koniec. Będziemy mieli szczęście, jeśli żywi wrócimy do domu.

– Może to i prawda. Wierzę też, że kontynuacja wyprawy wiąże się dla was z wielkim niebezpieczeństwem. Musicie po prostu zdecydować, czy nagroda jest warta ryzyka.

– Tyle że musimy zdecydować sami! Moi dwaj partnerzy i ja. – Jej gniew rósł. – Zrobiliśmy dość. Nerozsądnie byłoby iść dalej.

– Ludzie często wyolbrzymiają znaczenie rozsądku, moja droga. Sensownie byłoby na przykład zaakceptować ofertę Hitlera w 1940 roku.

– Jaką ofertę?

Zignorował jej pytanie.

– Teraz ta sprawa nie ma już znaczenia. Pamiętaj jednak, że pod ostrzałem rozsądek przynosi zazwyczaj rozwagę, podczas gdy potrzebna jest odwaga.

– Nie jestem tchórzem, Winstonie!

– Och, jestem o tym przekonany. W przeciwnym razie nie dotarłabyś tutaj. – Zaciągnął się zieliskiem. Błękitna chmura nadleciała ku Chace. Dziewczyna poczuła szczypanie w oczach i cofnęła się.

– Jesteś duchem? – spytała. Pytanie wcale nie wydawało jej się niemądre.

– Chyba tak. Jestem kimś, kto pozostał po oddalającej się fali. – W jego oczach pojawiły się błyski. – Zastanawiam się nad pewną sprawą. Przyjdzie czas, że tego zdarzenia nie będzie już pamiętać żadna żyjąca osoba. Czy straci ono wówczas wszelkie znaczenie? Czy będzie tak, jak gdyby w ogóle nigdy do niego nie doszło?

Flojjan poruszył się we śnie, ale się nie obudził.

– No cóż, nie wiem – przyznała się Chaka.

Przez długi czas oboje milczeli.

Nagle Winston wstał.

– Nie jest mi tu wygodnie – oświadczył.

Pomyślała, że jest z niej niezadowolony.

– Podłoga jest za twarda dla tak starego człowieka jak ja. I oczywiście masz rację. Sami musicie zdecydować, czy ciągnąć tę ekspedycję. Camelot nigdy nie istniał, lecz był na swój sposób ważny, ponieważ dzięki niemu ludzie wierzyli w pewne związane z nim wartości. Może podobnie jest z Przystanią. W takim wypadku pewnie wasz powrót byłby rzeczywiście sensowny.

– Ależ nie – powiedziała. – Przystań naprawdę istnieje.

– Więc ktoś inny jej poszuka?

– Nie. Nasza misja jest druga. Jeśli okaże się równie nieudana jak pierwsza, trzeciej nikt już nie zorganizuje. Tak mi się zdaje.

– Cóż, zapomnijcie zatem o Przystani, Chako z Illyrii. Niech zniknie wraz z waszymi utraconymi towarzyszami.

Odsunęła się od niego.

– Czemu tak mnie traktujesz? – spytała. – Co cię to wszystko obchodzi?

– Dlaczego więc dotarliście tak daleko?

– W pierwszej ekspedycji uczestniczył mój brat. Chciałam się dowiedzieć, co się z nim stało.

– Co skłoniło do pójścia twoich towarzyszy?

– Quait jest stypendystą. Tak jak Silas. – Zrobiła głęboki wdech. – Straciliśmy Silasa. Co do Flojjana... Poszedł z nami, gdyż pierwsza wyprawa zrujnowała reputację jego ojca.

W jego oczach pojawiła się zaduma.

– Widzisz, dziecko, jeśli z takich powodów bierzecie udział w misji, doradzam wam powrót.

Porzućcie to przedsięwzięcie i zainwestujcie fundusze w nieruchomości.

– Słucham?

– Może jednak nie są to wasze prawdziwe pobudki. Teraz chcecie zawrócić, ponieważ zapomnieliście o rzeczywistym celu wyprawy.

– To nieprawda – zdenerwowała się.

– Oczywiście, że prawda. Powiem ci, z jakich względów zorganizowaliście podróż przez nieznaną krainę: mieliście nadzieję odnaleźć na wpół mityczne miejsce. – Przez moment Winston wydawał się blednąć. Stawał się coraz mniej wyrazisty. – Przystań nie ma nic wspólnego z braćmi, naukowym stypendium czy reputacją. Gdybyście dotarli do niej, gdybyście odczytali jej sekrety, wiele byście zyskali. Co najważniejsze i najcenniejsze, odkrylibyście, kim naprawdę jesteście. Dowiedziałybyś się, że jesteś potomkinią człowieka, który napisał „Hamleta”, ludzi, którzy zaprojektowali Akropol, i tych, którzy odwiedzili księżycę Neptuna. Słyszałaś o Neptunie?

– Nie – odparła. – Nie sądzę.

– Boże, w takim razie rzeczywiście nic nie zostało po mojej cywilizacji. Utraciliśmy wszystko, Chako. Tylko wy możecie odkryć na nowo nasze dokonania. Jeśli postanowicie pójść dalej... Skoro nie wy... Musi to zrobić ktoś inny. Ale, na Boga, trzeba iść. Nasza historia jest warta wysiłku. – Jego głos zdrztał. Mężczyzna wyglądał na bliskiego łez.

Przez chwilę przybladł tak bardzo, że jego postać niemal zlała się z ciemnością.

– Winstonie – szepnęła. – Nie mogę cię dostrzec. Jesteś tu jeszcze?

– Tak. System jest stary i nie trzyma mocy.

Jego ciało stało się przezroczyste, widziała przez nie ciemność.

– Naprawdę jesteś duchem – jęknęła.

– Możliwe, że wam się nie uda. Nic nie jest pewne, z wyjątkiem doświadczenia i eksperymentu.

Ale zachowajcie odwagę. Nigdy się nie poddawajcie.

Nie odrywała od niego oczu.

– Nigdy nie rozpaczajcie – dodał.

Poczuła na ciele nagły ziąb i odniosła wrażenie, że była już tu kiedyś, że znała tego człowieka w innym życiu.

– Wydajesz mi się dziwnie znajomy. Czy mogłam gdzieś widzieć twoje zdjęcie?

– Naprawdę nie wiem.

– Może chodzi o twoje słowa. Kojarzą mi się z czymś. Mają w sobie osobliwe echo.

Patrzył jej w oczy.

– Być może. Łączą się z odwiecznymi emocjami. – Przez sylwetkę mężczyzny Chaka widziała wyraźnie wejście do jaskini i kilka gwiazd. – Pamiętaj je, cokolwiek się zdarzy. Jeśli będziesz kontynuować poszukiwania, staniesz się przedstawicielką doborowego towarzystwa. Dumnej grupy braci i sióstr. Nigdy już nie będziesz sama.

Obserwowała, jak jego rysy bledną, aż pozostał po nim jedynie żar cygara.

– Przed wszystkim poszukujesz własnej jaźni. Samej siebie.

– To tylko przypuszczenia.

– Znam cię, Chako. – Postać Winstona zupełnie już zniknęła. Został tylko głos. – Wiem, kim jesteś.

I ty się również tego dowiesz.

– Winston było jego imieniem czy nazwiskiem? – zapytał Quait, kiedy dosiadali koni.

– Teraz gdy o to zapytałeś, uświadomiłam sobie, że nie mam najmniejszego pojęcia. – Zmarszczyła brwi. – Nie jestem nawet pewna, czy był prawdziwy. Nie zostawił nic po sobie. Żadnych, hmm...



znaków.

Flojjan zapatrzył się we wschodzące słońce. Niebo było bezchmurne.

– Tak się dzieje w niektórych miejscach Drogowców. Częściowo spotykamy się z iluzją, częściowo zaś z... sam nie wiem. Szkoda jednak, że nas nie obudziłaś.

Pochyliła się i poklepała Grajkę po barku.

– Słyszeliście kiedyś o Neptunie?

Potrząsnęli głowami.

– Może właśnie tam powinniśmy się wyprawić następnym razem – oceniła.

Po spotkaniu w grocie Chaka chętniej badała miejsca, które ją zainteresowały. Prawdopodobnie zmienił się jej stosunek do ekspedycji. Nie chodziło jej już tylko o poznanie okoliczności śmierci Arina i innych członków pierwszej misji. Nawet nie była najważniejsza na wpół mityczna forteca, którą podróżnicy mogą znaleźć na końcu drogi. W pewnym sensie odbywali wyprawę w czasie, badali nieuchwytną przeszłość. Na swej drodze widzieli już cuda, których istnienia Chaka nie potrafiła sobie wcześniej nawet wyobrazić. Jakież jeszcze niespodzianki czekały w tej cichej, wymarłej krainie?

– Widzę chyba latającą maszynę – oświadczył nagle Flojjan.

Obiekt przypominał dziwnego gigantycznego żelaznego ptaka. Miał lśniący korpus, po bokach parę walców i poprzeczek o wygładzie skrzydeł oraz ogon. Na leśnej polanie było tych maszyn dziewiętnaście. Stały po cztery w czterech rzędach, w piątym rzędzie były ich trzy. Każda z nich wydawała się lekko uszkodzona, wgnieciona lub częściowo zmiądzona przez powalone drzewo. Niemniej wszystkie charakteryzowały się identyczną konstrukcją i łatwo się było domyślić, jak się kiedyś prezentowały.

Skrzydła miały około piętnastu stóp długości. Były trójkątne, szerokie przy korpusie (tuż ponad bocznymi walcami), na końcach zaś wąskie. Na szczycie, bliżej przodu korpusu, znajdowało się półkolistе, pseudoszkłane sklepienie. W środku zamontowano siedzenie i wiele urządzeń technicznych, tak skomplikowanych, że nikt z Illyryjczyków nie wiedział, do czego mogą służyć. Przód maszyny był wąski i spiczasty.

Wędrowcy dostrzegli również czarne litery, które układały się w napis: KANADYJSKIE SIŁY ZBROJNE. Ku tyłowi korpus się rozszerzał, obejmując bliźniacze walce, które kończyły się parą poczerńiałych dysz. Cztery zwężające się ku dołowi panele (dwa poziome i dwa pionowe) tworzyły ogon.

Potknąwszy się, Flojjan odkrył zalane betonem wgłębienie. Po bliższych oględzinach doszedł do wniosku, że cały teren wraz z latającymi artefaktami był niegdyś ogrodzony.

Quait wspiął się na korpus jednego z obiektów i zajrzał w szklane sklepienie.

– Jeszcze miesiąc temu powiedziałbym, że skrzydlate maszyny to absurd! – zawołał.

A przecież podróżnicy już wcześniej przemieszczali się ponad ziemią. Tyle że tamte środki transportu znacznie się różniły od maglewa.

Quait podniósł szklany panel, nacisnął na coś i sklepienie się otworzyło. Uśmiechnął się do przyjaciół i wskoczył na siedzenie. Było twarde i niewygodne. Rzędy rozmaitych przyrządów miał przed sobą na wyciągnięcie ręki. Kusiło go, by wcisnąć któryś z licznych guzików. Jednak doświadczenia zebrane podczas ostatnich tygodni nauczyły go ostrożności.

Jedna jedyna rozmowa z Winstonem odmieniła sens misji. Również trójkąty – broń o niesłychanej mocy – dały wędrowcom sporo do myślenia.

W dzień po opuszczeniu groty Flojjana zaatakował czarny niedźwiedź. Mężczyzna instynktownie sięgnął po broń, ale przypadkiem ją upuścił, a później niechcący kopnął. Ogromne stworzenie stało tak blisko niego, że czuł jego gorący i cierpki oddech. Ostatnią szansą okazało się ponowne wypróbowanie skuteczności trójkąta. Mimo iż przetestował ją na „Rozjemcy”, nadal nie darzył jej pełnym zaufaniem. Nie potrafił całkowicie polegać na małym czarnym przedmiociku, który wyglądał tak nieszkodliwie. Na szczęście niezwykle trójkąt jednym strzałem powalił niedźwiedzia, niczym wichura trzcinę. Tej nocy Illyryjczycy mieli prawdziwą ucztę.

Pewnego dnia ekipę zaczęła grupa sześciu uzbrojonych Tuków. Zatrzymali trójkę wędrowców na szlaku z zamiarem odebrania im koni, bagaży i – na dodatek – Chaki. Z trójkątem w dłoni dziewczyna czuła niewiele więcej niż tylko pogardę dla obszarpanych najeźdźców. Wysłuchiwała uprzejmie ich gróźb i żądań, po czym nonszalancko uśpiła ich jednym strzałem.

Podczas kolejnej konfrontacji scenariusz się powtórzył. Tuzin jeźdźców zablokował podróżnikom drogę, domagając się od nich wszystkiego, co cenne. Jednak dla trójkątnej broni liczebność grupy nie miała znaczenia. Cała trójka podniosła ręce. Udawali zrozpaczonych, równocześnie zaciskając dłonie na trójkątach. Chaka miała dać sygnał do ataku. Dziewczyna prosto z mostu oświadczyła bandytom, że wyglądają na zmęczonych i chyba potrzebują trochę odpoczynku. Rezultat był zabawny, choć wzbudził też respekt: wszyscy jeźdźcy wraz z końmi padli w jednej chwili na ziemię.

Od tej pory wędrowcy czuli się niepokonani i Quait przestrzegł dwoje przyjaciół, że zbytnia pewność siebie może doprowadzić do tragedii.

Tej nocy nikt nie spał zbyt dobrze. Kiedy Chaka zbudziła się z burzliwego snu, zobaczyła Flojiana zgarbionego nad ogniem.

Wstała i przyłączyła się do niego. Mężczyzna nie oderwał wzroku od płomieni.

– Avila – szepnęła dziewczyna.

Pokiwał głową.

– Nie musiało do tego dojść – powiedział.

Gdyby od początku poważnie traktowali trójkąty. Gdyby nosili je wszyscy, tak jak kapłanka...

– Niestety, stało się – podsumowała.

Flojianowi zadrżały wargi, a po chwili wytarł oczy.

Rozniosła się plotka o niezwyklej broni. W następnych dziesięciu dniach Illyryjczycy widywali grupy Tuków, ale spotkania przebiegały przyjaźnie. Tubylcy nawet zapraszali ich do odwiedzenia swoich osad.

Wędrowcy przyjęli kilka zaproszeń i za każdym razem całkiem przyjemnie spędzili czas. Nareszcie wybuchła wiosna i wszędzie wokół świętowano jej nadejście. Jedzenie było wyśmienite, cała trójka starała się jedynie nie pić zbyt wiele. Do ciepłej pory roku szczególnie pasowały widowiska subtelnie związane z erotyką. Chaka z lubością przyglądała się Quaitowi, który udawał, że nie robią na nim wrażenia. Flojian zaś faktycznie dobrze się bawił podczas spektakli, choć odmawiał, gdy kobiety Tuków oferowały mu swoje wdzięki. Pamiętając radę Shannona, wymawiał się chorobą, by nie obrazić swoich gospodarzy.

Quait, który ujawnił swój związek z Chaką, nie otrzymał żadnej tego typu propozycji.

Dla bezpieczeństwa podróżnicy zawsze prosili o możliwość wspólnego noclegu. Tukowie za każdym razem robili dobrą minę do złej gry, czasami tylko porozumiewawczo mrugali do Chaki, sugerując podziw dla kobiety, która lubi mieć obok siebie aż dwóch mężczyzn.

– Jesteśmy tutaj panami świata – przypomniał jej poważnym tonem któryś ganji. – Rozumiemy te sprawy.

Tukowie znali Ki z Hauberga. Był to despota, który władał piratami rabującymi brzegi Morza Wewnętrznego. Słyszeli także o „Rozjemcy” i wieść o jego kłęsce wyraźnie ich ucieszyła.

– Okręt niewolniczy i korsarski – mówili. – Miasta to wstrętne miejsca. Tam jedni ludzie porywają drugich, toczą ze sobą wojny, a sojusz zawierają tylko po to, by napadać na nas. Mieliście szczęście, że udało wam się uciec.

Przez wiele dni stale padał deszcz. Czasami Illyryjczycy podróżowali przez ulewę, wykorzystując na swej drodze każdą dostępną kryjówkę.

Obserwowali burzę z budynków sądów i teatrów, rozmyślając o starych dramatach, które rozgrywały się w obu miejscach.

– Morderstwo i zdrada w każdej z sal – rzucił myśl Quait. Mieszkańcy Illyrii, rozmawiając o Drogowcach, często używali terminów pompatycznych, a czasami wręcz apokaliptycznych.

– Morderstwo i zdradę pokazywano raczej na scenie – odrzekł Flojjan – przed sądem odbywały się jedynie sprawy o pobicie żony lub drobne kradzieże. Ich przestępstwa były prawdopodobnie takie same jak nasze: kradzieże kieszonkowe i lekkie uszkodzenia ciała. – Panowała opinia, że Drogowcy w dzień projektowali i konstruowali monumentalne budowle, noce zaś spędzali na dyskusjach o architekturze, matematyce i geometrii. Powszechnie również sądzono, że tworzyli mnóstwo dzieł literackich i muzycznych, ale ponieważ przetrwało niewiele tych pierwszych i niemal nic z muzyki, większość osób nie pamiętała o artystycznych zainteresowaniach swoich poprzedników.

– Opisałaś naszą wyprawę – odezwał się Flojjan do Chaki, kiedy obozowali na teatralnej scenie – jako podróż w czasie. Naprawdę żałuję, że nie jest możliwa. Bardzo chciałbym usiąść w pierwszym rzędzie i obejrzeć jakieś ich widowisko.

– Może – Chaka pokiwała głową – jeśli znajdziemy to, czego szukamy, uda ci się.

Był późny poranek. Wędrowcy jechali za znakami Shaya przez las. Chaka rozmyślała właśnie, że dobrze byłoby odpocząć aż do wieczora, zamoczyć stopy w pierwszym napotkanym źródle, gdy nieomalże zsunęła się z nasypu.

Spojrzała w dół stromego sztucznego kanionu. Betonowe ściany miał proste jak lufa strzelby i dokładnie okantowane; opadały pod kątem czterdziestu pięciu stopni. Przeciwległa ściana znajdowała się prawdopodobnie w odległości jakichś czterystu stóp. Dno było wypełnione gliną i porośnięte rzadką roślinnością.

– Nie podchodź zbyt blisko – ostrzegł ją Quait.

Kanion wyglądał na niemożliwy do przebycia.

– Nie uwierzysz w to, co zobaczysz! – krzyknęła do Flojjana.

Flojjan przyjrzał się budowli i potrzęsął głową. Mimo iż widział podczas tej podróży tak wiele stworzonych przez człowieka cudów, nadal nie wyobrażał sobie zatrudnienia przy budowie więcej niż stu ludzi z narzędziami ręcznymi. He czasu kopaliby tak wielką dziurę? I jakie miałyby być jej przeznaczenie? Niewiele widział, ponieważ widok przesłaniały mu krzewy, kiedy zaś wychylił się mocniej, stracił równowagę i Chaka musiała wciągać go z powrotem na górę.

Droga docierała do rowu, skręcała na północ i prowadziła równoległe do niego. Wędrowców ponownie otoczyły drzewa. Rów ciągnął się, jeszcze o zachodzie słońca nie było widać jego końca. Trójka przyjaciół dostrzegła nagle coś innego – pod daleką ścianą stał wielki stalowy statek.

– To kanał! – zawołał Flojjan, zataczając się. – W każdym razie kiedyś tu był kanał.

– Zgadza się ze szkicem Arina – oświadczyła podekscytowana Chaka. Wyciągnęła bagaż, przetrząsnęła go i wyjęła rysunek zatytułowany „Statek”. – Nigdy nie przypuszczałam, że okaże się taki duży.

Był naprawdę gigantyczny. Od dzioba do rufy miał prawdopodobnie sześćset stóp. Zanim go porzucono (lub osiadł na mieliźnie), poruszał się na południe. Kadłub znaczyły wielkie plamy czarnej rdzy. Maszty, półmaszty i żurawie były popękane i potrzaskane; wbijały się w ścianę kanału oraz drzewa rosnące wzdłuż brzegu.

– Jak, do cholery – spytała Chaka – poruszyłbyś tak ogromnym statkiem? Żagle chyba nie wystarczą. Zresztą nie widzę dostatecznie dużego omasztowania.

Quait potrząsnął głową. Rzędy wioślarzy także nie potrafiłyby go pchnąć. Czasami przychodziło mu do głowy, że konstrukcje Drogowców przełamywały prawa fizyki.

– Wydaje mi się – powiedział Flojian – że statek poruszał się równie łatwo jak maglew.

Flojian zauważył jeszcze jeden drobiazg: szkic „Statek” nosił datę 13 maja, a ostatni rysunek w serii, zatytułowany „Przystań”, był datowany na 25 lipca.

– Czeka nas zatem – jęknął – dziesięć tygodni drogi.

Rozbili obóz. Tej nocy, mimo iż wieczór był ciepły, rozpalili ognisko nieco większe niż zwykle.

Rano kontynuowali wędrówkę na północ wzdłuż brzegu. Nie dostrzegli żadnych innych statków. W połowie popołudnia weszli na wzniesienie i wynurzyli się z lasu. Pojawiły się polany, pola i niewielkie leśne zagajniki, później zaś zniknęła cała roślinność i oczom podróżników ukazało się spokojne błękitne morze. Ujście kanału blokowała ściana, za którą rozdzielił się na bliźniacze rowy, schodzące serią stopni do samej wody.

– Niewiarygodne – powiedział Flojian. – Spychali statki do morza.

Przy bliższych oględzinach w ścianie dostrzegli parę bram, zwieńczonych przez pomost, po którym można było przejść na drugą stronę.

Obok ryczała rzeka. Idąc sumiennie za znakami Shaya, wędrowcy przyglądali się nurtowi. Szli pod prąd.

Po południu woda pędziła jeszcze szybciej. Nad rzeką unosiła się mgiełka, która moczyła ludzi i zwierzęta. Nagle pojawił się przełom. Za nim rzeka zupełnie oszalała. Szli na południe. Tuż przed zachodem słońca stary chodnik dotarł do brzegu wąwozu. Od rzeki dobiegł ich odgłos podobny do grzmotu. Ściany wąwozu stały się bardziej urwiste, chodnik prowadził teraz przez blisko milę tuż przy krawędzi. Nagle przed wędrowcami pojawił się szereg zrujnowanych budynków.

Dostrzegli też źródło grzmotu. Ponad milę dalej wielka biała kotara mgły częściowo zasłaniała (lecz nie zakrywała w pełni) naprawdę wyjątkowych rozmiarów wodospad. Rzeka – dziesiątki tysięcy ton wody – ryczała ponad urwiskiem w kształcie litery „V”.

Odgadli natychmiast. Szósty szkic. Niagara.

Chodnik skręcał ku ruinom. Opuścili go i kontynuowali jazdę wzdłuż brzegu wąwozu, wspinając się stopniowo na próg wodospadu. Pył wodny i mgła wypełniły powietrze i wkrótce wszyscy troje byli zupełnie przemoczeni. Jednak majestat ogromu spadających wód sprawił, że nie myśleli o drobiazgach. Nikt nie narzekał, zapomnieli o troskach dnia codziennego, roześmiani i ożywieni patrzyli z wysokości. Było dopiero wczesne popołudnie, ale zdecydowali, że zasłużyli sobie na przerwę, toteż zdecydowali się na postój. Wycofali się na najbliższe w miarę suche miejsce i rozbili obóz, niemal nie odrywając wzroku od wspaniałego widowiska.

– Niewiarygodne – powiedział Quait. – Jak opisałbyś go naszym ludziom?

Flojian pokiwał głową.

– Wyrzeźbiony ręką Bogini. Piękny widok. – Patrzył w dół ku odległemu wąwozowi i zrujnowanym budynkom pod wodospadem. – Niezwykłe – dodał nagle.

– Co takiego? – spytała Chaka.

– Tu musiał się znajdować kompleks obserwacyjny. Ale dlaczego tak daleko od wody? Mogli go postawić bliżej i cieszyć się cudownym widokiem. – Rzeczywiście, między wodospadem a ruinami było sporo wolnego miejsca. Na brzegach rzeki rosły jedynie krzewy.

– Nie wiem – powiedziała.

Flojian zastanawiał się głośno. Może teren należał do kogoś, kto po prostu nie dał zgody na budowę kompleksu.

Nikommu z nich nawet przez myśl nie przeszło, że wodospad może być w ciągłym ruchu. Rocznie

ścierało się około trzech stóp skalnego podłoża, toteż od czasów Drogowców Niagara oddaliła się od pierwotnego miejsca o większą część mili.

Wokół wodospadu unosiła się ciężka mgła, znacznie gęstsza niż w czasach, gdy regularnie używano tarasu widokowego. Środkowe odcinki w kształcie podkowy narażone były na największy nacisk, dlatego woda przemieszczała się po nich szybciej niż na obrzeżach katarakty, wydłużając strefę spadu niepohamowanych mas wodnych. Dawno już znikła różnica między klarownie czystym widokiem wodospadu po stronie amerykańskiej i mglistą tajemniczością po kanadyjskiej. Obecnie mgła była wszechobecna i poważnie utrudniała obserwację po obu stronach.

Tego wieczoru na niebie błyszczało mnóstwo gwiazd i jaskrawo świecił księżyc. Flojjan spał, a Quait i Chaka podeszli do krawędzi i spojrzeli w dół, na wodospad. Drobiny mgiełki wirowały w łunie księżycowej. Patrząc w nie, Quait odniósł wrażenie, że cały świat się kręci.

Na srebrzystym tle Chaka wyglądała szczególnie uroczo.

– Gdybyśmy zamierzali zamieszkać w lesie, tak jak Jon – wyszeptała – chciałabym zbudować dom tutaj.

Mgła chłodziła im twarze.

– To najbardziej wyjątkowe miejsce, jakie kiedykolwiek odwiedziłem – odparł Quait. Od rzeki wiał orzeźwiający wiatr. Mężczyzna otoczył dziewczynę ramieniem, a ona przysunęła się do niego.

Nie była pierwszą kobietą, która rozpałała w nim tak gorące uczucia. A jednak gdy patrzył na nią (szczególnie dziś, w obliczu gwiazd i wodospadu), ogarniało go dziwne przeczucie, że związek z nią będzie trwały. Tej nocy Quait intensywnie, wręcz zmysłowo odbierał każdy dźwięk i szczegół krajobrazu.

– Ten moment zapamiętamy na zawsze – powiedział.

Przycisnęła swój policzek do jego, ciepła i uległa w jego męskich ramionach.

– Tu jest bardzo przyjemnie – odparła.

– Nigdy się już mnie nie pozbędziesz. Obojętnie, co się zdarzy.

Patrzyła na niego przez długi moment ciemnymi, nieodgadzionymi oczyma. Potem stanęła na palcach i musnęła ustami jego wargi. Nie był to namiętny pocałunek, raczej zachęta do dalszych pieszczot.

Chaka miała na sobie wełnianą bluzkę, na niej kurtkę z kozłej skóry. Quait odpiął zatrzaski kurtki, rozsunął poły i przyciągnął dziewczynę do siebie.

– Kocham cię, Chako – oświadczył.

Wymruczała słowa, których nie zdołał usłyszeć, i przytuliła się do niego mocno całym ciałem.

– I ja cię kocham, najdroższy.

Zapomniał o surowych zasadach. Był rozkosznie świadom jej oddechu, ust, szyi, oczu i ochoty, z jaką do niego przywarła. Pieścił jej kark.

Chaka przyłgnęła do jego ust i pocałowała go bardzo namiętnie. Quait dotknął jej piersi i poczuł sutki sterczące pod bielizną. Stali we dwoje przez kilka minut, ciesząc się własną bliskością. Mężczyzna uważał, by nie posunąć się za daleko. Chociaż marzył, aby ją osiąść, wiedział, że mogliby srogo zapłacić za chwilę nierozwagi. Cóż by zrobili, gdyby Chaka zaszła w ciążę? Na szlaku, tak wiele mil od domu...

Ale nasza noc jeszcze nadejdzie, pomyślał na pocieszenie.

Szli na południe. Niagara podzieliła się na dwa kanały, otaczające wyspę długości około pięciu mil. Podróżnicy przekroczyli zachodni kanał na chwiejnym drewnianym mostku nieznanego, lecz stosunkowo świeżego pochodzenia. Chociaż częściowo popadł już w ruinę i z pewnością w żaden sposób nie mógł się równać z technicznymi cudami Drogowców, uznali go za wspaniałe dzieło, ponieważ łączył brzegi odległych od siebie o pół mili progów.

– Wydaje mi się – odezwał się Flojjan – że czasami zdarza nam się zbyt nisko szacować wszystkich, którzy żyli po Drogowcach. Zachowujemy się w taki sposób, jakby od ich wyginięcia nie zdarzyło się nic ważnego.

Przybyli na północny kraniec wyspy, gęsto zapełniony zrujnowanymi domami Drogowców. Pochodziły z mniej zamierzchłego okresu, toteż początkowo Quait pomyślał, że zbudowano je w epoce Baranji, barbarzyńskiego imperium, którego zachodnia granica sięgała czterysta lat temu aż do Missisipi. Flojjan mocno wątpił w słuszność jego podejrzeń. Architektura Baranji była zazwyczaj przyciężkawa, prosta i funkcjonalna. Zaprojektowana na stulecia, jak gdyby budowniczowie cesarstwa starali się prześcignąć w trwałości konstrukcje Drogowców. Gmachy, które napotkali wędrowcy, nie wyglądały na tak solidne, jak można by się spodziewać po tworcach Baranji, z pewnością jednak wyglądały posępnie, a ich autorom wyraźnie zabrakło wyobraźni. Quaitowi przyszło do głowy, że może mają do czynienia z relikdami początkowego bądź też końcowego okresu świetności cesarstwa.

Krótko po przybyciu wędrowcy natknęli się na tajemnicę, która kazała im porzucić rozważania na temat architektury imperialnej. Ze wschodniego brzegu wyrastał kikut mostu Drogowców. Reszta była powalona, przęśła leżały w wodzie, na wpół zatopione. Jednak ta akurat zniszczona budowla znacznie się różniła od większości, które Illyryjczycy widzieli wcześniej. Gruz był zwęglony, w betonie widniały wielkie dziury.

– Zniszczono go z premedytacją – oświadczył Quait, badając stopiony kawałek metalu. – Ktoś go wysadził w powietrze.

– Ale po co? – spytała Chaka.

Stali na plaży, tuż przy starodawnej autostradzie, która niegdyś przecinała Niagarę, obecnie zaś po prostu w pewnej chwili się urywała.

– Może chcieli tu postawić nowy most – zauważył Flojjan – ale nie zdążyli się do tego zabrać.

– Nie sądzę – odrzekł Quait. – Nie widać śladów budowy. Wysadziłbyś stary most przed zbudowaniem następnego? – Spojrzał z ukosa w słońce. – Zastanawiam się, czy nie chodzi o jakąś akcję wojskową? Wysadzili most, by powstrzymać czyjąś szarżę?

Chaka spojrzała na rzekę. Nurt był tutaj rwący, wokół szczątków mostu wirowała woda.

– Na przykład Baranjów? – spytała.

– Może. Drogowcy chyba nie mieli wrogów. To znaczy... nie znaleźliśmy dowodów rozmyślnych zniszczeń. Zgadza się? Przynajmniej nie na wielką skalę.

– A Memphis? – spytał Flojjan. – Albo miasto na bagnach? Niektóre osady są spalone.

– Zawsze może wybuchnąć pożar – wtrąciła Chaka. – Poza tym mogli sądzić, że ogień powstrzyma rozprzestrzenienie się zarazy. Nigdy nie widzieliśmy miasta Drogowców wysadzonego w powietrze przy użyciu materiałów wybuchowych. Drogowcy są powszechnie uważani za społeczeństwo pokojowe. Sądzę, że Quait ma rację. Ktoś wysadził most podczas jakiejś wojny. Po którejś ze stron prawdopodobnie znajdowali Baranjowie. Zresztą nie wiem, czy ten szczegół ma dla nas jakieś znaczenie.

Droga przecięła wyspę od północnego zachodu i zatrzymała się przed rzeką. Tutejszy most również był uszkodzony.

– Może – zauważył cicho Flojjan – mieszkańcy wyspy nie chcieli dopuścić do siebie zarazy.

Wreszcie w górze rzeki podróżnicy napotkali drewniany most w nienaruszonym stanie. Przejechali wschodni kanał i zsiadli z koni na kamienistej plaży. Tu dostrzegli prowadzącą do lasu ścieżkę. Plaża była wąska i zarzucona wielkimi głazami, toteż ścieżka stanowiła jedyną możliwą drogę wiodącą naprzód. Już mieli się na nią skierować, gdy zobaczyli przed sobą wylot strzelby.

Wysoki, szczupły mężczyzna wyszedł z krzaków. Celował do Illyryjczyków.

– Nie ruszać się – zawołał. Był brodaty, starszawy, miał siwe kudły i brudne ubranie. W oczy rzucały się ogromne szelki.

Podróżnicy zatrzymali się.

Przed nimi pojawiły się jeszcze dwie osoby – mężczyzna i kobieta.

– Łapy do góry, ludzie – powiedziała.

Chaka uznała, że odległość jest zbyt wielka, by użyć trójkątnej broni, więc podniosła rękę.

– Tylko tędy przejeżdżamy – wyjaśniła. – Nikomu nie chcemy zrobić krzywdy.

– To świetnie – warknął drugi mężczyzna. Był młodszy niż pierwszy, lecz bardzo do niego podobny, tyle że siwy. Zapewne łączyło ich rodzinne pokrewieństwo. Młodszy nosił podartą koszulę z flaneli i czerwoną apaszkę.

– Nie myślcie, że jesteśmy do was wrogo usposobieni – odezwał się mężczyzna z szelkami – ale w obecnych czasach ostrożności nigdy za wiele.

– Zgadza się – odparł stojący za Chaką Quait. – I chciałbym życzyć wam, przyjaciele, dobrego dnia.

– Kim jesteście? – spytał Flojjan.

Starszy osobnik podszedł kilka kroków.

– Pobieram opłaty – odparł. – Na imię mam Jeryk.

– Ja nazywam się Chaka Milana. To są Quait i Flojjan.

Wiatr zwał staremu włosy na oczy.

– Dokąd się kierujecie?

– Jesteśmy kupcami – odrzekła dziewczyna. – Szukamy targowiska.

– Nie wyglądacie na kupców. – Mężczyzna spojrział z ukosa na Flojjana. – No cóż, może tylko on.

– Jaką pobieracie opłatę? – spytał Quait.

Młodszy mężczyzna wyszczerzył zęby.

– A co macie?

Chaka popatrzyła na Jeryka.

– Możemy opuścić ręce?

Ostatecznie wędrowcy wykpiłi się hojną porcją jedzenia i kilkoma błyskotkami. Otrzymali zaś dwa bukłaki z winem.

Trójka przyjaciół nie odkryła, w jaki sposób Jeryk zajął się handlem ani od jak dawna pobierał opłaty za przejazd przez most. Wyjaśnił jedynie, że wraz z rodziną pilnują dwóch mostów wyspy i dbają o nie. Twierdzenie wydawało się na wyrost i Quait zasugerował, że zachodni most potrzebuje kilku nowych pasm nośnych.

– Wiemy o tym – oświadczył Jeryk. – Zamierzamy zająć się naprawą jeszcze tego lata.

– Ile osób tędy przechodzi? – spytał Flojjan.

– Och, ostatnio nie widzimy zbyt wielu podróżników – odrzekł. – W czasach mojego ojca miejsce



było całkiem ruchliwe. Ale ruch zmalął.

– Co się zmieniło?

– Na drogach czyha teraz mnóstwo rabusiów. – Jeryk zmarszczył brwi z oburzeniem. – Wędrowcy nie są już bezpieczni, więc poruszają się w wielkich grupach.

Chaka zrozumiała podtekst oświadczenia mężczyzny – wielkie grupy ignorowały strażników i nie płaciły myta. Podróżnicy otrzymali zaproszenie na kolację.

– Bardzo lubimy towarzystwo – powiedziała kobieta. Pomysł nie wydawał się jednak bezpieczny, więc Chaka wyjaśniła, że czas ich nagli. Flojjan nieomalże spadł z konia, tak bardzo się starał nie roześmiać.

Kiedy odjeżdżali, Jeryk ponownie ostrzegł ich przed bandytami.

Wędrowali po krainie granitowych pasm. Minęli parę wysokich na setki stóp budowli, które wyglądały jak długie urny, wąskie w środku, a szerokie na wierzchołku i na dnie. Nie miały okien i nie sposób było odgadnąć ich przeznaczenia. Quait skomentował, że Drogowcy zostawili po sobie mnóstwo brył geometrycznych i sporo kamienia, lecz bardzo mało sensu.

– Byłaby szkoda – dodał – gdybyśmy pozostawili dla potomności tylko nieznanymi kształtów budynki. I drogi. Choćby były doskonale i nie ulegały upływowi czasu.

Nastroje wędrowców pogorszyły się. Jechali na wschód szlakiem, który wydawał się nie mieć końca. Na północy pojawił się kolejny kanał; biegł równoległe do drogi. Prezentował się znacznie skromniej niż wielki rów, lecz płynęła w nim woda. Posuwali się wzdłuż niego przez kilka dni, podczas gdy Flojjan wyobrażał sobie jego budowniczych – setki mężczyzn z łopatami w rękach.

– Zawsze zakładaliśmy, że Drogowcy mieli demokratyczny rząd. Ale przecież bez niewolników nie sposób skonstruować takich budowli.

– Naprawdę tak sądzisz? – spytał Quait. Baranjowie mieli niewolników, natomiast nie było o nich ani słowa w nielicznych dziełach literackich, które pozostały po epoce Drogowców.

– W jaki inny sposób mogliby dokonać tak wielkich rzeczy? Potrafię sobie wyobrazić ludzi kładących beton autostrad, ale budowa tych dwóch kanałów...

Jechali teraz w szybkim, stałym tempie. Minęli powalony most, który blokował kanał. Dzień był pogodny i słoneczny, kwitły kwiaty, wiał przyjemny, chłodnawy wietrzyk. Chaka zapatrzyła się na żółwia wygrzewającego się w słońcu na gruzach.

Pod koniec czwartego dnia podjechała do nich ośmio- czy dziewięcioosobowa banda Tuków. Mieli wyraźnie złe zamiary. Stojący na warcie Flojjan użył trójkąta i uspił wszystkich napastników. (Jeden wpadł w ognisko i poważnie się poparzył). Podczas krótkotrwałego zamieszania obudziła się Chaka, usiłowała strzelić ze swojego trójkąta i później upierała się, że nie zadziałał. Lampka, zwykle świecąca na zielono, teraz przygnębiająco błyskała czerwienią. Rano, kiedy więźniowie zaczęli przychodzić do siebie, dziewczyna spróbowała ponownie. Bez rezultatu.

Chaka wymieniła trójkąt na jeden z zapasowych.

Poparzony Tuk zmarł. Illyryjczycy związali pozostałych, przywłaszczyli sobie ich konie i zastanawiali się, co zrobić z strzelbami. Były jednakże innego kalibru niż mniejsza broń Illyryjczyków, ostatecznie więc wrzucili wszystkie strzelby do kanału, a zapasowe zwierzęta rozpędzili. Po raz kolejny zostawili jeńcom tępy nóż.

Szlak Shaya prowadził równoległe nie tylko do kanału, ale także do gigantycznej podwójnej autostrady. W końcu dwa pasma drogi połączyły się w jedno i przecięły płynącą z północy na południe rzekę. Podróżnicy nadal kierowali się na wschód. Kanał skręcił na północ i zniknął w oddali.

Wielkie drogi narażone były na ruchy tektoniczne, powodzie, zmiany pogodowe i zwykły upływ czasu. Flojjan przypomniawszy sobie prognozy swego ojca, że autostrady w końcu znikną pod funtami ziemi i dzikiej roślinności. Wówczas staną się legendą. „Gdy nie będzie już ich widać – zauważył Karik – kto uwierzy, że w ogóle istniały?”.

Drogę, którą podróżowali, przykrywała już gruba warstwa gleby i częstokroć trudno było jej nawierzchnię odróżnić od obszarów leśnych. Gdzieś tam autostrada wiodła przez wąwozy bądź w pobliżu jezior i tam betonowe podłoże połyskiwało w słońcu. W jednym z takich miejsc opadała powoli i kończyła się nagle przed samym stokiem.

W pobliżu płynęło źródło i Illyryjczycy zdecydowali się odpocząć do końca dnia. Chaka dostrzegła przepiórkę i postanowiła upolować ją na kolację. Tymczasem mężczyźni rozładowali konie i rozbili obóz.

Las składał się z platanów, brzoź, sosen i klonów. Na polanach kwitły pęki żonkili i innych wiosennych kwiatów, a wilgotna, ocieniona gleba zwykle blisko drzew była aż biała i różowa od kwiecia. Chaka znalazła dobre miejsce, by zacząć się na przepiórkę, gdy nagle stanęła twarzą w twarz z indorem.

Ptaka zaskrzeczał i starał się uciec, dziewczyna trzymała jednak strzelbę w pogotowiu.

Kiedy ustrzeliła ptaka, dostrzegła wśród drzew dysk. Był bardzo podobny do tych, które podróżnicy widzieli przy Diabelskim Oku i stacji maglewa. Znajdował się w odległości około pół mili.

Chaka przez chwilę obserwowała bez ruchu, jak zmienia kolory w zachodzącym słońcu.

Wędrowcy upiekli chleb, dodali do indyka kilka marchewek i jagód i popili posiłek winem od Jeryka. Alkohol bardzo im smakował – albo był wyjątkowo dobry, albo już zapomnieli smak wybornego trunku. W każdym razie całej trójce kolacja znacząco poprawiła humory. Gdy się po niej umyli, Quait zaproponował bliższe oględziny dysku. Flojjan niechętnie zgodził się pozostać z końmi.

– Bądźcie ostrożni – poprosił. – Nie chciałbym zostać sam w tej głuszy.

Słońce zachodziło, las stał się mroczny i niespokojny. Powietrze pachniało sosnami, świeżą gliną i starym drewnem. Od czasu do czasu błysk lamp przyciągał zwierzęce ślepie, które mrugały i zniknęły. Teren pokrywały martwe liście i siano, nad którymi wirował wiatr. Zapadała noc.

Prawie godzinę szukali w ciemnościach dysku. Kiedy go znaleźli, Quait uznał, że jest większy od innych. Dysk wyglądał wyraźnie inaczej, a równocześnie na pewno należał do tej samej rodziny obiektów (choć znajdował się na ziemi, a nie na dachu). Tkwił w ogromnej metalowej oprawie, kilka razy wyższej od Chaki, i skierowany był ku niebu. Niższe jego części były porośnięte pnączami i roślinnością. Prawdopodobnie od dłuższego czasu się nie poruszył.

Tuż nad głowami, wśród wierzchołków drzew dostrzegli błysk. Znajdował się tam drugi dysk. Wyglądał tak jak pierwszy i leżał w odległości mniej więcej sześciu minut drogi od niego. Po kolejnych sześciu minutach znaleźli trzeci oraz – z boku – czwarty. Wszystkie dzieliła w przybliżeniu ta sama odległość.

Chaka i Quait trzymali się blisko siebie. Choć uważali się za ludzi świątłych i z oburzeniem odrzucali wszelkie pomówienia o przesadność, niemniej uznali za niepokojące połączenie ciemnego lasu z nieznanymi dyskami. Z układu obiektów i faktu, że wydawały się wycelowane w niebo młoda para wywnioskowała, iż teren wykorzystywano do obrządków religijnych.

Już mieli przyznać, że w nocy niewiele więcej są w stanie odkryć, gdy nagle zobaczyli wśród drzew ceglany budynek – trzypiętrowy, ponury, zniszczony, brzydki, przysadzisty i nieco surowy. Większości okien brakowało szyb. Na dachu tkwił dysk, mniejszy i o nieco innym kształcie niż leśne. Wznosił się tuż nad drzewami i odbijał łunę księżycową. Przed nim wirowały drobiny kurzu.

Z tyłu Illyryjczycy dostrzegli parę podwójnych drzwi. Ktoś napisał na nich MOLE KOCHA TUSHU. Słowa były wyblakłe i wyglądały na bardzo stare.

Frontowe drzwi wykonano z grubego szkła, które osadzono w pseudometalowych futrynach. Jedna z nich leżała na ziemi, szyba nadal była cała.

We wnętrzu widoczna była tablica z napisem:

TOWARZYSTWO PLANETARNE, ROK 2011.

Chaka i Quait weszli przez parę wewnętrznych drzwi. Schody prowadziły na górne piętra, biurko stało po lewej, długi korytarz biegł na tył budynku. Z korytarza wchodziło się do ciągu otwartych pokoi.

Zajrzeli do pierwszego. Światło lampy padło na kilka krzeseł i biurko. Okien nie było. Stary dywan obrócił się w pył. Miejsce pachniało starością.

Przechodzili z pokoju do pokoju. Tuż przed końcem korytarza pod Quaitem ugięła się podłoga i stłukł sobie goleń. Na zewnątrz coś trzepotało.

Potarł zranienie, opierając się o ścianę.

– Jeśli tu jest dziura – powiedział – znajdę ją.

Chaka roześmiała się i zaproponowała, żeby wrócili do obozu.

W odpowiedzi Quait przykrył lampę, a dziewczyna poszła za jego spojrzeniem. Przed sobą, blisko końca korytarza zauważyli lunę. Dochodziła z ostatniego pokoju.

Zbliżyli się ostrożnie i zajrzeli do środka. Światło było bursztynowe, padało z szarej skrzyni (najwyraźniej zawsze znajdowały się w pobliżu, gdy działo się coś niezwykłego).

– Nie sędzę, żeby coś się znajdowało za frontowymi drzwiami – wyszeptała.

Quait zdjął z ramienia strzelbę.

Nic się nie poruszyło.

Pomachali latarnią przed pomieszczeniem. Było wypełnione pseudoszklanymi ekranami i metalowymi pudłami. Chaka głęboko zaczerpnęła oddechu.

– Jest tu ktoś? – spytała.

– Profesor Woford? – Głos dochodził przypuszczalnie z blatu biurka. – Czy to pan?

– Nie. – Niechętnie. – Nazywam się Chaka Milana.

– Dobrze znowu pana słyszeć, profesorze. Minęło sporo czasu.

Na biurku stała lśniąca czarna piramida. Quait pochylił się nad nią. Prawdopodobnie stanowiła źródło głosu.

– Jesteś gdzieś w budynku? – spytał.

– Proszę zmienić pytanie.

– Mniejsza o to.

– Kim jesteś? – spytała Chaka.

– Proszę zmienić pytanie.

Quait potoczył oczyma.

– Jest równie pomyłony jak tamten w banku.

– Chwileczkę – powiedziała Chaka do piramidy. – Możesz mi powiedzieć, co to za miejsce?

– Zna pan odpowiedź na to pytanie, profesorze Woford.

– Proszę, odpowiedz mi.

– To Cayuga.

– I co robimy w Cayudze?

– Proszę precyzyjniej sformułować pytanie, profesorze.

– Jaki jest cel tego urzędnika?

– Mamy wiele celów. Obsługujemy układ, przyjmujemy dane przychodzące z Hubble’a Piątego i Szóstego, korelujemy rezultaty z obu źródeł i analizujemy wyniki. – Podczas gdy Chaka rozmyślała nad następnym pytaniem, piramida znowu przemówiła: – Pragnę przypomnieć panu, profesorze, że nadal nie dokonano napraw układu i żadne zespoły nie funkcjonują.

– A co z Hubble’em Piątym i Szóstym? – spytał Quait.

– Hubble Szósty ciągle zajmuje się telemetrią. Hubble Piąty został odłączony 741 lat temu, dziewięć miesięcy i jedenaście dni.

Chaka i Quait wymienili zakłopotane spojrzenia.

– Powiedziałeś, że analizujemy dane – odezwała się Chaka. – Czego te dane dotyczą?

– Bardzo dobrze pan o tym wie, profesorze.

– Odśwież moją pamięć.

– Dane tworzą rejestr pomiarów radiowych 148 tysięcy 766 obiektów. Szukamy wzorców, które sugerują sztuczne transmisje.

Biurko wyglądało na solidne, więc Chaka ostrożnie się o nie oparta.

– Co to znaczy radiowy?

– Radio to termin używany do wskazywania zakłóceń elektromagnetycznych w ruchu. Częstotliwości sięgają od około dwudziestu kiloherców do nieco ponad trzystu gigaherców.

Dziewczyna uznała temat za nudny.

– Jasne. I tak dalej – bąknął Quait. – Rozumiesz coś z tego?

– Niewiele – odparła Chaka. – Jeśli uda się znaleźć wzorce, które sugerują sztuczne transmisje, jaki wyciągnęlibyśmy z tego wniosek?

– Że nie jesteśmy sami. Że gdzieś istnieje inteligentne życie.

Sądziła, że rozumie.

– Masz na myśli gdzieś poza Ziemią?

– Oczywiście.

Quait westchnął.

– Jak to może możliwe?

– Może na Księżycu – rzuciła Chaka. – Albo na innych planetach. – Przemówiła ponownie do piramidy. – Jakie mamy rezultaty do chwili obecnej?

– Do chwili obecnej, profesorze, potwierdziliśmy sztuczne sygnały z siedemnastu miejsc. Najświeższe dotarły w ubiegłym roku, dzień po Bożym Narodzeniu. Chciałbym panu przypomnieć, że jeszcze nie upoważnił mnie pan do odpowiedzi.

– Chcesz się odezwać do kogoś stamtąd?

– Wydaje mi się to najstosowniejszym sposobem rozpoczęcia konwersacji.

– W takim razie zrób to.

– Może mi pan przywrócić pełną moc?

Chaka popatrzyła na Quaita i wzruszyła ramionami. Na zewnątrz hałasowały świerszcze.

– Nie sądzę.

– Spróbuję to zrobić sam. Przypominam panu ponownie, że układ potrzebuje poważnych napraw. Mógłby pan również dokonać poprawek, które zaleciłem w mojej analizie PR-7-6613/AC. Przy niewielkim wysiłku moglibyśmy znacząco zwiększyć naszą rozdzielczość.

Chace wydawało się, że wyczuwa nutę dezaprobaty.

W walce z kolejnym niedźwiedziem podróżnicy wyładowali drugi trójkąt. Zwierzę przestraszyło i rozpedziło konie. Albo trójkąty były zbyt słabe na takie wielkie stworzenie, albo ich moc zanikała. Quait, który ani przez chwilę nie czuł się bezpiecznie bez strzelby na ramieniu, leżąc na plecach, wpackował w bestię trzy magazynki.

– Mówiłem wam, że tak będzie – powiedział.

Podziw Chaki dla jego umiejętności i przytomności umysłu mieszał się w niej z rozbawieniem; zauważyła bowiem wyraźne zmiany w jego zachowaniu. Quait jawnie przejął funkcje Jona Shannona. Nieświadomie naśladował swobodny chód tamtego, zwykle upierał się, by jechać na czele grupy („na wypadek ataku”), przemawiał nieco głębszym głosem i z większą rozwagą, a jego dowcipy nabrały posępnego zabarwienia. Na szczęście po kilku dniach porzucił tę manierę i wrócił do dawnych przyzwyczajeń; nalegał jedynie na jazdę z przodu.

Ponownie pojawiła się autostrada. Częściej napotykali różnej wielkości miasta Drogowców. Wędrowcy znajdowali sporadyczne znaki, wciąż czytelne, które kierowały ich do Burger Kinga, PowerLit Recharge czy Muzeum Zegarów w Hoffman. Chaka, której doświadczenia z mechanicznym odmierzaniem czasu ograniczały się do klepsydr i zegarów wodnych, skomentowała, że chętnie spędziłaby popołudnie w tym ostatnim przybytku.

Minęli znak kierujący do Międzynarodowej Bokserskiej Hali Sławy. Wiedzieli, czym jest boks, lecz zaintrygowała ich pozostała część napisu.

– Musieli traktować sport bardzo poważnie – zauważyła dziewczyna.

– Co mi się kojarzy – mruknął Flojjan – z przemysłem okrętowym.

Na północy ponownie pojawił się kanał. Świątowali jego powrót połowem. Niestety wybuchła ulewa, więc schronili się w starej stodole. Budowla pochodziła z ich epoki, ale mimo to popadła już w niemal całkowitą ruinę. Chaka stała w otwartych drzwiach i wpatrywała się w deszcz, kiedy zobaczyła w powietrzu przedmiot; unosił się nad linią drzew.

– Co to takiego? – spytała Quait.

Wskazała. Obiekt był kulisty i pomarańczowy. Pod kulą zwisał kosz.

– Balon! – zawołał Flojjan. – Ależ jest ogromny.

Balon pędził wraz z burzą na południowy zachód. W ich stronę.

W koszu siedział pasażer! Chaka odruchowo pomachała mu.

Mężczyzna w koszu również jej pomachał.

Illyryjczycy obserwowali, jak obiekt się zbliża. Na kuli wymalowano wizerunek jastrzębia. Balon poruszał się szybko i w ciągu kilku minut przesunął się wędrowcom nad głowami. Burzowe chmury przeciął piorun. Pasażer po raz kolejny im pomachał.

– Zabije się! – krzyknął Flojjan.

Wiatr poniósł balon prędko w dal i po kilku minutach na ciemnym niebie nie było po nim śladu.

Rano z lasu wyłoniła się autostrada. Biegła teraz wśród zaoranej ziemi. Pola uprawne tworzyły kwadraty często przedzielone kanałami z wodą. Wszędzie wokół stały ogrodzone chaty i szopy.

– Cywilizacja – zauważył Quait.

Cała trójka poczuła się przyjemnie.

Mniej więcej po godzinie dostrzegli pierwszych mieszkańców osady. Cztery osoby prowadziły ożywioną rozmowę przed domem oddalonym jakieś pięćdziesiąt jardów od drogi. Dwóch mężczyzn siedziało na koniach, pozostali zaś – stary farmer i młoda kobieta – stali przy stercie drewna. Jeden z

dwóch jeźdźców wydawał się zbyt ciężki dla swojego wierzchowca. Miał na sobie kaftan z kozłej skóry, a za pasem broń. Kiedy mówił, dźgał farmera palcem.

– To chyba nie jest przyjacielska pogawędka – oceniła Chaka.

Zanim któryś z przyjaciół zdołał jej odpowiedzieć, mężczyzna w kaftanie wyciągnął broń i strzelił. Konie stanęły dęba, farmer zatoczył się w tył i upadł, młódka krzyknęła. Bandyta z rewolwerem już miał wystrzelić drugi raz, kiedy kobieta chwyciła go za ramię i próbowała ściągnąć z siodła. Drugi jeździec podjechał powoli i od niechcenia uderzył ją kolbą strzelby.

Quait zareagował natychmiast. Bez słowa popędził Szybkonogiego, zdejmując równocześnie z ramienia strzelbę, Chaka zakląła głośno i ruszyła w ślad za narzeczonym, pozostawiając Flojiana przy koniach.

Kobieta zaczęła wstawać, lecz drugi jeździec – mężczyzna wysoki, chudy i podobnie rudowłosy jak Chaka – zsunął się z konia i kopnął ją w zębra. Quait oddał ostrzegawczy strzał.

Mężczyzna w kaftanie odwrócił się i strzelił. Quait ściągnął lejce, wycelował i posłał bandycie kulkę. Rudzielec chwycił kobietę, wyciągnął pistolet i przyłożył go jej do skroni.

Skinął na podróżników, by trzymali się z tyłu. Quait zwolnił, ciągle jednak jechał naprzód.

– Ostrożnie – ostrzegła Chaka. – Ten drań ją zabije.

– Wie, że gdy to zrobi, padnie martwy.

Rudy rozglądał się, oceniając swoje szanse. Nagle ostro odepchnął swego więźnia, skoczył na konia i pogalopował w las. Chaka podniosła strzelbę i śledziła go, ale Quait położył rękę na kolbie.

– Zostaw go – doradził.

Potrząsnęła głową.

– Wróci.

– Nie możesz zabić uciekającego człowieka.

Obrzuciła Quaita pełnym furii spojrzeniem, lecz zanim zdążyła podjąć decyzję, rozległ się strzał i rudzielec zsunął się z siodła. W pierwszej chwili dziewczynie przyszło do głowy, że napastnika zastrzelił Flojjan. Zresztą nie marnowała czasu na próżne rozważania. Natychmiast spięta ostrogami Grajkę, podjechała i zeskoczyła na ziemię obok kobiety, która kuciała nad ciałem zabitego i histerycznie rozpaczała.

Mężczyzna nie żył, ziemia wokół ciała przemokła od jego krwi. Sądząc po różnicy wieku, byli chyba dziadkiem i wnuczką.

Kobieta miała może z osiemnaście lat. Chaka położyła jej rękę na ramieniu, lecz nie wykonała najmniejszego ruchu, aby ją odciągnąć od zabitego.

Strzelec, który leżał przy powalonym pniu, jęknął i podniósł szkliste oczy. Próbował sięgnąć po odległą o kilka stóp broń, lecz Chaka kopnęła ją i pogroziła mężczyźnie własną strzelbą.

– Zrób to jeszcze raz – warknęła.

Leżący chrząknął i mruknął coś, czego nie zrozumiała. Krew tryskała mu z rany na ramieniu. Jego twarz wykrzywiaił ból.

Z lasu wyjechało dwóch mężczyzn; trzymali strzelby. Nosili dość obcisłe granatowe mundury. Chaka uznała ich za żołnierzy bądź gwardzistów.

Obaj byli potężni, jeden miał ciemną skórę, drugi jasną. Jasnoskóry zatrzymał się, popatrzył na rudego i wzruszył ramionami. Jego towarzysz podszedł do budynku. Popatrzył ze smutkiem na leżącego na ziemi mężczyznę.

– Przykro mi, Lottie – odezwał się. – Mój Boże, jakże mi przykro.

Dziewczyna klęczała obok ciała i szlochała rozpaczliwie. Dwaj przybysze odczekali chwilę. Ciemnoskóry związał ręce rannemu bandycie i pomógł mu wstać. Potem wszyscy w kręgu pochylili

się nad ciałem. W końcu Chaka odciągnęła Lottie.

Zabrała ją do wnętrza domu i poczekała, aż dziewczyna się uspokoi. Lottie szepnęła, że nic jej nie jest, że są tutaj jej przyjaciele, którzy się nią zajmą, a podróżnicy zrobili dla niej tyle, ile mogli. Chaka przyniosła wilgotną szmatkę, by Lottie mogła zetrzeć z twarzy kurz i łzy.

Mężczyźni wnieśli ciało i położyli je w sypialni.

– Najlepiej jedź z nami, kochanie – powiedział ciemnoskóry.

– Nie, nie. – Dziewczyna potrząsnęła głową. – Tu jest mój dom.

– Wrócisz do niego. Ale nie powinnaś zostawać w nim teraz sama. Pojedź z nami. Spędzisz dzisiejszą noc z sędziną. W tym czasie załatwimy wszystkie sprawy.

Lottie była atrakcyjna w sposób typowy dla większości młodych kobiet. Była blondynką, miała wyraziste oczy (choć teraz nabiegły krwią), zgrabne ręce i nogi oraz miły uśmiech, ledwie widoczny z powodu żalu.

– Nie – jęknęła. – Bardzo was proszę.

– Musisz, Lottie – nalegał ciemnoskóry. – Wszystko się ułoży. Przyślemy tu kogoś. Tymczasem zostanie z nim Blayk.

Zerknął na swojego towarzysza. Blayk skinął głową.

– Jesteś tego pewny? – spytała, łkając.

– Tak – odparł. – Wszystko w porządku. Wyjdź stąd teraz.

Przez długą chwilę trzymała dłonie przy ustach.

– No dobrze, zatem pojedę. Dzięki, Blayku.

Blayk był wysoki, szczupły i cichy. W jego rysach można było dostrzec ogromne znużenie, jakby mężczyzna często miał do czynienia z podobną sytuacją.

– Okay, Lottie. Przynajmniej tyle mogę dla ciebie zrobić.

Dziewczyna rozejrzała się po pokoju, nagle znowu zagubiona.

– Mam gdzieś tutaj kurtkę.

Chaka wstała i wzięła sprawy w swoje ręce. W kuchennej szafce znalazła trochę alkoholu nieznanego rodzaju, nałapała po kieliszku dziewczynie i sobie. Zostawiła butelkę dla innych i popatrzyła na towarzysza Blayka.

– Chciałabym prosić, żeby pan chwilę poczekał, żołnierzu.

– Jesteśmy pracownikami straży leśnej, proszę pani – odrzekł.

– Wybaczcie mi – wtrąciła Lottie. – To jest Sak. A to Blayk.

– Miło mi was poznać. – Chaka przedstawiła siebie i swoich przyjaciół. Potem wyprowadziła dziewczynę z pokoju. Kiedy wróciły w dwadzieścia minut później, Lottie była odświeżona i miała na sobie czyste ubranie.

Chaka wyprowadziła ją na ganek. Sak przytrzymał dla nich i dla pozostałych Illyryjczyków drzwi.

– Byłbym wdzięczny – powiedział – gdybyście również z nami pojechali. Sądzę, że sędzina chciałaby się z wami spotkać.

– Oczywiście – zgodził się Quait. – Kim jest sędzina?

– Reprezentuje lokalne prawo i porządek. – Sak powiedział Blaykowi, kiedy mniej więcej ktoś zmieni go przy zwłokach, i zabrał więźnia. Cała grupa dosiadła koni i odjechała na wschód wzdłuż kanału.

– Skąd jesteście? – spytał Sak.

– Z Illyrii – odparł Flojjan.

Sak zmarszczył brwi.

– Nigdy nie słyszałem o takiej miejscowości. – Wyglądał na jakieś trzydzieści pięć lat, ale Chaka

podejrzewała, że jest znacznie młodszy. Miał ogorzałą skórę i gęste, czarne wąsy.

Więzię jechał obok Quaita.

– W dawnych czasach – odezwał się Sak – po prostu od razu byśmy go zastrzelili.

– Szkoda, że nie przyjechaliśmy trochę wcześniej – bąknęła Chaka. – O co poszło?

– Niewolnicy – wyjaśnił krótko Sak. – Stopniowo się ich pozbywamy. Prawda, draniu? – Dźgnął rannego mężczyznę strzelbą.

Więźniowi ciekła krew z prawego ramienia. W końcu zatrzymali się. Chaka podarła starą koszulę, by zatamować krew.

– Nie zrobiłbym tego – wystękał. – Sądziłem jednak, że stary sięga po broń.

Twarz Saka pozostała lodowata.

– Mógłbyś wymyślić lepszą historyjkę – warknął.

Sędzina mieszkała tuż obok autostrady w fortecy – rozległym kompleksie wojskowych baraków, placów apelowych, oflagowanych dziedzińców i stajni – otoczonej solidnym drewnianym częstokołem, w którym znajdowały się otwory strzelnicze i bramy wypadowe. Niebieskie i białe chorągwie łopotały na tuzinie masztów. Fort stał na niskim wzniesieniu, górując nad krótko skoszonymi polami, które ciągnęły się we wszystkie strony na odległość tysiąca jardów.

Zostawili więźnia przy bramie frontowej i wjechali do środka.

Pierwszą rzeczą, jaka przyciągnęła uwagę Chaki, była wyszukana rezydencja ziemską. Wybudowano ją całkowicie z drewna, miała trzy piętra i dorobione później pomieszczenia po bokach. Osłonięty długi ganek frontowy zastawiony był meblami trzciniowymi. Budynek obfitował w okna, a jego dach zdobiła niewielka kopuła.

– To dom sędziny – powiedział Sak. Przy bocznym wejściu zostawili Lottie pod opieką tęgawej kobiety. Dziewczyna jeszcze raz podziękowała swoim wybawicielom, a Sak zapewnił ją, że wróci, by się nią zająć. Potem poprowadził podróżników obok składziku z sianem. Przekroczyli strumyk po drewnianym mostku i zatrzymali się przed szarym, dwupiętrowym gmachem, który wychodził na plac apelowy. – Kiedyś znajdowały się tu kwatery komendanta – powiedział. – Możecie się u nas zatrzymać tak długo, jak macie ochotę.

– Bardzo to uprzejmie z pana strony – powiedziała Chaka.

– Cała przyjemność po mojej stronie, droga pani. Wielce sobie cenimy wasz wyczyn. Mogliśmy stracić również Lottie. – Zsiadł z konia i otworzył drzwi wejściowe. – Nikt tu teraz nie mieszka – oznajmił – poza gośćmi. – Drzwi otworzyły się na wewnętrzną ścianę. Po jednej stronie widać było salon, po drugiej schody. Ściana wyglądała dziwnie niestosownie w tym miejscu. Flojjan spytał o nią.

– Nazywamy ją *rindle* – wyjaśnił Sak. – Ma powstrzymać przed wtargnięciem złe duchy.

– W jaki sposób? – zapytała Chaka.

– Zgodnie z legendą, póki nie zaprosimy duchów do domu, po przekroczeniu progu potrafią przemieszczać się jedynie w linii prostej. – Pomógł Chace wnieść torby. – Podejrzewam, że *rindle* przetrwało tylko dlatego, że chroni przed wiatrem.

Flojjan oświadczył oschle, że zna pewne fakty, które mogłyby zmienić opinię Saka.

Za *rindle* na tył budynku biegł korytarz z drzwiami po obu stronach. Sak obserwował, jak goście wybierają pokoje, po czym obiecał przysłać świeżą bieliznę i wszystko, czego będą potrzebowali.

– Spodziewam się – dodał – że sędzina zechce z wami porozmawiać, więc proszę was, zostańcie przynajmniej do tej pory.

Kwaterna zrobiła na Chace ogromne wrażenie. Dziewczyna miała do swojej wyłącznej dyspozycji



dwa pokoje i łazienkę. Podczas gdy oglądała pomieszczenia, do sypialni weszła obca młoda kobieta i położyła na łóżku świeżą pościel. Zasłonki w jesiennych kolorach zdobiły otwarte okna. Świeży, kwiatowy zapach późnej wiosny wypełniał powietrze. W salonie stał stolik i dwa wygodne krzesła. Jedną ścianę pokrywała niedźwiedzia skóra.

Łazienka przekroczyła najśmielsze oczekiwania Chaki. Znaczną część pomieszczenia zajmowała wielka drewniana wanna. Nie byłoby w niej niczego wyjątkowego, gdyby nie fakt, że wyposażono ją w kurki, a kiedy dziewczyna odkręciła jeden z nich, z kranu popłynęła woda, która w dodatku szybko się ogrzała.

Dziewczyna miała wcześniej do czynienia z wewnętrzną hydrauliką, ale nigdy nie widziała płynącej gorącej wody. Uznała, że prawdopodobnie przypadkowo odwiedzili najbardziej zaawansowany technicznie naród na ziemi.

Zeszła do kuchni. Przygotowała sobie kilka plasterków szynki (przyniesiono je w lodzie – wyłącznie do użytku trójki wędrowców) i naląka kieliszek wina, które zabrała z powrotem do swoich pokoi. W łazience wyszorowała się pachnącym mydłem.

Kiedy się wytarła, do drzwi zastukał Quait.

– Jesteśmy zaproszeni na kolację do sędziny dziś wieczorem – powiedział. – O ósmej.

W ciągu godziny przybyli służący i zmierzili Chakę, obiecując wrócić przed wyznaczoną porą z nowym strojem.

Sak przyjechał zobaczyć, jak goście sobie radzą, i zaproponował przechadzkę po forcie. Wyjaśnił, że jeśli chcą, mogą swobodnie wędrować po całym terenie, chociaż nie powinni bez zaproszenia wchodzić do rezydencji.

– Jak się miewa Lottie? – spytała Chaka. Dowiedzieli się, że zabity rzeczywiście był dziadkiem dziewczyny.

– Najlepiej, jak to możliwe w tych okolicznościach – odparł. – Towarzyszy jej brat. – Wzruszył ramionami. – Świat jest brutalny.

Przyprowadził świeże wierzchowce. Quait wskoczył na siodło i poklepał zwierzę po szyi. Chaka rozglądała się. Dwóch ludzi pracowało nad wozem, paru innych dostrzegła w kuźni przy podstawie częstokołu. Poza nimi fort wyglądał na pusty.

– Stanowimy siły straży leśnej – wyjaśnił Sak. – Rzadko ostatnio dochodzi u nas do takiej przemocy, lecz na nieszczęście dranie jeszcze czasem do nas zaglądadają. – Wzruszył ramionami. – Staramy się, jak możemy. Kiedy nie pracujemy, uprawiamy rolę. Albo wydobywamy. Albo robimy coś innego.

– Wydobywacie? – spytał Flojjan. – Co wydobywacie?

– Przeważnie żelazo. Znajdujemy je w mieście Drogowców. – Wskazał na północ. – I aluminium. A nawet cenne kamienie. – Wzruszył ramionami. – Od strony południowej są pokłady węgla.

Pobieżnie zwiedzili kompleks. Dostrzegli cztery stare baraki.

– Ten był kiedyś posterunkiem wojskowym – wyjaśnił. – Teraz już właściwie nie potrzebujemy wojska.

– Nie ma wojen? – spytała Chaka.

– Nie, odkąd Brockett i Cabel podpisały słynną Ugodę. Prawie dwadzieścia lat temu.

– Brockett i Cabel? – spytał Quait.

Sak zmarszczył brwi.

– Miasta – powiedział. Potrząsnął głową, jakby zauważył, że któreś z gości posiada dodatkową nogę. – Chyba naprawdę przybyliście z dziczy.

– Rzeczywiście – przyznała Chaka.

Quait zaobserwował, że baraki są w dobrej kondycji.

– Ciągłe je odnawiamy. W przeszłości czasem ktoś na nas napadał. Wówczas zamykaliśmy się w środku. Od ostatniego ataku minęło już kilka lat. Na szczęście granica przesuwa się na zachód, więc niebezpieczeństwo się od nas oddala. Jeśli jednak ktoś nas zaatakuje, będziemy gotowi.

Pokazał podróżnikom piekarnię, kwatery służących, częstokół, pralnię, dziedziniec kawalerii, kwatery oficerskie (obecnie używane przez dyżurnych pracowników straży leśnej) i gabinet lekarski.

– Ciągłe nazywamy go gabinetem lekarskim, chociaż swego czasu przekształciliśmy go w naszą centralę operacyjną. Zwykły gabinet mieści się w zachodnim skrzydle rezydencji. – Minęli wozownię i warsztat mechaniczny (obu pomieszczeń nadal używano), place, na których składowano drewno i siano, stajnie oraz dziedziniec kawaleryjski. – Miejsce wygląda na puste, ale mieszczanie mogą się tu bronić, jeśli zajdzie potrzeba.

Usłyszeli salwę za ścianą.

– Oto nasz zabójca – powiedział Sak.

Chaka skrzywiła się.

– Trochę za szybko.

– U nas nie ma recydywistów... Najpierw jednak dobrze opatrzyliśmy mu ramię. Nie wiem, dlaczego postępujemy w taki sposób, ale sędzina zawsze nalega, by udzielać skazanym pomocy medycznej.

Salon w przydzielonych wędrowcom kwaterach wyposażono w zegar wodny. Urządzenie było pomysłowe i Chaka przerysowała schemat jego mechanizmu do dziennika.

Zegar składał się z górnych i dolnych komór. Woda ściekała z górnej i podnosiła pływak w dolnej. Pływak miał postać maleńkiego kajaka przymocowanego do karbowanego pręta, który – podnosząc się – obracał mechanizm kierujący ruchem pojedynczej wskazówki wokół tarczy. Podobnie jak wszystkie inne chronometry obecnej epoki, urządzenie pokazywało w najlepszym razie przybliżony czas, zupełnie jednak wystarczało ludziom, którzy nigdy nie znali pojęcia punktualności. (Illyryjczycy mieli zegary Drogowców, mniej więcej znali działanie tych przedmiotów, jak dotąd jednak nie zdołali opanować sztuki ich konstruowania).

Krótko po tym, jak wskazówka spoczęła na godzinie ósmej, przybył Sak w świeżym mundurze, białym szaliku i białym wojskowym kapeluszu.

– Sędzina pragnie się z wami natychmiast spotkać – oświadczył.

Przeszli plac apelowy, dotarli do frontu rezydencji i wspięli się po drewnianych stopniach na ganek. Wchodząc, minęli wysokiego brodacza w czarnym, zbyt małym dla niego płaszczu i czapce z daszkiem. Sak przywitał mężczyznę i przedstawił mu gości.

– Kapitan Warden – powiedział. – Z „Kolumbiny”.

Warden ukłonił się Chace i uścisnął ręce jej towarzyszom.

Wyglądał nieco słabowicie, był szczupły, miał ziemistą skórę i osobliwie niepewną minę, uścisk natomiast mocny niczym niedźwiedzie siła.

– Skąd jesteście? – spytał tak głośno, że uznali go za nieco przygłuchego.

– Z Illyrii – odparł Flojjan.

Mężczyzna zmarszczył brwi.

– Illyria? Sądziłem, że znam wszystkie porty na Morzu Wewnętrznym, lecz nie wydaje mi się, bym kiedykolwiek słyszał o Illyrii.

– Jest jednym z miast Ligi – wyjaśnił Flojjan. – Leży w dolinie Missisipi.

– Ach – bąknął. Chace nie umknął ani jego ton, ani zaskoczone spojrzenie, które wymienił z Sakiem. – Musimy kiedyś o tym porozmawiać. – Wymówił się interesami w dokach i odszedł.

Przy drzwiach powitała podróżników atrakcyjna, młoda, ciemnowłosa i ciemnooka kobieta. Za nią znajdowała się *rindle*, ozdobiona sznurami koralu.

– Proszę, wejdźcie – powiedziała, uśmiechając się na powitanie do Saka.

Gdzieś z tyłu śmiały się dzieci.

– To Delia – przedstawił Sak. – Zarządza gospodarstwem sędziny.

Delia wskazała drogę do salonu i podkręciła lampy. Sprawdziła, czy wszyscy usadowili się wygodnie i spytała, czego się napiją. Chaka zadowolona się jagodowym winem.

– Przywozimy je kanałem z Brockett – zauważył Sak. – Na „Kolumbinie”.

Okna były otwarte i przez pokój przeleciał powiew chłodnego wiatru. Z dworu dobiegało głośne brzęczenie owadów, czasem rozlegał się odległy śmiech i dźwięki wprawnej gry na walonie. Quait uśmiechnął się, lekko zawstydzony, więc Chaka szybko go zapewniła, iż gra równie pięknie. Zachodnie niebo przeciął piorun.

Flojiana zaskoczyła wiadomość o wykorzystywaniu kanału.

– Ten, który biegnie równoległe do drogi – powiedział – nie wygląda na żeglowny. Jest zablokowany.

– Ależ przybyliście z zachodu. – Uwagę wypowiedział kobiecy głos za plecami trójki przyjaciół. – Tam rzeczywiście nie sposób pływać. – Mówczyni przybliżyła się do lampy i Chaka zobaczyła kobietę w nieokreślonym wieku i niskiego wzrostu. Rysy miała przeciętne – szare oczy upstrzone zielonymi plamkami, długi, wąski nos, gęste, srebrne włosy – a zachowanie wskazywało na osobę przyzwyczajoną do rządzenia. W ręce trzymała szklankę z płynem, który mógł być brandy.

Sak wstał i przedstawił gości sędzinie Maris Tibalt.

– Miło was gościć w Oriskany – powiedziała. – Żywię nadzieję, że kwatery są wygodne.

– Tak – odparła wesoło Chaka. Przed przybyciem tutaj nie przyszłoby jej do głowy, że przedstawicielka jej płci może pełnić funkcję sędziego. – Bardzo wygodne!

– Świetnie. – Ich gospodyni wydawała się zadowolona. – Kolacja będzie gotowa za kilka minut. Tymczasem... – Przyjrzała się po kolei każdemu z gości. – Słyszałam, że przybyliście do nas z za Morza Wewnętrznego.

Quait popatrzył na Saka.

– Chodzi o tę masę wody na zachodzie?

Mężczyzna skinął głową.

– Zgadza się, sędzino – rzucił prędko Flojian.

Chaka dostrzegła, jak Quait marszczy brwi. Jego spojrzenie mówiło, by nie podawać żadnej dokładnej lokalizacji.

– I szukacie Przystani?

– Tak.

– Doskonale. Macie niepodważalne dowody na jej istnienie?

– Tak uważamy, sędzino – odrzekł Quait.

Flojian wspomniał o członkach pierwszej ekspedycji i spytał, czy ktoś ich tu widział.

– Tak – powiedziała. – Przechodzili tędy. Niestety, nie widziałam, by wracali.

– Wie pani, co im się przydarzyło?

– Znam tylko plotki.

– A jakie są owe plotki?

– Podobno wynajęli w Brockett statek i popłynęli na północ. Wszyscy oprócz jednego zginęli.

– W jaki sposób?

Zastanowiła się nad odpowiedzią.

– Powracający żeglarze mówili, że podróżnicy weszli do jakiejś jaskini, gdzie zabił ich niewidoczny przeciwnik.

To stwierdzenie pogorszyło nastroje trójce przyjaciół.

– Już to kiedyś słyszałem – szepnął Flojjan.

– Żeglarze stracili swoich pasażerów – wyjaśniła sędzina. – Mogli wymyślić wytłumaczenie tego zdarzenia.

– Zna pani szczegóły? – spytała Chaka.

Kobieta zastanowiła się nad pytaniem.

– Nie. Ta sprawa nigdy mnie szczególnie nie interesowała.

Musicie pojechać do Brockett. Znajdźcie kapitana statku, który ich zabrał w rejs. Porozmawiajcie z nim.

– Widzieliśmy wczoraj coś dziwnego – odezwał się po chwili Flojjan. Opisał mężczyznę na niebie.

– Och, tak. – Sędzina wyglądała na zadowoloną. – Mówi pan o Orinie. Jest naszym aeronautą.

– Co robi? To znaczy... poza lataniem balonem?

– Jest odkrywcą. Mieszka pod Brockett. – Wyglądała na wdzięczną za zmianę tematu. – Zabiera ludzi na przejażdżki balonem.

– Leciała pani kiedyś? – spytała zaciekawiona Chaka.

Pytanie rozbawiło sędzinę.

– Droga Chako, chętnie próbuję każdej formy podróży, byle stać przynajmniej jedną nogą na ziemi.

Na propozycję gospodyni wypili za toast za Illyrię i Ligę, później zaś za Brockett i Ugodę.

– Gdzie leży Brockett? – spytała Chaka.

– Około stu mil na wschód. Na końcu kanału. Nad Hudson.

– Hudson?

– Nasza główna arteria wodna. Płynie z północy na południe. Cały handel odbywa się właśnie na niej i na kanale. Jeśli chcecie, możecie popłynąć na „Kolumbinie”. To łódź kapitana Wardena. Porozmawiam z nim, by zabrał was do Brockett. Przypuszczam, że tam się wybieracie.

– Tak – odparł Quait. – To byłaby wielka uprzejmość z pani strony.

– Możecie też zostać z nami. Prowadzimy w Oriskany dobre życie. Potrafimy wykorzystywać umiejętności takich ludzi jak wy.

– Nic o nas nie wiecie – mruknął zdumiony Flojjan.

– Wiemy dość.

Wędrowcy popatrzyli po sobie. Chaka widziała, że nie różnią się w poglądach na tę sprawę.

– Dziękujemy pani – powiedział Quait. – Niestety, nie możemy się teraz zatrzymać.

– Rozumiem – odparła. – Nie oczekiwałam natychmiastowej odpowiedzi. Możemy o tym porozmawiać podczas waszego powrotu.

– Co leży za Brockett? – spytała Chaka.

W drugim pokoju cicho zabrzączał dzwonek i w progu pojawiła się Delia.

– Kolacja gotowa, sędzino – poinformowała.

Gospodyni wstała.

– Za Brockett – odrzekła – rozciąga się jedynie ciemność. I morze.

Służący przynieśli pieczeń wołową, ziemniaki, warzywa i gorące bułeczki. W trakcie uczyty litrami płynęło dobre wino. Trójka przyjaciół opowiadała o szczegółach podróży. Sędzina szczerze im współczuła, gdy wspomnieli o stracie towarzyszy.

Maluchy, których głosiki wcześniej słyszeli, jadły posiłek w oddzielnych pokojach. Były dziećmi

służących.

– Moje własne już dawno podrosły i odeszły – wyjaśniła sędzina.

– Dokąd? – spytał Quait.

– Do Brockett. Córka jeszcze pobiera nauki, a obaj moi synowie są na służbie u Dyrektora.

– Kim jest Dyrektor? – spytał Flojjan.

– Głową państwa.

– A kobiety pobierają nauki? – spytała zaskoczona Chaka.

– Oczywiście.

Sędzina wyjaśniła, że młode lata również spędziła w Brockett. Wróciła do Oriskany dopiero po śmierci ojca, by przejąć jego obowiązki. Była starszą z dwóch córek.

Flojjan spytał ją o męża. Pytanie okazało się nieco niestosowne, jednak kobieta pogodnie wyjaśniła, że nie ma męża, nigdy nie miała i („wybaczcie mi szczerść”) nie widzi prawdziwej potrzeby posiadania go.

– Jesteście zaszokowani – oceniła.

– Właściwie to nie – bąknął wyraźnie zmieszany Quait.

– Nie musicie się tłumaczyć. Większość osób miesza brak fizycznej miłości z cnotą. Taka pomyłka w gruncie rzeczy nie wynika z ich winy. Społeczeństwo narzuca pewne zasady, których nikt nie ośmiela się zakwestionować...

– To nakaz bogów – Flojjan szczerze się obruszył.

– Których bogów? – spytała. – Południa czy północy?

Flojjan popatrzył na Chakę, szukając u niej pomocy. Ale dziewczyna nie uważała za stosowne się wtrącać.

– Większość społeczeństw wychodzi od wiary w bogów, lecz potem cenniejsza staje się dla nich filozofia – wyjaśniła sędzina. – Ludzie dochodzą w końcu do wniosku, że bogowie nie istnieją, a prawa ustanowili ludzie, którzy od dawna nie żyją. Mój ojciec ostrzegał mnie kiedyś, że gdy nadejdzie czas śmierci, będę żałować jedynie tego, czego w życiu nie zrobiłam.

– Istnieje wszakże coś takiego jak cnota! – upierał się Flojjan podniesionym głosem.

– Właściwie, drogi Flojjanie... upieram się, że jedyną cnotą jest mądrość. Inne to oszustwa. I skoro już jesteśmy przy tym temacie, chętnie dostarczę towarzysza na noc każdemu z was. Wystarczy powiedzieć. – Popatrzyła na Illyryjczyków, którzy wyraźnie nie potrafili sobie znaleźć miejsca, po czym się roześmiała. – Przepraszam – powiedziała. – Nie chciałabym was krępować. Ale... proszę, zawiadomcie mnie.

Flojjan od dwudziestu lat nie był z kobietą. Zawsze bał się konsekwencji związanych z folgowaniem własnym przyjemnościom w stosunkach pozamałżeńskich i nadal pamiętał psychiczne tortury, które przeżywał po jednym jedynym nieprawomocnym związku.

Zamierzał spędzić życie w samotności. Bał się ciąży partnerki. Bał się skandalu. (Dziewczyna, chociaż młoda, na szczęście okazała się uosobieniem dyskrecji). Postanowił wtedy uroczyście, że nigdy już nie nawiąże żadnego romansu i będzie żył w czystości, chyba że się ożeni.

Tak też postępował.

A jednak kiedy kolacja się skończyła i grupa zaczęła się rozchodzić, zrobił się dziwnie nerwowy i zaczął szukać okazji do rozmowy w cztery oczy z sędziną. Sposobność się nie pojawiła, więc ostatecznie – rad, nie rad – wraz z Lottie i dwójgiem przyjaciół opuścił rezydencję. Towarzyszyło mu poczucie straconej szansy i niepokojąca świadomość, że może nawet w prywatnej rozmowie z gospodynią nie odważyłby się na prośbę o to, czego tak rozpaczliwie pragnął.



Na okrąg nadbrzeżny składały się dwa stare doki, dwa magazyny, silos zbożowy, urządzenie naprawcze i biuro pośrednika handlowego, a także piekarnia na wolnym powietrzu, kuźnia, rusznikarnia, warsztat stolarski i gabinet lekarski. Wszystko na ogół zajmowało pojedyncze budynki, zupełnie niepodobne do handlowych budek w Illyrii. Budowle były oryginalne, przyozdobione gzymsami, ukośnymi oknami mansardowymi i okrągłymi okienkami, pokojami na poddaszu i łukowatymi wejściami.

„Kolumbina” była wyposażona w koło łopatkowe. Podobne statki kursowały po Missisipi podczas ery Drogowców, lecz nikt w Illyrii nie znał zasad ich działania. Za sterówką znajdowały się dwa kominy, z których wydobywał się biały dym.

– Nie mogę uwierzyć w to, co widzę – wyszeptał Flojjan. Był tak podekscytowany, że miał kłopoty z oddychaniem.

Wiele wraków, które ciągle leżały w Missisipi, nie było przystosowanych do żagli. Fakt ten zastanawiał Illyryjczyków. Silnik jednego ze statków o nazwie „Ameryka” wystawiano od lat w Farroad i choć badała go większość znakomitych myślicieli Ligi, sposób jego działania po dziś dzień pozostawał zagadką.

Po załadowaniu ostatnich partii ładunku złomu żeliwnego, „Kolumbina” stała nisko zanurzona w wodzie. Do podróżników podszedł jeden z członków załogi, by zająć się ich końmi, dla których przygotowano zagrodę na rufie.

Kapitan Warden stał przy relingu rufowym i obserwował załadunek. Zobaczył swoich pasażerów w doku i przyszedł się przywitać.

– Dzień dobry.

– Dzień dobry, kapitanie. – Chaka szła pierwsza po trapie.

– Talley – szepnął Flojjan.

– Co takiego? – spytał Quait.

– Pamiętasz Talleya? Tu znajduje się źródło mocy, którego szukał.

„Kolumbina” wyglądała na mocny statek. Miała dwieście stóp od dziobu do rufy i była większa niż wszystkie jednostki pływające, jakie Illyryjczycy kiedykolwiek widzieli.

Na powitanie uścisnęli dłonie członkom załogi. Warden tłumaczył się, że „Kolumbina” jest raczej statkiem towarowym niż pasażerskim.

– Sami rozumiecie – powiedział – że warunki noclegowe nie będą luksusowe. Ale staramy się, jak możemy. Tak, tak, staramy się z całych sił. – Kapitan błyskał dumnie ciemnobrązowymi oczyma, wyraźnie zapraszając wędrowców do podziwiania statku. – Rejs do Brockett zajmie około trzynastu godzin. Otrzymacie osobną kabinę. Toalety i łazienki będziecie musieli dzielić z załogą. Znajdują się na środku statku. Moi marynarze szanują kobiety, więc nie musisz się, Chako, niczego obawiać. Spodziewamy się dobrej pogody, toteż prawdopodobnie i tak zechcecie spędzać większą część czasu na pokładzie. Czujcie się swobodnie i do woli się rozglądajcie po „Kolumbinie”.

– Nie dyskutowaliśmy jeszcze o opłacie – zauważył Flojjan. Warden dotknął brzegu czapki i dał znak jednemu z członków załogi.

– Shimie, dopilnuj, by naszym pasażerom niczego nie zabrakło. A opłaty nie będzie, drogi Flojjanie. Sędzina cieszy się, że może wam pomóc. I „Kolumbina” również.

Wy tłumaczył się licznymi obowiązkami związanymi z wypłynięciem i odszedł. Shim wziął bagaż Chaki i zaprowadził całą trójkę do kwatery, która okazała się jednym prostym pokojem mieszczącym cztery połączone ze sobą koje, stół przy iluminatorze i parę lin do powieszenia ubrań. Pomieszczenie

było wszakże czyste i – jak zwrócił uwagę Quait – nie będzie im w nim padać na głowę deszcz.

Grodzie wibrowały od niewidzialnej mocy statku. „Kolumbina” wydawała się żywa. Illyryjczycy wrócili na pokład niczym oczarowane dzieci na szkolnej wycieczce. Żeglarze odwiązali liny, z bliźniaczych kominów wydobyły się kłęby dymu. Koło łopatkowe zaczęło się obracać, podnosząc strumienie błyszczącej w słońcu wody. Przystań oddalała się. Zza magazynu wyjechał jeździec i pomachał. To był Sak. Troje przyjaciół także mu pomachało.

Shim wziął ich pod pokład, by pokazać urządzenie napędowe.

Było gorące. Dwóch obnażonych do pasa mężczyzn ładowało kłody do niższej komory kotła, w którym trzaskał ogień.

– Do górnej komory pompujemy wodę – wyjaśnił Shim. Musiał krzyczeć, by go usłyszeli. – Ogień wytwarza parę, para z kolei obraca koło. Nic skomplikowanego.

Flojjan spytał o schemat urządzenia i Shim pokazał mu, ponownie wyjaśniając sposób działania statku, aż Flojjan był pewny, że zrozumiał go właściwie.

– Mamy je zaledwie od paru lat – dodał Shim. – Kiedyś używaliśmy żagli, wiosła i żerdzi. Wtedy płynęliśmy do Brockett nawet kilka dni.

Shim był niski, krępy, dobroduszny i podobała mu się Chaka. Niezależnie od tego, które z podróżników zadało pytanie, odpowiadając, przypatrywał się dziewczynie.

– Kto wynalazł ten silnik? – spytał Quait.

– Orin Claver – odparł Shim do Chaki.

– Claver? – spytał Flojjan. – Czy chodzi o mężczyznę w balonie?

– Tak. Prawdę mówiąc, właściwie go nie wymyślił, chociaż chce, by ludzie tak myśleli. Po prostu znajduje w ruinach różne urządzenia, domyśla się, jak działały, po czym je kopiuje.

– Co wcale nie umniejsza jego zasług – podsumował Flojjan. Po raz pierwszy od śmierci Avili wyglądał na żywo czymś zainteresowanego.

– Gdybyśmy wrócili do domu jedynie ze schematem tego silnika, już byłaby to wielka rekompensata za to, co utraciliśmy. Moglibyśmy pływać w górę Missisipi. Zawsze mieliśmy problemy ze zbyt bystrym prądem. Nasza rzeka jest szeroka i nie potrafiliśmy jej w pełni wykorzystać, ponieważ nie sposób pchnąć łodzi pod prąd. Ale ten... ten silnik parowy wszystko zmieni.

Załoga „Kolumbiny” – poza kapitanem – składała się z pięciu osób; trzech spośród marynarzy służyło równocześnie w straży leśnej.

– Od czasu do czasu ktoś do nas strzela – przyznał Warden – ale nigdy nikogo nie straciliśmy. – Wyjaśnił, że Oriskany znajduje się pod protektoratem Brockett, a jednocześnie strzeże zachodniej granicy regionu. – Sędzina dobrze sobie radzi z patrolowaniem dróg. I jest twarda dla rabusiów. Posyła ich na statkach do Brockett, gdzie zostają sprzedani.

– Tego, którego pomogliśmy schwytać – oświadczyła Chaka – rozstrzelano.

– Ponieważ zabił starego Hala Rollina. Za morderstwo grozi kara śmierci. Nikt nie zadaje żadnych pytań. Podaje się do publicznej wiadomości czyn oskarżonego i egzekucja zostaje wykonana w ciągu dwudziestu czterech godzin.

– A okoliczności łagodzące? – spytała Chaka.

– Nie istnieją. Chyba że mówimy o samoobronie, bo w takim wypadku w ogóle nie ma kary. Jeśli chcesz powiedzieć, że zabójca miał trudne życie, nic nas to nie obchodzi. Sędzina nie robi wyjątków. Dzięki temu jej drogi są umiarkowanie bezpieczne.

Warden nie uśmiechał się zbyt często. Może powodem jego powagi była ciężka praca. Stary kanał robił wrażenie dość szerokiego, był jednak zarzucony gruzem, fragmentami połamanymi mostów i



powalonymi drzewami. W wodzie czyhały także inne, ukryte niebezpieczeństwa, nawet dom, który niewiadomo skąd się wziął w samym środku kanału. Był niemal całkowicie zatopiony, mimo to Chaka, patrząc w nieruchome błękitne głębiny, zobaczyła okno mansardowe i komin.

Podłożyła sobie bagaż pod głowę niczym poduszkę i oparła się o ścianę budki pokładowej. Cieszyła się łagodnym kołysaniem statku i otaczającą ją późną wiosną. Obok przesuwały się faliste wzgórza i zorane pola. Jelenie przystawały wzdłuż brzegu i przypatrywały się „Kolumbinie”. Lasy były gęsto porośnięte amerykańskim orzechem oleistym i czerwonymi cedrami. Kiedy statek przepływał, dzieci na polach przerywały zabawę i machały szaleńczo.

Dziewczyna przypatrywała się rybakom w małych łódkach i wozom konnym na drogach. Im dalej posuwali się na wschód, tym liczniejsze stawały się domy wzdłuż kanału. Ludzie wychodzili z nich i przyglądali się przepływającej „Kolumbinie”.

– Kapitanie – zaczęła Wardena, kiedy ponownie się pojawił – proszę mi opowiedzieć o Hudson.

– Co chcesz wiedzieć?

– Czy uchodzi do morza?

– Och, tak – odparł. – Około stu osiemdziesięciu mil na południe. – Flojjan już spał, natomiast Quait wyszedł i z marynarzem – należącym równocześnie do straży leśnej – porównywał notatki. Warden ciężko usiadł obok niej. – Kiedyś można było popłynąć Hudson także na północ. Był tam kanał, podobny do naszego, chociaż nie taki długi. Ale jest mocno zakorkowany.

Chaka poczuła się zachęcona do dalszych indagacji.

– Kapitanie, moglibyśmy wynająć „Kolumbinę”?

Warden uśmiechnął się.

– Do czego?

– Nie jestem jeszcze pewna. Ale może będziemy potrzebowali morskiego środka transportu.

Natychmiast zrozumiała, że mężczyzna nawet nie rozważy jej propozycji.

– No cóż – odparł – mamy napięty harmonogram i zobowiązania wobec klientów. – Popatrzył na nią zagadkowo. – Chako, byłaś kiedyś na morzu?

– Nie.

– Zapewniam cię, że nie chciałabyś po nim pływać na „Kolumbinie”.

– Ach tak...

– Powiem więcej. Nie potrafię sobie wyobrazić, że popłynąłbym na otwartą wodę którymś ze znanych mi rzecznych statków. – Potrząsnął głową. – Może „Pakowaczem”. Niestety, kilka miesięcy temu wyrócił się do góry dnem. A to powinno ci dać do myślenia.

Zadumał się.

– Byłem tam kiedyś. Przy ujściu rzeki. – W jego głosie pojawił się respekt. – Nie podobało mi się za bardzo. Znajduje się tam miasto Drogowców, niepodobne do żadnego innego, jakie kiedykolwiek odwiedzisz.

Pomyślała o dwóch metropoliach, które już odwiedzili.

– Wysokościowce? – spytała.

– Tak – odrzekł. – Trzeba je zobaczyć, aby pojąć ich piękno.

Nad kanałem pojawiły się malownicze wioski i wspaniałe rezydencje. Statek zatrzymywał się kilkakrotnie, marynarze wyładowywali wyroby rękodzielnicze i ładowali baryłki z winem. Około południa „Kolumbina” zabrała jeszcze kilku pasażerów. W pewnej chwili przepłynęła obok grupy nagich chłopców pluszczących się wokół tratwy.

W sumie rejs nie obfitował w żadne szczególne wydarzenia. Krótco po zachodzie słońca statek

minął serię starych fortyfikacji i wpłynął do największego zamieszkanego miasta, jakie Chaka do tej pory widziała. Domy, sklepy, budynki publiczne, świątynie i parki zajmowały obie strony kanału. Tłumy ludzi wędrowały wzdłuż brzegu wody, wypełniały restauracje na świeżym powietrzu, obserwowały mecze piłkarskie. Jakaś łódź wpłynęła do kanału i skręciła na wschód. Niedaleko przed podróżnikami kanał łączył się z rzeką.

„Kolumbina” – kołyszac się – dotarła do doku. Warden podszedł, by pożegnać się z trojgiem pasażerów.

– Jeśli mogę coś dla was zrobić – oświadczył – nie wahajcie się poprosić.

Lokal o nazwie „Kwatery kapitańskie” mieścił się tuż nad wodą. Wyglądał na nieco zaniedbany, lecz okazał się całkiem przyjemnym miejscem. W środku panował ruch i hałas. W części jadalnej piosenkarka usiłowała przekrzyczeć gości. Stoły stały zbyt blisko siebie, więc kelnerzy z tacami pełnymi smażonych kurczaków i gotowanych na parze marchewek dokonywali prawdziwych cudów zręczności, by obsłużyć wszystkich chętnych. Dzięki parze dużych zasłoniętych okien do pomieszczenia wpadało sporo chłodnego powietrza.

Wędrowcy złożyli zamówienie i po minucie stanęło przed nimi piwo. Flojjan zaproponował toast za „Kolumbinę”.

– Płynęliśmy nią ku przyszłości – oznajmił.

Quait dobrze się prezentował. Włożył rozpiętą pod szyję białą koszulę i niebieską apaszkę, którą nakładał tylko przy wyjątkowych okazjach.

– Prawie dotarliśmy – mruknął.

Flojjan rzucił w jego stronę sceptyczne spojrzenie.

– Może trochę więcej optymizmu?

– Jasne. Teraz musimy tylko odnaleźć statek, który wynajął przed laty Karik. Jeśli nam się uda, czeka nas ostatni etap podróży.

– Jak tam nasze fundusze? – spytała szeptem Chaka.

Flojjan pokiwał głową.

– Nieźle.

– Mógłbyś mi dać trochę drobnych?

Flojjan sięgnął do kieszeni, po czym dyskretnie przekazał dziewczynie monety.

Wybrali tę tawernę, ponieważ obsługiwano w niej przedstawicieli obu płci związanych z flotą rzeczną. Chaka włożyła do kieszeni srebro, rozejrzała się po pomieszczeniu, znalazła to, czego szukała, i wstała.

– Zaraz wracam – rzuciła.

Przysiadła się do siedzącej przy barze grupy marynarzy – mężczyzn i kobiet. Zamówiła kolejkę dla wszystkich.

– Przy płynęliśmy właśnie na „Kolumbinie” – oświadczyła. – Muszę przyznać, że podziwiamy ludzi takich jak wy. Wykonujecie świetną robotę.

– Dzięki – odparł młody mężczyzna. Miał brązowe włosy, brązowe oczy i pocziwą twarz (jeśli nie liczyć wielu utraconych zębów). – Tyle że żadne z nas nie pracuje na „Kolumbinie”.

– Wiem – roześmiała się. – Ale tamtych tu nie ma, wy natomiast jesteście.

W ciągu kilku następnych minut Chaka zaprzyjaźniła się z żeglarzami, a nawet zaśpiewała z nimi piosenkę. Quait od czasu do czasu posyłał swojej narzeczonej pełne dezaprobaty spojrzenie.

– Jak się nazywa wasza łódź? – spytała młodzieńca, któremu brakowało zębów.

– „Solidna”.

– Handluje na rzece czy pływa po kanale? A może na obu?

– Na rzece! – odpowiedziała, udając oburzenie, kobieta z pofarbowanymi na błękitno włosami. –

Kanał jest tylko dla szczurów wodnych. Zgadza się, Córy?

Mężczyzna pokiwał głową, najwyraźniej słyszał ten dowcip wcześniej wiele razy. Chaka wywnioskowała, że Córy pływał na kanale, zanim przyłączył się do załogi „Solidnej”, ale przyjął komentarz kobiety ze spokojem, a nawet radością z powodu okazywanej mu uwagi.

– Po kanale pływają prawdziwi marynarze – oświadczył z przekonaniem.

– Zgadza się – mruknął jeden z pozostałych, po czym wszyscy się roześmiali.

– Był ktoś z was na morzu? – spytała Chaka niby od niechcenia.

Popatrzyli po sobie.

– Tak – przyznał się krzepki starzec z tyłu. – Przepływałem obok Bramy.

Chaka podniosła szklankę w jego stronę.

– Jak jest na otwartej wodzie?

Wyszczrzył zęby.

– Przeżycie jedyne w swoim rodzaju – oświadczył.

– Dokąd dotarłeś? – spytała Chaka.

– No właśnie – podjął któryś z marynarzy. – Dokąd dotarłeś, Keelu?

Keel miał gęstą, czarną brodę i ramiona grube jak konary drzew. Wzruszył ramionami.

– Około stu mil w dół wybrzeża.

– Opowiedz nam o tym – poprosiła kobieta. Jej śmiech sugerował, że świetnie zna tę historię.

– Opuść, Błękitna – obruszył się starzec. – Pani zadała mi pytanie. Chyba przeżyjesz, jeśli jej odpowiem? – Odwrócił się do Chaki. – Jest spokojnie. Ma się wrażenie, że cały świat znieruchomiał.

– Ile razy tam byłeś?

– Dwa – odrzekł. – Za drugim razem pływaliśmy przez kilka dni.

– Na „Solidnej”?

– Tak – odparł Keel – chociaż wtedy żeglowała pod innym kapitanem.

– Jesteś z Morza Wewnętrznego? – spytał dziewczynę Córy. – Nigdy wcześniej nie słyszałem u nikogo takiego dziwnego akcentu.

Chaka posłała mu najbardziej olśniewający uśmiech.

– Ogólnie rzecz biorąc, gdzieś stamtąd – mruknęła, wskazując na tył pokoju. Sięgnęła do kieszeni i wyciągnęła szkic swojego brata zatytułowany „Przystań”. – Spytałam dlatego – ciągnęła, podnosząc rysunek, by wszyscy jej towarzysze mogli mu się przyjrzeć – że zastanawiam się, czy ktoś z was zna może to miejsce? Widzieliście je kiedyś?

– Jakie miejsce? – ryknął płaskonosy marynarz, który wypił już fundowanego przez Chakę drinka.

– Nic tu nie widać z wyjątkiem skał i wody.

Keel patrzył na szkic przez długą chwilę, potem potrząsnął głową. Pozostali wzruszyli ramionami. Chaka zamówiła drugą kolejkę.

– Mój brat był tutaj jakieś dziesięć lat temu – wyjaśniła. – Należał do grupy ludzi, którzy wydzierżawili statek i popłynęli nim na morze.

– Dokąd? – spytała Błękitna.

Chaka spojrzała na rysunek.

– Właśnie tutaj – szepnęła – gdziekolwiek to jest.

– Co jakiś czas – wtrącił Keel – jakiś cholerny głupiec chce wypłynąć na morze. Zwykle pragną tam z kimś pohandlować. Tyle że na tamtejszych brzegach nie ma nikogo oprócz przeklętych Tuków.

Jeśli ktoś zamierza popłynąć na morze, powinien zbudować sobie wystarczająco solidną łódź... Mówisz o historii, która zdarzyła się dziesięć lat temu? W tamtym okresie wiele łodzi wypływało na morze, by wykonać takie czy inne zlecenie. Ludzie nie zawsze chcą wracać.

– Moi przyjaciele szukali Przystani – przerwała mu Chaka. – Prowadził ich starszy człowiek – Karik Endine. Siwe włosy, średni wzrost. Wyglądał przeciętnie.

– Świetny opis. – Keel się roześmiał. – Nie sposób kogoś takiego przeoczyć. Jednak tak się akurat składa, że rzeczywiście słyszałem o Kariku Endinie. Podejrzewam, że wszyscy w porcie znają związaną z nim opowieść.

– Jaka to opowieść?

– Właściwie jest ich wiele, w większości sprzecznych ze sobą. Sądzę, że wszystko zależy od osoby, z którą rozmawiasz. Z tego, co wiem, ci ludzie byli poszukiwaczami skarbów. Ubili interes z pewnym kapitanem. Nazywał się Dolbur. Zabrał grupę w dół rzeki, a później wybrzeżem na północ. Zdaje się, że przydarzyło im się coś niespodziewanego.

– Co takiego?

– Nie wiem. Chyba nikt nie wie tego na pewno. Podobno spotkali upiora. Albo wodnego demona. Jakieś dziwadło. Krążą na ten temat różne opinie. Stracili wielu ludzi. Nikogo spośród członków załogi, ale wszystkich, którzy byli z Endine'em. Tylko jeden wrócił.

– Sam Endine – dodał inny marynarz.

Keel przez długi czas przypatrywał się Chace.

– Gdzie mogę znaleźć tego Dolbura?

Zęby Keela błysnęły spod brody.

– Znalezienie go jest dość łatwe, niestety rozmowa z nim znacznie trudniejsza. Facet nie żyje. Zastanawiam się, kto jeszcze płynął na owej łodzi.

– Guzowaty – podsunęła kobieta.

Keel pokiwał głową.

– Tak, zgadza się. Guzowaty należał do załogi.

– Kim jest Guzowaty?

– Pierwszym oficerem. Chcesz z nim porozmawiać?

– Tak.

– Będzie tu jutro.

Guzowaty naprawdę nazywał się Mandel Aikner. Chaka z wrodzonej uprzejmości nie zapytała o pochodzenie pseudonimu, ale nie potrzebowała wcale bogatej wyobraźni, by się tego domyślić, ponieważ łysa guzowata czaszka mężczyzny wyglądała na wielokrotnie uderzoną pałką. Twarz oficera była charakterystyczna: wielki, cebulasty nos skrzywiony na bok w wyniku stoczonych przed laty walki, duże uszy, wąskie, podejrzliwe oczka i płaski jak łopata podbródek. Kępy sztywnych jak druty siwych włosów wychodziły mu z kołnierzyka związanej pod szyją koszuli.

– Nie wiem, czy potrafię powiedzieć ci coś, czego jeszcze nie wiesz – oświadczył, gdy czekali na steki. (Chaka siedziała z nim sama, wychodząc z założenia, że swobodniej będzie mu się rozmawiało z kobietą).

– Przypuszczam jednak, że sporo wiesz, Guzowaty. Karik Endine i jego ludzie przybyli do Brockett i wynajęli tam statek. Dlaczego nie wydzierżawili go tutaj?

Guzowaty podniósł karafkę, przez chwilę wpatrywał się w ciemnoczerwone wino, potem napełnił powtórnie swój kieliszek, a następnie naczynie dziewczyny.

– Zanim skupimy się na szczegółach – rzekł – chcę, żebyś zrozumiała jedno. Za żadne skarby tam nie wrócę. Okay? Powiem ci, co wiem, ale nie popłynę z tobą.

– Okay – zgodziła się. Opisała swojego brata i spytała, czy go widział.

– Tak – przyznał. – Znałem Arina.

Jej serce szaleńczo zabiło.

– Przystojny był z niego chłopak. Nie mówił wiele. Znałem ich wszystkich. Shaya. Toriego. Mirę. Randa. Axela. Mimo upływu tylu lat, pamiętam ich. I Endine’a również. – Zabębnił palcami w stół. – Trudno zapomnieć.

Spośród wymienionych Chaka spotkała tylko Toriego, przyjaciela Arina, i Mirę. Pozostałych znała jedynie z nazwiska.

– Endine najbardziej zapadł mi w pamięć – ciągnął Guzowaty. – Był wrogo do nas nastawiony. – Zastanawiał się, co powiedzieć dalej. – Nie był twoim ojcem ani krewnym, prawda?

– Nie, nie. – Uśmiechnęła się zachęcająco. – Znałam go, choć niezbyt dobrze. – Zaczynała myśleć, że nikt go dobrze nie znał.

– Nie chciał z nikim rozmawiać. A to na tak małej łodzi jak „Mindar” jest dość trudne.

Było wcześniej. Spektakl miał się rozpocząć dopiero mniej więcej za godzinę i sala jadalna świeciła na razie pustkami. Siedzieli przy narożnym stoliku. Guzowaty napił się wina, wytarł usta i poufale pochylił się do przodu, chociaż nikt nie znajdował się na tyle blisko, by podsłuchać ich rozmowę. Oddychał ciężko, a gdy mówił, rzeziło mu w płucach.

– Pełniłem wówczas na „Mindarze” funkcję drugiego oficera. Przewoziliśmy przeważnie węgiel, żelazo, zboże i alkohol do Brockett i okolicznych osad. Ech, nie wybrzydaliśmy, transportowaliśmy wszystko, co kazali. Dowodził nami kapitan Dolbur. Nie żyje od trzech lat.

– Pierwszy raz usłyszałem o Kariku Endinie, gdy kapitan wezwał mnie i Jeda Raulina do swojej kwatery. Jed był pierwszym oficerem. Staliśmy w doku po wykonanej robocie. Dolbur wyjaśnił, że w mieście jacyś ludzie, cudzoziemcy... chcą wydzierżawić łódź. Pragnęli, by kapitan zabrał ich w dół Hudson, a potem na Atlantyk. Widziałaś tutejsze łodzie? „Mindar” jest teraz w dole rzeki, więc pewnie nie miałaś okazji mu się przyjrzeć. Jest większy niż inne, lecz również nie nadawał się na morze. Kapitana skusiła jednak spora gotówka. Zresztą mieliśmy przez cały rejs trzymać się blisko lądu. Dolbur tłumaczył, że Endine pokazał mu sakiewkę pełną złotych monet. Każdy marynarz miał za tę jedną parotygodniową wyprawę otrzymać niemal roczną zapłatę. Kapitan pytał, czy może na nas

liczyć.

– Jed miał rodzinę. Odparł staremu, że musi omówić sprawę z żoną. Nie zgodziła się, więc awansowałem. Wycofało się także dwóch marynarzy. Goście chcieli płynąć na północ. Wzdłuż wybrzeża. Było ich siedmiu, licząc Endine'a. Celem było miejsce odległe od ujścia Hudson o sześćset mil, plus minus dwieście. Przybysze nie wydawali się całkowicie pewni, dokąd chcą płynąć. Mieliśmy ich dowieźć, pomóc im, poczekać ze trzy tygodnie, aż się rozejrzą, a następnie przywieźć ich z powrotem, o ile zdecydują się wrócić. Jeśli nie, powinniśmy ich zostawić. Było bardzo gorąco, gdy przygotowywaliśmy łódź do podróży. Wydzierzawiliśmy łódkę ratunkową, przysposobiliśmy kwatery, zainstalowaliśmy system bloków na pokładzie rufowym. Nikt nic, cholera, nie wiedział o krainie, do której płynęliśmy, więc po prostu załadowaliśmy tyle drewna, ile się dało. Wzięliśmy też sporo jedzenia i wody. Kapitan przejrzał każdy cal kadłuba, postawił parę nowych drzewców, dodał trochę smoły. Dostaliśmy również nową kotwicę.

– Ogólnie rzecz biorąc – podsumował – pracowaliśmy nad „Mindarem” przez blisko trzy tygodnie. Potem Karik Endine i jego ludzie weszli na pokład. Pewnego wilgotnego lipcowego poranka opuściliśmy Brockett i skierowaliśmy się w dół rzeki. Później, gdy już wróciliśmy, niektórzy chłopcy twierdzili, że od początku mieli złe przeczucia co do tej wyprawy. Ale prawdę mówiąc, nie sądzę. Pamiętam, że czuliśmy się dobrze. Wiedzieliśmy, że mamy dobrą łódź, świetną załogę i że potrafiemy sobie radzić w błękitnej wodzie. Pamiętaliśmy, że zarobimy więcej pieniędzy, niż dostaliśmy kiedykolwiek przedtem. I prawdopodobnie więcej niż kiedykolwiek później. Nikt nie zamierzał się wycofywać.

– Drugiego dnia rejsu minęliśmy Manhattan i skierowaliśmy się na północ wzdłuż wybrzeża. Opłynęliśmy łatwo długi półwysep i znaleźliśmy się na morzu. Był szary, deszczowy dzień, co podobno nie wróżyło nam najlepiej. Lecz wtedy niczego nie zauważaliśmy. Linia brzegowa była dzika. Wiele skał, mielizn, niebezpieczne wiry. Kotwiczyliśmy każdej nocy o zachodzie słońca i nigdzie wokół siebie nie widzieliśmy świateł. Łódź była głębiej zanurzona, niż chcieliśmy, wieźliśmy bowiem w ładowniach zbyt wiele drewna i zapasów. Wszyscy mieliśmy świadomość, że jeśli trafimy na spienione morze, szczególnie daleko od brzegu, znajdziemy się w tarapatkach.

Zaległa chwila milczenia.

– Jak powiedziałem, Endine był nietowarzyski. – Guzowaty zmarszczył czoło i wyszczerzył do Chaki żółte zęby. – Nie, ściśle rzecz biorąc, po prostu trzymał się na osobności. Spędzał większość czasu na pokładzie i wypatrywał na morze. Miał chłodne, błękitnoszare oczy i nie interesował go nikt poza nim samym. Jego ludzie chyba nie za bardzo go lubili. Powoli zacząłem ich poznawać. Nie sposób uniknąć kontaktów, gdy przez tydzień przebywa się razem na łodzi. Po drodze straciliśmy kilka osób. Dwie zastrzelono, dwie umarły od gorączki. Tori, najmłodszy z grupy, powiedział mi, czego szukają. Miałem nadzieję, że kapitan otrzymał zapłatę z góry, ponieważ wiedziałem, że Przystań nie istnieje.

– Noce były chłodne, kwatery na łodzi niezbyt luksusowe, więc każdego wieczoru przewoziliśmy łódką na brzeg pasażerów i parę osób z załogi. Którejś nocy ktoś do nas strzelał. Sukinsyn nikogo nie trafił, ale miał szczęście, że go nie znaleźliśmy. To jedyne zajście, które sobie przypominam. Na początku drugiego tygodnia na wschodzie pojawił się ląd. Uznaliśmy go za wyspę, choć teraz nie jestem już tego taki pewien. Może dostrzegaliśmy długi cypel kontynentu, sam nie wiem. Teren był górzysty i leżał dość daleko od nas, ale Endine natychmiast zaczął wołać podekscytowanym głosem, że jesteśmy „w zatoce”. Zobaczyliśmy parę wielorybów i wszyscy potraktowali to jako dobry omen. Nigdy wcześniej nie widziałem wieloryba. Potem pojawiło się ich jeszcze parę.

– Po pewnym czasie – kontynuował – ziemia na wschodzie się zbliżyła. Okazało się, że zgodnie z

podejrzeniami Endine'a rzeczywiście jesteśmy w zatoce lub w kanale. Droga wodna, którą płynęliśmy, stawała się coraz węższa. Pierwszej nocy zakotwiczyliśmy przy wschodnim brzegu i zeszliśmy na ląd. Od czasu strzelaniny każdej nocy rozstawialiśmy warty. Pełniłem wachtę od północy przez dwie godziny. Karik Endine nie spał przez cały czas, siedząc na skale nad wodą. Spytałem go, czy nic mu nie jest, ale nawet mnie nie słyszał, póki go nie szturchnąłem. Morze na północy jest hałaśliwe, właściwie masz do czynienia ze stałym rykiem. Gdy rano zeszliśmy na plażę, „Mindar”, którego zostawiliśmy w odległości dwudziestu stóp od wody, stał całkiem suchy na brzegu. Zaczął się odpływ.

– Endine był wściekły. Kapitan znalazł się w nocy na pokładzie, widział, co się dzieje i próbował ruszyć łódź, niestety zareagował niedostatecznie szybko. No więc utknęliśmy na plaży. Rozumiesz, Chako, byliśmy przyzwyczajeni do pływania po rzekach. Nic nie wiedzieliśmy o tych wodach. Kapitan tłumaczył się, lecz Endine tylko wyzywał go od idiotów. Nigdy nie zapomnę tych jego wrzasków. Później podróżnicy przepaszali nas w imieniu swego przywódcy. Ale kapitan Dolbur był człowiekiem pamiętliwym. Przyptyw nadszedł prędko. Nigdy czegoś takiego nie przeżyliśmy. Ni stąd, ni zowąd wąski kanał wypełnił się i łódź znalazła się ponownie w wodzie gdzieś tak w połowie poranka. Początkowo nie płynęło nam się najlepiej, potem jednak coś szaleńczo nas pchnęło ku północy. W miarę jak płynęliśmy, kanał zwężał się coraz bardziej, a im bardziej się zwężał, tym szybciej płynęliśmy.

– Otaczała nas dziwna kraina, dzika, górzysta. Niewiele widzieliśmy ruin, jedynie kilka miast tkwiło wokół portów, na półkach skalnych lub ciągnęło się wzdłuż wybrzeża. Dostrzeżliśmy nieliczne drogi, mosty na nadbrzeżnych rzekach. Pod koniec drugiego dnia kanał rozdzielił się na dwa. Po krótkim wahaniu, Endine kazał skręcić na prawo. Później zobaczyliśmy przylądek na wschodnim brzegu. Podniecenie naszych pasażerów wzrosło. Mieli ze sobą mapę, stale do niej zaglądali, długo patrzyli na przylądek, gdy go opływaliśmy. Zrozumiałem, że się zbliżamy. Co kilka minut wyjmowali mapę i ustalali nasze położenie na podstawie mijanych gór, rzek i innych punktów orientacyjnych. Znaleźli miejsce, którego poszukiwali. Wybrzeże po obu stronach znaczyły strome skarpy i urwiska. Pasażerowie skoncentrowali się na jednym z urwisk na wschodnim brzegu. Wyglądało dosyć zwyczajnie – prostopadła ściana wznosiła się niemal na dwieście stóp z wody. Na szczycie rósł gęsty las.

Chaka wyjęła z kieszeni kaftana szkic zatytułowany „Przystań”.

– Tak wyglądał? – spytała.

Guzowaty przyjrzał się rysunkowi.

– Tak – powiedział. – Dokładnie. Na północy urwiska płynęła rzeka i rozciągała się kamienista plaża. Pasażerowie jeszcze raz przyjrzel się mapie, ustalili pozycję w stosunku do zakrętu kanału i leżącej na zachodzie geologicznej formacji w kształcie siodła. „Nareszcie”, krzyczeli, przekonani, że trafili do Przystani. Wiwatowali, klepali się po ramionach i popijali alkohol. Endine po raz pierwszy przybrał prawie przyjazną minę. Pamiętam, że ścisnął dłonie każdemu, kogo spotkał, łącznie z marynarzami. Wszyscy dostali po drinku. Szukaliśmy odpowiedniego miejsca na rzucenie kotwicy. Woda ponownie opadła, zaczął się odpływ i postanowiliśmy tym razem zachować większą ostrożność. Łódź miała zostać na środku kanału wraz z całą załogą z wyjątkiem mnie. Moim zadaniem było odstawienie Endine'a i jego ludzi na plażę. Miałem poczekać do następnego ranka na przyptyw, a następnie wrócić na „Mindara”, by ktoś inny zajął moje miejsce na brzegu.

– Przybyliśmy na brzeg dwie godziny po zachodzie słońca. Pasażerowie natychmiast wyskoczyli z łódki i rozbiegli się niczym gromadka dzieciaków. Patrząc na nich, nie wierzyłem własnym oczom. Po prostu pobiegli w ciemność. Zostałem przy łódce. Wrócili około północy, smutni i nieszczęśliwi.

Wiedziałem, że sprawy nie ułożyły się najlepiej. Tori wyjaśnił, że szukali na górze pomostu albo windy na powierzchni urwiska. Kiedy spytałem, skąd miałby się tam wziąć pomost, chłopak po prostu popatrzył na skalną ścianę. „Stacja kolejowa”, odparł i roześmiał się.

Oczy Guzowatego spoczęły na Chace.

– Wiesz, co to pociągi, prawda? Używały silników parowych, tak samo jak „Mindar”. Może jestem głupi, ale nie mam pojęcia, jak kolej mogłaby jeździć po froncie urwiska. Pasażerowie położyli się i czekali na dzienne światło. Nie sędzę, by któryś z nich spał wiele. Wstali jeszcze przed świtem, na prośbę Endine’a zjedli śniadanie, zebrali sprzęt i zeszli nad wodę, skąd rozciągał się najlepszy widok na urwisko. Nie dostrzegli tego, czego szukali. Karik Endine parskał, chodził tam i z powrotem, aż w końcu rozłożył ręce i wrócił do mnie. „Łódka”, rzucił tylko. Był odpływ, więc przez szlam musieliśmy przeciągnąć łódkę do wody. Wreszcie wszyscy wskoczyli do środka. „Opłyniemy ścianę – poleciał mi. – Jakieś ćwierć mili stąd”.

– Nie wiem, czy ci o tym wspomniałem, ale łódka nie miała silnika. To był mały bączek. Miał żagle i wiosła, które wystarczają, jeśli płyniesz po rzece. Jednak na takich falach nic nie dają. Nie podobał mi się pomysł Endine’a, lecz wziąłem ich w ten krótki rejs. Powtarzali w kółko: „Musi tu być” i „Cholera, nic nie widać”. „Wasza stacja kolejowa zniknęła?”, spytałem Toriego. Przytaknął. Roześmiałem się. „Nie zaskakuje mnie to”, mruknąłem. „Widzisz, Guzowaty – powiedział Tori – szukamy jakiegoś znaku wskazującego na istnienie budowli. Choćby kępy krzewów”. Twierdził, że jeśli na skalnej powierzchni znajdował się peron bądź stacja, powinny pozostać po nich choć wydrążone otwory. Po latach takie otwory podobno wypełniają się błotem, na którym rosną krzewy. Nie uwierzyłem w tę historyjkę, ale nagle ktoś zawołał, że coś widzi. Pozostali twierdzili, że dostrzegają fragment przebarwionej skały. Również go zauważyłem. Podróżnicy wydawali się usatysfakcjonowani, więc odwiozłem ich z powrotem. Udali się do lasu. Obeszli urwisko, dotarli do miejsca, gdzie łatwo było się wspiać. Gdy ich ponownie zobaczyłem, byli już na szczycie. Podeszli do krawędzi przepaści i rzucili drabinkę sznurową. Potem jeden z nich zszedł na półkę przebarwionej skały. Był zbyt daleko, nie rozróżniałem go, ale szczerze podziwiałem za odwagę. Pamiętam, czułem wdzięczność, że nie kazali mi iść ze sobą. Ta zabawa nie wydawała mi się bezpieczna.

– Przebarwiona skała znajdowała się około pięćdziesięciu stóp niżej. Zszedł na nią ktoś drugi i we dwóch pracowali tam ponad godzinę. Wreszcie otworzyli jakieś drzwi. Nawet ze swojego miejsca widziałem korytarz. Dwaj pierwsi weszli do środka, a pozostali zaczęli schodzić po drabince. Gdy wszyscy zniknęli w środku, pomachałem zieloną flagą ku statkowi, dając znak kapitanowi, że nasi pasażerowie osiągnęli sukces. Trochę później fala się odwróciła i zaczął się odpływ. Wróciłem na „Mindara”. Gdy tylko wyskoczyłem z łódki na pokład, jeden z zatrudnionych przed rejsem marynarzy popłynął na brzeg, by zająć moje miejsce. Wołali na niego Skok. Nie pamiętam, czy to imię, nazwisko czy pseudonim. Skok był wielkim facetem, często się uśmiechał i stale miał dziwną, nieco głupawą minę. Łatwo go było wystraszyć. Przesiedział na plaży sześć czy siedem godzin, żaden z naszych pasażerów nie pojawił się w wejściu do urwiska. Skok wspinał się więc sam na wierzchołek, zaczął wołać, ale nikt mu nie odpowiedział. Zrobił się nerwowy. Należał do osób, które z braku śmiałości nigdy nie podchodzą blisko ruin Drogowców. Tak czy inaczej, nie palił się do wejścia w korytarz. Nie wiedział, co robić, toteż wrócił na plażę i machał do nas, aż kapitan kazał mu wrócić na „Mindara”. Wyjaśnił, że wołał i nie otrzymał odpowiedzi. Może go nie słyszeli, a może coś się stało.

– Kapitan, ja i jeden z marynarzy wzięliśmy lampy i wsiedliśmy do łódki. Skok powiosłował z powrotem na brzeg. Po naszych pasażerach nie było śladu. Weszliśmy do lasu, dotarliśmy na tył ściany i wspięliśmy się na jej wierzchołek. Wspinaczka nie była trudna, lecz wymagała sporo czasu.



Dotarliśmy prawie po godzinie. Kapitan nie był już wtedy młody i nie miał dobrej kondycji, a w dodatku przez całą drogę mówił o Endinie. Las dorastał niemal do samego szczytu. Wiedzieliśmy o tym, więc trzymaliśmy spokojne tempo. Przez gęste krzewy i tak nie było widać dalej niż na kilka stóp. Kiedy doszliśmy do krawędzi, dostrzegliśmy drabinę sznurową. Była przywiązana do modrzewia. Kapitan pochylił się nad przepaścią i zawołał Karika. Nic. Popatrzył na mnie, potem na drabinę. Wiedziałem, co myśli. Było dla niego zbyt wysoko i nie chciał wchodzić w ruiny. Nie pozostało mu jednak nic innego. Jeśli miał poprosić kogoś, by zszedł na skalną półkę, nie mógł się sam wycofać. Więc chwycił drabinę i szarpnął, sprawdzając, czy jest dobrze umocowana.

– Poleciał mi iść za sobą. Już mieliśmy wyruszyć, gdy przypomniałem sobie, jak robili to ludzie Endine’a. „Czekajcie”, powiedziałem do towarzyszy. Tamci przywiązali linę asekurowającą do jednej z gałęzi. Postąpiliśmy identycznie. Drugi koniec zawiązaliśmy kapitanowi w pasie. „Niech pan jej nie zdejmuję, póki nie znajdzie się w środku”, powiedziałem mu. Roześmiał się i zaczął schodzić po szczelkach. Dość prędko zniknął nam z pola widzenia. Parę minut później lina zabezpieczająca zawisła luźno, więc wciągnąłem ją, obwiązałem się w pasie i zszedłem za kapitanem. Urwisko było trochę nierówne na czubku, dlatego musiałem opuścić się kilka stóp ze skały. Na dole, w pobliżu drzwi, drabinę mocowały dwa bolce z kółkiem. Prosto z niej wskoczyłem do korytarza. Kapitan czekał na mnie w środku. Nie zauważyłem nikogo innego.

Chaka zamówiła nową karafkę wina.

– Jak wyglądał korytarz od środka?

– Kamienne ściany, jak to we wnętrzu góry. Dużo pyłu. Wiele śladów stóp. Przejście miało około stu stóp długości i było wystarczająco szerokie, by zmieścić w nim „Mindara”. Powąta znajdowała się prawdopodobnie na wysokości dwudziestu stóp. Dostrzegłem schody w dół, które skręcały mniej więcej co dziesięć stóp, aż znikały w mroku. Po obu stronach korytarza znajdowały się wejścia. Światło dzienne nie docierało tutaj, a nasze lampy nie zdały się na wiele. Już miałem wsunąć głowę w pierwszy otwór, kiedy kapitan pociągnął mnie w tył; pomieszczenie nie miało podłogi. Popatrzyliśmy w dół ziejącej dziury. Szyb.

– Bardzo głęboki? – spytała Chaka.

– Nie mogliśmy dostrzec dna. Identyczne znajdowały się za wszystkimi drzwiami w przejściu. Widzieliśmy także boczny korytarz. Co jakiś czas wołaliśmy Endine’a. Odpowiedzi nie było. Tylko echo. Ślady stóp prowadziły po schodach w dół. Sądząc po śladach, nikt nie wrócił na górę.

Guzowaty potrząsnął głową.

– Sądzę, że gdyby decyzja należała do mnie, w tym momencie zakończylibyśmy poszukiwania. Wróciłbym po drabince, odczekałbym parę godzin i – gdyby nie wrócili – odpłynąłbym. Mówię poważnie. Rozumiesz mnie, prawda? Jednak kapitan uważał, że ma wobec swoich pasażerów zobowiązania. Wziął więc lampę i ruszył na schody. Zaczęliśmy schodzić. Każde piętro wyglądało tak samo – szyby i poprzeczne korytarze. Po śladach widzieliśmy, że Karik i jego ludzie kręcili się po poziomach, po czym schodzili coraz niżej. Zaglądaliśmy do pomieszczeń za szybami. Były to różnej wielkości pokoje wypełnione rupieciami. Krzesła, stoły i łóżka wyglądały na tysiącletnie. Niektóre pokoje łączyły się z łazienkami. Wszystko pokrywały warstwy kurzu.

– Co kilka minut zatrzymywaliśmy się i wołaliśmy nazwiska pasażerów. Odpowiedzi nie było i muszę ci powiedzieć, że zaczęła mi cierpnąć skóra. Zastanawiałem się, jak duże jest całe to miejsce, skoro nikt nas nie słyszy. Kapitan Dolbur powiedział, że wątpi, czy ktoś tu jeszcze jest. Minęło przecież kilka godzin, odkąd tu weszli. Wokół było wilgotnie i zimno, panowało straszliwe milczenie. „Znaleźli inne wyjście”, oświadczył kapitan. Chodzi o to, że... Bez lampy człowiek nie widział własnej ręki przed twarzą. Nastrój był zdecydowanie klaustrofobiczny. Kto chciałby zostać

długo w tym miejscu? Nagle usłyszeliśmy krzyk Endine'a.

Początkowo nie wiedzieliśmy, co to za dźwięk. Śpiwny jęk gdzieś pod nami.

– Stary siedział skulony na podeście. Rękoma otoczył kolana i kołysał się w tył i w przód. Był blady jak śmierć, w oczach miał szaleństwo, włosy zaś sklezione od krwi. Obok niego stały staranne stosy książek. Było ich ze czterdzieści, może nawet więcej. Jeden stos był przewrócony. Kapitan próbował porozmawiać z nieszczęśnikiem, ale ten traktował nas jak powietrze. Tylko się kiwał i wydawał z siebie ten straszliwy dźwięk. Klatka schodowa kończyła się tuż pod podestem. Zajrzałem do pomieszczenia, lecz nie zobaczyłem nikogo, jedynie mnóstwo rozrzuconych książek. Aby zejść, podróżnicy przywiązali linę. Zawołałem kilka razy, ale odpowiedziało mi tylko echo. Kapitan podszedł do mnie. „Endine chyba całkowicie oszalał – powiedział. – Poza tym, nie widzę u niego żadnych ran”. Pochylił się nad klatką schodową i spojrzał do niższej izby, wysapał moje imię, po czym wydał cichy okrzyk zdziwienia. Na dole leżało ciało.

– Niższa izba znajdowała się ze dwadzieścia pięć stóp pod nami. By ułatwić zejście, na linie zawiązano węzły. Przyświeciłem kapitanowi, który zdecydował się pójść pierwszy, potem przyłączyłem się do niego. Ciało należało do Shaya. Było mokre i nienaturalnie skręcone, pewnie połamane. Mężczyzna miał nieszczęśliwą minę. Nie wiedzieliśmy, co go zabiło.

– Dostrzegłeś rany? – spytała Chaka.

– Parę sińców. To wszystko. Ściany były wilgotne. Zobaczyłem nawet kilka kałuż. Dodam, że z pomieszczenia odchodziły cztery wyjścia. Jeden z korytarzy był długi i wysoki, inny – znacznie krótszy – prowadził do podziemnego jeziora. Po bokach wysokiego korytarza znajdowały się otwarte drzwi. Tylko jedne były zamknięte. Zajrzeliśmy do pokoi i odkryliśmy wszystkie ciała. Leżały tu i tam.

Guzowaty siedział bez ruchu, gapiąc się w punkt ponad ramieniem Chaki.

– Wszyscy nie żyli? – spytała.

– Tak.

– Jak? To znaczy... Co ich zabiło?

– Nie wiem. Wyglądali tak jak Shay.

– Co powiedział Endine?

– Mówił niedużo, a jego słowa nie miały zbytniego sensu. Kapitan obawiał się, że stary nigdy nie przestanie majaczyć. Przywieźliśmy go z powrotem i zaprowadziliśmy do lekarza. Słyszałem jednak, że tej samej nocy po prostu wyjechał. Zniknął.

Guzowaty ciężko westchnął i napełnił swój opustoszały kieliszek.

– Zajrzeliście do zamkniętego pokoju?

– Próbowaliśmy. Niestety drzwi nie ustąpiły. Zresztą, szczerze mówiąc, nie staraliśmy się za bardzo.

Popatrzył na swoje wino.

– Paskudztwo nie jest wystarczająco mocne. Hmm, w każdym razie słyszałem później plotki, że ktoś widział Karika na zachód od Brockett. Potem już o nim nie słyszałem. Aż do teraz.

– I nigdy się nie dowiedziałaś, co się zdarzyło?

– Nie. Opowiadaliśmy ludziom o naszej podróży, a oni się śmiali. Obwiniali nas. Niektórzy twierdzili, że próbujemy coś ukryć. Inni nawet szeptali, że wymordowaliśmy całą grupę. A to przecież był demon! No bo jak zabić pół tuzina mężczyzn i nie zostawić bez żadnych śladów?

– Co się stało z ciałami?

– Zakopaliśmy je. Wynieśliśmy i zakopaliśmy. – Popatrzył uważnie na dziewczynie. – Z honorami – dodał.

– Dziękuję ci.

Kelner przyniósł następną karafkę i napełnił oba kieliszki.

– Może się utopili?

Guzowaty potrząsnął głową.

– W jaki sposób?

– Mówiłeś o niebezpiecznych falach. No i o podwodnym jeziorze.

– Żadna fala nie podnosi się tak prędko, by nie można było przed nią uciec.

Chaka poczuła na plecach dreszcz. Połowa jej posiłku została na talerzu.

– A co z książkami? – spytała. – Co z nimi zrobiliście? Z tymi na podeście...?

– Zabraliśmy je na „Mindara”. Kapitan prawdopodobnie uważał, że są cenne, więc wzięliśmy wszystkie.

– Pamiętasz jakieś tytuły?

– Nie czytam zbyt dobrze, Chako – odparł. – Hm... Nie jestem pewny. Kapitan wymienił kilka tytułów. „Wojna i pokój” to jeden. I jakiś „Dom”. Chyba „Niegościnnie dom”. Coś w rodzaju „Komentarzy na temat konstytucji”. – Skrzywił się, jakby myślenie o książkach sprawiało mu ogromny wysiłek. – Tyle pamiętam. Mówią ci coś?

– Trochę. Co się z nimi stało? Gdy już wróciliście na „Mindara”?

– Wyrzucił je za burtę?

– Kto?! Kto je wyrzucił?

– Endine. Wyszedł pewnego dnia na pokład i wrzucił je wszystkie do morza. Każdą po kolei.

Chaka przeżyła wstrząs.

– Nie mówisz poważnie...

– Wyrzucił je. Nie zważając na to, co przeżyliśmy. Miałem ochotę wepchnąć go do wody. Ale tak, właśnie tak to się odbyło. Wyniósł je na pokład w stosach, a potem wyrzucał za burtę. Jedną po drugiej.

Chaka popatrzyła na niego.

– Jesteś tego pewien? Widziałeś, jak to się stało?

– Tak, jestem pewny. Wszyscy staliśmy na pokładzie i obserwowaliśmy go.

Zasłuchała się w rozmowy ludzi przy sąsiednich stolikach. Czyjś ojciec groził, że usunie syna z testamentu.

– Nie zniszczył wszystkich – powiedziała. – Przywiózł do domu jedną. Powieść Marka Twaina.

Guzowaty wzruszył ramionami.

– No cóż. Widziałem tylko, że wiele wyrzucił.

– Mówiłeś, że ciała... wszystkie z wyjątkiem Shaya... znaleźliście w pokojach? Nie w korytarzu?

– Tak, w pokojach. To były bardzo duże pomieszczenia. Większe niż ten lokal. A wysokie na dwa piętra.

– Co w nich było? W tych pokojach?

– Tylko książki. I jakieś graty Drogowców. Dużo szarych skrzynek. Stale na nie natrafialiśmy.

– Książki?! – Ożywiła się. – Gdzie są teraz?

– Co takiego?

– Książki. Te, których nie zabraliście.

– Przypuszczam, że ciągle tam leżą.

– Zostawiliście je? – Chaka nie mogła uwierzyć w swoje szczęście.

Wzruszył ramionami.

– Jasne. Dlaczego miałyby ich tam nie być? Nie były nic warte. Wyglądały bardzo kiepsko.

– Dlaczego?

– Na dole panowała wilgoć. Było mokro. Wszystkie były zamoczone.

Zacisnęła rękę na kieliszku. Guzowaty łagodnie wyjął jej z dłoni naczynie.

– Spokojnie – szepnął. – Zrobisz sobie krzywdę.

– Twierdziłeś przedtem, że były w dobrym stanie – warknęła Chaka.

– Mówiłem o tych na schodach.

– Jasne. Dzięki, Guzowaty. – Podała mu złotą monetę. – Mamy zamiar wynająć łódź i wrócić w tamto miejsce.

Powoli wziął monetę i schował ją do kieszeni.

– Nie sądzę, żeby wam się to udało.

– A to dlaczego?

– Nikt nie popłynie. Miejsce jest nawiedzone i wszyscy o tym wiedzą.

– W porządku. Jeśli jednak zdołam wypożyczyć łódź, pokażesz mi, gdzie się znajduje to wejście w skale?

– Już ci powiedziałem, że nie zbliżę się do tego miejsca na milę.

– Mam jeszcze dwa takie pieniążki – mruknęła, patrząc na jego kieszeń.

– Nie mają dla mnie znaczenia. Słuchaj, opowiem ci coś, żebyś mnie nie uważała za głupca i tchórza. W drodze powrotnej złapał nas sztorm i o mało się nie rozbiliśmy. Byle pech i każda z naszych łodzi tonie na otwartych wodach jak kamień. Pamiętaj też o rwącym nurcie. W dodatku tam straszy! – Wypił długi łyk wina. – Powiem ci, co dla ciebie zrobię. Sporządzę ci mapę. Weź ją ze sobą. – Pokiwał głową. – Ale nie wrócę tam. I dobrze się zastanów, zanim popłyniesz. O ile zdołasz przekonać jakiegoś szaleńca, by cię zabrał.

Guzowaty miał rację. Illyryjczycy rozmawiali z sześcioma kapitanami w porcie i tylko jedna z osób okazała minimalne zainteresowanie podróżą na północ. Była dowódcą „Iriki”, nieco przechylonej, poobijanej, paskudnie śmierdzącej łodzi do przewozu bydła. Niewiele lepiej prezentowała się sama pani kapitan, władcza kobieta z podmalowanymi na czerwono oczyma i krzywymi zębami. Quait szczerze ją zaskoczył, gdy zerwał negocjacje już po ustaleniu polubownej ceny.

– Chodziło jej tylko o złoto – wyjaśnił później. – Wzięłaby zapłatę, potem ograbiła nas i wyrzuciła za burtę.

Podróże lądem znużyły już całą trójkę. Jeśli mapa Guzowatego była dokładna, Przystań znajdowała się w odległości ponad pięciuset mil. W linii prostej. Przynajmniej trzydzieści dni drogi. Może potrzebna będzie na końcu jeszcze jedna łódź.

– Prawie mnie kusilo, by spróbować szczęścia z „Iriką” – odezwał się Flojjan. – Gdyby jej załoga okazała się niegodna naszego zaufania, łatwo mogliśmy wszystkich marynarzy uspić za pomocą trójkątów i przejąć łódź.

– Świetny pomysł – mruknęła sarkastycznie Chaka. – Potem mogliśmy nią wypłynąć na morze. Wiemy chociaż, jak działa jej silnik?

– Tak – odparł Flojjan. – Sądzę, że byśmy sobie poradzili.

– Obsługa jest zbyt skomplikowana. – Quait pokręcił głową. – Około trzydziestu mil na północny wschód stąd znajduje się miasto o nazwie Bennington. Chyba powinniśmy się udać w tamtym kierunku.

– W jakim celu? – spytał Flojjan.

– Czy nie tam mieszka Orin Claver?

– Claver? – Quait potrzebował czasu, by przypomnieć sobie, gdzie słyszał to nazwisko. – Ach, odkrywca silnika parowego.

Flojjan uśmiechnął się niepewnie.

– Tak, pasażer balonu.

Podobnie jak Oriskany, Bennington składało się z szeregu farm otaczających ufortyfikowaną rezydencję. Tyle że Bennington nie było osadą nadgraniczną i nie groziły jej stałe bitwy z rabusiami, które toczyła sędzina. Goście wyczuwali unoszącą się nad okolicą aurę ogromnego spokoju. Wzdłuż dróg dojazdowych nie było patroli, dzieci bawiły się na polach bez nadzoru. Proporce trzepotały ze ścian częstokołu, wrota pozostawały niestrzeżone. Kraj był otwarty, równo podzielony między las i pola uprawne.

Claver mieszkał w chacie przy głównej drodze oddalonej około godzinę na wschód od rezydencji.

– Łatwo go znajdziecie – powiedział wędrowcom kierowca furmanki. – Poszukajcie obelisku. Nie sposób go przeoczyć.

Miał rację. Obelisk był widoczny na kilka mil. Wznosił się w pogodne, popołudniowe niebo i był najwyższą konstrukcją w Brockett i na sąsiednich terytoriach. Kiedyś w tym miejscu leżało miasto, teraz wszakże spoczywało pod niskimi falistymi wzgórzami, a na jego obecność wskazywał jedynie ów obelisk. Podróżnicy dostrzegli też troskliwie zakonserwowaną płytę z napisem:

JESZCZE ZOBACZMY, KTO PRZEJMIE TĘ FARMĘ.

*Reuben Stebbins, Gwardia Kolonialna Bitwa pod Bennington, 11 maja 1776*

Dom Clavera był jednym z wielu pobudowanych w pobliżu wzgórz. Wyróżniał się jednak, gdyż nie

uprawiano otaczających go pól, a na tyłach sterczała drewniana konstrukcja, wyższa niż drzewa. Na konstrukcji spoczywała ogromna torba – balon.

Obok domu stało wiele szop, stajnia i silos. Wędrowcy zsiadli z koni, zastukali do frontowych drzwi i – nie otrzymawszy odpowiedzi – obeszl dom. Szopy były wypełnione silnikami, zbiornikami i kadziami. Każdy budynek wyposażono w stół warsztatowy, podłogę często pokrywały strużyny, ściany zaś – szarobrązowe plamy. Na jednym z drewnianych stołów podróżnicy dostrzegli rząd kubków z różnokolorowym alkoholem.

Troje przyjaciół zatrzymało się przed wiklinowym koszem, z którego zwisały sznury.

– Podejrzewam, że w tym się leci – osądziła Chaka.

Flojjan z wyraźną niechęcią obejrzał kosz. Stali przed pomalowaną na pomarańczowo szopą, wypełnioną smrodem, który czuli jeszcze w dwadzieścia minut później, gdy z lasu wybiegł starszawy mężczyzna.

– Witam, witam – zawołał, machając rękoma. Zatrzymał się przed nimi zaledwie na moment, po czym zniknął w stajni. Podążyli za nim. – Ciepły dzień. – Wytarł czoło ręcznikiem. Mężczyzna był zyłasty i muskularny, miał długie srebrne włosy przewiązane opaską. – Przyszliście w odwiedziny?

Nie był poważnym akademikiem, marszczącym z byle powodu brwi, jaki spodziewał się Quait. Błyskał nieco roztargnionym uśmiechem, choć równocześnie w jego intensywnie zielonych oczach czaiła się ogromna inteligencja.

– Orin Claver?

– Tak. A wy kim jesteście?

Quait dokonał prezentacji. Claver przyglądał się z wielką uwagą całej trójce; najwyraźniej nie miał zbyt dobrego wzroku.

– Mówicie z zabawnym akcentem – zauważył. – Skąd jesteście?

– Z Doliny Missisipi.

– Och, przebyliście długą drogę. – Stwierdzenie to bardzo zaskoczyło Quaita, oczekiwał bowiem zwykłego wzruszenia ramion. – Na pewno nie pokonaliście tak ogromnej trasy tylko po to, by się ze mną zobaczyć.

– Słyszeliśmy, że zabierasz ludzi na przejażdżki.

– Balonem? Tak, rzeczywiście. Dokąd chcecie lecieć? – Zzuł buty i zdarł ubranie bez najmniejszego śladu wstydu.

– Mamy mapę. – Quait pokazał mężczyźnie.

Claver rzucił jedno szybkie spojrzenie w jej kierunku, skinął głową, jak gdyby coś właśnie zrozumiał, po czym napiął mięśnie przedramion.

– Trudno uwierzyć, że mam osiemdziesiąt siedem lat, prawda? – Wyszczrzył zęby. – No cóż, wejdźmy do domu.

Miał na sobie jedynie białe szorty. Illyryjczycy przeszli zaniedbany trawnik i weszli do budynku. Tuż za frontowymi drzwiami wisiała torba z orzechami włoskimi. Claver poczęstował nimi swoich gości.

– Dobrze na trawienie – oświadczył.

Chaka przyjęła kilka. Claver wziął jeden dla siebie, a dwa rzucił na trawę. W ciągu sekundy pojawiła się para wiewiórek i pochwyciła smakołyki.

Wnętrze było jasne i wygodne, umeblowane hikorowymi meblami i obwieszone muślinowymi firankami w kolorze złamanej bieli. Claver spytał gości, jakie lubią wino, wyjął parę butelek z szafy i napełnił trzy szklanki.

– W kuchni jest zimna woda, jeśli chcecie się umyć – powiedział. Wskazał krótki korytarz. – Tam.

Czujcie się jak u siebie. Wróć za kilka minut.

Wybiegł z pokoju.

– Nie jestem przekonany do tego pomysłu – mruknął Flojjan, kiedy usłyszał głośnie odgłosy włączonego prysznica. – Chcemy zaufać takiemu facetowi? Ma nas zabrać w powietrze jednym ze swoich koszyków? A jeśli dostanie w górze ataku serca?

– Jeśli ktoś z nas czworga dostanie ataku serca – uśmiechnęła się Chaka – na pewno nie będzie to Claver.

Uczony wrócił w czarnych spodniach i białej koszuli z bufiastymi rękawami. Był to strój z fantazją, który wyglądałby dobrze na wesołym dwudziestopięciolatku. Mężczyzna nie miał na sobie butów. W ręce niósł szklaneczkę z winem.

– No dalej! – Usadowił się obok Chaki. – Powiedzcie mi, w jakim celu chcecie lecieć tak daleko.

Quait założył nogę na nogę.

– Czy mówi panu coś nazwa Przystań?

– Oczywiście.

– Wydaje nam się, że wiemy, gdzie leży.

Claver zmrużył oczy.

– Endine! – zawołał, wpijając się spojrzeniem we Flojiana. – Powinienem być od razu rozpoznać pańskie nazwisko. Więc wróciliście. Po tak długim czasie!

– Chodzi panu o mojego ojca – wyjaśnił Flojjan.

– Ach, tak. No tak, naturalnie, że tak! A wy przybyliście po... po co?

– Chcemy odnaleźć Przystań.

– Waszym poprzednikom nie bardzo się udało. Dlaczego sądzicie, że załatwicie lepiej tę sprawę?

– Ależ grupa Karika Endine'a odkryła Przystań – powiedział Flojjan. – Nie mamy co do tego najmniejszych wątpliwości.

– Zaskakuje mnie twoje twierdzenie. Większość tamtych wędrowców umarła po drodze, wróciły jedynie opowieści o chochlikach.

– Mój ojciec przywiózł ze sobą egzemplarz „Jankesa na dworze króla Artura”.

– Naprawdę? Jak to się stało, że nigdy się o tym nie dowiedziałem?

– Nie wiem – odparł Quait. – Mamy jednak książkę.

– Proszę posłuchać – wtrąciła Chaka. – Te wszystkie szczegóły i tak nie mają zbytniego znaczenia.

– Wyjęła złoty pieniążek i wręczyła ją Claverowi. – Zapłacimy dziesięć takich monet, jeśli zabierzesz nas do wskazanego przez nas miejsca.

Mężczyzna przytrzymał monetę pod światłem.

– Bardzo hojnie. Niestety, na taki lot mógłby się zgodzić jedynie głupiec. Nie mam czego szukać na morzu i nie zamierzam ryzykować własnego życia i sprzętu. Ani za dziesięć złotych monet, ani za sto. Właściwie nie potrzebuję pieniędzy.

– Skąd wiesz, że nic nie znajdziesz w Przystani? – spytał Quait.

– Gdyby coś tam było, stary Endine by to zdobył. A przecież wrócił z pustymi rękoma.

– Jest powieść Marka Twaina.

– Tak twierdzicie! Ja jednak mam tylko wasze zapewnienia.

– Nie leży w naszym zwyczaju kłamać – obruszył się Flojjan podniesionym głosem.

– Och, wierzę, wierzę. Tyle że... Może źle zinterpretowaliście fakty. – Usiadł prosto i rozluźnił się. – Przykro mi to powiedzieć, lecz nie widzę ważnego powodu, aby lecieć.

– Nie widzisz ważnego powodu? – Quait poczuł, jak rośnie w nim gniew.

– To miejsce jest tylko mitem – oznajmił Claver.

Quait wstał i zaczął iść do drzwi.

– Zrobił na mnie duże wrażenie twój silnik parowy, Orinie – stwierdziła Chaka, nie ruszając się z miejsca.

– Dziękuję. – Claver błysnął kolejnym uśmiechem, choć jego oczy pozostały poważne. Zęby miał mocne i zdrowe. – Pracuję nad ulepszeniem pierwotnego modelu. Drewno nie jest wydajnym paliwem.

– Węgiel! – powiedział ochoczo Flojjan.

– Bardzo dobrze, panie Endine. Tak, węgiel powinien usprawnić działanie silnika.

– Proszę, powiedz mi – ciągnął Flojjan – myślałeś kiedyś o zaprojektowaniu silnika dla statku morskiego?

Claver roześmiał się.

– Oczywiście. Właśnie go buduję.

Chaka dostrzegła za oknem konstrukcję i balon.

– Orinie – odezwała się – jeśli tam naprawdę znajduje się Przystań, mielibyśmy szansę znalezienia informacji na temat „Quebeca”.

Odkrywca przestał na chwilę oddychać.

– Proszę, pomyśl tylko – szepnęła. – Pomyśl, dowiedziałbyś się, jak stworzyć system napędowy dla okrętu podwodnego! A może sądzisz, że pływał na węgiel?

Tym razem mężczyzna uśmiechnął się szeroko.

– Byłoby przyjemnie znaleźć te dane – odrzekł zadumany tonem.

– Ależ „Quebec” to tylko mit – burknął Flojjan. – Prawda?

– Proszę, zabierz nas do tamtego miejsca – zakończyła Chaka. – W najgorszym razie zdobędziesz jedynie minimum, czyli dziesięć złotych monet. A kto wie, jaka może być maksymalna zapłata?



Claver przygotował pokoje dla Illyryjczyków. Rano cała trójka obejrzała gondolę. Okazała się znacznie większa od kosza, który widzieli w magazynie. Była raczej podłużna niż okrągła i wystarczająco duża, by pomieścić kilka osób. Claver wniósł na pokład zapas liny, narzędzia i latarnie. Załadował również cztery koce (uprzedzając, że w powietrzu panuje zimno) oraz sporo garnuszków, rurek, gumowych przedmiotów i szklanych pojemniczków.

– Przenośne laboratorium – objaśnił. – Będziemy musieli wytworzyć wodór na podróż powrotną.

– Chcesz powiedzieć – zapytał Quait – że nie możemy po prostu wylądować, przywiązać balonu do drzewa, a kiedy będziemy gotowi – odlecieć?

– No, nie – odparł – niestety, nie jest to takie proste. Na ziemi zostaniemy tak długo, aż wyprodukujemy trochę wodoru. Nie jest to szczególnie trudne, ale trzeba wylądować blisko miasta.

– Dlaczego? – spytał Flojjan.

– Ponieważ potrzebujemy siarki. Sporo jej można znaleźć wokół miast Drogowców, jeśli się wie, gdzie szukać. Muszę się z wami podzielić pewną opinią. Sądzę, że przeceniamy mądrość Drogowców. Ci cholerni głupcy po prostu się truli. – Rozmawiali głośniej niż normalnie, próbowali bowiem przekrzyczeć maszynę, która sapała i krztusiła się, podczas gdy (podtrzymywany przez wielką drewnianą konstrukcję) balon stopniowo się napępiał. – Musimy też poszukać węgla. Daje więcej ciepła niż drewno. I potrzebne nam będzie żelazo. Tak, musimy zdobyć żelazo.

– Coś jeszcze? – spytał Flojjan.

– No cóż, oczywiście wodę.

– Oczywiście – mruknął Quait.

– Podsumowując, nie możemy po prostu wylądować dokładnie w wyznaczonym przez was miejscu. Wybierzemy najbliższe miasto Drogowców i tam osiadziemy.

Chaka zmarszczyła brwi.

– Orinie, jak długo potrwa lot?

– Wszystko zależy od wiatru. Jeśli będzie pomyślny i jeśli wasze mapy są dobre, dotrzemy na miejsce za jakieś dwadzieścia godzin.

– Co się stanie – spytała – jeśli wiatr nie będzie pomyślny?

– W ogóle nie dolecimy. – Wyszczrzył zęby. – Nie bójcie się jednak. Wiatr zawsze współpracuje z balonem. Do pewnego stopnia...

– Dwadzieścia godzin – bąknęła z powątpiewaniem. – I nie możemy lądować, dopóki nie dotrzemy?

– Będziemy mieli sporo prywatności – zapewnił ją. – Przykro mi to przyznać, lecz balony mają pewne wady podczas tak dalekich podróży. Na pokładzie postawimy kubełek...

Balon wykonano z ciasno utkanego materiału pokrytego lakierem. Na szczycie znajdował się zawór, przez który można było wypuszczać gaz, jeśli pilot zdecydował się obniżyć lot. Wypełniony gazem wór, który Claver nazwał „powłoką”, był otoczony konopną siatką. Gondolę z siecią łączyło szesnaście lin, przechodzących przez obręcz zawieszenia.

– Ta lina łączy się z zaworem – wyjaśnił Claver. – Kiedy znajdziemy się blisko ziemi, tuż przed lądowaniem, użyjemy jej do otwarcia zaworu na wierzchołku powłoki i wypuścimy pozostały wodór.

– Po co? – spytał Flojjan. – Dlaczego po prostu nie przywiążemy gdzieś balonu? Można by ocalić sporo gazu.

– Tak, jeśli lubicie łamać nogi. Nie, musimy pozbyć się wodoru podczas opadania. Zresztą i tak nie zostanie go dużo. Tylko tyle, by pociągnąć nas wzdłuż podłoża. – Roześmiał się. – Wiem, że

brzmi to dla was trochę ryzykownie, ale balony są właściwie dużo bezpieczniejsze niż jazda na koniu.

Torby z piaskiem wisały po bokach gondoli. Claver wyjaśnił, że stanowią ich balast.

– Ilekroć chcemy wzlecieć wyżej, musimy wysypać nieco piasku.

Proces napełniania powłoki zakończył się przed północą. Quait i Chaka obserwowali go z tylnego ganku. Kiedy Claver wyłączył pompę wodorową, wokół zaległa straszliwa cisza. Skąpany w księżycowej poświacie balon przeżył się przy drewnianej konstrukcji, gotów w każdej chwili odlecieć.

– Napełnimy go jutro przed odlotem – oznajmił Claver.

Pompa stała na wozie. Claver przykrył ją kilkoma płachtami, życzył swoim gościom dobrej nocy i wszedł do środka. Quait otoczył Chakę ramieniem.

– Jesteś podekscytowana?

– Tak. Nasze poszukiwania trwały bardzo długo i chciałabym już zobaczyć ich kres.

– Mam nadzieję, że nam się uda.

– Mówisz o Przystani? – Przysunęła się do niego bliżej. – Czy może o balonie?

Następnego dnia przynieśli na pokład zapas owoców, wody, suszonych ryb i mięsa. Ich działania przyciągnęły mały tłumek dzieci i dorosłych. Przybyli zobaczyć ich odlot. Około dwudziestu dorosłych nalegało, by uścisnąć rękę Claverowi i każdemu z jego pasażerów.

– Powodzenia – wołali. Jak gdyby uważali, że podróżnikom potrzebne jest dobre słowo. Dzieci piszczały i goniły się wokół gondoli.

Claver dołączył do zapasów drabinkę sznurową i rozdał wędrowcom po parze przyciemnionych gogli. Ostentacyjnie nałożył swoje (najbardziej krzykliwe ze wszystkich), zapiął zamek skórzanego kurtki, zarzucił biały szalik dokoła szyi i oznajmił, że czas wyruszać. Dwóch krzepkich ochotników wyszło z tłumu i stanęło przy dyndających linach po obu stronach drewnianej konstrukcji.

Illyryjczycy przeszli przez balustradę i znaleźli w koszu. Flojjan wyszeptał modlitwę, Chaka zerkała na powłokę, Quait zaś po raz ostatni zapatrzył się tęsknie w ziemię. Claver wszedł na pokład ostatni. Spytał, czy jego pasażerowie są gotowi i po odpowiedzi twierdzącej dał sygnał ochotnikom. Mężczyźni pociągnęli za liny, drewniana konstrukcja zaskrzypiała i balon zaczął się wznosić.

Rozległy się głośnie wiwaty. Wiele osób stało na drogach, pola falowały. Ludzie (z pewnością przyciągnęło ich zamieszanie), wychodzili z domów, patrzyli w górę, podnosili ręce i machali.

Nic w dotychczasowym życiu – ani postrzał, ani maglew, nawet nie upiorny głos na Union Station – nie poruszyło w Quacie pierwotnych lęków. A teraz naprawdę czuł strach. Teraz gdy patrzył, jak oddala się pod nim ziemia. Nigdy się nie obawiał wysokości i zaskoczyła go stwierdzenie, że podczas wznoszenia się ponad wierzchołki drzew czuje się bardzo nieprzyjemnie. Ze smutkiem dostrzegł, że jego towarzysze znajdują przyjemność w tym nowym doświadczeniu.

– Wiecie co? Nie chodzi tylko o to, że polecimy nad *tetra incognito* – powiedział Claver. – Mój balon znajdzie się dwa razy dalej od domu niż kiedykolwiek.

Starca prawdopodobnie ekscytowała ta informacja, niestety Quait zdenerwował się jeszcze bardziej.

– Przyjrzyjcie się im. – Claver wskazał dwie liny, które zwisały z wnętrza balonu. Do jednej przywiązano żółtą flagę, do drugiej czerwoną. – Ta – wskazał żółtą – kontroluje zawór wodorowy na wierzchołku. O tej – wskazał czerwoną – już słyszeliście. Użyjemy jej podczas lądowania. – Pokiwał z powagą głową. – Postarajcie się żadnej z nich nie dotknąć. Okay?

Quait zapatrzył się na wschód, na falisty krajobraz, na farmy, sady, płataninę dróg i rzek

znikających w lesie. Na drogach stały pojazdy, rzekami płynęły łodzie, w polu pracowali ludzie. Później zniknęły wszelkie ślady cywilizacji. Balon dryfował ponad całkowitym odludziem. Młodzieniec wsłuchał się w odgłosy – w szum wiatru, skrzywienie gondoli, szczekanie dalekiego psa.

– Jest rozkosznie – oświadczyła Chaka.

Quait spoglądał już wcześniej w dół z wysokości – ze szczytów górskich, z Żelaznej Piramidy i z mostu, na którym stracili Silasa. Obecne przeżycie bardzo się jednak różniło od poprzednich. Przerazała go rozciągająca się w dole przepaść, kompletne zerwanie więzi z ziemią. Czuł się wolny, lecz równocześnie wiedział, jak łatwo może zginąć. Nie cieszył się lotem, potrafił wszakże zrozumieć, dlaczego inni ludzie stają się entuzjastami fruwania w chmurach.

Unosili się na południe. W złym kierunku!

– Bądźcie cierpliwi – doradził Claver. – Musimy trafić na przyjazny prąd powietrzny. – Po tej uwadze wziął szufłę, napełnił piaskiem jeden z przywiązanych do balustrady worków, po czym wysłał piasek w niebo. Balon wzniósł się.

– Jesteś pewny, że nie będziemy mieli kłopotów z ponownym opadnięciem? – spytał Quait.

Claver ścisnął go za ramię.

– Tak, mój młody przyjacielu. Mogę cię zapewnić, że w końcu... w taki czy inny sposób... opadniemy.

Flojjan szkicował schemat dmuchawy balonu, ale wiatr szarpał papierem, aż w końcu go podarł. Endine'a znacznie bardziej ciekawił sam balon niż widok.

Claver trafił na właściwy prąd. Po południu skręcili i zaczęli równomiernie lecieć na północny wschód.

– Szacuję naszą prędkość na blisko trzydzieści mil na godzinę – powiedział. Jego słowa wywarły na Quacie ogromne wrażenie. Trzydziestomilowa podróż lądowa zajęłaby półtora dnia.

Pod nimi pojawiały się miasta Drogowców, często zmienione w zwęglone ruiny.

– Stąd lepiej widać skalę zniszczeń. – Claver poprawił gogle. Często przy nich manipulował.

– Zaraza musiała być straszna – ocenił Flojjan.

– Mało powiedziane. – Claver spojrzął w dół. – W czasach Drogowców te ziemie zamieszkiwało mnóstwo ludzi. Odwiedziliście kiedykolwiek Boston albo Nowy Jork? Och, wiedzielibyście, gdybyście tam byli. To bardzo duże miasta. Olbrzymie. Gdzie do nich takiemu Brockett? Na samą myśl o populacji któregoś z tych dwóch kręci mi się w głowie.

Pędzili ponad błotnistą drogą na wschód.

– Jak wysoko jesteśmy na ziemią? – spytała Chaka.

Claver ssał przez chwilę wargę.

– Około półtorej mili.

Droga doszła do rzeki, przecięła ją po nowym drewnianym moście. Na bliższym brzegu ciągnęła się palisada.

– Granica – wyjaśnił Claver. Aż po horyzont widzieli teraz jedynie gęsty las i urwiste wzgórza. Droga była coraz słabiej widoczna. – Czeka nas kiedyś ten sam problem.

– Zaraza? – spytał Flojjan.

– Przeludnienie. Za trzydzieści, czterdzieści lat wszystkie te tereny zmienią się w gospodarstwa rolne.

Tuż przed zachodem słońca przelecieli nad podwójną autostradą Drogowców. Biegła z północy na południe, była szeroka, prosta i z góry wydawała się zupełnie nieuszkodzona. Przed podróżnikami pojawiło się górskie pasmo o ośnieżonych szczytach.

Robiło się coraz zimniej. Cała czwórka okryła się kocami.

– Gdybyśmy lecieli niżej – zasugerował Flojjan – powietrze byłoby cieplejsze.

– Może – odrzekł Claver. – Ale moglibyśmy wpaść w prąd powietrzny, który poniósłby nas w niewłaściwym kierunku. Nie możemy marnować wodoru i balastu na latanie w górę i w dół.

Zjedli posiłek i obserwowali, jak zbliżają się góry. Ziemia pod nimi podnosiła się, wszędzie wokół dostrzegali śnieg, granit skał i las. Góry wznosiły się coraz wyżej, najpierw stopniowo, potem ostro, aż wreszcie balon dryfował tuż nad szczytami. Wędrowcy wręcz czuli zapach świerków. Potem teren znowu opadł. Słońce zaszło i balon otoczyła całkowita ciemność.

Wszedł księżyc w pełni.

– Przy odrobinie szczęścia – powiedział Claver – do świtu powinniśmy się znaleźć nad oceanem.

Ustalili kolejność wacht.

Uczony wskazał na prawą burtę, potem na gwiazdę północną i wyjaśnił, że muszą lecieć pod kątem czterdziestu pięciu stopni w stosunku do niej.

– Jeśli zejdziemy z kursu za bardzo... powiedzmy o trzydzieści stopni albo więcej... na dłużej niż kilka minut, obudźcie mnie.

Gdy któregoś z Illyryjczyków potrzebowało nieco prywatności, ktoś z towarzyszy odgradzał go od reszty kocem. Kubełek wisiał pod koszem i w razie potrzeby wciągano go na pokład, a po użyciu wyrzucano zawartość. Flojjan i Chaka wymieniali rozbawione komentarze na temat biednych ludzi, którzy znajdują się w tym momencie pod balonem.

Quait pierwszy pełnił wachtę. Chaka trzymała się początkowo blisko niego, za co był jej wdzięczny, gdyż grzała go własnym ciałem. Potem wsunęła się pod koc i szybko zasnęła, ukołyszana łagodnym ruchem gondoli.

Zgodnie z sugestią Clavera Quait obierał sobie jakiś punkt orientacyjny – wzgórze, kępę drzew, zakręt rzeki, czasem pagórek – który leżał pod kątem czterdziestu pięciu stopni do gwiazdy północnej. Potem patrzył, jak zbliżają się do tego punktu. Póki posuwali się mniej więcej równolegle, był zadowolony. W pewnym momencie skrzyżowanie na autostradzie, które sobie obrał, przesunęło się mocno na prawą burtę. Balon zaczął się poruszać prawie dokładnie na północ. Quait obudził pilota.

Claver wydawał się dość wesoły jak na człowieka gwałtownie zbudzonego ze snu i z zapalem wyregulował kurs. Pociągnął mocno żółtą linę, aż balon zaczął opadać. Zadanie wyglądało na bardzo proste. Po paru minutach maszyna poruszała się w odpowiednim kierunku, a Claver poprosił, by go obudzić w razie następnych trudności.

Quait wiedział już, jak sprawić, by balon wznosił się i opadał. Nie rozumiał jedynie, skąd wiadomo, który prąd jest pomyślny.

– Nie potrafię ci tego wyjaśnić – powiedział mu później uczony. – Chyba potrzeba sporo praktyki.

Quait nie mógł zasnąć. Może przeszkadzało mu zimno, może zapach słonego powietrza, może podniecenie związane ze zbliżającym się końcem poszukiwań. Najbardziej prawdopodobnym powodem była wszakże bliskość Chaki. Na szlaku roztropnie zachowywał odpowiedni dystans. Teraz jednak śpiąca dziewczyna była tak blisko, na wyciągnięcie dłoni.

Westchnął, wstał i przyłączył się do Clavera, który sterował (cokolwiek w tej maszynie służyło za ster). Niebo rozświetlały promienie wschodzącego słońca, balon pędził równolegle do skalistego brzegu.

Claver gimnastykował się.

– Polecam ci – zawołał. – Dzięki ćwiczeniom robi się ciepło, a ciało pozostaje giętkie.

– Jak sobie radzimy? – spytał Quait.

– Nieźle. – W głosie uczonego dosłyszał nutkę samozadowolenia. – Chociaż wiatr chce nas zepchnąć na morze.

– Nie pozwól na to.

– Nie pozwolę. – Niczym bokser napiął mięśnie. – Tyle że marnujemy sporo gazu i balastu.

– Czy to problem?

– Powoli zaczyna być problemem.

Quait rozparł się i zapatrzył w słońce. Pilot podał mu kilka orzechów i wodę.

– Niezbyt obfite śniadanie – przyznał Claver. – Ale jeśli nam się poszczęści, za kilka godzin i tak znajdziemy się na ziemi.

– Widziałem już przedtem ocean – oświadczył Quait. – Przy ujściu Missisipi.

– W jakim kierunku od lądu znajdowała się woda?

– Południowym.

Claver rozmyślał przez chwilę.

– Zastanawiam się, czy jest to ten sam ogromny akwen? Może moglibyście wrócić do domu drogą morską.

Quait się roześmiał.

– Wszystko jest lepsze niż podróż lądem. – Popatrzył na wschodzące słońce i na zaokrąglony horyzont. Zadał sobie pytanie, co leży za nim. – Potrafiłbyś dolecieć balonem do Chicago? – spytał.

– Gdybyśmy mieli dosyć wodoru. I właściwy wiatr. Ale chyba wolałbym nie próbować.

Zaczęli dryfować. Claver najpierw poderwał balon, potem obniżył jego lot, aż wreszcie maszyna poruszała się znowu do przodu. Quaitowi satysfakcję sprawiła złośliwa myśl, że nawet ich pilot nie jest człowiekiem nieomylnym. Na szczęście worki z piaskiem opróżniały się szybko.

Pędzili na północ ponad poszarpaną linią brzegową, niekończącą się serią klifów, mielizn, zatok i przybrzeżnych wysepek. Widzieli jelenie, dzikie konie i – czasem – oznaki ludzkiej bytności. Minęli kilka pól uprawnych, parę sadów, dom na urwisku z widokiem na port; z komina wydobywały się kłęby szarego dymu. Później dostrzegli małą łódź i rybaków zarzucających sieci. Jednak przez większą część drogi pod podróżnikami rozciągało się pustkowie.

Słońce wspięło się ku południkowi. Wypatrywali lądu na wschodzie i zatoki opisanej przez Guzowatego. Niestety pod nimi pojawiały się jedynie liczne wysepki. W połowie popołudnia wiatr się zmienił. Claver wyrzucił za burtę dodatkowe porcje balastu. Balonem szarpnęło najpierw w jedną stronę, potem w drugą, ostatecznie wszakże wrócił na kurs.

– Przykra sprawa – oznajmił Claver. – Nie zostało już zbyt wiele piasku. Trzeba będzie lądować. Mam nadzieję, że wkrótce zobaczymy tę waszą zatokę.

W ciągu godziny na wschodzie ukazał się zarys lądu. Obserwowali go z nadzieją, lecz i sceptycznie, pamiętali bowiem wcześniejsze wyspy. Tym razem jednak dotarli na miejsce – przed nimi rozciągała się długa linia brzegowa i otwarte morze. Na lądzie pojawiły się góry, a później miasta Drogowców i przybrzeżne drogi zastawione hojjami.

– Właśnie o to nam chodziło – oświadczyła Chaka.

Lecieli nad zatoką na wysokości około dwóch mil. Był odpływ i wędrowcy dostrzegli odkryte przez wodę błotniste tereny. Nieostrożny kapitan łatwo osadziłby statek na mieliźnie.

Kilka minut później zatoka rozdzieliła się na dwa kanały.

– Steruj w prawo – powiedział Flojjan, który niemal nie potrafił ukryć podniecenia.

Woda połyskiwała w świetle słońca. Brzeg składał się ze stromych skarp i zielonych wzgórz. Fale toczyły się po białych plażach bądź uderzały szaleńczo w skalne formacje.

Balon dostał się w boczny wiatr, który znosił ich na niewłaściwą stronę zatoki. Claver niechętnie wypuścił trochę wodoru. Maszyna zatrzymała się, po czym wróciła na kurs, pędząc ku północnemu wybrzeżu. Mimo zrzucenia balastu, niestety nadal opadała.

– Musimy znaleźć miejsce do lądowania – powiedział Claver.

– O tam! – zawołał Flojjan, wskazując przybrzeżną górę w kształcie siodła.

– Dobra nasza! – krzyknął Quait. – Świetnie sobie radzimy.

– Szczerze mówiąc, nie bardzo – mruknął Claver. – Opadamy trochę zbyt prędko. – Wyrzucił resztę piasku. Nadal spadali.

– Orinie? – spytał Quait.

– Przygotujcie się do lądowania – odrzekł. – Trzeba znaleźć miasto.

Zatoka się zwężała. Na wschodzie wyłonił się długi haczykowaty przylądek. Bardzo przypominał cypel z mapy Guzowatego. Wypatrywali interesującej ich stromej pochyłości, którą na mapie zaznaczono jako „urwista ściana”.

– Jest! – wrzasnęła nagle Chaka i wszyscy zaczęli się radośnie obejmować.

Przelecieli obok skarpy.

– Lecimy około czterdziestu mil na godzinę – zauważył Claver.

Zatoka nadal się zwężała. Pod balonem zbliżały się górskie szczyty.

– Miasto przed nami – powiedział odkrywca.

Quait widział teraz wyraźnie sieć starych dróg, falochrony i kamienne ściany. Urwisko, w którym prawdopodobnie mieściła się Przystań, zostało niestety za nimi.

Miasto wydawało się stosunkowo mało zniszczone. Poczerniałe budynki nadal stały, płatanina ulic była niemal nietknięta. Na północy rozciągał się ogromny kompleks przemysłowy.

– Wygląda na starą elektrownię – ocenił Claver. – Prawdopodobnie zamknięto ją przed katastrofą. Jeśli do niej dolecimy, wszystko będzie dobrze.

Pod balonem pędziły urwiska i setki drzew.

– Spróbujcie zachować spokój, kiedy uderzymy – doradził.

Pojawiła się droga, skręciła na wschód. Podróżnicy otarli się o wierzchołek wzgórza i zaczepili o korony kilku drzew. Kiedy się uwolnili, Claver szarpnął za czerwoną linę i powłoka balonu otworzyła się z szumem. Gondola wylądowała tak nagle, że wszyscy pasażerowie wypadli na twardy grunt.

– Jesteśmy na ziemi – zawołał Claver.

– Orinie – jęknął Quait – latanie nigdy nie będzie moją pasją.

Zaciągnęli powłokę i gondolę do szopy, zabrali broń, koce, lampy, drabinkę linową i resztę zapasów, po czym ruszyli z powrotem ku zatoce.

Nie dostrzegali najmniejszych śladów lokalnych mieszkańców: żadnych domów ani pól uprawnych. Znaleźli ścieżkę i weszli nią w las. Nikt nie mówił zbyt wiele. W oddali słyszeli odgłosy przybrzeżnych fal.

Droga się skończyła, lecz podróżnicy wyczuwali zapach wody, więc szli dalej przed siebie. W godzinę później, już po zachodzie słońca, znaleźli się na brzegu morza.

Na kolację zjedli ryby i siedzieli do późna w nocy, milcząc i wsłuchując się w szum fal. Flojiana zaszokowało oświadczenie Clavera, że zamiast sprzedać komuś zasadę działania silników parowych, woli sprzedawać przedsiębiorcom morskim poszczególne silniki. W społeczności pozbawionej praw patentowych taka działalność była równoznaczna z wyjawianiem tajemnicy napędu parowego za parę groszy. Następne silniki kupcy z pewnością produkowali już bez pomocy uczonego.

– Tak naprawdę fakt ten nie ma dla mnie żadnego znaczenia – przyznał się Claver. – Mam tyle pieniędzy, ile potrzebuję. Niepokoi mnie natomiast coś innego. Cena łodzi u przedsiębiorców jest bardzo wysoka, za co potencjalni klienci obwiniają mnie. Sądzą, że podbijam cenę, ponieważ otrzymuję procent od każdego sprzedanego egzemplarza.

– Podczas gdy w rzeczywistości – podsumował Flojiana – drobni producenci się bogacą. – Potrząsnął głową. – Potrzebujesz dyrektora handlowego, Orinie.

Claver przyznał się, że z ogromną ekscytacją oczekuje jutra. Ciekaw był, co znajdą w Przystani.

– Ciągłe mówię sobie: „Porzuć próżne nadzieje”. Wiem, że nie ma na co liczyć. Ale przesładuje mnie myśl o odkryciu „Quebeca”. Jakaż kusząca perspektywa! Schemat tej łodzi mógłby wspaniale ukoronować moją naukową karierę.

Quait i Chaka spacerowali po lesie.

– Ostatnia noc przed osiągnięciem celu – oświadczyła. – Trudno mi uwierzyć, że jesteśmy zaledwie o krok od Przystani.

Łuna księżycowa sączyła się przed gałęzie drzew, rozświetlając lekko włosy dziewczyny. Oczy Chaki błyskały w ciemnościach. Quaitowi wydawała się wręcz boleśnie piękna o tej późnej porze, niczym leśna bogini, która postanowiła się spotkać ze zwykłym śmiertelnikiem. Czuł się jak dziewiętnastolatek.

– Wiesz, co mi przyszło do głowy? – odezwał się z podniecenia nieco wyższym niż zazwyczaj głosem. Cały wieczór zastanawiał się, jak przekazać swoje przemyślenia narzeczonej, w którym momencie zrobić pauzę i na co położyć nacisk. Teraz jednak mówił całkowicie spontanicznie. – Jest taka tradycja – kontynuował – że kapitan statku ma prawo udzielać ślubów. – Poczł, jak dziewczyna na sekundę sztywnieje, lecz szybko znowu przytuliła się do niego. – Nawet rozmawiałem o tym wstępnie z Orinem. Twierdzi, że chętnie to dla nas zrobi. Wydaje mi się, że czas jest idealny.

– Dlatego że jutro zakończymy poszukiwania?

– Nie, ze względu na atmosferę dzisiejszego wieczoru. I ponieważ jestem w tobie zakochany. – *I ponieważ sześciu mężczyzn umarło w tunelach, które odwiedzimy, a nikt nie wie, jak to się stało.*

– Dobrze – odparła.

Nie oczekiwał tak szybkiej odpowiedzi. Przemyślał sobie szczegółowo różne argumenty. Zamierzał mówić Chace o tym, że na całe życie zapamiętają dzisiejszą noc i następny dzień, Przystań i swój ślub. Że wszystkie te sprawy są ze sobą nierozzerwalnie połączone. Że – niezależnie od wyników poszukiwań – podróż do domu będzie trudna i niebezpieczna. (Nie umiał uzasadnić, w jaki

sposób ślub miałby ją ułatwić, ale był pewien, że uczyniłby ją znośniejszą). Że nie ma potrzeby czekać dłużej. Że osiągnęli cel.

Że i tak już się uważają za małżeństwo. Że skoro już podjęli decyzję, nie było sensu odsuwać ślubu na czas nieokreślony. Dziewczyna przytuliła się do niego i pocałowała go.

– Dobrze, Quacie – powtórzyła.

Orin Claver nie był człowiekiem wierzącym. Mimo to – czym przyjemnie zaskoczył Illyryjczyków – chętnie odwołał się do Bogini jako opiekunki ogniska domowego.

– Spotkaliśmy się na tym szczycie – zaczął starą formułkę odwiecznego rytuału – aby połączyć węzłem małżeńskim tego mężczyznę i tę kobietę. – Ogień trzeszczał za nimi, wiatr wzmagął się, coraz silniej poruszając drzewami. Ponieważ nie było nikogo z rodziny, kto mógłby poprowadzić do ołtarza pannę młodą, Flojjan zgodził się przyjąć tę „ojcowską” funkcję.

Biały szal posłużył Chace za welon. Poza tym miała na sobie strój z kozłej skóry. Quait także owinął szyję szalikiem.

Podczas illyryjskich ślubów wymagano dwóch świadków, jednego z ziemskiego zakonu, drugiego z boskiego, toteż Flojjan stał się również reprezentantem niewidzialnej Shanty, przed którą dwoje przyjaciół przyrzekało sobie przyjaźń, miłość i wierność. Po wygłoszeniu formułki Quait i Chaka wymienili pierścionki, które dziewczyna utkała z winorośli i ozdobiła maleńkimi kamykami. Claver obwieścił, że każdy, kto zna przeszkody do zawarcia tego związku, ma je zdradzić teraz lub „zamilknąć na wieki”.

Małżonkowie rozejrzeli się wokół siebie po ciemnym lesie. Oczy Chaki załśniły.

– Nikt się nie sprzeciwił – podsumował ciszę Claver – toteż korzystając z odwiecznej władzy kapitańskiej, ogłaszam was mężem i żoną. Quacie, możesz pocałować pannę młodą.

Flojjan poczuł, że Bogini przygotowuje się do odejścia, skorzystał więc z jej bliskości, by poprosić ją o opiekę nad jej służebnicą Avilą.

„...Prostopadła ściana wznosiła się na blisko dwieście stóp z wody. Na szczycie rósł gęsty las... Na północy urwiska płynęła rzeka i rozciągała się kamienista plaża”.

Popatrzyli jeszcze raz na mapę, ustalili swoje położenie dzięki kanałowi i opisanej przez Guzowatego formacji w kształcie siodła.

– Powiedziałbym, że dotarliśmy na miejsce – ocenił Claver.

Porównali widoczek ze szkicem Arina.

– Musimy iść tą drogą – zasugerowała Chaka. Mniej więcej ćwierć mili w dół plaży.

Stali na mokrym piasku z boku skalnej formacji.

– Widzę przebarwioną skałę – zawołał Quait, wyciągając palec wskazujący ku linii horyzontu. – I wejście.

Wszyscy je zobaczyli. Flojjan zanotował pozycję wyszczerbionego głazu na szczycie urwiska. Chaka wyjęła dziennik Silasa i zapisała: ODNALEŻLIŚMY POSZUKIWANE WEJŚCIE. Dodała datę i parafowała całe zdanie. Kiedy skończyła, wyruszyli, by obejść urwisko. Dotarli do podejścia i zaczęli się na nie wspinać.

Wczesnym popołudniem znaleźli się na wierzchołku. Rozłożyli sprzęt pod świerkiem i spojrzeli, ponad krawędzią. W dół wiodła długa droga. Powierzchnia urwiska była szara, stroma i bardzo mocno wygładzona, jedynie sporadycznie porośnięta krzewami). Daleko w dole biły o skały spienione fale przybrzeżne. Flojjan odszukał wyszczerbiony gład, podszedł do niego i zatrzymał się.

– Tutaj – powiedział.



Mewy trzepotały na powietrznych prądach i ślizgały się na ustępujących falach.

Quait pokiwał głową.

– Zejdę.

Już sięgał po linę.

– Moim zdaniem nie jest to dobry pomysł – oświadczył Claver.

– Dlaczego?

Uczony zerknął na własne osiemdziesięciosiedmioletnie ciało, potem na drobnego Flojiana i na Chakę.

– Wiem, że jak na swój wiek jestem w dobrej kondycji – odparł – nie jestem jednak pewny, czy we troje zdołamy cię tu wciągnąć, jeśli będziesz miał jakieś kłopoty. Wydaje mi się, że najsilniejsza osoba powinna zostać w tej akcji na szczycie, a nie schodzić na dół.

Nikt nie znalazł argumentów, by się z nim spierać.

– Kto zatem schodzi pierwszy?

– Ja – wyrwała się Chaka.

– Nie – powiedział Quait.

Claver skinął głową.

– To ma sens. Jest czterdzieści funtów lżejsza od najlżejszego z nas.

Chaka obwiązała linę wokół ramion.

– Nie ma problemu – rzuciła.

– Ależ jest – zrzędził jej małżonek.

Jednak dziewczyna nie zawahała się nawet na chwilę.

– Jestem pełnoprawnym członkiem tej misji – mruknęła. – Mam takie same prawa jak wy.

– Wiem o tym.

– To świetnie. – Zacisnęła linę i naprężyła ramiona.

– Robiłaś kiedyś coś podobnego? – spytał Quait.

– Bawiłam się w domku na drzewie. – Gdy ciągle się chmurzył, dodała: – Nic mi nie będzie, kochany.

– Powinniśmy byli zabrać uprząż – zauważył Claver. Przymocowali linę do topoli i przerzucili końcówkę nad przepaść. Potem obwiązali Chakę dodatkową liną asekuracyjną.

Szczeble drabinki były drewniane. Początkowo dziewczyna nie mogła w nie trafić z powodu lekkiego wybrzuszenia skalnej ściany. Wpatrywała się w Quaita, póki nie zniknął jej z oczu. Nie spoglądała w dół, lecz czuła, że tam rozciąga się pustka. Pod koniec wyprawy najwyraźniej stale musieli się mierzyć z wysokością.

Zaskakująco łatwo dotarła pod wierzchołek.

– Wszystko w porządku? – dotarł do niej z góry głos Flojiana.

Zapewniła go, że tak i kontynuowała zejście. Co kilka kroków towarzysze wołali do niej. Im niżej się znajdowała, tym bardziej rozpraszały ją ich krzyki. W końcu wrzasnęła, że zawiadomi ich, jeśli będzie potrzebowała pomocy, a teraz prosi o spokój.

Nagle lina się poluzniła i Chaka musiała dać sygnał przyjaciołom. Skala okazała się bardziej nierówna, niż wyglądała z góry. Porastała ją ostra, kolczasta roślinność. Jedna z kęp przebiła drabinkę i dziewczyna musiała przez chwilę wisieć na jednej ręce, aby ją uwolnić.

Setki kamyków przeleciały obok niej. W skale zarysowały się pionowe szczeliny. Z ciemnego otworu obserwowała Chakę para oczu.

Nagle uderzył w nią podmuch wiatru. Zakołysała się w tył i w przód. Przywarła kurczowo do drabinki. Pod sobą dostrzegła prostokąt przebarwionej skały. Wyglądał jak drzwi.

– Jeszcze kilka jardów – zawołała w górę – i będę na miejscu.

Ściśle rzecz biorąc, w skalnej powierzchni urwiska znajdowały się cztery pary drzwi. Tu właśnie należący do Showrona Podróżnika pojazd w kształcie kuli wyratował swoich pasażerów. Tu zatem znajdowała się kiedyś stacja końcowa. Pozostało po niej wiele kawałków metalu: na zewnątrz – podpory, wewnątrz – belki. I ławka. Jedne z drzwi były rozłupane na pół. Chaka miała trudności ze znalezieniem punktu oparcia, ponieważ z powodu wybrzuszenia w górnej części skały drabinka zwisała parę stóp od niej. Dziewczyna wyciągnęła ręce, złapała sztywny jak drut krzew i przyciągnęła się z drabinką.

Najbardziej się przeraziła w trakcie próby zeskoczenia z drabinki w wejście. Lina asekuracyjna okazała się zbyt napięta. Jej towarzysze na górze najwyraźniej nie rozumieli, że gdy za mocno ją trzymają, utrudniają Chace ruchy. Co więcej, dziewczyna musiała chwycić się krzewu, aby pozostać w pobliżu drabinki do chwili, aż zdoła trafić w otwarte drzwi. W końcu nie marnowała więcej czasu na czekanie i odwiązała linę zabezpieczającą. Pogratulowała sobie pomysowości i zawołała, że bezpiecznie dotarła do wejścia. Przed nią rozciągał się opisany przez Guzowatego korytarz o wysokim dachu. Było ciemno, widoczność wynosiła zaledwie kilka jardów.

– Chako! – krzyknął Quait. – Trzeba przywiązać drabinkę.

– Zgadza się. – Drabinka znajdowała się w odległości około trzech stóp od dziewczyny. Nie było łatwo do niej sięgnąć.

Próbowała dwa razy. Za drugim razem straciła równowagę i niemal upadła. Przeżyła chwilę rozpacz. Czowała się głupio, wiedziała bowiem, że nie musi się wysilać.

– Quait!

– Tak. Co tak długo?

– Nie mogę jej dosięgnąć. Ktoś drugi musi tu zejść.

Po pewnym czasie pojawił się Flojjan z przywieszonymi do pasa lampami. Huśtał się. Złapała go za rękę i wciągnęła do wejścia jego i drabinkę. Przywiązali ją do belki i zapalili lampy. Czekali na Clavera.

Quait zszedł ostatni. Wcześniej obwiązał linę asekuracyjną wokół drzewa i opuścił ją, by ktoś przytrzymał drugi koniec.

Kiedy do nich dołączył, przepchnęli się do wewnętrznego przejścia. Przed sobą, w mrocznym świetle lamp odkryli schody, korytarz i głębokie szyby. Przypominały te z wieżowców wokół Union Station. Chaka spojrzała w dół jednego z nich.

– Wilgoć – zauważyła.

Znalazła parę kamieni i wrzuciła je do środka. Po kilku sekundach usłyszała plusk.

Powietrze było nieświeże, szczególnie dalej od drzwi.

Claver wyraził zaskoczenie, że w ogóle nadaje się do oddychania, lecz Flojjan wskazał mu przewód w suficie. W pomieszczeniu znajdował się system wentylacyjny.

Schody nie były kamienne, lecz wykonane z metalu Drogowców. Balustradę i stopnie pokrywał kurz.

Czworo podróżników podniosło sprzęt i zaczęło schodzić. Flojjan szedł pierwszy.

Chaka nigdy do końca nie uwierzyła w opowieść o sześciu zabitych. Kiedy ludzie umierają grupowo, nie znikają bez śladu. Dostrzegła, że Quait trzyma rękę na strzelbie.

Flojjan również starał się postępować rozważnie. Poruszał się, jak potrafił najszybciej i odzywał ściszym głosem. Całe jego zachowanie sugerowała skrywany lęk. Taka postawa była dla niego dość niezwykła. Bywał ostrożny, ale Chaka rzadko widywała go naprawdę przerażonego. Tak czy

inaczej, trzymał się na przedzie.

Nawet Claver wyraźnie odczuwał strach i niewiele mówił. Niósł zwój liny i metalową sztabę, którą nieświadomie trzymał jak broń.

Ciemność wydawała się wręcz namacalna. Lampy dawały niewiele światła. Cienie groteskowo tańczyły na ścianach. Wędrowcy słyszeli wiatr, mieli wrażenie, że szaleje wewnątrz skał. Na każdym poziomie widać było wiele korytarzy, wszechobecne głębokie szyby i otwarte bądź zamknięte drzwi.

– Ściany są mokre – zauważył Claver. – Nie użyłbym tego miejsca na magazyn.

– Pewnie należało kiedyś do wojska – podsunął Quait. – Nie wiem, co się stało później, lecz sądzę, że początkowo należało do wojska albo do marynarki.

Schody wiły się w tył i w przód, piętro po piętrze, aż przyjaciele doszli do wniosku, że dotarli do podstawy urwiska. Wtedy się skończyły. Po prostu się urwały.

– Prawdopodobnie tutaj znaleziono twojego ojca – powiedziała Chaka Flojjanowi.

Quait stanął na krawędzi podestu, wyciągnął przed siebie lampę i zapatrzył w dół. Dostrzegł podłogę. Tu właśnie wszyscy umarli, pomyślał.

– Nie ma kurzu – mruknął Claver.

Podest był czysty. Nad nim zauważyli pięć czy sześć schodów. Wyżej każdą powierzchnię gęsto pokrywał kurz. Ciekawe! Podłoga ciągnęła się około dwudziestu pięciu stóp niżej.

– Może – kontynuował Claver – otworzyli drzwi i uwolnili gaz.

Słowa uczonego uznali za sensowne. Coś podobnego przydarzyło się przecież Jonowi Shannonowi, kiedy otworzył niewłaściwe drzwi. Czegoś tu jednak brakowało.

– Nie było wybuchu – orzekła Chaka.

– Nie musiało go być. Zaczęli oddychać gazem, stracili przytomność i udusili się.

– Cała szóstka?!

– Cóż – przyznał Claver – musiało go być sporo.

– Podobno ich ciała leżały w różnych miejscach – zauważył Flojjan.

Claver potrząsnął głową.

– Ludzie, którzy opowiadają historie, lubią dramatyzować.

– Nie sądzę, żeby Guzowaty kłamał – obruszyła się Chaka. Flojjan obwiązał liną lampę i opuścił ją. Niżej podróżnicy zobaczyli pozostałości popękanej klatki schodowej i podest.

– Nie twierdzę, że kłamał – powiedział Claver. – Jednak niektórzy łatwo ulegają emocjom. Szczególnie w takich miejscach jak to. Szczerze mówiąc, gdyby wierzyć w koncepcję Guzowatego, w tych tunelach musiałyby coś grasować.

Quait od razu zauważył, że Claver żałuje swoich słów. Niestety, nie sposób ich było cofnąć, więc podróżnicy popatrzyli tylko nerwowo po sobie, a potem na teren pod nimi. Ciągnął się tam szereg otwartych przejść. W każdej ścianie było jedno.

– Jeśli tu się znajduje gaz – odezwał się Quait – może nam się przydarzyć to samo?

– Och, tak. – Claver z przekonaniem pokiwał głową. – Zgadza się. Bezwzględnie powiem, że tak. Wystarczy otworzyć nieodpowiednie drzwi.

– Jak mamy się zabezpieczyć? – spytał Flojjan.

Chaka głośno parsknęła.

– Trzymaj się z dala od drzwi – mruknęła.

– Ot *co*. – Claver zaplótł ręce na piersiach i przyjął pozę instruktora. – Gdy trzeba będzie otworzyć jakieś drzwi, wyznaczmy jedną osobę, reszta się pochowa. Sugerowałbym także, żeby nikt nie odchodził sam. I ostrożnie z bronią. – Rzucił Quaitowi przeciągłe, twarde spojrzenie. – Jesteśmy teraz wszyscy trochę roztrzęsieni. – Illyryjczycy odnieśli wrażenie, że mówi tylko o nich. – Nie mamy

zbyt wiele światła, uważajmy, by nie zagrażać sobie nawzajem.

– Mam nadzieję, że nam się uda – powiedział Quait. Przywiązał linę do balustrady i *mocno* ją naciągnął. Dolna izba była ciemna, zimna i ponura. Światło odbijało się od kałuż. – Nie spodziewaliśmy się, że tak będzie wyglądała Przystań – zauważył. Opuścił na dolne piętro drugi koniec liny, owinał się nią wokół pasa i podszedł do krawędzi.

– Ostrożnie. – Chaka wyjęła pistolet.

Quait opuścił się gładko. Zanim dotknął podłoga, zdążył wyjąć broń. Podłoga była mokra i błyszcząca w świetle lamp. Natychmiast zaczęła schodzić Chaka.

W każdej ścianie znajdowały się drzwi.

Za dziewczyną ciągnął się korytarz z głębokimi szybami. Dwa sąsiednie przejścia znikwały w mroku. Bezpośrednio przed sobą Chaka dostrzegła płaski, niski tunel. Masywne drzwi leżały na wpół wciśnięte w wejście tunelu.

Quait kręcił się po terenie, wsuwał lampę w każde przejście. W korytarzach po obu stronach widać było otwarte drzwi. Chaka zaglądała do wysokich pokojów, zawałonych stosami rozmokłego gruzu.

Flojjan przyjrzał się leżącym drzwiom, potem wszedł w czwarte wejście. Chaka ruszyła za nim. Dwadzieścia stóp dalej zobaczyła kolejne z pozoru identyczne drzwi. Również leżały na podłodze. Za nimi stała czarna woda.

– Podziemne jezioro – ocenił Flojjan.

– Do tej pory – rzekła Chaka – zgadza się wszystko, co mówił Guzowaty.

Powierzchnia jeziora znajdowała się kilka stóp pod poziomem podłogi. Jezioro znikало w mroku. Chaka podniosła oczy na sufit. Był zupełnie gładki i płaski, górował zaledwie parę stóp nad wodą.

– To sala – powiedziała – nie grota, – Popatrz na to. – Flojjan skierował snop światła z lampy na klatkę schodową. Schody schodziły do wody.

Chaka patrzyła na nie przez długi czas.

– Nie sądzę, żeby ten teren mógł zostać zalany przez wodę – orzekła w końcu.

Claver przyłączył się do nich.

– Te drzwi to śluzy – powiedział. – Tutejsi mieszkańcy starali się odciąć sobie dostęp do jeziora.

– Dlaczego? – spytał Flojjan.

– Może coś mieszka w wodzie – zasugerowała dziewczyna.

Uczony zmarszczył czoło.

– Nie rozumiem, co się tutaj stało – mruknął.

Po obu stronach wysokiego korytarza wchodziło się do otwartych pokojów; wszystkie przypominały pierwszy, do którego zajrzała Chaka. Podróżnicy wsunęli się do najbliższego. W świetle lamp pojawiły się stare stoły, ławy i szafki. Meble były wilgotne i zimne.

– Po ścianach pewnie ścieka woda – doszedł do wniosku Claver.

Szafki były zazwyczaj podobne do siebie. Wykonano je z materiałów Drogowców, ni to z drewna, ni to z metalu. Większość miała cztery czy pięć szuflad o rozmaitej wielkości. Niektóre szuflady okazały się puste, inne wypełniał brązowy muł.

Quait klęknął obok jednej i przyświecił sobie lampą. Zagłębił palce w muł i wyjął strzęp pomarszczonego materiału. Zwisало z niego sporo nitek.

– To mogła być oprawa książki – ocenił Claver.

Flojjan pokiwał głową.

– Zgadza się. Tak, nawet na pewno. Drogowcy wkładali poszczególne woluminy do osobnych szuflad. Gdy ktoś chciał przejrzeć dany tom, wyjmował go stąd, niósł na jeden ze stołów i tam w

spokoju czytał.

Chaka przyjrzała się mułowi i nic nie powiedziała.

Na każdej szufladzie przymocowano metalową płytkę, prawdopodobnie z tytułem znajdującej się w środku książki. Niestety, płytki nie były już czytelne.

Z powodu kiepskiego światła wędrowcy bardzo powoli odkrywali wielkość pomieszczenia. Sufit był w nim wysoki, miał wysokość około dwudziestu stóp. Sam pokój był całkiem obszerny, prawdopodobnie liczył sto stóp długości i pięćdziesiąt szerokości. Dziewięć stóp nad podłogą ciągnęła się galeria, na którą prowadziły schody przy przeciwległej ścianie. Na podłodze stało – na oko – dwieście szafek.

Przyjaciele z niewyraźnymi minami przetrząsnęli gruzy i wspięli się po schodach. Mieli nadzieję, że górny poziom jakimś cudem uniknął wszechobecnego zniszczenia. Niestety, mylili się.

*Co się stało?!*

– Wiemy, że coś tu było – bąknęła Chaka. – Karik i jego ludzie znaleźli nietknięte książki. Gdzieś tutaj.

– Sprawdźmy, czy coś zostało – podsunął Quait.

W tym skrzydle zlokalizowali trzy podobne pomieszczenia. Wszędzie towarzyszyła im atmosfera rozkładu. Kręcili się apatycznie wśród gruzów, próbując odczytać płytki na szufladach i sprawdzając, czy coś przetrwało.

Przeciwległe skrzydło wzbudziło w podróżnikach nowe nadzieje. Tu także odkryli cztery pomieszczenia magazynowe. Trzy były całkowicie zrujnowane, natomiast czwarte drzwi – na końcu korytarza – zamknięte.

– Może tu – rzuciła Chaka.

– Wyglądają na wodoszczelne – ocenił Claver.

Mechanizm zamykający wyposażony był w bolec z kółkiem. Quait chwycił za nie, podczas gdy pozostali wycofali się wraz z lampami.

Drzwi się nie otwierały.

– Dajcie mi sztabę – polecił.

Prawie pół godziny męczyli się nad wyłamaniem drzwi. Kiedy uznali, że szczelina jest wystarczająca, ponownie się oddalili. Przy wejściu pozostał jedynie Quait, który wsunął sztabę w szparę, popatrzył na przyjaciół z nadzieją i pchnął.

Drzwi zaskrzypiały. Spróbował znowu i drzwi rozsunęły się o kilka cali. Quait podszedł bliżej i powąchał.

– Chyba nic nam nie grozi – oświadczył.

– Poczekajcie – ostrzegł Claver.

Jednak Quait stracił już cierpliwość. Zignorował ostrzeżenie uczonego i całym ciężarem napał na drzwi. Zawiasy pękły, metal zaskrzypiał. Quait wcisnął palce w otwór i pchnął. Drzwi ustąpiły.

Podróżnicy przywiązali lampę do liny i wsunęli ją za próg, sami jednak nadal trzymali się z dala. Odczekali kilka minut, po czym weszli do pomieszczenia.

Wyglądało tak jak pozostałe, również było dwupiętrowe – i tu schodki prowadziły na galerię. Ale było suche! Meble, przeszklone szafki, krzesła i stoły stały na swoich miejscach. A w szafkach połyskiwały oprawne tomy!

Chaka krzyknęła z radości. Jej krzyk odbił się echem.

– Nie rozumiem tego – mruknął Claver. – Co się tutaj dzieje?

– A kogo to obchodzi? – Quait wkroczył do pomieszczenia, podszedł do pierwszej z brzegu szafki i otworzył najwyższą szufladę.

– Popatrzcie na nią – powiedział.

Czarna skóra. Złote pismo. „Roczniki” Tacyta.

Okładka wyposażona była w zatrzaski. Quait przetarł blat stołu i wrócił po książkę. Gdy jego towarzysze zebrali się za nim, położył książkę na stole i otworzył ją.

Odwrócili kilka stron i wpatrzyli się w tekst.

„Otrzymał prawo rządzenia najważniejszymi prowincjami nie dzięki swym wyjątkowym zdolnościom, lecz dlatego że był dobrym kupcem, ani jego ambicje, ani jego talent nie sięgały wyżej...”

Szafki ustawiono wyraźnie według planu, zwykle – w grupach po cztery, tyłem do siebie. Obok stały pochyle pulpity i biurka dla ewentualnych czytelników oraz sporo krzeseł. Środek sali zajmowała długa półkolista lada.

Flojjan wybrał szafkę na chybił trafił i – obserwowany przez przyjaciół – rozmyślnie nie czytając opisu na metalowej płytce, otworzył najwyższą szufladę i wyjął książkę. Jej tytuł wyłobiono na okładce srebrnymi literami.

*Werner Jaeger „Paideia”*

*Tom J*

Flojjan delikatnie, niemal czule otworzył księgę. Na pierwszej stronie ponownie pojawił się tytuł i autor. Była także data – 1939.

Odwrócił kartkę. Dużą białą stronicę wypełniały błyszczące czarne litery.

„Edukacja jest procesem, poprzez który społeczeństwo przekazuje potomnym własny fizyczny i intelektualny charakter, ponieważ jednostka przemija, ale typ pozostaje”.

– Głosy z innego świata – wyszeptała Chaka.

Objęli się w migoczącym świetle. Po długiej chwili odsunęli od siebie. Poczuli, jak znikają narastające w nich od kilku miesięcy napięcie i frustracja. Claver, potrząsając ręką Quaita, rozplakał się.

– Cieszę się, że tu z wami przyszedłem – powtarzał co chwilę. – Cieszę się.

Pomieszczenie wypełniały solidne, poważne tomiska, nie zaś zwyczajne książki. Dzieła spisano ręcznie – ich wielkie stronicę zdobiły tysiące linijek starannego pisma. Wszystkie księgi oprawiono w skórzane okładki o złoconych brzegach. W niczym nie przypominały „Jankesa na dworze króla Artura”.

Podróżnicy uznali, że trafili do działu historycznego. Znaleźli teksty, o których słyszeli, takie jak „Zmierzch Cesarstwa Rzymskiego” Gibbona (w wielu woluminach) i dzieła zupełnie im nieznane jak „Anabaza”. Przejrzeli „Amerykańską prezydenturę w czasach kryzysu” McMutriego, „Japonię ery współczesnej” Ingela Kyatawy oraz „Historię króla Ryszarda III” Tomasza Morusa. Oglądali „Wiek Ludwika XIV” Woltera, „Kronikę anglosaską” i „Wojnę żydowską” Józefa Flawiusza. Odkryli egzemplarze „Amerykańskiego stulecia”, „Dyplomacji” Kissingera oraz książkę „Ameryka i Ocean Spokojny w latach 1914-2001”.

– To stosunkowo świeże kopie – zauważył Quait. – Popatrzcie na stan papieru. Nie mają więcej niż parę stuleci.

Galerię również wypełniały tomy. Chaka wspięła się po schodach i zaczęła myszkować wśród prawdziwych skarbów.

Cała czwórka prawie zapomniała, gdzie jest. Niczym dzieci hasali wśród starych tekstów, zachęcali się nawzajem do obejrzenia jakiegoś dzieła, przynosili lampy z miejsca na miejsce, otwierali wszystkie tomy.

Chaka kartkowała „Ostatniego lwa” Manchestera. Nagle ożywiła się i potrząsnęła ramieniem Quaita.

– Zdaje się, że znalazłam naszego Winstona. – Roześmiała się.

Odkrycie tej wspaniałej komnaty było cudownym prezentem ślubnym. Dziewczyna stała w migotliwym świetle lamp, patrzyła z miłością na męża i na „Ostatniego lwa”, gdy nagle złudzenie przysło. Stojący na dole Flojjan krzyknął, że w korytarzu jest woda. Podnosiła się szybko.

Próbowali zamknąć drzwi, lecz woda przelewała się przez wygiętą futrynę. Jedna z lamp upadła na podłogę i zgasła.

– Nie będzie już działać – oceniła Chaka. Rozejrzała się wokół szaleńczo. – Jak wysoko podejdzie woda?

– Zaleje nas – odparł Claver.

– Jesteś pewien?

– A jak sądzisz? Co się zdarza codziennie w innych pokojach?

Mówili teraz do siebie podniesionymi głosami, radość sprzed kilku minut zastąpiły gniew i frustracja. Otworzyli drzwi i – para wewnątrz, para na zewnątrz – próbowali zamocować je wyżej i ponownie zatrzaskać. Woda stale dostawała się do środka.

W przyćmionym świetle książki i szafki wyglądały jak wypolerowane.

Chaka była bliska paniki.

– Chodzi o jezioro – odezwał się Flojjan. – Łączy się z morzem, więc w czasie przyływu podnosi się jego poziom.

– Nie ma sposobu, żeby powstrzymać ten proces? – spytał Quait.

Claver się roześmiał.

– Pytasz poważnie?

Quait zdarł z grzbietu kurtkę i próbował wcisnąć ją między drzwi i futrynę.

– Cholera! – warknął. – Chociaż jedno z nas powinno było pomyśleć...

Chaka obserwowała, jak woda zalewa podłogę.

– Co zrobimy? Musi istnieć coś...

– Możemy ocalić kilka książek. – Flojjan przebrnął do najbliższej szafki, otworzył najwyższą szufladę i wyjął książkę. Nosiła tytuł „Listy Abelarda i Heloizy”.

Quait popatrzył dziko wokół siebie.

– Ile uratujemy? Dwadzieścia, trzydzieści? Stracimy wszystkie inne.

– Poczekajcie. – Claver trzymał lampę wysoko w górze i wpatrywał się w zacieniony sufit. – Coś chyba mogłoby nam pomóc.

– Co takiego? – spytał Quait.

– Dajcie mi minutę. – Pospiesznie wbiegł po schodach na galerię. Pozostała trójka przyglądała się, jak lampa mknie po górnym piętrze, jak się waha, jak pędzi dalej wzdłuż ścian. Błada twarz uczonego w jej świetle wyglądała upiornie.

– Tracimy tylko czas – rzucił Flojjan. Wyjął księgę w dwóch tomach. Były to „Kroniki krzyżowców. Współczesne relacje Ryszarda z Devizes i Geoffreya de Vinsauf”. Quait wyrównał mu stos na rękach, po czym Flojjan odwrócił się i niepewnie ruszył ku drzwiom. – Otwórz, Chako – polecił.

Nie mogła się powstrzymać od śmiechu.

– Jak zamierzasz się wspiąć na półpiętro z tym ciężarem? – Woda przelewała jej się przez czubki butów. – Szybko się podnosi – stwierdziła. – Jeśli zamierzamy coś zrobić, lepiej zabierzmy się do tego natychmiast.

– A co tu jest do roboty? – spytał Flojjan. – Możemy jedynie wynieść tyle, ile zdołamy.

Lampa Clavera ciągle poruszała się wzdłuż balustrady galerii. Uczony mamrotał do siebie.

– Tak – przemawiał – co nam szkodzi spróbować. – Po chwili dodał: – Wierzę, że potrafimy tego dokonać. – Nagle stanął na szczycie schodów, chwycił się poręczy i pochylił. – Zaczynjcie wnosić



książki na górę – zawołał. – I pospieszcie się. – Podróżnicy patrzyli z niedowierzaniem, jak zdejmuje koszulę, a potem spodnie.

– Po co? – zapytał Quait. – Woda i tak zaleje całe pomieszczenie.

– Nie mam czasu na wyjaśnienia – odkrzyknął Claver. – Róbcie, jak mówię! Zaufajcie mi.

– Musimy stąd wyjść, póki jeszcze możemy – oświadczył Flojjan. – W przeciwnym razie się potopimy.

– Wciąż mamy trochę czasu – przekonywał Claver. Jego podniesiony głos odbijał się echem po pomieszczeniu. – Jeśli chcecie się poddać, tylko powiedzcie, a natychmiast wychodzimy. Moim zdaniem możemy uratować większość książek.

Zaczęli opróżniać najniższe szuflady, które były najbardziej narażone na kontakt ze stale podnoszącą się wodą. Wyjmowali dzieła i składowali je na szafkach, stołach i biurkach.

Wszystkie tomy wypełniało pismo ręczne. Były ciężkie i nieporęczne, a niektóre tak wielkie, że Chaka z trudem mogła podnieść jeden. Sił jednak dodawała jej płynąca w żyłach adrenalina i dziewczyna dokonała w następnej godzinie wyczynów, w które nikt z jej znajomych nie uwierzyłby.

Claver pospieszył na dół. Początkowo Chaka sądziła, że w nierównym świetle oczy płatają jej figla. Ale nie. Uczony naprawdę był zupełnie nagi!

– Zdejmijcie ubrania – oznajmił. – Potrzebuję wszystkich waszych rzeczy. – Wyjął kurtkę Quaita z drzwi i cisnął ją między przyjaciół. – Szybko – dodał.

– Obawiam się, że to koniec – powiedział Quait. Jego mina nie pozostawiała wątpliwości, że uważa Claver za szaleńca.

– Zróbcie tylko, jak mówię. I pospieszcie się.

Chaka była już bez kurtki.

– W pomieszczeniu będzie się robić coraz chłodniej – zauważyła.

– Co robisz, Orinie? – spytał Flojjan.

– Blokuję przewody, niech to szlag trafi.

– Nie rozumiem – mruknął Quait, choć równocześnie zaczął zdejmować koszulę.

– Och – jęknął Flojjan. – Jeśli zdołamy uszczelnić pokój, kiedy fala się podniesie nad drzwi, powietrze będzie się sprężać.

– Bardzo dobrze – pochwalił go Claver, po czym wskazał na bluzkę Chaki.

– No i co z tego? – spytał Quait.

– Jeśli zdołamy utworzyć pęcherz powietrzny, powstrzyma on wodę przed dotarciem na galerię.

– A jeśli nam się nie uda? – spytała Chaka.

Quait rozebrał się. Ułożył koszulę, spodnie, skarpetki i szorty w stos na „Napoleonie” Emila Ludwiga.

Flojjan równie szybko zdjął ubranie, wręczył je Claverowi, bardzo skrepowany zerknął na nagą już Chakę i odwrócił wzrok. Dziewczyna miała ochotę ukryć się w wodzie, ale uznała takie zachowanie za zbyt dziecinne.

Claver wrócił na galerię ze stosem ubrań. Tymczasem Chaka i Quait jednocześnie uznali, że dziewczyna jest zbyt słaba, by zanosić książki na górę, wyjmowała więc tomy z szuflad i podawała je mężczyznom, którzy transportowali je wyżej. Uratowała „Rozmyślenia” Marka Aureliusza, „Relację z najnowszych prac badawczych i poszukiwawczych prowadzonych w Egipcie i Nubii” Belzoniego oraz „Dwa oceany w stanie wojny” Samuela Eliota Morisona. Ocaliła „O wojnie domowej” Cezara, „Czekając na stacji” Babcocka oraz „Zmierzch w Mekce” Mulgrave’a. Upuściła do wody dzieło Herodota.

– Sądzę, że nam się uda – zawołał z góry Claver.

Chaka uratowała teksty Polibiusza, Tukidydesa, Woltera, T. E. Lawrence'a, Fullera, Woollcotta i Churchilla. Tego samego Winstona Churchilla?! – zapytała siebie. Poślizgnęła się i przewróciła, nie wypuściła jednak z rąk książki Tytusa Liwiusza. Położyła tekst Ksenofonta na dziele Prescottta, a Commagera na Henrym Adamsie.

– W porządku. – Głos Clavera dochodził z niewiadomego miejsca. – Powinno wystarczyć.

– Świetnie – pochwalił Quait. – Chętnie skorzystamy z twojej pomocy na dole.

Do tej pory Quait sam wnosił książki na górny poziom. Chaka traciła powoli grunt pod nogami, więc Flojjan pomagał jej wydostawać dzieła z szafek. Prawie już skończyli, chociaż woda podnosiła się bardzo szybko. Kilku tomów nie zdołali uratować. W pewnej chwili woda zalała blaty wysokich stołów, na których stały stosy książek. Zmoczyły się brzegi „Kronik Nowogrodu”, „Zarania historii”, tekstu zatytułowanego „Chiny: przebudzenie smoka”, „Komentarzy” Rogera Bacona oraz szeregu innych.

Podróżnicy ocalili tyle, ile się dało, ułożyli książki na schodach i wrócili po resztę. Woda sięgała Chace do ramion, podnosiła więc ciężkie księgi nad głowę i podawała Quaitowi. Sporo pływała. W końcu jednak zadanie okazało się ponad jej siły, więc wyszła z wody.

– I tak powinniśmy już stąd iść – zauważył gwardzista. Woda dotarła właśnie do szczytu drzwi. W zewnętrznym korytarzu pozostało zaledwie kilka stóp powietrza.

Flojjan przekazał w górę „Alcybiadesa i Koriolana” Plutarcha. Dla pozostałych dzieł nie było już ratunku.

– Koniec – powiedział. – Wynośmy się stąd.

Claver jednak się zawahał.

– O co chodzi? – spytała Chaka. – Zrobiliśmy przecież, co w naszej mocy.

– Nie – odparł Claver. – Przykro mi. – Głęboko zaczerpnął oddechu. – Słuchajcie... Jak bardzo pragniecie uratować te księgi?

Było strasznie zimno. Popatrzyli ku wejściu. Woda skrzyła się w świetle lampy.

– Co próbujesz nam powiedzieć? – spytał Quait.

– Nie wiemy, jak wysoko podejdzie woda. Przypuszczam, że dotrze do punktu gdzieś w połowie między szczytem drzwi a sufitem. Jeśli tak się stanie, i tak stracimy większość tekstów. – Tomy z dolnego poziomu stały w stosach na podłodze galerii. – Musimy zanieść je jeszcze wyżej. Trzeba opróżnić te szafki i postawić książki tuż pod sufitem.

– Ależ Orinie – zaproponował Quait – nie mamy na to czasu. Jeśli nie wyjdziemy stąd teraz, nie wyjdziemy w ogóle.

– Wiem – odrzekł. Odwrócił się i popatrzył na przyjaciół. Zauważyli, że jest przerażony. – Powiedzcie mi, co chcecie zrobić.

Większość schodów znajdowała się już pod wodą. Jedynie najwyższe trzy stopnie były suche.

– Nie chcę tu utonąć – bąknął Flojjan. – Żadne z tych dzieł nie jest warte takiego poświęcenia.

– Nie utoniemy – zapewniła go Chaka. – Jeśli Orin się nie myli. Nie mylisz się, Orinie?

– Prawdopodobnie – odpowiedział. – Niczego jednak nie mogę zagwarantować.

Przez długi moment słyszeli tylko gulgotanie fal. Quait popatrzył na Flojjana.

– Może zostaniemy we dwóch? – spytał. – My dwaj w środku, oni dwoje na zewnątrz.

– Nawet o tym nie myśl – rzuciła Chaka. – Nie zamierzam wracać do domu sama.

Claver skinął głową.

– Ja także zostaję. Bez waszej pomocy i tak nie zdołałbym wystartować balonem.

Na galerii stało mniej więcej trzydzieści szafek, które mieściły około stu tomów. Wokół

znajdowało się również sporo małych stolików. Podróżnicy zsunęli szafki w pary i postawili na nich stoły, po czym zaczęli układać trzysta ciężkich ksiąg na stołach. Zadanie było żmudne. Obserwowali, jak woda wypełnia wejście do pomieszczenia, jak zatapia ostatnie kilka stopni i wlewa się na podłogę galerii.

Gdy wreszcie wyjęli wszystkie woluminy z szafek i poukładali je na stołach, woda sięgała im już do bioder. Zrobili tyle, ile mogli.

– Wcale nie przestaje płynąć wolniej – zauważyła Chaka.

Claver z zimna otoczył się ramionami.

– W końcu musi zwolnić – odparł. – Bądźcie cierpliwi.

– Jak długo tu zostaniemy? – spytał Quait.

– Aż do odpływu. Sądzę, że jakieś sześć godzin – rzekł Flojjan.

Pogasili wszystkie lampy poza jedną. Propozycja wyszła od Clavera, który wyjaśnił, że nie wie, ile jest jeszcze powietrza w pomieszczeniu, a lampy spalają tlen. Z drugiej strony żadne z przyjaciół nie miało ochoty siedzieć w całkowitym mroku, podczas gdy woda stale się podnosi. Dlatego zdecydowali się zatrzymać jedno światło.

Ciała drętwiały im z zimna, tulili się więc do siebie, szukając ciepła.

Sporo rozmawiali. Większość rozmów dotyczyła tytułów ksiązek, które widzieli, i możliwości wyniesienia ich z pomieszczenia jak najszybciej po opadnięciu wody. Claver uważał, że najlepiej będzie zostawić je tutaj i wrócić do Brockett.

– Tym razem – przekonywał pozostałych – pewnie nie będziecie mieli kłopotu z wynajęciem łodzi.

– Czeka nas długie kilka godzin – oceniła Chaka.

Ponieważ nie mieli nic do roboty z wyjątkiem czekania, Quait zajął się przeglądaniem tekstów. Jeden tytuł przyciągnął jego wzrok: „Notatki z ostatnich dni” Abrahama Polka. Wskazał książkę przyjaciołom.

– Przynajmniej – powiedział – wreszcie poznamy prawdę. Gawędzili o drobiazgach. Claver milczał prawie przez dwadzieścia minut.

– Chyba wiem – odezwał się w końcu – co się przydarzyło pierwszej ekspedycji.

– Tak, wszyscy to odkryliśmy. – Quait pokiwał głową. – Schwytał ich przypływ i utonęli.

– W pewnym sensie masz rację – przyznał Claver. – Zauważ jednak, że fala podnosi się dość wolno. A tamci zapewne nie starali się ratować ksiązek. – Claver popatrzył na lampę i zadygotał. Otoczył się ramionami i Chaka ze współczuciem przysunęła się do niego. Quaitowi wydało się, że widzi uśmiech rozciągający usta uczonego, ale mógł mieć do czynienia z igraszką światła. – Nie – ciągnął. – Przypuszczam, że gdy tu przybyli, we wszystkich pokojach znajdowało się mnóstwo ksiązek. Nie dostrzegli niebezpieczeństwa, tak jak my na początku. Korytarz prawdopodobnie był zupełnie suchy, więc nie można ich winić za nieostrożność. Włamali się do pokoi bibliotecznych, do jednego po drugim. Na szczęście, nie otworzyli wszystkich. Pewnie powoli zaczęli wynosić książki. Ich sytuacja nieco różniła się od naszej, kiedy bowiem zeszli po schodach do centralnej sali, jedno z przejść było zamknięte.

– To nieprawda – zaprzeczył Flojjan. – Wszystkie przejścia są otwarte.

– Kiedy my tu dotarliśmy, wszystkie były otwarte. Właśnie dlatego, że ludzie Karika zdemontowali drzwi. A cóż znaleźli za nimi?

– Jezioro – odparł Quait.

– Właśnie. Najpierw jednak odkryli kolejne drzwi. – Claver poczekał, aż towarzysze przemyślą sobie jego rewelacje, po czym kontynuował: – Zgodnie z legendą „Quebec” wrócił do tego miejsca i został. A zatem powinna gdzieś tu być podwodna komnata. Uważam, że jest nią właśnie jezioro. Coś

się nie udało. Zapewne zepsuł się system, który utrzymywał niski poziom wody wewnątrz komnaty. Może coś zablokowało zewnętrzną śluzę, odgradzącą jezioro od morza. Wewnętrzny system wentylacyjny zestarzał się i zepsuł. Wówczas fale zaczęły się podnosić i opadać także wewnątrz komnaty. Rozumiecie chyba teraz, jak potrzebne były w korytarzu dwie pary ciężkich drzwi!

Chaka zastanowiła się nad słowami Clavera, lecz nie doszła do żadnych wniosków. Jej dwaj przyjaciele również.

– Wiem chyba, jak działał system. Przypuszczalnie trzeba było zamknąć jedne drzwi, zanim można było otworzyć drugie – podsunął im uczoney.

– Dlaczego? – spytała dziewczyna.

– Po otwarciu obu par drzwi woda natychmiast dopasowuje swój poziom do stanu morza na zewnątrz pomieszczenia i co jakiś czas podnosi się albo opada.

Quait ciągle niewiele rozumiał.

– Mówisz zatem, że naszych poprzedników schwytał przyływ? Ale przecież przed chwilą twierdziłeś, że fala podnosi się zbyt wolno.

– Nie sądzę, by zalała ich fala. Nie ot tak, po prostu. Pamiętasz opowieść Guzowatego? Do nieszczęścia doszło mniej więcej podczas przyływu. Ponieważ podwodna komnata nie działała właściwie, woda podnosiła się i opadała każdego dnia mniej więcej co sześć godzin... – Popatrzył na Chakę. – Jeśli przyjmiemy takie założenie, co czekałoby śmiałków, którzy przeszliby drugie drzwi i trafili do komnaty?

Dziewczyna dostrzegła, że Quait szeroko otwiera oczy.

– Byłaby pełna wody.

– Tak – przyznał Claver. – Waszym przyjaciółom nie dane było patrzeć, jak woda spokojnie się podnosi powiedzmy o sześć stóp na godzinę. Uderzyła w nich nagle oceaniczna fala. Znaleźli się w zasadzce i utonęli, zanim zdążyli sobie uświadomić, że są w kłopotach. Tylko jeden człowiek uniknął straszliwego losu, ponieważ został na półpiętrze, gdzie wnosił książki.

Flojjan położył Quaitowi rękę na ramieniu.

– To nie była jego wina – zapewnił.

Flojjan zaczerpnął w dłoń wody i pozwolił, by przeciekła mu przez palce.

– Kierował akcją – oświadczył. – Czuł się odpowiedzialny. Za śmierć sześciu ludzi. W dodatku przez głupotę zaprzepaścili tyle skarbów.

Przez długi czas nikt się nie odzywał.

– Przynajmniej znamy prawdę – odezwała się w końcu Chaka. – Może teraz zdołamy się z nią pogodzić. – Piers dziewczyny zafalowała lekko w wodzie.

– Obawiam się, że to nie wystarczy – powiedział Quait.

Flojjan skinął głową.

– My znamy prawdę – dodał. – Nie wiadomo tylko, czy ktoś jeszcze ją pozna.

Claver zerknął na sufit.

– Trzeba by zmierzyć wysokość.

– Po co? – Flojjan wzruszył ramionami. – Woda i tak stale się podnosi.

– Wolałbym tego nie mówić – odezwał się Quait – ale sądzę, że powinniśmy spróbować popłynąć do wyjścia.

Znajdowali się w znacznej odległości od korytarza, który w chwili obecnej był zupełnie zalany wodą.

– Nigdy nie zdołałabym tam dopłynąć – jęknęła Chaka. – Jest zbyt daleko.

– Na mnie także nie liczcie – powiedział Flojjan. – Nie dotarłbym w pół drogi.

– Nie możemy tu stać wiecznie – warknął Quait.

Flojjan podskakiwał powoli w wodzie, drżąc z zimna.

– Może – zasugerował – powinniśmy o tym pomyśleć wcześniej. Zanim zgodziliśmy się zostać w tej pułapce na szczury.

Chaka popatrzyła na Clavera.

– Orinie, co się dzieje?

– Gdzieś tu jest jeszcze jeden przewód albo szyb. Musi być.

Ponownie zapalili wszystkie lampy i rozeszli się, by poszukać przewodu wentylacyjnego. Środek sufitu znajdował się dość daleko od galerii, toteż do tej pory pozostawał w cieniu. Ze swoich miejsc nie widzieli żadnych otworów, nikt jednak nie miał pewności. Quait podpłynął z lampą, potem przewrócił się na grzbiet, podniósł lampę i natychmiast zobaczył, w czym tkwi problem. Przewód został częściowo ukryty przez belkę.

Umieszczono go w samym środku i wydawał się znajdować całkowicie poza zasięgiem Quaita. Między wodą i sufitem pozostało jeszcze około sześć stóp powietrza.

– Będziemy musieli poczekać, aż woda podejdzie wyżej – zdecydował. – A wtedy spróbujemy go zablokować.

– Jest już zbyt wysoko – osądził Claver. – Pamiętajcie, że po zatkaniu przewodu woda nie przestanie się od razu wznosić.

– Potrzebujemy tyczki – stwierdził Flojjan.

Chaka wróciła na klatkę schodową, zanurzyła się i spróbowała odłamać fragment poręczy. Kiedy jej się nie udało, Quait dotarł do niej i wrócił z kawałkiem długości siedmiu stóp.

Niestety, nie mieli już więcej ubrań. Wyjęli z innego przewodu koszulę Flojjana i spodnie. Quait założył je na końcówce fragmentu poręczy i wepchnął w szczelinę powietrzną. Rzeczy zostały zassane, szczelina – zablokowana. Tymczasem inni szukali substancji, której można by użyć do zamknięcia poprzedniego przewodu. Claver próbował przysunąć do niego blat stołu, niestety nadal pozostał niewielki otwór.

– Będziemy musieli wsunąć tam jedną z książek – oświadczył w końcu Flojjan.

Claver pokiwał głową.

– Byle szybko. Spróbujcie znaleźć najmniej wartościową w sensie poznawczym.

Wybrali i tak już mocno zniszczony tom, biografię osoby, o której nikt z podróżników nie słyszał: „Leonarda da Vinci” Mereżkowskiego.

Quait stanął na krześle, rozerwał książkę i wcisnął ją z całej siły w otwór. Później wszyscy czworo zbili się w grupkę i wsłuchali w odgłosy pędzącej fali.

Woda sięgała już Chace do szyi.

Po chwili dotarła jej do brody.

Flojjan wspiał się na szafkę. Dziewczyna przyłączyła się, ale nogi trzymała w wodzie, która była cieplejsza od powietrza.

Claver podniósł oczy na książki ustawione na stoliku, obecnie ledwie dwie stopy ponad falą. Postawił lampę na stosie i zaczął szukać przedmiotu, za pomocą którego mógłby oznaczyć poziom wody. Pod ścianą znalazł oderwany przez Quaita, długi na siedem stóp fragment poręczy.

Chwycił go, postawił prosto i nożem zaznaczył na nim głębokość wody. Siegała uczonemu mniej więcej do obojczyka.

Quait zbliżył się do Chaki.

– W porządku? – spytał.

Pokiwała głową.

– Zważywszy na okoliczności, tak – dodała.

Nie mówili zbyt wiele. Po chwili lampa zamigotała i zgasła. Illyryjczycy znaleźli się w absolutnych ciemnościach. Dla Chaki zaczął się najbardziej nieprzyjemny okres w całej wyprawie.

Po kilku minutach z przygnębienia wyrwał podróżników głos Clavera.

– Chyba przetrwaliśmy najgorsze – oznajmił uczony. – Woda nadal się podnosi. Ale bardzo powoli.

– Jesteś pewien? – spytał ostrożnie Flojjan.

– Tak – odparł. – Najzupełniej.

Chaka wydała z siebie okrzyk radości, a następnie objęła każdego z mężczyzn po kolei. Woda robiła się chyba cieplejsza. Illyryjczycy pryskali się i wiwatowali, aż Claver ostrzegł ich, że pomocą książki.

– W cholerę z książkami – odrzekł Quait. – Ważne, że znowu ujrzymy światło dzienne.

Abraham Polk napisał, że zarazę wywołał wirus powietrzny. Nikt w Illyrii nie był pewny, co dokładnie oznacza to sformułowanie, lecz relacja z ostatnich dni epoki Drogowców okazała się niezwykle przejmująca. Wirus zrodził się w tropikalnych lasach deszczowych i zdaniem Polka miał ograniczyć niekontrolowany wzrost populacji Ziemi.

W ciągu najbliższych dziesięciu lat wszystkie teksty z Przystani trafią zapewne do publicznych bibliotek Brockett i miast Ligi. Komplet prawie trzystu pięćdziesięciu historycznych opowieści, komentarzy i rozmyślań został oficjalnie nazwany Zbiorem Silasa Glote'a. Do chwili obecnej około jednej piątej woluminów skopiowano i udostępniono ogółowi społeczeństwa. Spośród pozostałych tomów jedne wymagają długotrwałej naprawy, inne zaś znajdują się w rękach najwybitniejszych uczonych, którzy czytają je, studiują i opatrują odpowiednimi adnotacjami.

Zarówno po Hudson, jak i po Missisipi pływają już statki z kotłami węglowymi. Zainicjowano morskie połączenie między Brockett i Ligą. Handel rozwija się powoli z powodu ogromnych odległości i trudności w transporcie drogą lądową produktów Ligi do ujścia Missisipi. Niemniej postęp był ciągły i znaczący, a Orin Claver skoncentrował swe ogromne zdolności na utworzeniu drogi wodnej z miast Ligi do Zatoki. Jego strategia jak do tej pory wiązała się przede wszystkim z budową sieci kanałów.

Flojjan znalazł sobie intratne i satysfakcjonujące zajęcie jako dyrektor handlowy Clavera i osiedlił się w Brockett.

Jego prognoza, że trójkaty zaczną wypierać broń palną, z dwóch powodów okazała się niestety niewypałem. Po pierwsze, technologia broni usypiającej nastrocza ekspertom mnóstwo problemów, po drugie natomiast ze względu na swój niepozorny wygląd trójkat pozbawiony jest efektu odstraszania. No i nie daje też poczucia radości, które towarzyszy wystrzeleniu paru kulek w przestępcę.

Szlak z Diabelskiego Oka do końcowej stacji maglewa na północ od Wabash (obecnie główna trasa turystyczna) nieoficjalnie nazywany jest Drogą Shannona.

Próby penetracji dna podziemnego jeziora w celu odnalezienia „Quebeca” jak do tej pory spełzły na niczym. Dwóch nurków wyposażonych w aparaturę oddechową zaprojektowaną przez Clavera zaginęło podczas wykonywania zadania, co doprowadziło do spekulacji, iż wodę zamieszkuje demon. Claver obwinił za ich śmierć wadliwy tłok w pompie powietrznej.

Latanie balonem stało się popularnym sportem w Lidze. W zatrważającym tempie rośnie liczba wypadków śmiertelnych i kontuzji wśród młodych ludzi i coraz głośniej mówi się o wprowadzeniu zakazu używania latających maszyn.

Ojca Avili, człowieka pobożnego, który niegdyś wierzył, że córka została mniszką wskutek boskiej interwencji, zdruzgotała wiadomość o jej odejściu z zakonu. Informację o jej śmierci przyjął natomiast ze stoickim spokojem, po czym odprawił obrządek ku jej czci na brzegu Missisipi. Zakładał, że zaledwie kilka osób przybędzie pożegnać ekskapłankę. Przyjaciół Avili przyszło jednak tak wielu i byli tak pełni entuzjazmu, że kilkoro z nich wpadło do rzeki.

Quaita za jego osiągnięcia uhonorowano wczesną emeryturą, opuścił więc wojsko i objął katedrę po Silasie w Imperium, gdzie wykłada etykę i historię starożytnych form rządzenia.

Po wydarzeniach w Przystani Chaka odwiedziła grób swego brata. Arina wraz z towarzyszami pochowano u stóp niewysokiego stoku górującego nad zatoką, której fale odebrały mu życie. Ostatnio Chaka jest chyba najbardziej znanym złotnikiem w całej Lidze. Otrzymuje tak wiele zamówień, że musiała zatrudnić dwóch pomocników. Niedawno wróciła z wyprawy nad wielki wodospad Niagara. Przewodniczyła grupie kartografów, naukowców i poszukiwaczy przygód, zastępując męża, który

złamał nogę w kostce tuż przed wyznaczonym dniem wyjazdu.

Chaka i Quait dochowali się syna i córki. Oboje pobierają nauki w najlepszych szkołach Ligi.

Co ciekawe, najpopularniejszą książką ostatnich lat nie okazało się żadne ze wspaniałych dzieł z Przystani, lecz dziennik podróży rozpoczęty przez Silasa i dokończony przez Chakę. Tekst ukazał się pod ich wspólnym autorstwem i stanowi doskonały przewodnik dla podróży lądowych między Brockett i Ligą.

Flojjan poślubił atrakcyjną młodą kobietę, którą poznał podczas pracy w dokach nad Kanałem. Ma na imię Ira i niedawno obdarzyła swego męża bliźniaczkami płci żeńskiej. Żona Flojjana zna większą część historii wyprawy z Illyrii do Przystani, reszty zaś potrafi się domyślić. Jest osobką bardzo bystrą, o wiele za inteligentną na to, by robić problem z faktu, że jej mąż od czasu do czasu przewraca się we śnie i wykrzykuje imię innej kobiety.



# Spis treści

<a href="#">STRONA TYTUŁOWA..</a>	<a href="#">1</a>
<a href="#">PODZIĘKOWANIA..</a>	<a href="#">3</a>
<a href="#">PROLOG..</a>	<a href="#">5</a>
<a href="#">ROZDZIAŁ 1.</a>	<a href="#">9</a>
<a href="#">ROZDZIAŁ 2.</a>	<a href="#">23</a>
<a href="#">ROZDZIAŁ 3.</a>	<a href="#">33</a>
<a href="#">ROZDZIAŁ 4.</a>	<a href="#">46</a>
<a href="#">ROZDZIAŁ 5.</a>	<a href="#">52</a>
<a href="#">ROZDZIAŁ 6.</a>	<a href="#">60</a>
<a href="#">ROZDZIAŁ 7.</a>	<a href="#">67</a>
<a href="#">ROZDZIAŁ 8.</a>	<a href="#">74</a>
<a href="#">ROZDZIAŁ 9.</a>	<a href="#">81</a>
<a href="#">ROZDZIAŁ 10.</a>	<a href="#">89</a>
<a href="#">ROZDZIAŁ 11.</a>	<a href="#">99</a>
<a href="#">ROZDZIAŁ 12.</a>	<a href="#">104</a>
<a href="#">ROZDZIAŁ 13.</a>	<a href="#">109</a>
<a href="#">ROZDZIAŁ 14.</a>	<a href="#">114</a>
<a href="#">ROZDZIAŁ 15.</a>	<a href="#">124</a>
<a href="#">ROZDZIAŁ 16.</a>	<a href="#">131</a>
<a href="#">ROZDZIAŁ 17.</a>	<a href="#">139</a>
<a href="#">ROZDZIAŁ 18.</a>	<a href="#">144</a>
<a href="#">ROZDZIAŁ 19.</a>	<a href="#">150</a>
<a href="#">ROZDZIAŁ 20.</a>	<a href="#">157</a>
<a href="#">ROZDZIAŁ 21.</a>	<a href="#">165</a>
<a href="#">ROZDZIAŁ 22.</a>	<a href="#">174</a>
<a href="#">ROZDZIAŁ 23.</a>	<a href="#">180</a>
<a href="#">ROZDZIAŁ 24.</a>	<a href="#">187</a>
<a href="#">ROZDZIAŁ 25.</a>	<a href="#">196</a>
<a href="#">ROZDZIAŁ 26.</a>	<a href="#">202</a>
<a href="#">ROZDZIAŁ 27.</a>	<a href="#">210</a>
<a href="#">ROZDZIAŁ 28.</a>	<a href="#">214</a>
<a href="#">ROZDZIAŁ 29.</a>	<a href="#">221</a>
<a href="#">ROZDZIAŁ 30.</a>	<a href="#">230</a>
<a href="#">EPILOG..</a>	<a href="#">237</a>